

a

1

(131) 2013

akcent

literatura i sztuka • kwartalnik



Fragment najnowszej powieści Wiesława Myśliwskiego •
Od „Złotej Hramoty” do „złotego rogu” • O Leśmianie
z dwóch stron • Wiersze B. Latawiec, K. Siwczyka,
M. J. Kawalki, D. Krusovszky’ego • Sny ukraińskich poetów •
Ironia i harmonia Stasysa Eidrigėvičiusa

akcent

Zespół redakcyjny
MONIKA ADAMCZYK-GARBOWSKA
JANINA HUNEK
ŁUKASZ JANICKI
ELŻBIETA KUSEK
LECHOSŁAW LAMENSKI
WALDEMAR MICHALSKI (*sekretarz redakcji*)
TADEUSZ SZKOŁUT
JAROSŁAW WACH
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (*redaktor naczelny*)

Lamanie
MAC Arkadiusz Makowski

Stale współpracują:

*Bogusław Biela (Francja), Marek Danielkiewicz, Ewa Dunaj,
Józef Fert, Anna Frajlích (USA), Ludwik Gawroński, Michał Głowiński,
Anna Goławska, Andrzej Goworski, Magdalena Jankowska, Alina Kochańczyk,
István Kovács (Węgry), Marek Kusiba (Kanada), Jerzy Kutnik,
Eliza Leszczyńska-Pieniak, Jacek Łukasiewicz, Łukasz Marcińczak,
Anna Mazurek, Wojciech Młynarski, Dominik Opolski, Waclaw Oszejca,
Mykoła Riabczuk (Ukraina), Emilia Ryczkowska, Sergiusz Sterna-Wachowiak,
Małgorzata Szlachetka, Jerzy Święch, Aneta Wysocka, Bohdan Zadura*

Czasopismo patronackie **Instytutu Książki**
wydawane na zlecenie
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Numer zrealizowano przy pomocy finansowej
Miasta Lublin



Partnerem medialnym „Akcentu” jest **Radio Lublin S.A.**



PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 352071

© Copyright 2013 by „Akcent”

a

rok XXXIV

nr 1 (131)

2013

akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

Na pierwszej stronie okładki
Stasys Eidrigevičius: *Hommage a Vincent*, pastel, 42 x 30 cm, 1990 r.

Na czwartej stronie okładki
Stasys Eidrigevičius: *Fox story*, 75 x 55 cm, pastel, 1997 r.

Adres redakcji:

20-112 Lublin, ul. Grodzka 3, III piętro

tel. 81 532 74 69

e-mail: akcent_pismo@gazeta.pl

www.akcentpismo.pl

Stronę www prowadzi Anna Goławska

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają
urzędy pocztowe, Ruch SA, Kolporter SA i Ars Polona.

Zamówienia na prenumeratę realizowaną przez RUCH S.A.
można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl
lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803
lub 22 717 59 59 – czynne w godzinach 7⁰⁰–18⁰⁰.

Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Cena prenumeraty krajowej na okres jednego roku wynosi 38 zł.

Pieniądze można wpłacać także bezpośrednio na konto wydawcy:
Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent” Bank PEKAO SA, V O w Lublinie
nr rachunku: 50 1240 1503 1111 0000 1752 8667
lub przekazem pocztowym pod adresem redakcji,
podając wyraźnie adres prenumeratora
i zaznaczając na odwrocie przekazu „prenumerata Akcentu”.

W USA „Akcent” rozprowadzany jest przez następujące księgarnie:

Polish American Bookstore, „Nowy Dziennik” – Polish American Daily News;
21 West 38th Street; New York, NY 10018

Mira Puacz; „Polonia” Bookstore; 2886 Milwaukee Ave.; Chicago, IL 60618

We Francji sprzedaż prowadzi:

Librairie Polonaise (Księgarnia Polska), 123 Bd St. Germain, 75006 Paryż

Wydawcy:

Wschodnia Fundacja Kultury „Akcent”, 20-112 Lublin, ul. Grodzka 3

Instytut Książki, Dział Wydawnictw

02-086 Warszawa, al. Niepodległości 213

tel. 22 608 23 74, tel./fax 22 608 24 88

e-mail: czaspatron@instytutksiadzki.pl

Nakład 1000 egz. Druk ukończono 5 marca 2013 r.

Druk: IF Drukarnia

Cena zł 10,- (w tym 5% VAT)

Spis treści

- Wiesław Myśliwski: *Pensjonat* (fragment powieści) / 7
Bogusława Latawiec: *wiersze* / 29
Łukasz Marcińczak: *Nadberezyński Homer albo rozmowa między panami Florianem, Witoldem i Tadeuszem* / 33
Marian Janusz Kawalko: *wiersze* / 43
Bohdan Zadura – *sny moich ukraińskich przyjaciół* (Sofia Andruchowycz, Jurij Andruchowycz, Natałka Biłocerkiweć, Andrij Bondar, Lubow Jakymczuk, Hałyna Kruk, Wasyl Machno, Dmytro Pawłyczko, Andrij Lubka, Ostap Sływynski, Serhij Żadan) / 47
Krzysztof Siwczyk: *Dokąd bądź* (fragment poematu) / 64
Piotr Łopuszański: *O Leśmianie po stu latach* / 67
Jakub Beczek: *wiersze* / 79
Joanna Clark: *Królowa Barbara* / 82
Emilia Mazurek: *wiersze* / 90
Piotr Kobielski-Grauman: *Leśmian – poeta współczesny* / 95
Bartosz Suwiński: *wiersze* / 101
Waldemar Bawolek: *Litania* / 103
Stanisław Kryński: *Od „Złotej Hramoty” do Złotego Rogu Wernyhory* / 108
Dénes Krusovszky: *wiersze* / 117

PRZEKROJE

Prozaicy, prozaicy...

Marcin Klimowicz: *Ledwie widoczne sznurki* [Karol Maliszewski „Manekiny”]; Edyta Ignatiuk: *Totemy i fetysze* [Andrzej Stasiuk „Grochów”]; Andrzej Goworski: *Książka jak sweter polonisty?* [Waldemar Bawolek „Humoreska”]; Małgorzata Szlachetka: *Co mają zombie do holokaustu?* [Igor Ostachowicz „Noc żywych Żydów”]; Agnieszka Kida-Bosek: *Kryształowy Pałac* [Dorota Masłowska „Kochanie, zabiłam nasze koty”]; Przemysław Kaliszuk: *Ciężar habitu* [Tadeusz Chabrowski „Białe nieszpory”] / 121

Z lubelskiej przeszłości...

Andrzej Trzciniński: *Bałaban po raz drugi* [Majer Bałaban „Die Judenstadt von Lublin, mit Zeichnungen von Karl Richard Henker”; „Żydowskie miasto w Lublinie, z rysunkami Karla Richarda Henkera”]; Łukasz Babuła: *Lubelskie judaika* [Marta Kubiszyn „Śladami Żydów. Lubelszczyzna”]; Andrzej Trzciniński: *O miasteczku, gdzie stolarz był poetą* [Philip Bibel „Szebreszin”] / 139

PLASTYKA

Maski Stasya. Rozmowa ze Stasysem Eidrigevičiusem / 156
Konrad Sutarski: *Gabriel Morvay – bezdomny artysta o dwóch ojczyznach* / 163

MUZYKA

Jarosław Sawic: *Christodoulos Halaris – piewca epok minionych* / 171

BEZ TYTUŁU

Leszek Mądzik: *Detal* / 176

NAMIĘTNOŚCI

Marek Danielkiewicz: *Słodki pożytek z immoralistów* / 177

Noty o autorach / 179

WIESŁAW MYŚLIWSKI

Pensjonat

Niepotrzebnie wziąłem ten notes. Pomyślałem jednak, że zamiast nudzić się, może uda mi się z jakąś literą zrobić porządek, a kto wie, czy nie natchnęłoby mnie to, aby tak samo zrobić z następną, a może i następną, co przemogłoby wreszcie bezradność, która doprowadzała mnie do tego, że po kilkunastu nazwiskach rezygnowałem.

Na wszelki wypadek wziąłem też kilka książek, płyt, odtwarzacz, ponieważ gdzieś tam w głębi siebie nie byłem tak całkiem pewny swojego postanowienia. Może gdyby deszcz padał. Była późna jesień, więc można było się spodziewać, że będzie często padał, a czasu miałem dosyć, przyjechałem na cały miesiąc. Na myśl, że mógłbym spędzić ten czas na niczym, przerażenie mnie ogarniało. Niestety, nie umiem odpoczywać. O, to wielka umiejętność umieć odpoczywać. Gdy postanawiam odpocząć, choćby te pół godziny, godzinę, jakiś niepokój mnie nawiedza, zaczynam niemal fizycznie odczuwać, jak przepływający przeze mnie czas przyspiesza, zagarniając mnie z sobą, a nie widzę niczego, o co mógłbym się zaprzeć lub czego przytrzymać.

Zmęczony nieraz do kresu sił, poddaję się temu zmęczeniu tak bezwolnie, jakbym się śmierci poddawał. Ale czy można to nazwać odpoczywaniem? Poza tym od dawna źle sypiam, tak że i sen nie jest w stanie przemoc we mnie tego zmęczenia. Często budzę się rano równie zmęczony, jak wieczorem kładłem się spać. Ktoś mógłby pomyśleć, że to z przeciążenia nadmiarem pracy, na co często ludzie się skarżą. Lecz w moim przypadku nie. Lubię pracować, praca odrywa mnie od samego siebie. Moje zmęczenie wydaje mi się jakby naturalnym stanem tego, że żyję. Być może absurdalna to myśl, lecz ileż takich absurdalnych myśli kołaczę się w każdym.

Następnego dnia po przyjeździe, o świcie, jeszcze przed śniadaniem, jako że wcześniej wstaję, również ze względu na psa, którego zabrałem ze sobą, wabił się Oskar, foksterier, nie żyje, a przeżyłem tak dotkliwie jego śmierć, że odtamtąd nie mam psa, wybrałem się na spacer wokół pensjonatu. Chciałem w tym pierwszym moim wyjściu zobaczyć przede wszystkim jezioro, które mi właścicielka pensjonatu, gdy przyjechałem, a był już zmierzch, od razu zaczęła zachwalać, że muszę koniecznie zobaczyć, a przekonam się, w jak cudnym miejscu znajduje się jej pensjonat. A jezioro to nie wszystko, dookoła jeszcze lasy, przeważnie sosnowe, więc najzdrowsze. Jechałem tu parę kilometrów duktem przez las, to już trochę widziałem. Wiosna aż tchnie żywicą. Szkoda, że nie przyjechałem wiosną. Ale i teraz, jesienią, można odpocząć, nie będę żałował. Cisza, spokój. Wiosną jest zwykle więcej gości. A teraz tylko pan Dionizy. Pan Dionizy jednakże spokojny człowiek, wychodzi tyle z pokoju, co na posiłki i wieczorami na telewizję, bo pisze wspomnienia. Mieszka zresztą na parterze, a pański pokój jest na piętrze. Przyjeżdża tu do mnie od lat i ciągle o tej samej porze, bo u mnie najlepiej mu się pisze. Spytałam go kiedyś, czy wciąż te wspomnienia pisze, bo żeby tyle lat. Wspomnień

nie ma przecież człowiek tak dużo. Co tam z życia da się wycisnąć. Ale jakoś dziwnie mi odpowiedział:

– Żeby napisać o wszystkim i o wszystkim, życia za mało, pani Apolonio. Poza tym nie mam się do czego spieszyć. I tak się nie ukażą, aż po mojej śmierci, boby mnie zadziobali.

I nagle spytała, jak się mój pies wabi.

– Oskar.

– Głodny pewnie – powiedziała z troską. – Szkoda, że pan nie zadzwonił, że przyjedzie z pieskiem. Bym coś świeżego i dla pieska przygotowała. Ale może dam mu coś z puszki.

Rzeczywiście nie zadzwoniłem, ale miałem go zamiar oddać na ten czas do przechowalni dla zwierząt. Przeczytałem jednakże w prasowym ogłoszeniu, że gdyby ktoś chciał przyjechać z psem, kotem, kanarkiem czy papuzką, to jesienią będzie mile widziany. Wobec tego uznałem, że z psem będę przynajmniej zmuszony wychodzić regularnie na spacer, bo z własnej woli nie wiem, czyby mi się chciało. Chodzić bez celu i zmuszać się dzień w dzień do podziwiania tego samego krajobrazu nie miałbym cierpliwości. Pies w takich przypadkach okazuje się niezastąpiony, nie pozwala człowiekowi ugrzęznąć we własnych myślach czy własnej pustce.

Początkowo prowadziłem go na smyczy, aby mi się nie zgubił w nieznanym ani jemu, ani mnie okolicy. Każdego ranka, gdy świt ledwo zaczynał się bielić, szliśmy zazwyczaj najpierw na wysoki, urwisty brzeg jeziora znajdującego się w niewielkiej odległości od pensjonatu. Z piętra, z okna, to jezioro wydawało się nawet bliższe. Ostre, jesienne powietrze przywracało równowagę po złej przespanej nocy, bo i tu źle spałem, może dlatego, że próbowałem spać bez proszków.

Na jeziorze zalegała o tej porannej porze mgła, czasami tak gęsta, że gdy się stanęło na tym wysokim brzegu, wzrokiem nie docierało się do lustra wody w dole. Dopiero kiedy wstające po drugiej stronie, na przeciwległym brzegu słońce zaczynało rozrzedzać mgłę, wyłaniało się z wolna i jezioro. Było coś niezwykłego w tym słońcu wydostającym się z takim uporem i przebijającym się przez tę mgłę jakby zacieśniającą się przed nim w obronę. Ale, być może, już zapomniałem, jak wstaje słońce, i teraz na nowo to odkrywałem. Bo też kiedy ja widziałem ostatni raz wstające słońce, próbowałem sobie przypominać. Musiało to być bardzo dawno, tak że pamięć się zerwała.

Pożałowałem, że nie maluję już, bo gdybym malował, postawiłbym na brzegu sztalugi i próbował przenieść to słońce na płótno. Miałbym nawet tytuł: *Narodziny słońca*. Omal bezświatliste, odarte z promieni, pozbawione ciepła, rozrzedzone przez mgłę, która jakby je wysysała wraz z całym światem, że nawet ziemia nie miała siły, aby mu pomóc. Czułem jego ból, jego niewiarygodny wysiłek, gdy wypychało się samo na ten świat. Wydawało mi się, że unosi z sobą również całą ziemię wraz z tą przepastną mgłą. I doznawałem wręcz ulgi, gdy się wreszcie wydobyło. Po czym, zmierzając szerokim pasem po wyrąbanym jakby dla niego lesie, aby go nic już nie zatrzymało na drodze do jeziora, dochodziło po tamtej stronie do brzegu i tam zanurzało się, obmywając ze swojej męki. I już po tafli, rozbryzgując tę mgłę promieniami, szło najwyraźniej ku nam, że nawet czułem jakiś rodzaj napięcia, towarzyszący zapewne każdemu oczekiwaniu, kiedy podejdziesz pod ten wysoki brzeg, gdzie staliśmy ja i mój Oskar. Pewnie czuł to samo i Oskar, bo nie dał się nigdy odciągnąć, dopóki słońce nie podeszło na tyle blisko do nas, że mogłem powiedzieć, dzięki ci, słońce, żeś weszło, a Oskar radośnie

zaszczeakał. Po kilku dniach sam mnie już ciągnął każdego ranka na ten brzeg. Przysiadł na tylnych łapach i ani zaskamlał, warknął czy zaszczekał. Podnosił tylko łeb i z niepokojem popatrywał na mnie. I czekaliśmy, kiedy to słońce zacznie wschodzić, i dopiero gdy podeszło do nas, dał się poprowadzić w las.

Po drugiej stronie jeziora widać było jakiś budynek, dom wczasowy czy też pensjonat. Wydawał się dużo większy niż nasz, lecz nawet w pełnym słońcu niewiele można było dostrzec prócz tego, że stoi. Nasz nie był duży, można by rzec skromny, ale ogłoszenie prasowe zachęcało, że gdzie jak gdzie, tutaj na pewno odpocznę, w głębi lasów, pomyślałem, zapewne niewiele w nim będzie osób, bo kto by przyjeżdżał w taki czas, gdy już liście z drzew prawie opadły, a poranki zaczynały być zimne.

I rzeczywiście, oprócz mnie, mieszkał tylko wspomniany pan Dionizy. Gdyby nie właścicielka i jej syn, który wpadał dwa, trzy razy w tygodniu, bo mieszkał gdzie indziej, pensjonat sprawiałby wrażenie wymarłego. Mieszkałem sam na całym piętrze, pan Dionizy zaś na parterze, jako że miał kłopoty z chodzeniem. Ciężko wspierał się na lasce, jakby każdy krok opłacał bólem. Chyba nie wychodził w ogóle na spacer. W każdym razie nigdy go nie widziałem, nie tylko z rana, ale i po południu czy wieczorem. Przywiózł podobno ze sobą pełny samochód książek. Syn właścicielki, który zajmował się zaopatrzeniem pensjonatu oraz różnymi naprawami, a jesienią, jak teraz, i grabieniem opadłych liści, nie dał rady wnieść tych książek za jednym razem. W dodatku doszedł mu obowiązek przywożenia panu Dionizemu w sobotę wieczorem prawie wszystkich gazet i czasopism z całego tygodnia.

Zastanawiałem się, kiedy pisze, jeśli to wszystko czyta. Proponował mi nieraz jakąś gazetę lub czasopismo, w którym, jego zdaniem, było coś interesującego. Dziękowałem, że chętnie bym przeczytał, lecz również przyjechałem pracować i nie ma czasu na czytanie. Poza tym, ile razy wychodziłem na spacer czy wyprowadzałem psa, słyszałem, że słuca radia. Był widocznie przygłuchy czy też lubił tak głośno, aby niczego nie uronić. Są ludzie, którzy nie lubią ciszy, gdyż gubią się w ciszy jak we mgle. A może cisza jest dla nich równoznaczna z samotnością.

Oddaliwszy się już spory kawałek od pensjonatu, to radio za sobą słyszałem. Wieczorami natomiast, gdy zaczynały się dzienniki, regularnie zasiadał w jadalni przed telewizorem. Dnia nie opuścił, a oglądał nieraz do późna w nocy. Nie tylko dzienniki, także dyskusje, konferencje prasowe, komentarze, wywiady, zmieniając stacje i podkrecając czasem głośność, aż na piętro przez drzwi do mojego pokoju docierało. Co prawda, ucieszył się, gdy przyjechałem, wyczapał na tej lasce z pokoju i serdecznie mnie przywitał, jakbyśmy się już nieraz w tym pensjonacie spotkali:

– O, to będzie wreszcie z kimś słowo zamienić. Witam z nadzieją szanownego pana.

I już następnego dnia przy obiedzie, jadł właśnie drugie danie, gdy zszedłem do jadalni, złapał talerz, nóż, widelec i przysiadł się do mojego stolika.

– Pan pozwoli, źle się samemu je. Na długo pan przyjechał?

A następnego dnia wręczył mi wizytówkę.

– Jest tam i komórka dopisana, bo dają ją tylko zaufanym osobom. Gdyby pan był w naszym mieście, serdecznie zapraszam do siebie. Proszę tylko przedtem zadzwonić.

Rzuciłem wzrokiem. Dionizy Orzelewski, nic więcej. I adres.

– Dziękuję – powiedziałem. – Jeśli tylko będę, nie omieszkać skorzystać z zaproszenia. – I też mu się przedstawiłem. A wizytówkę wetknąłem do

kieszonki w marynarce na piersiach. Później, już w domu, po powrocie, przepisałem ją do notesu, chociaż zastanawiałem się, po co. Gdybym nawet był w tym mieście, gdzie mieszkał, nie zadzwoniłbym przecież. A w pensjonacie nie miałem zamiaru być drugi raz. Nie trafiłem jakoś na tę jego wizytówkę w moim notesie. Ale może się podlepiła pod inną. Wizytówki tak się czasem szepczą, gdy się do nich nie zagłada.

A za kilka dni zaczął mi opowiadać, co wyczytał właśnie w gazetach, przechodząc potem na radio, czego wysłuchał, po czym co oglądał wczoraj wieczorem w telewizji. Niby słuchałem tego, lecz myślami byłem gdzie indziej, wyrobiłem w sobie taką umiejętność, aby nikt nie poznał, że nie słucham. Do tego usta miał pełne jedzenia, tak że słowa, przedzierając się przez to jedzenie, były niewyraźne, jakby zmielone z tym jedzeniem, tak że mało które było zrozumiałe. No, a któregoś z kolejnych dni, chyba pewny, że mnie może obdarzyć zaufaniem, rozognił się, jakby uczestniczył w którejś z tych debat czy dyskusji oglądanych wczoraj wieczorem w telewizji, podnosił głos nabrzmiały nieomal wściekłością lub kpił, szydził, wybuchał sarkastycznym śmiechem, rzucał inwektywami, a nie mogłem się zorientować, na kogo.

– Co oni sobie myślą, durnie. To przecież nieuki! – I aż trzasnął widelcem w talerz, więc tyle zrozumiałem, że chodzi o jakichś durniów i nieuków.

Mniej więcej w połowie mojego pobytu byłem nim tak zmęczony, że zacząłem się zastanawiać, jak się tu uwolnić od niego. Wpadłem na pomysł, aby przychodzić wcześniej na posiłki, lecz nic to nie dało. Potem, aby później, ale to też nic nie dało. Wiedziony jakimś instynktem, przychodził tak samo wcześniej lub tak samo później. Zastanawiałem się nawet, czyby nie wyjechać, jeśli wysłuchiwanie go przy każdym posiłku miałoby trwać do końca, bo nie będzie odpoczynku, a na odpoczynek przecież przyjechałem.

Kiedyś znów się przysiadł przy obiedzie do mojego stolika, najwyraźniej rozgorączkowany, bo nie umościwszy się jeszcze dobrze na krzeselku, jako że miał kłopoty i z siadaniem wskutek tej niesprawnej nogi, rzucił we mnie pytaniem:

– Co pan o tym wszystkim sądzi, co się teraz dzieje?

– A co się dzieje? – odpowiedziałem niby naiwnym pytaniem, aby ostudzić jego podniecenie.

– Jak to? – obruszył się. – Nie czyta pan gazet, nie słucha radia, nie ogląda telewizji? Dzieje się historia, i to na naszych oczach. – I wbił się wyczekującym wzrokiem we mnie.

Spokojnie, jakbyśmy o niczym nie rozmawiali, ukroiłem kawałek befsztyka, wsadziłem w usta, pogryzłem, przełknąłem i dopiero odpowiedziałem:

– Historia zawsze się dzieje na naszych oczach, tylko nie zawsze te oczy chciałyby być nasze.

– Nie rozumiem.

– Nie musi pan.

– Ale może chciałbym. Zrozumieć to nie znaczy zaraz zgodzić się. Zależą zresztą z kim.

– Wobec tego zacytuję panu, co ktoś powiedział o historii: „Co mnie obchodzi historia. Mój świat jest pierwszy i jedyny”.

– Kto? – warknął, nie ukrywając złości.

– Powinien pan go znać.

– Nie sądzę. Nie zawieram znajomości z durniami.

– Nie dureń. Filozof.

– Filozof? – Machnął lekceważąco widelcem, po czym zdarł z widelca nabity już kawałek mięsa. I mieląc to mięso w zębach, powiedział: – Pan myśli, że wśród filozofów nie ma durniów?

– W takim razie może bardziej miarodajny byłby dla pana oficer, bo był i tym, i tym. I nie jakiś tam, lecz dzielny, zasłużony, odznaczany za hart ducha i odwagę.

– Filozof, oficer? – Wstrzymał się na chwilę z jedzeniem, jakby się nad czymś zastanawiał. Myślałem już, że oficer go przekonał, lecz wzgardliwie rzucił: – I co z tego?

Odtamtąd nie przysiadł się już ani razu do mnie. I chociażby o pogodę nigdy nie zagadnął, gdy wracałem rano ze spaceru i natknęliśmy się na siebie. Tak że jedyną osobą, która podtrzymywała wrażenie, że w pensjonacie toczy się życie, była właścicielka. Również uciążliwa, lecz w innym znaczeniu. Przysiadła się czasem i ona przy posiłkach do mnie, bo, jak mówiła, o tej późnojesiennej porze nie ma tu nieraz ust do kogo otworzyć.

– Pan Dionizy przynajmniej pisze wspomnienia, ale zwykły człowiek musi czasem z kimś porozmawiać. Pan nie?

Nie wypadało ani zaprzeczyć, ani tego milczeniem przyjąć, chociażby z grzeczności. Ale niechby zaczęła, że nie wie, co jutro na obiad zrobić, może naleśniki z serem, lubi pan naleśniki z serem? Mimo potwierdzenia, że lubię naleśniki z serem, nie wydawała się być zadowolona. Zauważyłem nawet, że to ją zachęcało do tym większego zatroskania.

Raz zaczęła, że chciałaby jutro do obiadu szpinak zrobić, ma mrożony w zamrażarce, czy lubię szpinak. I nie czekając, aż odpowiem lubię, nie lubię, przeszła od razu do tego, że dzień za dniem szpinak, brokuły, marchewka, buraczki, fasolka, brukselka i tak ten pensjonat zmarnował jej życie. Wystawili go z mężem, kiedy jeszcze dosyć młoda była. Na początku szło im całkiem dobrze, a zapowiadało się jeszcze lepiej. Nie było tu wtedy żadnych pensjonatów. Do tego lasy, nad jeziorem, okolica prawie pusta, do najbliższej wsi cztery kilometry, do miasta osiemnaście, to rozumie pan. Ale po paru latach mąż ją odszedł z taką jedną, która tu co roku przyjeżdżała. Do tego po tamtej stronie jeziora wystawili pensjonat ze trzy razy większy niż ten jej. „Zorza” się nazywa, jest tam restauracja, są tańce, a dudnią, wieczorami to się tak niesie po jeziorze, że trzeba okna zamykać. I do niej już mniej zaczęło przyjeżdżać. Nie zawsze wszystkie pokoje są zajęte, nawet latem. Tak że nieraz nie ma raty z czego zapłacić, bo wciąż spłaca kredyt. Był pan tam kiedyś? Myślałam, że może na spacer tam pana poniosło. Nie ma pana i nie ma nieraz, to myślałam. Trzeba przejść kawał wzdłuż jeziora, a jezioro ciągnie się w tę i w tę. Chodzą czasem ode mnie niektórzy zabawić się. Namawiają mnie, żebym łódkę kupiła, byłoby dużo bliżej przez jezioro. Jeszcze czego, kupię łódkę, będę wracać pijani i potopią się, to kto będzie odpowiadał? Ja, bo moja łódka i mieszkali u mnie.

Kłamałem, że nie byłem. Byłem poprzedniego dnia. Być może wiedziała o tym, inaczej by nie zaczynała tej rozmowy. Zapuściłem się na dłuższy spacer, tak że zaszedłem aż pod ten pensjonat. Przystanąłem na chwilę, aby przyjrzeć się jego architekturze, a wtedy wyszła z pensjonatu kobieta w czarnym kapeluszu na głowie, w czarnym płaszczu, w czarnych spodniach, w czarnych pantoflach, a wokół szyi miała okręcony czarny szal. Ta czerń uwydatniała jej urodę. Nie wiem, czemu pomyślałem, że jeśli śmierć jest kobietą, na co wskazywałby żeński rodzaj słowa śmierć, to tak powinna wyglądać. Mimo woli ukloniłem się. Odpowiedziała mi nieco wymuszonym uśmiechem, po czym spytała, jak się mój pies wabi.

– Oskar – powtórzyła jakby w zamyśleniu – ładnie. – I poszła w przeciwną stronę. Po kilku krokach zatrzymała się: – Pan tu może mieszka?

– Niestety, nie.

– Szkoda. – I ruszyła dalej.

Nie wiem, na ile to przypadkowe spotkanie, bez dalszego ciągu, a więc i bez żadnego znaczenia, można wiązać z tym, że na drugi dzień wkładając tweedową marynarkę, którą wzięłem na wszelki wypadek, gdyby zrobiło się chłodniej, a właśnie otworzywszy okno przed wyjściem na poranny spacer, poczułem przeraźliwy chłód, znalazłem w lewej bocznej kieszeni list od Marii. Zacząłem się zastanawiać, kiedy go tam włożyłem, że o nim zapomniałem. Tym bardziej mnie to zaskoczyło, że nie przypominałem sobie, abym go w ogóle tam wkładał. Inna sprawa, kiedy miałem ostatni raz na sobie tę tweedową marynarkę. Pewnie zimą, a może jeszcze wiosną? Głowy bym jednak nie dał. Uzbierało się już tych listów przez te wszystkie lata, jakkolwiek nie pisała często. Raz na rok, na dwa, niekiedy rzadziej.

Może to niezrozumiałe dla kogoś, bo list zawsze budzi zaciekawienie. Jeśli nawet niczego szczególnego nie spodziewamy się, od razu rozrywamy kopertę, nie mając noża lub nożyczek pod ręką, często palcem. A tym bardziej zapomniany list. Zdarzało mi się jednak, że gdy po adresie na kopercie poznawałem, że to od niej list, odkładałem przeczytanie na jutro, gdy będę miał spokojniejszą głowę, niekiedy znów na jutro, kiedy pozałatwiam to czy tamto albo będę w lepszym nastroju, bo też przeczytanie jej listu kosztowało mnie niemało. Albo, o, szykuje mi się w najbliższych dniach wyjazd, to wezmę go z sobą i wieczorem w hotelu przeczytam, lecz zapominałem go zabrać. I tak się czasem to odkładało. Czasem dopiero jakiś przypadek sprawiał, że odnajdywałem go w walizce, w torbie, w jakiejś książce założony czy wśród papierów na biurku. A czasem przypominał mi o nim następny od niej list.

Nie miało to jednak żadnego znaczenia, czy od razu przeczytam, czy później, czy po iluś tygodniach, miesiącach, ponieważ nie odpisywałem jej na żaden. Zwykłej kartki nawet nigdy nie posyłałem, że otrzymałem, dziękuję, dla potwierdzenia. Nigdy z tego powodu nie uczyniła mi najmniejszego wyrzutu. Nieraz gdy już myślałem, że może wreszcie doszła do wniosku, że nie ma sensu tego ciągnąć, po roku, półtora czy dłużej przychodził kolejny od niej list.

Nasuwalo mi się czasem podejrzenie, czy nie jestem dla niej już tylko adresem, jak adresy niektórych osób w moim notesie, z którymi kiedyś łączyły mnie nawet ściśle związki, lecz od dawna w najlepszym razie pamięć, i to coraz bardziej mglista. Prawdziwy list musi mieć przecież adresata. Prawdziwy list pisany jest zawsze do kogoś, choćby ten, kto pisze, do siebie pisał. No i prawdziwy list musi być pisany ręcznie. Słowo pisane ręcznie jest bowiem innym słowem niż na maszynie czy komputerze. To jakby krwi własnej pieczęć.

Jakaż to różnica, ktoś powie, dużo szybciej na maszynie, tym bardziej na komputerze, a ileż wygodniej. Otóż istotna to różnica. W liście pisany ręcznie czytamy nie tylko to, o czym ktoś nam donosi. Czytamy również to, co kryje się w kształcie słów czy nawet poszczególnych liter, w ich pochyłości, rozwlekłości, gęstości. Czytamy, czy te litery drżały w trakcie ich pisania, czy się poddawały lub stawiały opór, czy wypływały na papier pospiesznie, podniecone lub rozgorączkowane, czy w mozole dopływały do ręki. To nam nieraz więcej mówi niż to, o czym list donosi. Pozwala niekiedy się domyślać, co list próbował zataić lub czego nie byłoby zdolne przekazać żadne słowo.

Prawda listu kryje się i w papierze, na którym został napisany, i w kopercie, w której został wysłany. List pisany ręcznie potrafi zdradzić nawet to, do czego ktoś zmuszał słowa, aby kłamały. Czasem zastanawiam się, czy list nie wziął się z pragnienia dotknięcia kogoś, gdy było to fizycznie niemożliwe. Ale, być może, to już przebrzmiałe pragnienia, dlatego list umiera.

Przez cały czas dręczyła mnie myśl o tym liście. I skąd wzięła mój adres. Nie minął rok, jak przeprowadziłem się do nowego mieszkania. Z wszystkimi zresztą jej listami było tak samo. Często zmieniałem mieszkania, a każdy list przychodził pod właściwy adres. W żadnym jednak nie wspomniała, że właśnie otrzymała mój nowy adres i postanowiła napisać. Dopóki żyła matka, tłumaczyłem to sobie, że pewnie ona przekazuje jej moje adresy. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, więc i nie pytałem. Z pewnością zaparłaby się:

– Ja? Skąd? W jaki sposób? To musiałyby napisać do mnie albo mnie odwiedzić. A nigdy nie przyjechała ani nie napisała. A gdybym ja chciała do niej napisać, to nie mam jej adresu.

No, i by się zaczęło, bo zadając matce takie pytanie, wywołałbym przysłowiowego wilka z lasu.

– Nie mogę wyżałować. Zobaczyłam ją wtedy ten raz i od razu ją polubiłam. Mało kto się tak od razu da polubić. Niechby ci nadskakiwał, przymilał się, wdzięczył, a coś cię odpycha od niego. A ona nieśmiała, a jakby serce miała na wierzchu. I niewiele nawet mówiła. A inna by trajkotała, że do zastanowienia przez chwilę by cię nie dopuściła. Skarb dziewczyna. Zobacz, jakie są teraz dziewczyny. Przy niej byś się ustatkował. Nie goniloby cię tu, tam i nie wiadomo gdzie. Wyszło ci szczęście na drogę, toś go ominął. I co się między wami stało?

– Nic.

– Jak nic? Zawsze musi być jakaś przyczyna. Nie powiesz mi?

– Naprawdę nic. Dzieją się nieraz rzeczy, które nie mają przyczyny. Zresztą minęło tyle lat, nie ma o czym mówić.

– Minęło, a mnie wciąż dręczy. Spać nieraz nie mogę, tylko myślę i myślę. Chociaż przed śmiercią chciałam się dowiedzieć, spokojniejsza bym umierała.

Tylko że gdy umarła, a także przedtem, gdy ją wziąłem do siebie, listy od Marii nie przestały przychodzić. I nawet po wyprowadzeniu się z tamtego domu z ogrodem poza miastem otrzymałem w niedługim czasie od niej list na mój nowy adres. Z wyrazami współczucia, z przeprosinami, że nie od razu napisała, lecz przygnębiła ją strasznie ta śmierć, bo lubiła matkę. Chociaż niewiele ją przecież znała, tylko ten jeden raz się spotkały i to tak dawno temu, lecz nigdy nie zapomni róży, którą matka ścięła dla niej. Pokochała ją odtamtąd, a tym bardziej pokochała ją przeze mnie. Muszę czuć się teraz samotny, lecz jeśli może mnie pocieszyć, jak zawsze, tak i teraz, i przez całe życie będzie ze mną w tej mojej samotności. Sama doświadcza samotności, więc rozumie mnie, może bardziej niż siebie. To odnajdywanie ciągle zmieniających się moich adresów było dla mnie zupełną zagadką, której w żaden sposób nie potrafiłem rozwiązać. Nie przychodził mi nikt do głowy, od kogo mogłaby otrzymywać moje adresy. Nikt z naszych wspólnych znajomych z czasów jeszcze licealnych, bo nikogo takiego nie miałem zapisanego w notesie, o nikim takim nie wiedziałem. Przejrzałem cały notes nazwisko po nazwisku, nikt. Z pamięci tym bardziej nie udało mi się nikogo takiego wydobyć. Pozostawało mi jedynie uwierzyć, że nie da się tego odkryć try-

wialnym dociekaniem. Może poruszamy się również w jakiejś nieznannej nam sferze, w której od człowieka do człowieka jest znacznie bliżej, niż nam się wydaje, w której wszyscy mieszkamy pod tym samym adresem, gdzie nawet nieprzeniknione, wydawałoby się, tajemnice poddają się sile naszych uczuć.

Po wyjściu z pensjonatu skierowałem się, jak zawsze, w stronę jeziora. W rękę poczułem, że pies dużo mocniej ciągnie smycz. Mgła wydawała się gęściejsza niż w poprzednich dniach, wręcz trudna do przebicia wzrokiem na kilka kroków, jakby świat był już tylko mgłą. Dochodziliśmy prawie do tego urwistego brzegu, idąc nieomal na wycucie, gdy wtem wyrosła przed nami sylwetka jakiegoś mężczyzny. Stał na naszym miejscu, gdzie co dnia stawaliśmy podczas porannego spaceru. Odwrócony do nas plecami, patrzył w stronę jeziora, lecz cóż mógł tam widzieć. Na szczęście słońcu udało się na tyle wydostać z ziemi i rozrzedzić mgłę, że przynajmniej poznałem, że to mężczyzna. Nie domyślałem się jednak, kto to mógł być. Jedyнным mężczyzną w pensjonacie, prócz mnie, był pan Dionizy, lecz pan Dionizy nie wychodził na spacer.

Wysoki, w kapeluszu, w płaszczu z postawionym kołnierzem, trzymał w lewej ręce smycz, chociaż psa nie dostrzegłem. Ta smycz od jego ręki ciągnęła się w pobliskie krzaki, zasnutę kompletnie mgłą. W tej mgle i on wydawał mi się raz wysoki, raz niższy, raz szczupły, raz tęższy, jakby mgła tak falowała jego postacią albo jakby nie mógł się zdecydować, w jakim najpełniej czułby się kształcie.

Musiał słyszeć, że ktoś przystanął za jego plecami, mimo to nie odwrócił się. Gdybym mógł spojrzeć w jego twarz, może bym przynajmniej poznał, w jakim jest wieku. Z tyłu, niestety, nie widać wieku. O, wiek ważna rzecz, zwłaszcza gdy się stoi nad wysokim, urwistym brzegiem i patrzy na mgłę. Wtem coś powiedział, lecz nie dosłyszałem.

– Słucham? – Nachyliłem się ku niemu.

– Pytam pana, czy woda tu głęboka.

– Nie wiem – powiedziałem. – A dlaczego pan pyta?

– I tak by pan tego nie zrozumiał. Jest pan zbyt młody.

W dalszym ciągu nie odwrócił głowy, wpatrzony przed siebie w tę mgłę, jakby czekając, aż wyłoni się z tej mgły jezioro. Więc nie wiem, skąd mu przyszło do głowy, że jestem zbyt młody. Nie byłem taki młody, smugę cienia miałem za sobą.

– Proszę mi wybaczyć – odezwał się po chwili nieco łagodniejszym tonem.

– Czy mógłby pan wziąć mojego psa? On nie musi.

I wciąż nie odwracając głowy, wyciągnął ku mnie rękę z tą smyczą.

– Niestety, mam już psa. O, jest ze mną. – I nawet zawołałem, Oskar! Oskar!, na potwierdzenie, chociaż przysiadł nieledwie kilka kroków ode mnie.

– W takim razie nie – powiedział. – Mogłyby się pogryźć. – I cofnął rękę, a nawet lekko ściągnął smycz.

– Czy nie lepiej by jednak było... – powiedziałem, lecz nie pozwolił mi dokończyć.

– Lepiej by było, gdyby pan się tu nie zjawił – powiedział, nie odwracając głowy.

Spojrzałem na zegarek, a nie mógł przecież tego widzieć.

– Spiesz się panu?

– W istocie, muszę wracać na śniadanie. Właścicielka pensjonatu nie lubi, gdy się ktoś spóźnia.

– Żałuję – powiedział, jakby moja obecność była mu do czegoś potrzebna.
– Może zatem jutro przyjdę wcześniej, to porozmawiamy.
– Porozmawiamy? O czym? Czy pan nie wie, że rozmowy to pozory. Oczywiście nie mam nic przeciwko pozorom. Czasami to tlen życia. Tylko że nie zawsze go wystarcza i wtedy człowiek się dusi. Nawet przy tak rześkim poranku jak dzisiaj. Niech pan wraca na śniadanie. Życzę smacznego.

Wróciłem w samą porę, jakkolwiek pory posiłków nie były przestrzegane. Na dobrą sprawę można było przyjść o każdej godzinie. Zwłaszcza że jadłem teraz sam, odkąd profesor boczył się na mnie. Nawet sobie zażyczył, aby mu właścicielka przynosiła do pokoju. Nie znosiłem jednak spóźnienia się. Pilnowałem się pod tym względem i tego również wymagałem od innych. Za to częściej właścicielka przysiadła się teraz do mnie z kawą czy herbatą. Właśnie nakrywała stół, przy którym jadałem, a ujrawszy mnie, spytała:

– Usmażyć panu jajecznicę czy woli pan gotowane? – A nim zdążyłem się zastanowić, co bym wolał, rzuciła najwyraźniej zaniepokojona: – Stało się coś? – Przyjrzała mi się jakby z większą uwagą. – Zwykle spokojniejszy pan wraca po tym rannym spacerze. Zaróżowiony, oczy się panu świecą, a dzisiaj coś nie bardzo. Gdzie pan był? Może na tamtej stronie?

Udałem, że nie dosłyszałem ostatniego zdania, tym bardziej że pochyliwszy się nad psem, odpinałem mu smycz.

– Nie – zaprzeczyłem, być może za mocno. – Jak zawsze trochę postaliśmy na tym brzegu, trochę pochodziliśmy po lesie. Aha – postanowiłem jej jednak powiedzieć – spotkałem na tym brzegu jakiegoś mężczyznę.

– Mężczyznę? – Kawa, którą niosła w filiżance na spodeczku, zadrżała jej w ręku. – Jak wyglądał?

– W płaszczu, w kapeluszu, z psem.

– Z psem? A widział pan tego psa?

– Nie, ale trzymał smycz w ręku.

– To musi być on. – Z trudem postawiła tę kawę, nawet jej się trochę wylało na spodeczek.

– Kto?

– Taki jeden. Tylko skąd się tu wziął? Myślałam, że nie żyje. Chyba że po tamtej stronie, tam u nich zamieszkał. A psa żadnego nie ma.

– Jak to?

– Zaskamlał, zaszczekał, słyszał pan?

– No, ale smycz...

– Jaka tam smycz.

– Przecież wiem, co to smycz – obruszyłem się.

– To trzeba było sprawdzić, czy zobaczyłby pan gdzie psa. W krzakach pewnie uwiązał smycz. Mieszkał tu u mnie zeszłego roku, o tej samej porze, nie miałam żadnego gościa. Wychodził, ledwo świtać zaczynało. Ze smyczą. Szedł na ten urwisty brzeg i stał tam, póki mgła nie opadła. A ja tu miejsca nie mogłam sobie znaleźć, wszystko mi z rąk leciało. Ledwo przyjechał, a nie wszedł jeszcze do pokoju, mówi do mnie. Podoba mi się to miejsce. O, miejsce ważna rzecz w takich przypadkach. Bo muszę panią uprzedzić, że przyjechałem popełnić samobójstwo. A pode mną nogi się ugięły, Boże Świąty. Gdybym któregoś dnia nie wrócił na śniadanie, proszę psem się zająć, a rzeczy odesłać na ten adres. I wyjął wizytówkę. Pokażę panu, tylko muszę ją znaleźć, bo nie wiem, gdzie wsadziłam. I co dzień o świcie wychodził, a ja czekałam, wróci, nie wróci. Ile zdrowia kosztował mnie ten jego pobyt, nie uwierzyłby pan. Nie mogę powiedzieć, zapłacił honorowo, podwójnie. I to

z góry za trzy tygodnie, a był trochę więcej niż tydzień. Dodał mi jeszcze na karmę dla psa. Ale nie chciałam tych jego pieniędzy i przeżyć tego, co przeżyłam. Spać nie mogłam, obierałam kartofle, to się dwa razy skaleczyłam. Raz smażyłam wątróbkę, to musiałam wyrzucić, bo się przypaliła. Schudłam, szcerniałam. Przez ten tydzień przybyło mi z dziesięć lat, bo młodsza jestem niż wyglądam. O, i siwe włosy mi się pojawiły, a nie miałam ani jednego. A nie zwidziało się panu? W mgłę się nieraz zwiduje.

– Skądże. Tuż za nim stałem. A ile mógł mieć lat?

– No, przecież mówił pan, że z nim rozmawiał.

Nie mówiłem tego, ale już nie protestowałem.

– Stał do mnie tyłem – powiedziałem – a nie śmiałem mu w twarz zajrzeć.

Po co mu w takim razie ta smycz, skoro nie miał psa?

– A po co? A każdy chciałby się jeszcze czegoś przytrzymać, nie wie pan. Dzięki tej smyczy może żyje, że nie wypuszcza jej z ręki. I niech żyje, tylko niech się tu więcej u mnie nie zjawia. Bo, Matko Święta, gdyby przyszedł i chciał wynająć pokój, nie powiedziałabym przecież, że wszystko zajęte, bo puste stoją. Samobójca u mnie. Koniec mojego pensjonatu. I z czego byłoby żyć, a kredyt jeszcze nie spłacony. Nikt by tu potem nie przyjechał, jakby się rozniosło. Gdyby ktoś sławny czy z zagranicy, co innego. Wtedy i samobójstwo może gości przyciągnąć. Ze wszystkim tak jest, to samo przyciąga, to samo odstrasza, zależy gdzie, kto. Zaraz by policja, karetka, nurki, świadków by szukali. A skąd tu świadki, na takim odludziu. I psa w jeziorze by szukali, jakby znaleźli tę smycz. Nie wytłumaczyłby pan, że nie miał psa, skoro była smycz. Posądzaliby mnie, że coś kręcę, a może i coś gorszego tu się stało. Morderstwo, nie daj, Panie. Najwięcej morderstw jest w pensjonatach. Widzi się nieraz na filmach. Niedawno taki szedł w telewizji, spać potem nie mogłam. Żałuję, że się nie zgodziłam, jak tu do mnie przyjeżdżali, żeby im sprzedać ten mój pensjonat. Zanim na tamtym brzegu wystawili. Miałabym pensję, wyżywienie, mieszkanie, wszystko bym miała. I nie narobiłabym się tyle, co w tym moim. Ten mój, że rudera, nowy by wystawili. Tak im się ta strona spodobała. I nie dziwię się. Tutaj dużo wyżej i brzeg stromy, a tam schodzi płasciuteńko do jeziora i szuwary, muł. Trzeba kawał iść do głębszej wody, a tu głębina przy brzegu. Gdybym miała pieniądze, to i tu robiłabym sylwestry, kuligi, pieczenie dzika. O każdej porze miałabym gości. Kiedyś panu opowiem, co mi się jeszcze marzy. A kiedy on przyjechał, wtedy nie było nikogo. No, i niechby tak jeszcze. A zaczęłam już wieszać zdjęcia, kto u mnie był. Umówiłam się ze znajomym fotografem, przyjeżdżał i robił. Przy posiłkach, na leżakach, opalają się, spacerują po lesie, na tym wysokim brzegu. Trafił się ktoś z gazety czy telewizji, dzwoniłam do tego fotografa, przyjeżdżał i robił. Jeden taki z telewizji trzy lata pod rząd przyjeżdżał, dziennik mówił. Teraz widzę, ktoś inny mówi. Chyba zdejmę go. Nikogo mi już nie przyciągnie. W korytarzu wszyscy wiszą, widział pan? A niech pan przeczyta podpisy. Ktoś powiedział, że mogłabym wiersze pisać. Raili mi tu jednego poetę, że mi ułoży. Przyjeżdżał do rodziny, tam, za lasem. Chciał za jeden wiersz dzień pobytu i do każdego posiłku piwo. Pomyślałam, za drogo, bo ile by to dni. I sama popodpisywałam, bez piwa. Myślę, czyby nie powycinać jakich zdjęć z gazet i powiesić, że też u mnie byli. W tamtych wieszają nawet gołę. A podobno na życzenie i przywożą. Ale z mojego pensjonatu nie dam zrobić domu publicznego. Mogłabym i psów podoklejać, ponazywać ich. Jak się kto ubierał, opalał się, nie opalał, jeśli by był w lecie. W lecie można by więcej. Ale trzeba by i na jesień, zimę, żeby i w takich porach przyciągało. Że

ktos najbardziej z wszystkich por lubi jesien. Lubi, jak deszcz pada. A akurat lalo, kiedy byl. To zakladal plaszcz przeciwdeszczowy, kaptur, gumowce albo z parasolem i siedl w deszcz. Zdrowo, mowil, cerę nawilza. A zimą, że uwielbia śnieg i dla śniegu przyjechał. Bo gdzie pan ma w miastach teraz śnieg? Nasypią soli i breja. A tu śniegu nieraz po kolana, człowiek czuje, jak mu w duszy bialo. Niewinny się czuje, choćby grzeszny był, a każdy jest. I dzieci mają z czego lepić bałwana, a z czego w mieście ulepią? I na sankach, i na nartach, samo zdrowie. Gdyby tak jakiś minister czy wiceminister. Zresztą nie, bo zdejmą go i też musiałabym zdjąć, a szkoda by mi wiersza było. Najlepsza byłaby śpiewaczka, a jeszcze z opery. Nigdy nie byłam w operze, ale czasem puszcza w telewizji, to się aż popłaczę. Mógłby i sportowiec, tylko żeby miał medale. Bez medali to jaki tam sportowiec. Czy aktor. Może bym tego powiesiła, co za hitlerowca gra? Niechby w tym hitlerowskim mundurze, bo po cywilnemu to kto mi uwierzy, że to on. I ładnie mu w nim. Ile to kobiet się w nim zakochało. Widać można się i w hitlerowcu zakochać. Miłość chodzi swoimi drogami. Mam jego zdjęcie, wycięłam. Tylko nie wiem, zawiesić czy nie. No, i niech pan teraz powie, wmieszałby mi się w to wszystko samobójca. Przyniosę panu tę jego wizytówkę. Miałam spalić, że może Bóg da, a uwolni mnie od niego. A pan mówi, że był.

– Nie, to pani mówiła. Ja przecież nie wiem, kto to.

Zmęczyło mnie to jej gadanie. Byłem gotów już wstać, nie dojadając śniadania. Ale zobaczyłem, że w jej oczach pojawił się lęk.

– Niech pan nie odchodzi. No, tak. – Zamyśliła się przez chwilę. – No, tak – powtórzyła. – No, tak – powtórzyła raz jeszcze. – I jakby z rezygnacją w głosie powiedziała: – Zaraz wracam.

Gdy wyszła, sięgnąłem do kieszeni marynarki i wyciągnąłem ten list od Marii. Chciałem zobaczyć, kiedy został nadany. Pieczętka pocztowa była na szczęście wyraźna. Nie zdążyłem go schować, gdy omal wbiegła z tą wizytówką w rękę.

– O, list pan dostał. Był może listonosz?

– Nie, to dawny list, znalazłem w kieszeni.

– A ja naszukałam się tej wizytówki i niech pan sobie wyobrazi, gdzie była. W kuchni, w szufladzie od stołu. Położyłam widocznie tam, żebym miała na widoku. Może panu coś powie jego nazwisko.

– Alechno, Alechno? – nazwisko znajomo mi brzmiało. – Jak przez mgłę zacząłem sobie przypominać. – Jeśli to ten, choć głowy nie dam, to była kiedyś figura. – A w jej oczach pojawiło się przerażenie. – Teraz widzę, rzeczoznawca Towarzystwa Ubezpieczeń na Życie „Vita”.

– To może niech pan weźmie sobie tę wizytówkę – powiedziała proszącym, przyspieszonym głosem.

– Nie znam go, po co mi ta wizytówka?

– Ale rozmawiał pan z nim, to poznaliście się.

Rad nierad wziąłem, skoro miało ją to uwolnić od poczucia zagrożenia. I od razu zaszczebiotała:

– A może i piesek by coś zjadł? Mam wczorajszą zupę pana Dionizego i niedojedzonego kotleta. Nie miał apetytu, skoczyło mu ciśnienie. Piesek też przecież bez śniadania.

A wieczorem zabrałem się do czytania listu Marii. Najdroższy, najukochańszy, tak dawno już nie pisałam do ciebie. Na szczęście tym razem nic się takiego u mnie nie zdarzyło, o czym chciałabym ci donieść. Piszę ten list jedynie dlatego, że znów przyplęnęła do mnie fala wielkiej tęsknoty za tobą

i od kilku dni paraliżuje mnie i nie daje o niczym innym myśleć. Tu kiedyś wypadł mi talerz z rąk, bo nagle zjawiłeś się w moich oczach. A wczoraj, wyobraź sobie, założyłam bluzkę na lewą stronę. I przecież przeglądałam się w lustrze przed wyjściem. Ale jakbym nie widziała w nim siebie. Dopiero koleżanka w szpitalu zwróciła mi uwagę. Powiedz, czy to jest normalne? Tyle lat minęło, a wciąż nie mogę sobie poradzić z miłością do ciebie. Miałam długo nadzieję, że w szarości codziennych obowiązków szpitalnych, gdy musisz patrzeć na te biedne dzieci, zachodzić w głowę, jak im pomóc, a tu nie można już nic pomóc, i pozostaje straszny żal do siebie, że się nie sprostało, że śmierć jest silniejsza od nas, od naszych zdolności, umiejętności, że w tym zatroskaniu, zabieganiu i moja miłość do ciebie zacznie przygasać, aż stanie się w końcu jedynie wspomnieniem. Tak się przecież zwykle dzieje. I wydaje się to naturalne, że miejsce miłości wypełniają codzienne zmartwienia, nieustanne myśli, co jutro, pojutrze. Tylko czy prawdziwa miłość może dać się tak łatwo zamienić na tę codzienną szarość? Prawdziwa miłość jeśli już kogoś wybiera, to po kres, na całe życie, i nie opuszcza go, gdy nawet przekroczy tę granicę. Więc może powinnam być szczęśliwa, że kiedyś i mnie wybrała. A że nie spełniła się, tym bardziej pozwala mi odczuwać niemal w każdej godzinie, każdą moją myślą, jakim jest szczęściem. Bo też jak inaczej można jej prawdziwie doznać? Jeśli nie przez utratę, przez brak nadziei, przez pograżenie się w cierpieniu, podobnym temu, gdy ktoś bliski nam umrze, a nie chcemy się na to zgodzić, że umarł. W szczęściu nigdy miłość nie da nam się poznać tak dotkliwie, jak w cierpieniu, że tracimy nieraz poczucie, czy to nas dotyczy, czy jeszcze jesteśmy na tym świecie, czy to tylko po nas wspomnienie. Szczęścia nie stać na złudzenia, że coś się spełniło, gdy się nie spełniło. Szczęście nie jest zbyt mądre.

Przychodzą takie chwile, że nie wiem już, co z sobą zrobić. Tu kiedyś pomyślałam, wsiądę w pociąg i przyjadę do ciebie. Ale to przecież o wiele za późno, o lata za późno, o całe życie za późno. Mam męża, mam dzieci, mam dobrą pracę, jestem ceniona, więc co ja wyprawiam? Kupiłam nawet bilet, pociąg przyjechał, konduktor widząc, że nie wsiadam, spytał, pani nie wsiada, lecz zabrakło mi odwagi. Pociąg odjechał, a ja zostałam na peronie, jak zostałam w swoim życiu. Pomyślałam, nie będę porywać się na los, mimo że przeciw mnie się obrócił. Może los wie lepiej ode mnie i dlatego tak, a nie inaczej ułożył to moje życie. Niech więc tak zostanie. Nie czuję się w niczym winna, że tak się stało. Ani nie umiem sobie wytłumaczyć, dlaczego tak się stało? Czyżby ta miłość sama nas opuściła, bez naszej zgody? A może nie ona nas, lecz my ją opuściliśmy? Więc po co zaklinaliśmy się, że nie wyobrażamy sobie życia bez siebie? Czyżbyśmy wówczas nie wiedzieli jeszcze, co to jest miłość? Czyżbyśmy byli za młodzi, żeby wiedzieć, czym jest? I musiała nas dopiero rozłączyć, abyśmy zrozumieli, że nie jest takim łatwym szczęściem, jak nam się wydawało? Że jest pełna lęku, niepewności, że kryje w sobie zapowiedź rozpacz, gdy coraz wyraźniej widać zbliżający się kres. Trzeba widocznie przeżyć całe życie, aby się dowiedzieć, czym ona jest. Ale czyżbyśmy temu nie byli w stanie sprostać? Powiedz, może ty wiesz, cośmy tej naszej miłości zawinili. Próbowałam przez te wszystkie lata szukać w sobie winy. Dręczyłam się najprzeróżniejszymi myślami, ale nie mogłam nic przeciwko sobie znaleźć, prócz tego że cię kochałam najgoręcej jak umiem. Ale czy miłość może być winą? Nie sądz jednak, że ciebie o cokolwiek obwiniam. Przysięgam, nie, nie. Wiem, że tak samo jak ja nie jesteś niczemu winien. Może więc była wina poza nami? Może stało się to wszystko z wyroku losu?

Tylko że ty nie wierzyłeś w los. Los to jedno z imion naszej bezradności, powiedziałeś kiedyś. Ale ja muszę wierzyć, że wyroku losu nie pokona się nawet miłością. Zazdroszczę ci, bo domyślam się, że ty się z tym uporałeś. I wybaczam ci, że nie chcesz do tego wracać, bo przecież byś choć raz do mnie napisał. Nie zmuszam cię. Nie pisz. Nie chcę. A może i mnie przyjdzie łatwiej skończyć z tym pisaniem do ciebie. Powiedz tylko, czy kochałeś mnie tak, jak ja kochałam ciebie. Zresztą skąd możesz wiedzieć, jak cię kochałam i nadal Kocham. Niemożliwe, żebyś wiedział, nie zna się drugiego człowieka, każdy zna jedynie samego siebie, jeśli chce znać. Powiem ci tylko, że świat nie istniał dla mnie poza tobą, chociaż to niewiele mówi. Kochałam cię oczami, myślami, każdą tkanką swojego ciała, każdym drgnieniem serca, kochałam cię w snach i na jawie. Kochałam cię na przekór mojemu życiu. I Kocham. Czasem wydaje mi się, że śmierć jest już poza mną, a ja cię Kocham dalej. Uznasz, że to szaleństwo? Ale nie lituj się nade mną. Nie potrzebuję twojej litości. I tak cię będę kochać. Dla siebie cię będę kochać. Będę cię kochać, gdybyś nawet nie istniał. Wiem, że miłość nie była dla ciebie tym, czym dla mnie. Miłość to lęk, kruchość i ból, więc nie zmuszaj się do takich samych wyobrażeń. Wiem również, że miłość z miłością nigdy się nie równoważą, nie stapiają się z sobą. Pozostają uczuciami, które się wzajemnie darzą, lecz nie po tyle samo. Kończę ten list, bo zbiera mi się na płacz. A nie chcę... Wybacz. Twoja na zawsze – Maria.

Przywalił mnie ten list niczym głaz. Przeczytałem go raz, drugi, trzeci, jak chyba żadnego jej listu dotąd. Wahałem się, czy jeszcze raz nie przeczytać, jakby z zemsty na sobie, bo nie byłem w stanie niczego innego mu przeciwstawić. Coś mi zarazem kazało go włożyć z powrotem do koperty i wrzucić do walizki czy torby, albo przynajmniej wsunąć między kartki do książki, która leżała na wyciągnięcie ręki na nocnej szafce przy lampie, lecz nie byłem w stanie i tego uczynić. Czuję jedynie ciężar tego głazu, który przywalił nawet moje myśli, tak że i od nich nie mogłem oczekiwać pomocy. Zresztą z jaką pomocą w takiej chwili mogłyby mi przyjść myśli? A gdyby nawet, to myśli będące owocem bezradności są tym bardziej bezradne. Choć twoje własne, to zarazem boją się ciebie.

Nieoczekiwanie wyobraziłem sobie, że to ja stoję na tym wysokim, urwistym brzegu jeziora, spowity w tę poranną, gęstą mgłę, a ktoś spoza moich pleców pyta mnie, czy woda tu głęboka. Ale nie odpowiadam mu, bo jakbym był jedynie płaszczem, kapeluszem, szalikiem, butami wydrążonymi z mojej osoby. Lecz, o dziwo, nagle w tym beczuciu czuję, że w rękę trzymam smycz i mój pies mnie za nią szarpie, abyśmy wracali.

Sięgnąłem znów po ten list. Nie, nie czytałem go już. Trzymałem tylko w rękę. Nie wiem, jak długo. W pewnej chwili wydało mi się, że czuję w nim ciepło ręki Marii. Pamiętałem to jej ciepło, mimo tylu lat. Przenikało mnie aż do serca, gdy szliśmy trzymając się za ręce, a przy rozstaniu nie mogliśmy nieraz tych swoich rąk poodrywać, tak to ciepło je sklejało. Albo gdy głaskała mnie po twarzy, pocieszając, nie martw się, wszystko będzie dobrze, będziesz na pewno świetnym malarzem. Albo gdy biorąc w swoją rękę moją dłoń, próbowała odczytywać linie życia. A chociaż to była moja dłoń, linie życia układały się jako nasze wspólne. Czy szczęśliwie, tego nigdy nie powiedziała. Zresztą zaraz obracała to w żart, że tak się tylko wróży, podobnie jak z kart. Tylko że nie na rękach czy w kartach pisane są wyroki, szczęśliwe, nieszczęśliwe. Wyroki wydajemy sami na siebie, więc kto by w takie bzdury wierzył. W jej śmiejących się oczach dostrzegałem jednak jakby cień niepewności.

I tak siedziałem z tym listem w ręku, coraz bardziej obezwładniony jego ciepłem, prawie senny od tego ciepła, bojąc się ten list odłożyć, aby to ciepło nie znikło. W pewnej chwili nawet poczułem, jakby dotknęła moich palców, trzymających ten list, koniuszkami swoich, prosząc, pomóż mi, bo nie jestem pewna, czy powinnam to napisać. Powiedziałem, nie pisz. A jednak napisała, wierzę, że tak samo jak ja nie jesteś niczemu winien.

Dlaczego chciałem, żeby tego nie pisała? Bo tak naprawdę nie zna się do końca swoich win. Świat bez przerwy obarczamy winami, a nie zrodzi się w nas podejrzenie, że to nasze winy. Zresztą nie sądzę, aby na nasze rozstanie można było patrzeć przez pryzmat czyjejkolwiek winy. Słowo wina jest tu nie na miejscu. Gdy nie stać nas na rozstrzygnięcie, rozsądniej posłużyć się tym wytartym powiedzeniem, że widocznie tak się musiało stać. A z czyjej winy, lepiej tego nie dochodzić. Wzajemne obarczanie się winami pozbawia nas tragizmu, przeistacza się w trywialność. Nie tylko zresztą tego zdania nie powinna była napisać, może żadnego, i żadnego listu. Niechby tak zostało, jak się stało. Tak byłoby lepiej dla nas obojga. Może by do tej pory pozbyła się tej udręki, którą jakby podsycala w sobie z każdym listem, który pisała. Zwłaszcza że nie miałem zamiaru się bronić, jeśli nawet byłbym winien. Nie odpowiadając na jej listy, tym dotkliwiej podtrzymywałem w sobie pamięć naszej młodości. Jakbym w tamtym wciąż jeszcze młodzieńczym porywie chciał się swoją pamięcią pogłębić. A wiadomo, że młodość jest zdolna do najbardziej szalonych porywów, nawet do oddania życia w imię złudzeń.

Może to dziwne, lecz gdy patrzę z tak odległej perspektywy na tamten czas, widzę tę naszą młodość coraz wyraźniej, jakby tam się już zaczynało to, co nam nieuchronnie gotował los. Zastanawiam się w tej samej chwili, czy młodość powinna przeczuwać coś takiego jak los, byłoby to zaprzeczeniem młodości. A my byliśmy tacy młodzi, można rzec, wstępowaliśmy dopiero w młodość, pełni wiary, że miłością pokonamy wszystkie przeciwności świata. Co nam zresztą świat, to dzięki nam on jest. Wystarczy sobie bez świata. To świat jest odniesieniem do miłości, nie miłość do świata. Miłość będzie zdolna zatrzymać w nas i młodość aż do końca życia. Czy po prawdzie człowiek kiedykolwiek opuszcza swoją młodość? Czy nie nosi jej w sobie aż do śmierci? Nawet umierając, czy nie ma poczucia, że umiera za wcześnie, bo nie wygasła w nim jeszcze młodość.

Lata mijały, a ja nie byłem w stanie przemoc w sobie oporu przed napisaniem do niej, nawet po tym ostatnim liście. Nachodziły mnie wątpliwości, czy nie zburzyłbym jej tego wszystkiego, co być może szczęśliwie już sobie ułożyła. Czy nie odebrałbym jej na zawsze wiary w sens istnienia, jaką nadaje człowiekowi miłość? A tym samym nie okaleczyłbym jej? Na samą taką myśl lęk mnie nieraz ogarniał.

Ktoś mógłby mnie posądzić, że boję się przyznać do prawdy. Ale przecież nie znam prawdy o sobie, poza tym, że raz tak, a raz inaczej mi się wydaje i wciąż inaczej. Czy zresztą ktokolwiek zna prawdę o sobie? Nie mówiąc, czy w ogóle chciałby ją poznać. A gdyby chciał, jakby do niej dotarł? Mamy przecież wyjątkową zdolność do zachowania czystości naszych sumień. Więc może nie odpowiadam na jej listy, aby ją przede mną obronić? Ale pamięć, czy nie mogłaby nam pomóc w tym dochodzeniu prawdy o sobie? Tylko że pamięć wymaga potwierdzenia, a któż nam może ją potwierdzić oprócz nas?

Strzeżmy się zatem takiego potwierdzenia, bo kto wie, czy nie bylibyśmy bardziej bezbronni, niż jesteśmy. Niech nasza pamięć pozostanie, jaka jest. I chwalmy ją za to, że jest, jaka jest, nie inna, że możemy się nią posłużyć

jak narzędziem w naszych udrękach, załamaniach, poczuciach bezsensu, że przystosowuje się do każdej naszej potrzeby. Bez względu na okoliczności zawsze wierna jak pies. Potrafi zamienić najboleśniejsze wydarzenie, jakie nas spotkało, na poczucie, żeśmy je przeżyli.

Jakim sposobem ten list znalazł się w kieszeni mojej marynarki, nie dawało mi to spokoju. Przyjechałem tu przecież odpocząć, oderwać się od wszystkiego i wszystkich, a szczególnie od siebie. Bo czasem miałem dość i siebie, jakby nie tyle świat mi tak ciążył, co moje własne istnienie. Wybrałem ten podupadły pensjonat, chociaż ktoś mi radził ten po przeciwnej stronie jeziora, z wszelkimi wygodami, z basenem, sauną, masażami, świetną kuchnią, orkiestrą. Wybrałem również tę późnojesienną porę, chociaż nie lubię jesieni, lecz zapewniono mnie, że to jedyna pora, w której pensjonariuszy prawie nie ma. Aby całkiem zerwać wszystkie więzi na ten czas, jakby przez zapomnienie nie zostawiłem adresu, gdzie jadę. Nie wzięłem też komórki. Wyobraziłem sobie, że leży tam na biurku i bez przerwy gra, a znajome jej dźwięki aż tutaj słyszę. I sprawiło mi to niemal mściwą radość, że nie muszę brać do ręki i rzucać znużonym głosem, słucham, bo i własnego głosu nieraz nie znośłem.

Niestety, wszystkie tego rodzaju nadzieje okazały się daremne przez ten list, znalezione, co może się wydawać i śmieszne, przypadkiem w kieszeni dawno niezakładanej marynarki. Gdybym go znalazł dopiero po powrocie, u siebie w biurze, między zalegającymi na biurku papierami, a niechby i w tej kieszeni, sięgając jedną ręką po słuchawkę, a drugą bezwiednie do niej, czy przyjmując jakiegoś interesanta, pewnie bym się tak nim nie przejął. Przecież nie był to jej pierwszy list. Nie umiałbym powiedzieć, który, musiałbym policzyć, bo mam wszystkie, trzymam je ułożone, tak jak przychodziły, jeden na drugim w szufladzie i opasane również gumą. Tak że przez te wszystkie lata, chcąc nie chcąc, nauczyłem się czegoś w rodzaju obronnego znieczulenia na jej listy, tak mi się przynajmniej wydawało, podobnie jak na wszystko, co mi życie niosło. Każdy jej list uświadamiał mi daremność jej cierpienia. Tym bardziej że stawało się to jakby grą między nami, która z założenia była zastępstwem czegoś, co już prawie nie istniało, a mimo to nie chciało przestać istnieć. Ale przecież każdą grę kiedyś trzeba skończyć, bez względu na to, jak jesteśmy przegrani.

Co najdziwniejsze, kiedy gdzieś wyjeżdżam, zawsze przeglądam wszystkie kieszenie marynarek, spodni, płaszcza, żeby nie brać rzeczy, które mi się nie przydadzą, i co niepotrzebne, wykładam. Jeśli chodzi o boczne, zewnętrzne kieszenie marynarek, jestem nawet nauczony, żeby nigdy nic do nich nie wkładać. Tyle mi zostało po nauce krawiectwa u krawca Radzikowskiego, który każdemu klientowi szyjącemu u niego garnitur przypominał o tym, aby nigdy nic nie wkładał do tych bocznych zewnętrznych kieszeni, jeśli chce, aby marynarka zachowała szyk i wyglądała jak marynarka, a nie rozepchany worek. Ani papierosów, zapalek, scyzoryka, grzebienia, ani nawet chusteczki do nosa, obojętnie czy kieszenie są naszywane czy wpuszczane. Najważniejsze nie przyzwyczajając rąk do sięgania do kieszeni, jakby w ogóle ich nie było.

– To po co są? – spytał kiedyś klient.

– Po co? – zastanowił się chwilę Radzikowski, jakby i on, mistrz krawiecki, musiał się zastanowić, po co. – Po to, żeby były – odpowiedział, ale czy zadowolili klienta?

Zabieram też zwykle niewiele rzeczy, mimo że w samochodzie jest dużo miejsca. Wahałem się tak samo, czy zabrać ten notes. Najpierw go odłożyłem, że nie wezmę, bo skoro narzuciłem sobie bezwzględny odpoczynek, to nie będę zagłębiał się w te imiona, nazwiska, adresy, telefony, do których się już

tyle razy zabierałem, a nigdy nie starczyło mi wytrwałości. Byłe nazwisko, a niech sobie nie przypominę, kto to był, zacznie się udreka. Czy przypominę sobie, to zacząną się wspomnienia, które są nie mniejszą udreka. Pamięć czy niepamięć to tylko różne odmiany tej samej udreki.

Złapałem już torbę i walizkę w ręce i miałem zamiar wyjść do samochodu, gdy wpadł mi nagle ten notes w oczy, pomyślałem, a może go jednak wziąć. Bo czy uwolnię się od niego, jeśli nie wezmę? Czy da się nie wziąć, choćby i na wypoczynek, swojego życia? I wrzuciłem go do torby.

A tu nieoczekiwanie ten list Marii w kieszeni marynarki. W pierwszej chwili pomyślałem, że ktoś mi ten list niepostrzeżenie włożył do kieszeni, gdy ją powiesiłem w biurze na wieszaku, chcąc mi w ten sposób o czymś donieść, czego bał mi się w oczy powiedzieć. Wystarczyło jednak spojrzeć na kopertę, aby nie mieć wątpliwości, że to od niej list. Zawahałem się, czy go przeczytać, czy odłożyć, aż wrócę do domu. Ale nieprzeczytany będzie mnie przecież dręczył przez cały czas mojego tutaj pobytu, w tej pustce, która wbrew temu, co sobie obiecywałem, zaczęła mi od pierwszego dnia dokuczać, że wszystko stawało się dotkliwsze, i myśli, i wspomnienia, a nawet ja sam dla siebie stawałem się jakby dotkliwszy. Zastanawiałem się, czy nie przez złą porę roku, którą wybrałem na przyjazd. A może ten zamierający las, to jezioro przykryte co dzień z rana gęstą mgłą, która często przez cały dzień z niego nie schodziła, a także ten pusty pensjonat, potęgują moje poczucie pustki, jakby odsłaniając zarazem pustkę mojego życia, której nie dopuszczałem do świadomości lub zapełniałem ją śmieciami pozorów, oszukując się zresztą w różny sposób, co nie jest przecież trudne.

Wrzuciłem ten notes z powrotem do torby i wtedy pękła na nim guma, zapewne z wyczerpania. Powinienem go bowiem delikatnie położyć, nie wrzucać. Wziąłem tę pękniętą gumę i poszedłem spytać się właścicielki, czy nie ma takiej gumy, nie mówiąc, do czego mi potrzebna. Wyciągnęła ze słoika, stojącego na półce w kuchni, cały pęk gum, małych, średnich, dużych, w różnych kolorach, i zaczęła przebierać.

– Gdyby była, toby tu była – powiedziała. – Wszystkie do tego słoika składam, od weków, nie od weków, od czego się zdarzy. Przydają się. Ale takiej grubej tu nie widzę. – Zaintrygowała ją ta guma, bo zaczęła szukać w szufladach, na półkach, między talerzami, garnkami. – Może była gdzieś taka. Nieraz przez bezmyślność położy się tam, gdzie nie powinno.

Po jej nieprzekonywających ruchach nietrudno było się domyślić, że przeciąga to poszukiwanie, chociaż wie z góry, że takiej gumy nie ma, chce jednakże dociec, po co mi aż taka guma, a spytać wprost nie ma odwagi lub, być może, przez delikatność, jako że nigdy nie wiadomo, mimo że to zwykła guma, czy się o coś w człowieku nie zawadzi, co chciałby ukryć. I jakby nie mogła wyjść z podziwu:

– Aż taka guma. Jeszcze takiej nigdy nie widziałam.

Pomyślałem, czy nie wpadała czasem na trop, do czego mi ta guma potrzebna, tylko jakim sposobem? Czyżby sprzątała pokój w czasie, gdy wyszedłem na spacer? Tylko że gdy chciała posprzątać, pytała się, posprzątać panu? Wtedy chowałem ten notes. I już chciałem powiedzieć, że dziękuję, niech już nie szuka, jakoś sobie poradzę, gdy rzuciła:

– Niech pan pokaże tę gumę. No, tak, widać, że stareńka, sparciała. Jeszcze coś grubego, to musiała pęknąć. Książkę ma pan jakąś taką zaczytaną, że się rozleciała?

– Nie.

– Myślałam. Bo kiedyś miałam taką książkę. Wszyscy goście czytali. Deszcz nieraz padał, co mieli robić, czytali. Najwięcej panie, panowie woleli w karty. Czytać się czyta przeważnie, kiedy deszcz pada. Bo tak to najlepiej wyjść na spacer, zdrowiej. Ale na deszcz powinna być jakaś książka w pensjonacie. Już nie pamiętam, gdzie ją kupiłam, chyba na straganie. Wszystkie panie się zaczytywały. Mówiły, że do łez rozczuła.

Przeraziłem się, że mi jeszcze zaczniesz tę książkę opowiadać. Na szczęście wyznała, że sama jej nie czytała.

– Zacytana taka się zrobiła, że się rozleciała na osobne kartki. Miałem sznurkiem ją związać? To kto taką książkę weźmie do ręki? Odwiązać, zawiązać, a i strony mogą się pomylić. No, i trochę wstyd. Pensjonat porządny, a tu książka na sznurek. O gumie, widzi pan, nie pomyślałam. Muszę inną kupić. Nie zna pan jakiejś książki, co by się wszystkim podobała?

– Przykro mi, ale nie.

– Pytają nieraz w gazetach, jaką książkę byś wziął na urlop. Ale każdy by co innego wziął. To nie będę tyłu książek kupować. A może sznurka panu dać? Musi być guma? No, widzi pan, nie mam. Wszędzie obszukałam. Niech pan weźmie kawałek sznurka, zwiąże pan. I, i dam panu plastikową torebkę, włoży pan.

Włożyłem więc do tej torebki, torebkę do torby i już do końca pobytu nie zajrzałem do tego notesu.

Położyłem się dobrze po północy, lecz do rana nie zmrużyłem oka. I chyba widać to po mnie było, bo przy śniadaniu w pierwszych słowach zagadnęła, jakby dla pozorów, że ją ta guma trapi:

– No i co, zmieściło się?

– Tak, dziękuję.

– Ale coś pan marnie wygląda. Źle się pan czuje?

– Nie, miałem trochę kłopotu ze snaniem.

– U mnie? Niemożliwe. U mnie wszyscy dobrze śpią. A może się panu coś niedobrego śniło? Niedobry sen potrafi człowieka nieraz zmaltretować, że chodzi potem jak nieżywy. Tylko żeby u mnie? U mnie wszyscy mają dobre sny. Opowiadają potem z rana. Z tych snów można by ułożyć księgę ku pokrzepieniu innych. Mnie tak samo niedobre sny to się śniły, kiedy mieszkałam w mieście i nie miałam jeszcze tego pensjonatu. W mieście sny nie służą człowiekowi. Zależy też, jakie miasto. Im większe, tym gorsze sny. A tu wstaję co rano jak skowronek. Niedawno mi się nawet przyśniło... I zaczęła opowiadać, że płynęła statkiem i gdy patrzyła na morze, nagle ktoś zakrył jej oczy z tyłu rękami. Zerwała te ręce z oczu i widzi, że to jej mąż, co odszedł z tą zdzirą, o której mi opowiadała. Ale dalej już nie słuchałem tego jej snu, ponieważ, zapewne i pod wpływem tego listu Marii, przypomniał mi się sen, który nigdy mi się nie przyśnił, lecz który zmyśliłem na początku naszej znajomości.

Pełen obaw, czy zgodzi się, zaprosiłem Marię do kina. Zgodziła się, aczkolwiek z ociąganiem, drocząc się, że nie wie, czy jej coś nie wypadnie, zależy zresztą kiedy, co będą grali, na który seans. Gdy odprowadzałem ją po filmie do domu, jakby rozdrażniona, zaczęła mi wyrzucać, że nie uprzedziłem jej, co to za film, bo był okropny. Gdyby wiedziała, nie zgodziłaby się. Ja zapamiętałem z tego filmu tyle, że wojna, czołgi, armaty, samoloty, bomby, trupy, ranni, jęki, krzyki, a ona najdrobniejsze nawet sceny.

– Nie zapomnę chyba do końca życia, jak on strasznie konał.

– Kto?

– No, ten żołnierz, co mu nogi urwało.

– Ach, tak.

– Co ach, tak? Przecież widziałeś – obruszyła się.

Z pewnością widziałem, lecz moje myśli zaprzątnięte były jedynie tym, żeby wziąć ją pod rękę po kinie. Przez cały film skupiony byłem na tym, jak to zrobić. I nagle mnie olśniło, sen. Opowiem jej jakiś sen. Sen najlepszy będzie. Sen najłatwiej otwiera drogę, gdy nieśmiałość ją zastawia i nie możesz znaleźć nawet tego pierwszego słowa. Śniłaś mi się, śniłeś mi się i już dalej słowa płyną. Tylko że nic mi się takiego nie śniło, co by sprzyjało mojemu zamiarowi. I zmyśliłem, że szliśmy przez niekończące się łąki. Gdzie wzrok skierowaliśmy, wszędzie łąki, jakby zamiast świata tylko łąki, przed nami, za nami. Żadnych domów, drzew, ludzi, łąki. Wydawały się nawet mało zielone, tak były ukwiecone mocnymi kolorami. Do tego słońce ostre tego dnia, tym bardziej ostre, że świeciło z bezchmurnego nieba i z najwyższego szczytu, syciło te kwiatki barwami aż do oślepiającej ostrości.

– Gdzie my idziemy? – spytałaś.

– Nie wiem – powiedziałem.

– To siądźmy trochę, odpoczniemy, bo może mi nie starczyć sił dojść. I siedliśmy, a wkrótce zmorzył nas sen.

– W śnie zasnęliśmy? – zdziwiła się. – I co dalej, jak zasnęliśmy?

– Nic. Zbudziłem się.

– A ja?

– Nie wiem.

– Ja się nie budzę. Nie budzę się. – Zaśmiała się i wzięła mnie sama pod rękę. – Często masz takie sny?

– Ten jeden dopiero, może go namaluję.

– Tylko pamiętaj, ja się nie budzę. – Znów się zaśmiała.

Podeszliśmy pod jej dom i na myśl, że zaraz się rozstaniemy, przeciągałem to nasze rozstanie, próbując wymóc na niej, kiedy znów się spotkamy, a ona jakby mi uciekała, tłumacząc się tym, tamtym, a przede wszystkim że musi się uczyć, chodzi prywatnie na lekcje łaciny, greki, bo chciałaby pójść na filologię klasyczną, a to, co w szkole, to za mało. I nagle, jakby nie wiedząc, jak mi już uciec, powiedziała:

– Nie maluj tego snu. Źle wróży.

Poczułem, jak opuściło mnie nagle uniesienie, że sama wzięła mnie pod rękę. Twarze nasze rozmywały się już w ciemności, lecz teraz nie wiedziałem, w jaki sposób odejść od niej i czy do czasu, czy na zawsze, zależałoby to pewnie od słów, które bym powiedział. I wahałem się. Domyśliła się jednak, że musiała mnie dotknąć.

– Przepraszam, nie chciałam cię dotknąć. Nie wiem, dlaczego tak powiedziałam.

Po latach w jednym z listów napisała. Pamiętasz ten swój sen? Opowiedziałeś mi go kiedyś po filmie, gdy mnie odprowadzałeś do domu. Żałuję, że się wtedy razem z tobą nie zbudziłam. Ale ta kwiecista łąka tak mnie odurzyła, że chciałam śnić dalej. I śnię, wciąż śnię. Dla mnie ten twój sen wcale się nie skończył, ani wtedy, ani dotąd. Śnię jak ta moja lalka, gdy chodziłam po korytarzu sądu, czekając, aż papcio skończy rozprawę, chociaż wtedy jeszcze cię nie znałam. Pamiętasz? Nieraz ogarnia mnie rozpacz, poczucie bezsensu, a śnię, bo to mi tylko zostało. To mnie podtrzymuje przy życiu.

Poznałem Marię jeszcze jako ośmio-, dziewięcioletnią dziewczynkę, chociaż nie wiedziałem wtedy, że to ona, ani ona nie wiedziała, że to ja. Mieszkała

w mieście powiatowym, gdzie po skończeniu szkoły podstawowej zacząłem chodzić do liceum plastycznego. Mógłby się ktoś w tym dopatrzeć przeznaczenia. Był to jednak zwykły zbieg okoliczności, jakie często się zdarzają, i prawie każdemu. Matka zdecydowała się wreszcie złożyć wniosek do sądu o przyznanie jej praw spadkowych po ojcu, mając zresztą jego potwierdzające oświadczenie, że dom i działka z ogrodem należą w połowie do niej, a po jego śmierci, w całości. Trzymała to oświadczenie w szafie, pod bielizną. Kiedy tylko wyjmowała lub wkładała bieliznę, trafiała na to oświadczenie, ułożone w czworo i pożąłkłe już od czekania. I za każdym razem obiecywała sobie, że musi to załatwić, bo ciąży na niej jak zmora. I tak od wojny. A może miała nadzieję, że ojciec żyje i któregoś dnia wróci. Chociaż kto miał wrócić, już wrócił albo przynajmniej dał znak, że żyje, lecz nie wróci.

Zabrała mnie z sobą na tę rozprawę, że będzie jej raźniej, jak powiedziała, a chodziłem dopiero do piątej klasy, więc cóż jej mogło być raźniej. Miała poza tym adwokata. Sprawę naszą, tak się złożyło, miał prowadzić ojciec Marii.

– Na dobrego sędziego trafiliśmy – powiedział adwokat do matki, gdyśmy siedzieli na korytarzu, czekając, aż skończy się rozprawa, która właśnie toczyła się za drzwiami. – Nie formalistę – dodał.

A w głębi korytarza przechadzała się jakaś dziewczynka, tuląc lalkę w ramionach i kołysząc ją jakby do snu. Chyba nawet coś tej lalce nuciła pod nosem, lecz nie byłem pewny, bo ile razy się do nas zbliżyła, zawracała, jakby bojąc się, że zbudzimy jej tę lalkę. Nie obeszloby mnie to, bo nie lubiłem dziewczyn bawiących się lalkami. Jeszcze chuda była jak patyk, a na tym patyku główka niczym piąstka. Tylko oczy wystawały z tej piąstki o wiele za duże, jakby były już dorosłe. Miała jasne włosy, uplecione w warkocz, a nie lubiłem też u dziewczyn warkoczy. Była jak z mojego rysunku, gdy chodziłem jeszcze do drugiej klasy. Narysowałem wtedy koleżankę, której nie lubiłem, siedziała za mną i ciągle kłuła mnie ołówkiem w plecy. Narysowałem jej też warkocz, tylko opleciony wokół szyi, jakby ją dusił, a nakropkowałem na jej twarzy pełno piegów. Podpisałem grubo imieniem, aby nie mogła powiedzieć, że to nie ona. Za którymś razem, gdy się znów do nas zbliżyła i miała już zawrócić, adwokat zagadnął ją:

– I co, Marysiu, lalka już śpi?

Kiwnęła głową i położyła palec na ustach, abyśmy byli cicho, po czym szeptem dodała:

– Ma prześliczny sen. – I odeszła w głąb korytarza.

– To córeczka naszego sędziego Sterczyńskiego – powiedział adwokat. – Przychodzi tu czasem do ojca. Matka umarła po porodzie. I już się drugi raz nie ożenił. Uznał, że żadna inna kobieta nie zastąpi jego córce matki.

– Ma pan rację. Żeby serce miała na wierzchu, nie zastąpi. Nie ta sama krew – potwierdziła moja matka.

I to było nasze pierwsze spotkanie z Marią. Drugie miało miejsce, gdy byłem w trzeciej klasie liceum. Któregoś popołudnia wracaliśmy z kolegą do internatu i minęła nas śliczna dziewczyna, wielkooka, zgrabna, głowa cała w jasnych lokach. Z wrażenia przystanąłem, odwróciłem się i patrzyłem za nią, dopóki nie znikła w parku.

– Widziałeś? – rzuciłem do kolegi.

– Co miałem widzieć?

– Szła moja przyszła żona.

– Gdzie?

– No, ta dziewczyna, co nas minęła.

– Oj, głupi, głupi – wybuchnął śmiechem. – Kielbi ci się we łbie. To córka sędziego Sterczyńskiego. Akurat wyszłaby za ciebie. Wyjdzie za jakiegoś sędziego, prokuratora, adwokata. Oni się między sobą żenią.

Mimo że znikła, wciąż stałem i patrzyłem za nią, nie mogąc uwierzyć, że to ta sama chudzina, która przechadzała się po korytarzu w sądzie z lalką w ramionach i tak bardzo nie podobała mi się wtedy. Przypomniałem sobie, że kiedy na pytanie adwokata, czy lalka już śpi, odpowiedziała, śpi i ma przesłiczny sen, pomyślałem, głupia.

Któregoś dnia w kinie, nim się film zaczął i na sali paliły się jeszcze światła, nagle zobaczyłem ją kilka rzędów przede mną z jakimś dużo starszym od niej mężczyzną, do którego coraz zwracała się z uśmiechem, a on z jeszcze większym uśmiechem do niej. Nie miałem wątpliwości, że to któryś z tych sędziów, prokuratorów, adwokatów, o których wspominał kolega. Toteż ledwo film się zaczął, zerwałem się, aż krzeselko zatrzeszczało, i przepychając się ludziom przez kolana, depcząc im po stopach, bo siedziałem gdzieś w środku rzędu, wybiegłem z kina. Nienawiść mnie wręcz całego wypełniała i nie do niej, dałbym głowę, nie do niej. Jej, gdybym nawet chciał, nie mógłbym znienawidzić. Z pewnością do tego sędziego, prokuratora czy adwokata, do którego tak się uśmiechała, a on do niej. Wszystkich sędziów, prokuratorów, adwokatów wtedy znienawidziłem.

Dalszy bieg wypadków nie tylko nie ostudził, lecz podtrzymywał we mnie tę nienawiść. Wkrótce spotkałem ją na ulicy znów w towarzystwie jakiegoś starszego od niej mężczyzny, a nie był to ten z kina. Innym razem szła sama, ale nie raczyła choćby musnąć mnie swoim wielkookim spojrzeniem, przeszła niczym obok słupa. Obejrzałem się za nią i zobaczyłem, że pod witryną sklepową stoi jakiś mężczyzna. Patrzyłem, czy jego też minie, gdy on na jej widok oderwał się od witryny i rozwarłszy ramiona, zaczął iść ku niej, a ona ku niemu prosto w te ramiona.

Z tej odległości nie widziałem, czy jest dużo starszy od niej, lecz poczułem się niemal upokorzony moją młodością. Więc może to była nienawiść do samego siebie za tę młodość, która stanęła mi na drodze. I podniecony tą nienawiścią, a może rozpaczą, bo to nie tak odległe uczucia, jak się wydaje, postanowiłem namalować Marię. Tylko że jej uroda, którą tak się wtedy zachwyciłem, gdyśmy wracali z kolegą do internatu, kłóciła się z tym, co czułem, bo nie umiałbym tego nazwać, co czułem. Zachwycenie nie jest zresztą dobrym stanem, gdy chce się dotrzeć do swojej udręki, nie pobudza wyobraźni, przeciwnie, ogranicza ją, zniewala. Zachwycenie nie sprawia przecież bólu, sprzyja raczej radości, a ja nie czułem w sobie najmniejszej radości.

Zrobiłem mnóstwo szkiców. Żaden mnie jednak nie zadowalał. Nie, nie chodziło mi o uchwycenie podobieństwa. Czy zresztą podobieństwo jest w ogóle możliwe? Czy ktokolwiek kiedykolwiek uznał się za podobnego do siebie na swoim portrecie? Wątpię. A jeśli nawet tak, to na pewno z poczuciem niedosytu, ponieważ tak naprawdę nikt nie wie, jak wygląda. Każdy nosi w sobie jedynie wyobrażenie siebie i też każdego dnia nie to samo. Raz się przywiązuje do tego, raz do tamtego, a im starszy, to z tym młodszym nigdy się nie rozstaje. Żeby siedział co dzień w lustrze, nie dowie się, jak wygląda, bo patrzy na siebie poprzez swoje wyobrażenia. Zresztą na cokolwiek patrzymy, chociażby na mebel, krajobraz, świat, nie jesteśmy w stanie wyłączyć z tego patrzenia naszej wyobraźni. Dążenie więc do oddania podobieństwa jest przecież złudnym celem. Bo nie jest prawdziwe, co chce być prawdziwe, lecz co nie wie, że jest prawdziwe.

Przeglądając wciąż z niezadowoleniem te szkice, nieoczekiwanie w jednym z nich dostrzegłem jakby pod powierzchnią twarzy, tej zapamiętanej w zachwyceniu twarzy, rysy tamtej, niepodobnej do niej teraz dziewczynki, przechadzającej się po korytarzu w sądzie z lalką w ramionach, której miał się śnić prześliczny sen, a w który wówczas nie wierzyłem. I tak ją namalowałem. Obraz był średnich rozmiarów, sześćdziesiąt na czterdzieści, z tyłu podpisałem *Dziewczynka ze śniącą lalką*. Z pewnością lepiej by wyglądał w dobranej odpowiednio ramie, co nie było takie drogie, jako że ramy robił nam szkolny woźny za parę złotych i robił to całkiem nieźle. Ale straciłem wkrótce po namalowaniu przekonanie do tego obrazu i nie chciało mi się go już oprawiać. Tym bardziej że naszło mnie zwątpienie, po co go w ogóle namalowałem.

Zdarzyło się jednak, że nasz profesor, znany i ceniony malarz, niektóre z jego obrazów jak żywe do dziś pamiętam, urządził wystawę swoich prac i postanowił, że będą mu towarzyszyć, po jednym obrazie, jego najlepsi uczniowie. Przejrzał więc i moje szkice, rysunki, obrazy i wybrał tę *Dziewczynkę ze śniącą lalką*. Nie tyle wybrał, nieomal pierwszym rzutem oka ją wyłowił z tego wszystkiego, co mu przedstawiłem, a było tego sporo.

– O, to jest świetne – powiedział. Zaproponował mi nawet, że oprawi na własny koszt u swojego ramiarza. Będzie to podarunek dla mnie, abym pamiętał, że byłem jego uczniem.

Wystawa miała tytuł *Mistrz i jego uczniowie*. Na otwarcie przyszedł tłum, z trudem się wszyscy zmieścili w reprezentacyjnej sali ratusza. Były kanapki, ciasteczka, wino. Po przemówieniach przedstawiciela władz oraz dyrektora naszego liceum i kogoś, kto w dość długim a podniosłym wystąpieniu przedstawił dorobek mistrza, zabrał głos mistrz, czyli nasz profesor, i powiedział krótko:

– Dziękuję państwu za przybycie i tym, którzy przemawiali, za tak piękne słowa. Ale prosiłbym, abyście państwo zwrócili uwagę na prace moich uczniów. Przed nimi jest przyszłość.

Myślałem, że po tych jego słowach wszyscy rzucą się do oglądania naszych obrazów, lecz rzucili się do tych kanapek, ciasteczek, wina. Przepychali się jedni przez drugich do stołów, na których to wszystko stało. Ktoś na kogoś wylał wino, ktoś komuś wytrzącił spodeczek, gdy ten próbował się wyrwać z tłumu ze zdobyczą. Można by rzec, kanapki, ciasteczka wypadały z rąk, zanim dotarły do ust, a wino huśtało się w kieliszkach, na szczęście nalanym mniej niż do połowy. Zapanował gwar, znajomi witali się z dawno nie widzianymi znajomymi, obejmowali się, ściskali, niektórzy całowali. Pytano o zdrowie, o żony, mężów, dzieci. Sypały się komplementy, że ktoś dobrze się trzyma, a ktoś jeszcze lepiej. Gratulowano sobie awansów. Chwalono się dyplomami, odznaczeniami, medalami. Śmiano się z dowcipów, przebijano się nimi niczym kartami, jakby nadarzyła się wreszcie okazja, aby się za wszystkie troski i zmartwienia pośmiać. Ktoś mając usta zapchane ciasteczką, natknął się na naszego profesora, a nie mogąc go wyminąć, prychnął mu ciasteczką w twarz i klepnął go w plecy.

– Tak trzymać dalej, mistrzu!

Wycofałem się pod drzwi, gdzie było trochę luźniej, i nagle zobaczyłem poprzez tłum Marię, stojącą przed moim obrazem. Zdobyłem się na odwagę, przycisnąłem się do niej i stanąłem obok. Sądziła zapewne, że to ktoś z tych nielicznych, jak ona, kto nie jadł kanapek, ciastek, nie pił wina, lecz przyszedł obejrzyć obrazy. Wpatrzona w tę moją *Dziewczynkę ze śniącą lalką*, nie zainteresowała się nawet, kto obok niej stał.

– Piękny obraz, prawda – powiedziała, jakby chciała z tym kimś podzielić się tylko swoim wrażeniem.

– To pani lalka – powiedziałem, nie śmiejąc wyjawić, że to i ona, a tym bardziej, że to mój obraz.

– Proszę mi nie mówić pani – zachnęła się i rzuciła niechcącym spojrzeniem na mnie. – A ty też, widzę, nie pan. Maria mam na imię – powiedziała, a jakby obojętne jej było, czy usłyszy moje imię. I nie zdejmując wciąż oczu z obrazu, spytała jednak w pewnej chwili: – A ty? Takie śmieszne masz imię, że wstydzisz się powiedzieć?

– Nie – odważyłem się wreszcie. – Pod tym obrazem jest moje imię, nazwisko, przeczytaj.

Przybliżyła się do obrazu i przeczytała na głos z przypiętej pod obrazem karteczki, po czym spojrzała z niedowierzaniem na mnie, zarazem jakby zawstydzona.

– Naprawdę to ty namalowałaś? – I próbując jakoś wyjść z tej niezręcznej sytuacji, zarzuciła mnie pytaniami: – I kto jest na tym obrazie? Twoja siostrzyczka?

– Nie mam siostrzyczki.

– Jakaś dawna koleżanka?

– Nie.

– To kto?

– Ty – powiedziałem ośmielony tym, że sprawiała wrażenie, jakby opuściło ją poczucie pewności siebie, promieniujące dotąd z jej spojrzeń, słów, jej zachowania.

Stała tak chwilę, nie patrząc ani na obraz, ani na mnie, jakby te jej wielkie oczy w ogóle nie patrzyły.

– Ja? – powiedziała cichym, niemal zaleknionym głosem. – Skąd ja? Dlaczego ja? – zaczęła się niemal bronić. – Przecież ja... A to jeszcze dziewczynka. – Podniosła na mnie jakby urażony wzrok, w którym dostrzegłem króciuteńki błysk uśmiechu. – Nie jestem już dziewczynką. Nie bawię się lalkami. Nie wiem nawet, czy mam jakąś lalkę.

– Ale miałaś.

– Naturalnie, że miałam. Wszystkie dziewczynki mają lalki. Tylko że to było dawno.

– Ale ty miałaś żywą lalkę.

– Jak to żywą? – Ledwo zakwitły uśmiech, odpadł nagle z jej twarzy. Zaniepokoiła się.

– Może nie chcesz pamiętać. Ale ja pamiętam – powiedziałem. – Kiedyś w sądzie przechadzałaś się z tą lalką po korytarzu. I gdy adwokat cię zapytał, śpi już lalka, Marysiu?, powiedziałaś, śpi i ma prześliczny sen.

Wiesław Myśliwski

Fragment nowej powieści

BOGUSŁAWA LATAWIEC

Listy

Prasuję między dwiema kartami
formatu A4
z opcją *jedwab*
stare listy Tymka, Wisławy, Wiktora,
Zbyszka...
niczym białe i cenne koszule
bliskie ciału

Prasuję bo składacz zdań
chce by były w książce bez zagięć
luk w życiorysach, w biegu
podróżnym, pocztowym, historycznym
ułożone
przed i po mgłach, zadymach
śnieżnych, ustrojowych,
kataklizmach, wierszowych i chorobowych

Pod rozżarzoną duszą ognia
(elektrycznego)
litery poczerniały
Jeszcze wprowadzie są bezgłośnie
bez strun, krtani, warg
ale już cichcem
gromadzą się po papierach
tuż przed przeprowadzką
z rękopisów
do furkotu kserokopiarki

Rozkwitnie więc w powietrzu
wszystko co minęło
dźwięki i prawdy
dotąd zatrzaśnięte w pudłach kurzu
razem z dymem z papierosów

*

Kropla cukru z kubka poety
świeci jak lza
na literach jego imienia
Za moment powiększę ją
w głębinie komputera
i utrwale – zamiast jego twarzy

Krajkowo, wiosna 2012 r.

Pod stopą

Życie potyka się o ziemię
o kładkę
nad źródłem

Ci wiedzący
gdzie pamięć się kończy
i jakimi igłami porastają lasy
jakie szycie się tam odbywa
nie do zszycia – milczą

Czas się kolebie od łodzi do łodzi
nić, trop, sieć zarzucona
ale gdy nią łowić
tylko światło bezkrwiste
zamiast mięsa ryby
zostaje w dłoniach

A w dole kładka do przebiegnięcia (wciąż ta sama)
ponad źródłem (którego nie ma)
choć je słyszę i słyszę
 pod stopą

Krajkowo, lipiec 2012 r.

Z cyklu *Blejtramy*

Światy Caravaggia

Autorowi *Rzymskiej komedii*

Gdy dotykał płócien
swoimi
 oczami – sowimi
światy mu się
rodziły szczodrze
furkocząc napiętym żagleś jasności
po czerni:
 kula wody z różą w szkle
 suche drewno skrzypiec
 dzwoniło skocznie pod tupotem
 tańczącego Erosa
 z buzią urwisa
 w pełnym słońcu jego gołych lędźwi
 ud i łydek promiennych
 drzewa krzyży, bretnale, gąbki z octem
 prześcieradła bieli
 zbiegłe z umierających ciał
 brudne stopy świętych

w porę zawrócone z ucieczki przed prawdą
nie do pojęcia
dorodnie czarne skrzydła aniołów
wsparte na ramionach wybrańców
i wszystkie kolejne Marie, Magdaleny
z ustami tej samej kochanki
jej pudernice, grzebyki, flakony, złote materie
odbite w zwierciadłach
powietrzach
także szaty pokutne, modlitewniki
miny szulerów
karty jawne rozsypane na ławie
i te tajne jak tętno skryte pod szatami
wszystek świat rozkoszy, cierpień
wnieboborwań i wogniowstąpień
na moment i na wieczność
tajnych zapłodnień, wskrzeszeń, zmartwychpowstań

Ów Świat Drugi
a zarazem jakoby i Pierwszy
bo choć jedynie olejny
i rozłożony po blejtramacz jak na stołach
seksyjnych
jest z żywiołów jednakich:
krwi, mięsa, kości i duszy bezcielesnej
do oglądania i uwierzenia
dla tych
co widzą w ciemnościach
swoimi sowimi oczami

Poznań, luty 2012 r.

Adam i Ewa

Głusi i niemi
w światło ciał odziani
płoną nagością pod dorodną
jabłonią świata
i drżą
bo za moment zza ugrów, zieleni
wymknie się płowa
żałocznosc

Jedyna nadzieja to czmychnąć
za blejtram
ale tam czai się mroźną serią
życie za życiem

Poznań, luty 2012 r.

Ogród rozkoszy ziemskiej

Z otoczakiem pod butem
na górskim szlaku
było nam jak z jabłkiem w dłoni
ten sam okrągły trud
póki na Krzesanicy czas – płomień ptasi
zagnieżdżony w mgle
nie zapalił nas w jej kuli
pod cienką skórą owocu
z pełnej gałęzi
ogrodu rozkoszy ziemskiej

Poznań, kwiecień 2012 r.

Bogusława Latawiec



Stasys Eidrigėvičius: *Flaga*, tempera, 21,5 x 17,5 cm, 1982 r.

ŁUKASZ MARCIŃCZAK

Nadberezyński Homer albo rozmowa między panami Florianem, Witoldem i Tadeuszem

Już pierwsze zdanie dźwięczy konkretem: *W głuszy bezkresnych zaberezyńskich lasów, w otoku dwóch rzeczulek chutor włók trzy*¹. Miłośnicy Tołstoja i Turgieniewa czują od razu, że przysmak ten – czemuż by nie porównać go do potrawy ze słowicznych języków serwowanej przez Trymalchiona – dziwnie i tajemniczo zakonserwowany, dla ich literackiego podniebienia będzie uczcią, której już się nie spodziewali.

Zaraz na pierwszej stronie możemy sobie uświadomić, w jakim świecie jesteśmy – podobnie jak fizjonomiści (i niektórzy portreciści) dostrzegają przynajmniej kilkanaście odmian zwyczajnego na pozór ludzkiego nosa, tak tutaj słyszymy o „murogu”, rodzaju łąki o *twardym, suchym, niebagnistym gruncie przeznaczonej na wypas dla owiec i koni*. A już na stronie drugiej uderza nas to, za czym od dawna tęsknimy w literaturze, bez reszty zajętej samą sobą albo „wątpiami” autora. Znajdujemy się w „czarowym” (a może zaczarowanym?) świecie sprzed odkrycia „szkół pisania”, kiedy jeszcze powieści pisali nieuczni. A ponieważ tworzyli – trochę niczym w malarstwie prymitywiści – jak widzieli (i nigdy więcej, niż widzieli), szorstki i mięsisty byt zagarnia w tej książce całą naszą uwagę – widzimy „samodziałowe” (kraciaste) spodnie, „kramną” (fabryczną, w odróżnieniu od domowej) marynarkę (czarną) i burą świtkę. Jesteśmy w sidłach kroniki, która uwięziła nie tylko dawny świat, ale też dawnych ludzi z całym inwentarzem. W takim świecie liczą się rzeczy, które można (a raczej – można by) wziąć do ręki. Zapamiętane i przywracane teraźniejszości w skali 1:1. Więc wyszedł z lasu człowiek: *do rzemienia od torby przypięta była naprzeciw serca żółta, szerokości dłoni blacha, z wrytym w języku ruskim napisem: „Lesnoj storoz”*.

Jakże przyjemnie dać się znowu prowadzić opowiadaczowi snującemu historię, która się wydarzyła i dlatego już się nie wydarzy – w odróżnieniu od historii, jakie podobno wydarzają się zawsze i wciąż na nowo albo mogłyby się wydarzyć, choć się nie wydarzyły. Słuchać człowieka, który widział, dotknął i zatęsknił do czegoś, co kiedyś znał i kochał; tego, kto swoje życie przeżył, a nie poddał „narracji”; kogoś, kto – na szczęście – nie dowiedział się nigdy o istnieniu Rolanda Barthesa, który wiedział o powieści wszystko, chociaż nigdy żadnej nie napisał.

To jedno z najdziwniejszych zjawisk literackich w XX wieku – dwaj Polacy, prawie rówieśnicy, na drugim krańcu świata, w Argentynie, niemal równocześnie pisali dzieła, z których jedno całe było z wieku XIX, a drugie zapowiadało wiek XXI. Z całą pewnością w polskiej literaturze XX stulecia nie znajdzie się dzieł równie antypodycznych, jak powstałe o miedzę – w Argentynie! – *Nadberezyńcy* i *Trans-Atlantyk*. Ich autorzy kompletnie jakby nie zauważali, gdzie są, i opętańczo pisali o Polsce, choć nazwą tą określali

¹ Cytaty z książki Floriana Czarnyszewicza podają za – *Nadberezyńcy, powieść w trzech tomach osnuta na tle prawdziwych wydarzeń*. Wydawnictwo ARCANA, Kraków 2011, ss. 638.

rzeczy całkiem odmienne, a w gruncie rzeczy równie sprzeczne – jak oni sami. Polskę A zapowiadał urzędnik z banku, zaciągający z francuska, Polskę B przywoływał rzeźnik, pracujący wcześniej krótko jako policjant; jeden skończył uniwersytet, drugi cztery klasy szkoły powszechnej. I czy to nie paradoks, że w tej rzeczywistej Polsce (zamieszkaney, jak powiedziałby Giedroyc, przez „krajowców”) czytanie literatury tworzonej na emigracji zaczęliśmy od Gombrowicza, jeszcze w opłotkach XIX wieku piszącego dzieła nam współczesne, a kończymy odkryciem pisarza à la Władysław Reymont, który dziś wydaje się nam być rewelacyjnym i intrygującym?

Nigdy się nie spotkali – ale po co mieliby się spotykać? co mieliby sobie powiedzieć? A jednak w braku tego najnaturalniejszego pod słońcem Argentyny rendez-vous jest coś frapującego: dwaj polscy pisarze na wspólnej obczyźnie, myślący o Polsce od poniedziałku do niedzieli, cali nią przesiąknięci, dumni z niej i obolali nią, nie mają – prawdopodobnie, bo któż to wiedzieć może; wiemy tylko tyle, że z pewnością mogli się spotkać, ale się nie spotkali – nic sobie do powiedzenia. Może dlatego, że pan Witold był negatywem pana Floriana, orzeł dla jednego stanowił reszkę dla drugiego, czarne tu znaczyło białe tam. Ale czy to właśnie nie jest najwspanialsze? Czy nie świadczy o żywotności tej idei (Polski), która ma swoje maestoso i swoje capriccioso, dając się chwalić i pozwalając się potępiać? Przecież nie było, nie ma i nie będzie ani Polski Gombrowicza, ani Polski Czarnyszewicza – tak jak istnieje Polska Stasiuka, jak istniała Polska Żeromskiego czy Paska. Interesujące jest może to, że dwaj panowie z Argentyny pokazali, jaka mogłaby owa Polska być – jakiej pragnęli i pragną zwolennicy obu „Argentyńczyków”. A czy naród wydający tak sprzeczne wizje nie poświadcza tym samym swojej szczególnej „woli mocy”? Czy przedstawiciele tzw. filozofii życia nie dowiedli, że fenomen życia polega na tym, iż wypełnia ono sobą koryto teraźniejszości po brzegi, a jednak całe wychylone jest w przyszłość, ponieważ istnieje w nim podskórna siła, jakaś swoista rozumność, każąca mu przewidywać i sposobić się na awaryjne warianty przetrwania w przyszłości; i dlatego każda nagła zmiana warunków, konieczność przelania się do nowego naczynia, nigdy nie zastaje życia niegotowym i w każdą nową szczelinę wlewa się ono hucznie, po królewsku? A więc czyż desperacko musimy się upierać, że dwa projekty „polskości” to zawsze o jeden za dużo?

Sam Czarnyszewicz podobno mawiał o sobie – „samosiejka”. A to przecież pisarz całą gębą – biegły w opisach przyrody Żeromski nie napisałby lepiej: *Ranek był jak szkło. Słonko wytoczyło się już nad las, oświecając większą część polany i ścianę boru. Puszcza, z której przyszli, drzemala jeszcze w cieniu. Nad łąką mieniącą się kwieciami snuły się pszczołki, zawodząc melodyjnie i fruwały barwne motyle. Kępy jaworu i sitowia nad rzeką perłyły się bujną rosą. Rzeka przeświecała się z brzegu na wylot, ukazując rybki maleńkie igrające ze sobą w wodzie, żwirek i kamuszki na dnie. Toczyła się gładką jak szkło lawiną, cicho, ledwie szemrząc. Ileż czułości w tych „kamuszkach” – istny ocean perspektyw dzieli je od „naczynia założycielskiego” współczesnej polskiej literatury, czyli złotej spluwaczki (złota jest i basta!).*

Arcyciekawe są zachowane we wspomnieniach uznanych dziś autorów superlatywy po lekturze *Nadberezyńców*; warto je przywołać, albowiem one właśnie stawiają przed nami najciekawsze pytania. Czesław Miłosz zanotuje: *Wystarczyło jednej stronicy, ażebym uległ wpływowi tego narkotyku i przeczytał jednym tchem 577 stronic dużego formatu²*; Józef Czapski zwierzy się Stempowskiemu: *Język słowotwórczy, dźwięczny, półbiałoruski. Konkretność wizji, miłość ziemi, drzew, chmur, obok której Reymont sztuczny jest i zimny, obok której myśleć można tylko o „Panu Tadeuszu”. (...) Wierz mi, ta książka, nad którą z Marysią jak stare osły płaczemy ZOSTANIE i będzie świadczyć*

² Podaję za *Posłowiem* Macieja Urbanowskiego do wydania *Nadberezyńców* z 2011 roku.

o tamtej *Atlantydzie*³; Jędrzej Giertych jak zawsze pójdzie w porównania: *Polska szlachta zagrodowa ma w literaturze szczęście. Po Dobrzyniu z „Pana Tadeusza”, po Laudzie z „Potopu”, po Bohatyrewiczach z „Nad Niemnem”, otrzymujemy czwarty pomnik: Czarnyszewicza Smolarnię*⁴. Przyznajmy, że niecodziennie można usłyszeć mówiących jednym głosem Miłosza, Czapskiego i Giertycha – wszyscy zachwyceni! Czym zatem tłumaczyć, iż dziś czytelnik ma wrażenie, jakby tę powieść obracał jakiś młynek modlitewny i echo grało zamiast orkiestry?

Znany wszystkim epizod z *Ogniem i mieczem*, kiedy Zagłoba ufryzowany na ruskiego dida, a Kurcewiczówna na wyrostka-niemowę przedzierają się samowtór przez zrewoltowane Zadnieprze, powróci echem i cieniem zamajaczy w powieści Czarnyszewicza dwukrotnie – najpierw, gdy główni bohaterowie udają małżeństwo, zapuszczając się daleko w bolszewickie pozycje jako wywiadowcy, innym razem, kiedy do polskiego zaścianka przychodzi w przebraniu bolszewicki komendant z pomocnikiem udającym żebraczkę – komendant niesie nawet teorban! A sympatyczny Mieczyk Piotrowski jawi się wręcz może hydrą lernejską naszej literatury – posiada spryt Zagłoby, będąc także już w jego latach, co nie przeszkadza mu (ani autorowi) pozostawać młodzieńczo walecznym i arcyskutecznym w bitkach niczym Wołodjowski. Wszystko w tej powieści zdaje się być nieciąglym, dygresyjnym komentarzem, w którym jedne skojarzenia nakładają się na drugie – nie tylko jeden bohater przechodzi w drugiego (że Kościk to Skrzetuski nie może być wątpliwości, skoro Karusia, czyli Helena, ma wszelkie dane pozostać jego żoną – gdyby zmarła, miałby rysy Zbyszka z Bogdańca), ale też jedne utwory w inne – wątek szkoły rosyjskiej, jakby z *Ludzi bezdomnych*, podprowadza nas pod zamasyżcie sienkiewiczowski opis bitwy, która kończy się weselem rodem z Reymonta (będąc jednocześnie antyweselem Wyspiańskiego, albowiem bohaterami tej powieści zarządza solidarność genów i nie ma w niej miejsca na defetystyczne roztrząsania).

A więc co – palimpsest? puzzle literackie? O paradoksie! Dziś ta powieść to jakby wielki eksperyment postmodernistyczny. Cóż z tego, że tak nie było – istotne, że dzisiaj nie potrafimy jej odczuwać inaczej. A może też patrzymy na nią jak na odkryty apokryf chrześcijański, od którego wiary ani nie ubywa, ani niczego nie przyrasta, ale którego samo istnienie pokazuje, gdzie wciąż przebiegają granice ortodoksji polskiej literatury? Bo nauczeni historią jedno wiemy na pewno – bywając na wieczorynkach u Czarnyszewicza, nie możemy liczyć na zaproszenie na szwedzki stół do Gombrowicza. I kto właściwie przeszarżował? Gombrowicz czy Czarnyszewicz?

Wiele zdumień budzi ta powieść, ale wydaje się, że największe z nich trafnie formułuje najwnikliwszy jego czytelnik, Maciej Urbanowski: *Ta książka jest z rodzaju tych, które czytając, myśli się o „Pana Tadeusza”, a więc zestawia się ją z arcyeposem literatury polskiej, ale ciekawe, że wszyscy krytycy, którzy czytali powieść, zestawiali ją właśnie z dziełami największymi, a więc „Chłopami” Reymonta, „Nad Niemnem” Orzeszkowej, „Cichym Donem” Szołochowa czy „Błogosławieństwem ziemi” Hamsuna. Tym większe zatem zaskoczenie, że ta książka z takim trudem przebija się do świadomości nawet historyków literatury (...) – z jednej strony „Pan Tadeusz” XX wieku, a z drugiej strony biała plama, książka nieznana, zapomniana, mająca kłopoty z dotarciem do czytelnika*⁵.

A trzeba przypomnieć, że wydana przez „Arcana” w 2011 roku powieść nie wynurza się niczym Troja odkopana przez Schliemanna, albowiem pierwsze wydanie *Nadbereźniców* ukazało się w środowisku argentyńskiej Polonii już w 1942 roku. To raczej sam autor objawił się niespodzianie – jest nieomal

³ Tamże.

⁴ Tamże.

⁵ Wypowiedź z wyemitowanej 16 sierpnia 2010 roku w programie II Polskiego Radia audycji „Pan Tadeusz» XX wieku”, którą przygotowały Dorota Gacek i Elżbieta Łukomska.

pewne, że w momencie opublikowania tej powieści liczący sobie 42 lata Czarnyszewicz niczego wcześniej nie wydrukował. Potem – w 1976 roku – książka została opublikowana w Kanadzie i aż do otwarcia granic przed literaturą emigracyjną trzeba się było kontentować albo edycją z Buenos Aires, albo tą z Toronto. Powieść ta jednak jeszcze w czasie wojny dotarła do polskich żołnierzy w Szkocji, wkrótce też do Giedroycia, do Miłosza, do Giertycha i mówiono o niej wyłącznie z adoracją. Uznanie, jakie *Nadberezyńcy* przynieśli Czarnyszewiczowi w środowisku emigracji sprawiło, że w kolejnych latach napisał jeszcze trzy kolejne powieści – o drugiej z nich Czapski, może najbardziej oczarowany tą twórczością, mówił jako o książce, którą czytelnik raz wzięwszy do ręki nie odłoży aż z wypiekami na twarzy i gorącymi uszami przeczyta do ostatniej strony⁶. Jednakże dopiero po półwieczu funkcjonowania dzieła w obiegu czytelnicznym na Zachodzie – w roku 1991 – dostaliśmy pierwsze wydanie krajowe, a tym samym możliwość sprawdzenia recepty wypisanej przez Czapskiego (recto: Czarnyszewicz). Warto w tym miejscu zauważyć, że powieść udało się opublikować nie gdzie indziej, ale w Lublinie, w wyrosłym z drugiego obiegu wydawnictwie „Fundusz Inicjatyw Społecznych”; można też dodać, że to właśnie w „Akcentcie” trzy lata przed wydrukowaniem książki w Polsce ukazała się najpewniej pierwsza w prasie krajowej recenzja *Nadberezyńców* – naczelny znał wtedy powieść tylko z emigracyjnych omówień, ale skłonił prof. UJ Mariana Stępnia (z którym złączyła go trwała predylekcja do epiki Danuty Mostwin), żeby o książce poinformował czytelników „Akcentu”⁷. I teraz, po kolejnych dwudziestu latach, oglądamy akt IV (niewiele różniący się od III) – choć jest wiele pochlebnych opinii, książka nadal „przebija się z trudem”.

Doświadczamy czegoś niesłychanie tajemniczego – Andrzej Bobkowski czy Zygmunt Haupt weszli w krwiobieg naszej literatury, a Czarnyszewicz, jak był rarogiem, egzotycznym okazem rozpatrywanym w wąskich kręgach „sentymentalistów”, tak i pozostał. A przecież gdy powieść szukała nowej formy, niejeden z naszych krytyków nawoływał: „a gdzie niegdysiejsze śniegi!?”. No i wymarzony epos się pojawił – biały jak komunijny garnitur, czysty jak źródło, święty jak pierwsze kochanie, ale cóż z tego, kiedy w nas nie przenika. Dźwięczy w uchu, jednak jakby echem; wzrusza, ale jak stary album; zachwyca, lecz gdzieś daleko w piwnicach serca, niczym zagrzebane wspomnienie, ongiś drogie, ale dziś zwietrzałe, starannie przekładane lawendą i naftą. Wypchany ptak. Otoczony szacunkiem, delikatnością wspomnień; tym bardziej, im z czasem staje się kruchszy – pamiątka, którą w razie pożaru zabiera się pierwszą, ale powiedzmy sobie jasno: martwy ptak, którego nie zmuszą do lotu ani hymny, ani dzwony kościelne. Literatura od dawna już siedzi na innych gałęziach, na innych drzewach rodzą się pisklęta. Żyjemy w epoce Gombrowicza (i Houellebecqa), który nas obłazi i drażni, a Czarnyszewicz nas wzrusza, ale nie obchodzi. Może literatura jest równie okrutna jak miłość, nie będąc sprawą myśli lub pragnień, i jak wszystkim w życiu rządzi nią – krew?

Uważna czytelniczka Czarnyszewicza, Anna Nasalska, wskazuje na jeszcze jedną ekstremaryjną cechę dzieła: *Jest to pierwsza z wielkich powieści Floriana Czarnyszewicza, a jej szczególność polega na tym, że do końca autor stwarza wrażenie, jakby tej swojej Białorusi nigdy nie opuścił. Nie chodzi mi nawet o język, ale w silniejszym jeszcze stopniu o horyzonty poznawcze, które w tym utworze można zrekonstruować jako świadomość człowieka stamtąd*⁸. Ale czy w literaturze (a epos zdaje się pod tym względem najambitniejszą jej realizacją) nie chodzi właśnie o to, by uchwycić całe bogactwo pewnego dziejowego punktu w stanie entelechii, i czy wielkość Czarnyszewicza nie

⁶ Wypowiedź z audycji „Pan Tadeusz« XX wieku”, zob. przyp. 5.

⁷ Zob. „Akcent” 1988, nr 2.

⁸ Wypowiedź z audycji „Pan Tadeusz« XX wieku”, zob. przyp. 5.

polega na znalezieniu formuły, która objęła jeszcze i Miłozsa, i Czapskiego, i Giertycha, i Wańkowicza? Czy dzięki temu nie dostaliśmy jakiegoś klucza do nich wszystkich? A także do świata wielu kresowych miast i miasteczek, wiodących w polskiej literaturze życie podarowane, w dawnej przestrzeni i poza czasem; klucza do nieistniejących złotych bram Kijowa i Mińska, Wilna i Lwowa, Drohobycza i Czerniowców, ze swoimi rzekami i rzeczułkami. Niektóre zapisały się mocniej – inne, trudno powiedzieć dlaczego, słabiej, jak niedoceniony Mohylów nad Dniestrem z *Opowiadań podolskich* Juliana Wołoszynowskiego, w którym życie krąży nie gorzej, a niekiedy lepiej niż u Czechowa. Ale Bobrujsk – na wschodzie Białorusi, skąd najbliżej do Rosji – nie miał swojego Homera. Berezyna kojarzyła się nam dotąd prawie wyłącznie z dramatyczną przeprawą wojsk Napoleona – teraz rzeka ta uwzniośla się i polszczy, pojawiając się w nostalgicznym atlasie ze swoimi lepiej znanymi siostrzycami: Niemnem, Wilejką, Smotryczem i wszystkimi rzekami Hellady, zmierzającymi przecież do Styksu. Bo czy tamten Bobrujsk nie leży nad Skamandrem, tamta Troja nad Berezyną?

Nadberezyński Homer pozostaje tak samo prawie tajemniczy jak ten spod Ilionu. Maciej Urbanowski chyba najważniej prześledził losy tego może najbardziej zapoznanego z naszych pisarzy – dopiero w ostatnich latach ustalono datę urodzenia Czarnyszewicza, z ogromnym trudem zdobyto jego fotografię, a do dziś nieznane są losy jego żony i córki. Wiadomo, że urodził się w 1900 roku w okolicach Bobrujska i jako młodzieniec wziął udział w wojnie z bolszewikami, pełniąc rolę zwiadowcy. Po traktacie ryskim, który jego ziemie rodzinne oderwał od Polski, przeniósł się do Wilna, na niewiele ponad dwa lata zostając policjantem, bo już w 1924 roku emigruje do Argentyny, gdzie przez 30 lat pracuje jako robotnik w rzeźni. Umiera w 1964 roku w argentyńskim Villa Carlos Paz, kompletnie nieznanymi czytelnikom w Polsce, choć wielu z nich przejrzałoby się w elegii, jaką żegnała Czarnyszewicza Maria Czapska w „Kulturze” paryskiej: *Zabrakło człowieka szlachetnego i świadka rzetelnego całego szmatu historii ziem północno-wschodnich dawnej Rzeczypospolitej, dzisiejszej Białorusi sowieckiej. Dziesiątki, a może setki tysięcy ludzi doświadczyło w ciągu pierwszego 20-lecia tego wieku podobnych losów co Florian Czarnyszewicz, na tych zawsze najazdami zagrożonych ziemiach, o sprzecznych wpływach wschodu i zachodu, o złożonej kulturze, wielojęzycznego, wielowyznaniowego kraju. Ale jeden tylko Czarnyszewicz dał nam poznać, dotknąć, spamiętać dzieje tamtych lat*⁹. Powodem emigracji pisarza było zapewne – suponuje Urbanowski – *rozczarowanie Rzeczypospolitą podobne temu, którego doświadczał sławny bohater „Przedwiośnia” Cezary Baryka, rówieśnik autora „Nadberezyńców”*¹⁰.

A jednak – w przeciwieństwie do Baryki – Czarnyszewicz pozostał impregnowany na „światło ze wschodu”, jak wszyscy, którzy widzieli je z bliska; tutaj z pewnością był w awangardzie, przenikliwie ukazując „ciemne jądro” rozlewającej się dopiero i działającej na wyobraźnię sporej części inteligencji komunistycznej idei. Zgoła nie sposób wyobrazić go sobie pod czerwonym sztandarem, aczkolwiek wyraźnie wyczuwalna jest fobia Czarnyszewicza wobec ziemiaństwa; w prywatnych listach tłumaczył się nawet po latach z motta pierwotnie nadanego powieści: „nie za burżujów idziemy”. *Nadberezyńcy* to bowiem wizja polskości wobec zagrożenia ścieśnionej do imponderabiliów i symboli, do twardego „non possumus”, na którym po latach oparł się kardynał Wyszyński; można przypuszczać, że ten hierarcha, który wyjątkowo silnie splótł powinności religijne i narodowe, chwaliłby *Nadberezyńców* nie mniej niż wahlipy religijnie i narodowo Miłozs – i dlatego również ta powieść wydaje się ważna w obecnym dyskursie o polskości, uosabianym najpełniej w naszej literaturze od kilku lat przez Jarosława Marka Rymkiewicza.

⁹ Podaję za tekstem audycji „Pan Tadeusz« XX wieku”, zob. przyp. 5.

¹⁰ Zob. *Posłowie* Macieja Urbanowskiego do wydania *Nadberezyńców* z 2011 roku, s. 626.

Oglądane od tej strony „widzenia znad Berezyny” dobitnie pokazują, czym mogłaby się stać ta kresowa epopeja, gdyby Czarnyszewicz nie wyrósł w tradycji każącej pisać powieści trybem Kraszewskiego, ale też nie powinno dziwić, że póki PRL-u, póty ten łatwiejszy przecież od Gombrowicza pisarz z Argentyny musiał tkwić na indeksie. Burzliwy okres tuż porewolucyjny opisany jest bowiem w powieści przenikliwie i po mistrzowsku; Czarnyszewicz ujawnia tu talent – chciałoby się powiedzieć – „reportażysty” przełomu historycznego, nie tylko pokazując jak wygląda rewolucja, ale także jak wyglądała na początku, arcycelnie przy okazji charakteryzując ów „proletariat”, który przecież okazał się tak samo bezwyznaniowy i ponadnarodowy, ponadklasowy i bezrefleksyjny, jakim na zawsze pozostał: *Chłopów ogarnęło zdziwienie i trwoga. – Co będzie z nami muzykami bez batuszki cara?! Co stanie się z matuszką Rosją?! – rozpaczali. Inteligencja, robotnicy, mieszczenie, Żydzi, światlejsza część Polaków, tudzież innych mniejszości, cieszyli się, urządzali manifestacje, wiece, intrygi, śpiewali hymny na cześć rewolucji, wiwatowali – chłop prawosławny przyglądał się temu biernie, ze smutkiem i niepokojem. W głoszonych hasłach nie widział dla siebie żadnych korzyści i nie wierzył w nie. – Swoboda wyznań, myśli, słowa! Jaka łaska. Alboż to przedtem nie mógł człowiek myśleć, o czym chciał, nie mógł klnąć matuszkę, kiedy się podoba. Swoboda druku... Co ludziom z tego druku, jeżeli mało który czytać umie? Równość!... Braterstwo!... Polak z Żydami nam ruskim równi?! – Przenigdy. Demokracja! To człowieka najwięcej niepokoiło. Nie rozumiał znaczenia tegoż słowa, jednak domyślał się, że to coś wspólnego z „krażą”. Wprawdzie sam kradł, gdzie się tylko dawało, ale wiedział, że to jest zakazane. Zresztą jaki sens będzie, jeżeli wszyscy swobodnie zaczną kraść. Kogo będą kradli? Samych siebie?*

Wszak ruszyła lawina, bo skoro człowiek ahistoryczny dostał pozwolenie wypasania bydła w pańskich lasach, a potem również zbierania chrustu, to resztę dopowiedział sobie jak umiał: – *Jeżeli mamy prawo zabierać wierzchowiny i wykrocie – wmawiali w siebie – to czemu nie wolno ma być ciąć suchostój? – Wszak to również martwe – walili suchostój. A potem: – Jeżeli nam zezwalają walić suche, martwe, to czemu nie mają zezwolić wędle, chore? W końcu: – Jeżeli wolno ciąć chorowite, to czemu nie wolno ma być zdrowe? Wszak i te w przyszłości mogą zachorować.* Tak zaczęli zwać całe lasy, następnie rabować dwory, a potem napadać na osady zamieszkałe przez Żydów i Polaków. A wreszcie nadano temu oddolnemu ruchowi po prostu formy instytucjonalne i skończyły się wszelkie nadzieje *inteligencji, robotników, mieszczań, Żydów, światlejszej części Polaków, tudzież innych mniejszości.* Niewykształcony pisarz znad Berezyny dostrzegł to wszystko, co trzydzieści lat później w liście do Miłosza charakteryzował Leszek Kołakowski: *Ale każda prawie filozofia czy doktryna, jak się staje wódką dla motłochu (motłochu, mówię, nie chłopów czy robotników, ale takiego tłumu, co nie ma gęby i chce jej, i każdą sobie przypnie, jaką mu dadzą), otóż każda wtedy jest taka sama i pod tym względem nie ma różnicy między nacjonalizmem polskim, komunizmem, faszyzmem, islamem i chrześcijaństwem*¹¹. Sam Czarnyszewicz najpewniej by się obruszył na to porównanie, zapachniałoby mu może salonową schołastyką (bo Sartre’a – na szczęście – także nie czytywał) – w odwiecznym sporze o uniwersalia pozostał zaprzysięgłym nominalistą. Jego egzageracje patriotyczne (po zajęciu Bobrujska przez Legiony gen. Dowbora) i religijne (podczas poświęcenia kaplicy przez biskupa Łozińskiego w Wończy) nie mają równych nie tylko w naszej literaturze, ale też chyba w publicystyce. Jak choćby ten żywy zapis wzruszenia po zdobyciu Bobrujska: *Wkoło strażę polskie, polskie miłe sercu słowa, strój, twarze, polski łopot chorągwi, szum lasu na wałach, polskich gwizd parowozów i zapachów powietrza. „Polskich gwizd*

¹¹ Leszek Kołakowski / Czesław Miłosz, *Listowny dialog*. „Zeszyty Literackie” 2012, numer specjalny Leszek Kołakowski. *Mądrość prawdziwa*.

parowozów” – jakiego braku trzeba doświadczyć, aby napisać podobną rzecz; by taką myśl w sobie odnaleźć, jak bardzo trzeba tęsknić?

Bo gdybyż ta powieść była tylko literaturą! – to coś znacznie więcej, i owo więcej jest może najsmakowitsze: *Z kęp łągowych wywijają się krzywymi haczykami paproć, rosnąc w oczach i rozkładając się jak palma, między nimi podnosiły się bujnie leżące, asak, kozielce, gdzieś indziej – w miejscach przepastnego bagna – wschodziła mokrzyca, kopytnik, rozrastały się rohoże i jawór. W moczarach brzozowych wylaniały się z kożuchów mchu chwoszcze skrzypiące, bobek i łyżeczki. Czarnolesia zazieleniły się szczawiem zajęczym i stożkami orzeszków ziemnych. Las odziewał się, szeleścił liśćmi, szumiał. Doliny borów sosnowych i otoki błot żurawinnych zabieliły się kwieciami bohunów, bujaków, brusznic. Na łąkach coraz jaskrawiej skrzyły się kwiaty łopuchów, goździków, lenku, dzięcielin. A zaścianek wprost tonął w kwieciu sadów, zieleni więzów i lip. Toż to nadberezyński zielnik, odtworzony w Argentynie listek po listku! A nie koniec na tym – znajdziemy w powieści solenne opisy śniadań i kolacji, weselnych obrzędów i pogrzebowych oracji, piosnek prześmiewczych i wierszy okolicznościowych, a więc gęsty „las rzeczy”, który wymyślili nasi praszczurowie na pohybel niepamięci. Zapis mentalności, lecz i coś jeszcze – dokument filologiczny i geograficzny, etnograficzny i socjologiczny; już nie owoc kwerend Sienkiewicza czy Reymonta, ale świadectwo. Okazuje się, iż nie w Krakowie, ani nawet na Litwie, ale gdzieś nad Berezyną, tak daleko, że dalej już się nie da, Polski było najwięcej. Jeżeli nie można nazwać tej powieści skarbem literatury, to z pewnością jawi się ona „skarbczykiem polskości”. Być może nazbyt jest naiwna, iżby była prawdziwa, ale też w literaturze polskiej nie pojawiła się dotąd podobna jej baśń. Bo czym jest ta powieść przede wszystkim – czy nie Polską domknętą w mit?*

I może dlatego nie sposób już czytać tej książki tak, jak czytali ją Czapski czy Miłosz, żadne magiczne zaklęcie nie sprawi, że poczerwieńnią nam uszy – wierzymy, że czytając ją, Czapski płakał, ale my już płakać nie potrafimy; zawieramy Miłoszowi, że nie był w stanie oderwać się od tych 577 stron (w najnowszym wydaniu rzecz liczy stron 623), ale my odkładamy ją bez bólu, aby przejrzeć gazety. Chcielibyśmy inaczej, przywołując na swą obronę sławne zdanie kancelaryjnego kopisty nazwiskiem Bartleby z noweli Melville’a, który poproszony pewnego razu o zrobienie kroku dalej w swoich przyzwyczajeniach, delikatnie odmawia słowami „wolałbym nie” – co stanie się wkrótce jego zawołaniem. Bartleby pozostanie wolny i niezreformowany, ale skończy jak najgorzej, odizolowany od życia. Czyż Gombrowicz, wciąż w kolejnych przedmowach usprawiedliwiający się z Synczyzny, nie ukazuje najdobitniej, jak trudno przestać być „kopistą”? Jednak nie łudźmy się, że to takie proste – mniej może niż Gombrowicz cudzoziemski Miłosz, szarpiąc się jak jazgarz, wyznawał: *Od sprawy polskiej nikt z nas nie potrafi się oderwać ani od niej „abstrahować”, tzn. potrafić to potrafi, ale za cenę zupełnej anomii i utraty jakiegokolwiek kierunku. Być może nie powinniśmy nic na ten temat mówić, bo nie pierwszy to rok, kiedy co robić nie wiem, tyle wiem, że pacjent (ja) umrze, kiedy wyzdrowieje z tej choroby*¹².

Ale wracajmy do naszych baranów. Urbanowski nazywa tę powieść „nekrologiem” polskości i jest w tym coś boleśnie trafnego, być może nawet zamierzonego przez autora, który przecież nieprzypadkowo otwiera *Nadberezyńców* widmem zagłady polskiego zaścianka atakowanego przez podburzone chłopstwo. Bałaszewicze, przy pomocy sąsiadów, jeszcze tym razem zwyciężą, ale cień nad nimi jest już zawieszony – oni, tak jak i my, domyślają się, że to najeźdźcy będą górą. W tym także znajdziemy podobieństwo z największym dziełem Sienkiewicza i sławnym otwierającym je passusem: *Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś kłęski i nadzwyczajne zdarzenia. Współcześni*

¹² Tamże.

kronikarze wspominają, iż z wiosny szarańcza w niesłychanej ilości wyroliła się z Dzikich Pól i zniszczyła zasiewy i trawy, co było przepowiednią napadów tatarskich... Ale przecież i *Pan Tadeusz* zaczyna się od słów: *Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie. / Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, / Kto cię stracił...* Czarnyszewicz dokonał rzeczy jedynie możliwej – świat skazany na śmierć uroczyście wywyższył, przemieniając ubogą szlachtę razem z wiejskim pejzażem w arkadyjski oleodruk. Bo przecież na rok 1918 – skoro ów przyniósł traktat ryski – patrzył z tym samym uczuciem, z jakim kolejne przegrane insurekcje przyjęli kiedyś Mickiewicz i Sienkiewicz. Mickiewicz – Sienkiewicz – Czarnyszewicz, Litwa – Ukraina – Białoruś: tak, ta powieść domyka pewien inwentarz strat i pewnie stąd jej ton, którego dziś już nie potrafimy podjąć w tym samym miejscu.

Anna Nasalska wychwyciła zresztą ciekawą zbieżność pomiędzy tą powieścią i najczęściej porównywanym z nią *Panem Tadeuszem*: *Podobna nuta po-brzmiewa w „Panu Tadeuszu” i „Nadberezyńcach” – zawód, rozpamiętywanie przegranej. Sam okres, który został w „Panu Tadeuszu” zaakcentowany, jest to czas związany z gwiazdą Napoleona, z nadziejami, jakie Napoleon wzbudza. I tutaj mamy do czynienia dokładnie z takim samym momentem w życiu narodu – kiedy zostają rozbudzone nadzieje na odbudowanie polskości tam, na pewną sprawiedliwość historyczną, która dokona się na tych terenach. Taką gwiazdą, postacią koncentrującą uwagę tej ludności jest gen. Dowbor, który funkcjonuje wręcz jako postać symboliczna*¹³. Przypomnijmy, że gen. Józef Dowbor-Muśnicki stanął na czele tzw. I Korpusu Polskiego w Rosji, sformowanego w lipcu 1917 roku z żołnierzy polskich wywodzących się z armii rosyjskiej, mającego wspierać Rosję w wojnie z Niemcami. Jednak sytuacja na froncie i wewnątrz Rosji doprowadziła niebawem do otwartej wojny Korpusu z oddziałami Armii Czerwonej, w wyniku czego Polacy zdobyli Bobrujsk i Mińsk Litewski. Jednak te świetne zwycięstwa okazały się krótkotrwałe, albowiem po zawarciu traktatu brzeskiego Korpus został rozbrojony przez oddziały niemieckie, a większość jego żołnierzy udała się do Warszawy. Dla nadberezzyńskich Polaków, którzy na tę wyśnioną przez siebie Polskę czekali od dziesiątków lat, rozwiązanie się Korpusu i przekazanie tych terenów bolszewikom było końcem świata i ostatecznym tutaj kresem polskości. Czarnyszewicz przeniósł ją przez ocean w stanie właściwie nietkniętym, wierząc, że w interesie ludów nie tylko nad Berezyną, lecz i nad Dnieprem należało nieść Polskę jeszcze dalej na wschód; do końca z goryczą powtarzał, że istniała taka możliwość: *Gdyby na czele Korpusu był nie tylko dobry gospodarz i organizator, ale też przebiegły i śmiały, o nieprzeciętnym geniuszu strategicznym polityk. A tego właśnie brakowało Dowborowi*. Wywodzący się z ziemi mińskiej krajan Czarnyszewicza Melchior Wańkowicz, wówczas jeden z młodszych oficerów przy Dowborze, zbuntował się przeciwko jego rozsądnej geopolitycznej decyzji o rozbrojeniu, za co przyszedłemu pisarzowi groziło nawet rozstrzelanie. Niewątpliwie także dlatego napisał przedmowę do drugiej powieści Czarnyszewicza.

A może ta powieść, dzieło debiutanta i naturszczyka, jest tylko z pozoru naiwna? Bo to w rzeczywistości nekrolog, gwóźdź do trumny pewnej epoki w naszej historii i literaturze, a pewnie i archetypu polskości – jak wiele na to wskazuje – wyczerpanego. Z pewnością znajdują się jeszcze kościoły, gdzie gwóźdź ten będzie się cieszył podobną estymą jak gwoździe Chrystusowe – boć, chcąc nie chcąc (cóż z tego, że bardziej nie chcąc), musi przyjść na myśl Benedykt Chmielowski i jego *Nowe Ateny*, odczytywane dziś jako szczególnie jaskrawy przykład anachronizmu (a przecież gdy dzieło to powstawało, cieszyło się uznaniem nie wśród knieci i pokątnych alchemików, ale ówczesnych ludzi aspirujących do uczoneści), do których również straciliśmy klucz. Najpewniej zawsze bywały dzieła, w których tak wiele mieściło się

¹³ Wypowiedź z audycji „Pan Tadeusz» XX wieku”, zob. przyp. 5.

teraźniejszości, swojskości czy oryginalności, że przy spojrzeniu na te utwory z innej perspektywy w całości zmieniały się w hieroglify, artefakty albo kurioza – zanika pewien sposób postrzegania świata, jeden paradygmat zastępuje inny i nierzadko wybitne dzieła naukowe czy literackie stają się swoim zaprzeczeniem w oczach przybyszów z przyszłości. Jak *Nowe Ateny* były summą ówczesnej nauki poszukującej anomalii, najlepszym i najpełniejszym opisem horyzontów i zainteresowań europejskiego uczonego u początku XVIII wieku, tak u schyłku tego wieku, który zachłysnął się oświeceniem i szukał w naturze prawidłowości, raptem zaczęły jawić się symbolem parafianśzczyzny. Podobna przygoda, zdaje się, nie ominęła *Nadberezyńców* – w latach 40. jeszcze istniała ciągłość między nimi a powieściami wcześniejszymi, jeśli nawet nie decydowały o tym motywy i użyte środki pisarskie, to patronował im wspólny klimat duchowy. Natomiast już w latach 80. dzieło to zaczęło być ciekawostką, w którym dominuje egzotyka. Istnieją utwory na przestrzeni jednego pokolenia starzejące się równie szybko, jak – aby trzymać się literatury – monstrualna Sara Braga z opowiadania Stefana Grabińskiego, która licząc sobie lat osiemdziesiąt wyglądała na mniej niż trzydzieści, aż w ciągu jednego sezonu „zwiądła jak kwiat zwarzony jesiennym szronem”¹⁴, albo jak król Dawid, który *zestarzał się był i miał wiele dni wieku, a gdy go odziewano szatami, nie zagrzewał się* (zob. S. Grabiński: *W domu Sary*). A są inne, jak napisana stulecie przed *Nadberezyńcami* Prusowa *Lalka*, których jakby czas się nie ima. Może nie warto starać się za wszelką cenę znaleźć odpowiedź, dlaczego tak się dzieje? Być może literatura jest i powinna pozostać tajemnicą? I może dobrze, że zachwyca to, co nie powinno, a nie odwrotnie.

Wiedząc, że klucz do tamtego świata leży na dnie Styksu, zajrzyjmy za kulisę, kiedy świat ów jeszcze pełnił się bujnie: *Nahodowało się tych krasek przez półczwarta roku wojny, niczym poziomek, ukrytych przed ludzkim okiem gdzieś w nieprzystępnych złomach. (...) Dalej siedziały: Helka z Wilcią Oleńszczanki, przezywane za piskliwe głosiki Szczebiotkami, drobne, ale związane jak ogóreczki, na twarzyczkach zgrabne, sympatyczne; Polka Winiarska o bieluchnej, delikatnej cerze i o długiej łabędziej szyi, niczym hrabianka; Kaska Ściepurzanka – rosla, powabnie składna, twarz jak malinka; Karusia (...) wzrost miała wyżej średniego, stan smukły, kształtny, tydki i ręce jak utoczone, twarzyczka proporcjonalnie pociągła, lica gładkie z dołkami, brew ciemną, spojrzenie łagodne, a tkliwe, ruchy żywe, harmonijne. Liczni wielbiciele upodobniali ją do rusalki z ruskiego kalendarza... Czy nie tak właśnie powinno brzmieć dzieło nastawione na trwanie? Zupełnie inaczej opowiada się utwór, któremu przyświecają niespodzianka, chęć przekroczenia ustalonej formy, znudzenie powtarzalnym rytuałem: *Powidźże mnie: żadnego ty Postępu nie uznajesz? Mamyż w miejscu dreptać? A jakże ty chcesz żeby co Nowego było, gdy Stare wyznajesz? Wiecznież tedy Pan Ojciec syna młodego pod batogiem swoim ojcowskim mieć będzie, wiecznież ten młody za Panem Ojcem ma klepać pacierze? Dać trochę luzu młodemu, wypuścić go na swobodę, niech pobryka!* Nierozwiązywalną zagadką pozostanie jednak: dlaczego stał się o Polskę Ormuzd z Arymanem właśnie w Argentynie – zmysłowej ojczyźnie (synczyźnie) tanga?*

Ale skoro zaszczyliśmy aż tutaj, pójdźmy jeszcze – śladem tanga – kawałek dalej; gdyby Gombrowicz dochował się syna, ten prawdopodobnie nie chciałby „zestarzeć się w nowoczesności” swojego papy, więc można wyobrazić sobie, jak gdzieś w kąciuku młody człowiek czyta z zaczerwionymi uszami *Nadberezyńców* i płacze, a po pokoju dużymi krokami chodzi w niezapiętym tużurku Gombrowicz, wytrząsając się nad niedowarżonym młokosem tymi słowami: *Czy wiesz, ile trzeba było odwagi, żeby zatańczyć tango? Czy wiesz, że tylko nieliczne kobiety były upadłe? Że zachwycono się malarstwem naturalistycznym? Teatrem mieszczańskim? Mieszczański teatr! Ohyda! A przy*

¹⁴ Witold Gombrowicz: *Trans-Atlantyk*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988, s. 60.

jedzeniu nie wolno było trzymać łokci na stole. Pamiętam manifestację młodzieży. Dopiero w tysiąc dziewięćset którymś co śmielsi zaczęli nie ustępować miejsca osobom starszym. My twardo wywalczyliśmy sobie te prawa i jeżeli dzisiaj możesz sobie robić z babcią, co chcesz, to dzięki nam¹⁵. I może dlatego właśnie ta powieść ma posmak owocu zakazanego i chciałoby się nakręcić ją jak stary zegar, ale czy to się może jeszcze udać?

Łukasz Marcińczak

¹⁵ Sławomir Mrozek: *Tango*. Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1989, s. 23.



Stasys Eidrigėvičius: *Kurtyna*, tempera, 18 x 14 cm, 1981 r.

MARIAN JANUSZ KAWAŁKO

Skrzydłata pieluszka

na ławeczce w zaułku Spełnione
Marzenie płowowłosy chłopczyk o
moim rysopisie rozmyśla nad nowym
Przymierzem ze mną kreśli znaki nieskończoności i skończoności w powietrzu gęstym od Twych
zamyśleń jeszcze nie wie że gdy dojrzeje w naszej

wyobraźni zabraknie dla niego miejsca nawet na
papilarnej spirali pamięci po płowowłosym
chłopczyku pozostanie tylko skrzydłata
pieluszka i mała kriogenna mrówka na
moim ciele cichociemne oczy płowowłosego
chłopczyka przepastnieją bezdomnie nagłe i magiczne kliknięcie
w clipart a będziesz już mogła bezpiecznie
wylogować ze słonecznego dysku wyobraźni
spełnione marzenie

Dokąd

przebiegający biegli przebiegnięci
do cieni swych dorysowani
z ukrytym w oczach skrawkiem tęczy
i najprawdziwsi tylko na nim

niby książe niestrudzeni
lub aniołowie nocnych straży
dokąd zdążamy uwiedzeni czymś
co z martwością się kojarzy

dokąd prowadzą nas rozstaje
marzeń
bez końca i początku

gdy nawet sen
nam spać nie daje
a ból zaczyna się od
wrzątku

dokąd nam jeszcze biec wypadnie
w maskach bez których nam
do twarzy

czekam
jak w sieć złowione jagnię
na

azyl

Psalm o niezłomnym poszukiwaniu

Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi

gdzie jesteś Panie Wichrów
pytają poeci
czy tylko w rdzawym knotku
co nad woskiem świeci

czy może stoisz w cieniu
kosmicznego Dzwonu
gdzie nie ma nawet śladów
zbląkanych protonów

a może Cię zakrywa
metaliczny wodór
albo blask krugerrandów
albo kaptur z lodu

gdzie jesteś
Panie cierni
rozsianych po
czasie
czy w Ziarnie obumarłym
które mówić zda się

czy może w czarne
struny
drgające jak rosa
wpisałeś imię Swoje
znakami Chronosa

a Labirynt
czyż nie jest

dla Ciebie ostoją
gdzie nawet wszyscy święci
zapuszczać się boją

choć bledną poeci
choć głowią się głowy
nikt nie doszedł Twych kresów
nawet do połowy

Psalm z natury

*Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi
po wtóre*

kto byłby lepszym wieszczem
w Twoim milanówku
może jeź szorstkonosy
może mysz
w ołówku
albo kot – na szprejduchu
gdy się wylegiwa
i nie szkodzi mu nawet
setna pchła parszywa

a gdyby wyszła z głogów
szpotawa i kosa
lisica
co na pamięć zna księgę
Amosa
i gdyby w pień wysiekła
gorące pokrzywy
by kreta martwy kurhan
wyglądał jak żywy
ażby zazgrzytał gawron
jak rdzawe żelastwo
wprzód półnutą
ósemką
a w końcu szesnastką

czy wziąłbyś ich za wieszczów
bez anielskiej maski
wszak im też dałeś
Słowo

że uświadczą
Łaski

Ballada o wędrujących

Jarosławowi Markowi Rymkiewiczowi
tertio

szedł Poeta Półbosa
w jesień otulony
poza dnię poza nocę poza
świata strony

szedł Poeta
prowadząc niewidzialnych świętych
z nicości do niebytu
przez rędzin fermenty:
ślepe wrony pustułki posiwiałe
słonki
i szaraki – bękarty matecznej nagonki

idąc czytali *Zohar*
solo i na głosy
jak wędrowna *jesziwa*
poprzez traw paczosa

a obok szła lisica
świecąc im kwazarem

Bóg milczał
przemieniony w *Torę* i *Gemarę*

choć ich ciała dymiły jak
pogorzelsko
oni szli jakby Stwórcy posiadli
nazwisko
jakby się w kartografii ćwiczyli
z zarania

Bóg wciąż milczał
a *Magog* zwidy im odślaniał

aż Pan rzekł
w milanówku eden bez was
zgaśnie

i odrzekł Mu
Poeta

stamtąd idę właśnie

i poszli
w oczerety czasu zapatrzeni

zda się negatyw świata

ostatek jesieni

Marian Janusz Kawalko

Bohdan Zadura: sny moich ukraińskich przyjaciół

SOFIA ANDRUCHOWYCZ

Sen o psie i gęsiorze

Spałam w łóżku z białym gęsiorem. Na jednej poduszce – moja głowa, na innej – gęsiora.

Obok łóżka łąciaty pies, który lizał mi twarz. Gęsior był zazdrosny.

Sen o niesprawiedliwości

Na wspaniałym przyjęciu tańczyłam z niewysokim kundlem. Podszedł okazały przystojny dog i zza pleców mojego partnera zaczął mnie całować. Odwzajemniałam pocałunki.

Powiedziałam: „Dlaczego nigdy nie zdarza mi się tańczyć z wysokimi psami?”

Sen o miłości i utracie

Na idealnie wystrzyżonym trawniku chwycił mnie zębami za nogę ogromny jaszczur. Usiłowałam się wyrwać, ale nie miałam siły, by dość energicznie szarpnąć nogą, wołać o pomoc też mi się nie udawało, bo nie mogłam otworzyć ust. Jaszczura prawie nie widziałam – nie mogłam otworzyć oczu, powieki zdawały się być pokryte czymś lepkim.

Jaszczur miał ostre zęby i straszłą paszczę. Noga piekła od jego gorącego oddechu. Ogarniało mnie przerażenie przez to, że ten stwór był – z tyłu, dlatego odwróciłam się i rzuciłam się na niego twarzą w dół, jak w przepaść. Objęłam go, on objął mnie i wtedy zobaczyłam jego oczy.

W pokoju panował półmrok, sufity były wysokie jak w pałacu, zwisały z nich jakieś szmaty, łóżko stało na cienkich podporach. W dole kołysała się przezroczysta woda – widziałam przez nią drewniane deski podłogi. Było mi słodko i spokojnie, pomyślałam, że oto wreszcie tak będzie zawsze. Z jaszczurem byliśmy już kiedyś znajomi i bliscy.

Obudziwszy się, przez kilka dni miałam ostre i dławiące poczucie straty.

Sen o seksie i śmierci

Widziałam ich z góry i jednocześnie czułam to samo, co oni: jednocześnie jej i jego odczucia. Ona leżała na wznak, na zmiętym jasnym prześcieradle. Tkanina była śliska i łaskocząca. A skóra dziewczyny jeszcze bielsza niż pościel.

Dziewczyna namiętne pojękiwała i wiła się, ocierała twarzą o poduszkę, ciałem o prześcieradło. Mężczyzna siedział trochę dalej i patrzył na nią. Wszyscy troje wiedzieliśmy, że wkrótce ją zabije. W mojej głowie pulsowały słowa: „Death is sexy... Death is sexy...”

Sen o imieniu

Zjeżdżałam w dół. Wzdłuż ruchomych schodów kołysała się na wietrze gęsta jasnozielona pszenica. Miałam chęć pójść w pola, a szłam przestronną halą – okna od podłogi do sufitu, sufit wysoki, prawie go nie widać, pod sufitem latają, przesuwały się i furkoczą czarne kropki – gołębie. Pomieszczenie jest ciepłe i zapyłone, rdzawo brązowe. Stara lakierowana serwantka z serwisem, kanapy, miękkie fotele, półki na książki – wszystko jak w mieszkaniu olbrzyma.

„Mogłabym tutaj mieszkać” – myślę, idąc między dziewczynami-szwaczkami, które pracują przy maszynach do szycia. Dziewczęta ubrane są w ciemnoniebieskie fartuchy, na głowach mają związane chustki.

„Słuchaj – mówi jedna z nich, łapiąc mnie za rękę i uśmiechając się szeroko, ten uśmiech jest prostacki i wulgarny, ale dziewczyna jakby czuje do mnie sympatię – szukają ciebie”.

I wypowiada moje imię, bardzo piękne. Powtarzam je sobie, smakuję. Usta napełniają się śliną. Robi się zacisznie. Myślę, że nareszcie, i że tak będzie zawsze.

Przebudziwszy się, nie mogę sobie przypomnieć tego imienia.

Sen o uświadomieniu i przepaści

Stoję na początku krótkiej bezludnej uliczki. Dobrze widzę, gdzie uliczka się kończy i wpada w szerszą, prostopadłą do niej. Kilkupiętrowe budynki, potężne drzewo w środku. Prawdopodobnie dąb. Uświadamiam sobie, że śpię. Odpycham się od ziemi, podskakuję, i unoszę się w powietrze. Lecę żabką. Po prawej – przystanek autobusowy, pomalowany na zielono. Podlatuję do drzewa. Ma wspaniałą koronę, widzę każdy listek, każdą żyłkę. Nie, to nie dąb, liście ma zupełnie inne, łódeczkowate. Tutaj zapominam, że śpię, tracę pewność, zaczyna mnie ciągnąć ku ziemi. „Wszystko w porządku, to mój sen” – przypominam sobie i znowu unoszę się w górę. Przy końcu uliczki opadam na ziemię, przechodzę na dугą stronę ulicy, koło kamiennego muru spotykam znajomych. Wiem, że za tym murem jest rozpadlina i kręte kamienne schody w dół. Nie zaglądając za mur, widzę krajobraz, który za nim się kryje – kamienie i skały, kipiąca zieleń, drzewa, krzewy, trawa, ścieżki, pierścień studni, kręta rzeka, słoneczne promienie, szerokimi półprzezroczystymi smugami przebijające się przez różowobiałe chmury.

– Gdzie on jest? – pytam znajomych. Podchodzę do początku schodów i spoglądam w dół. Jego tam nie ma. Wiem, że daremnie czekać – nie przyjdzie. „Gdzie on jest?” – pytam znowu. „Jaszczur umarł – mówią. Ale dwa dni temu widział bardzo ważny sen”.

W ten sposób próbują podnieść mnie na duchu.

JURIJ ANDRUCHOWYCZ

* * *

Niewątpliwie, podobnie jak wszyscy, ja też miewam sny. Być może, przeważnie są kolorowe, chociaż kto je tam wie. Oprócz tego niektóre z nich są bezsensowne, inne – prorocze, a jeszcze inne – erotyczne.

Najciekawsze byłoby połączenie w jednym wszystkich czterech rodzajów. I taki wariant kombi dać do antologii!

Jestem pewny: coś takiego naprawdę mi się śni. Tylko jak to pozbierać, nanizać słowami na jakąś godną czytelniczej uwagi historię?

Są dwa rodzaje snów, które powracają do mnie z pewną stałością.

Pierwszy: znów mnie wzięli do wojska i teraz mam jeszcze półtora roku oddać nie wiadomo komu i za co.

Drugi: znów pracuję w wojewódzkiej drukarni przy wydawaniu gazety i ta nocna zmiana nigdy się nie kończy.

Od niedawna do tych dwóch dołączył trzeci.

Z natarczywą napastliwością nawiedza mnie mniej więcej od czasu, kiedy sama ukraińska rzeczywistość zaczęła coraz bardziej przypominać zbiorowy sen – taki, z którego nie można się obudzić. Będzie trwał co najmniej dziesięć lat, głoszą niepoprawni optymiści.

Z pewnością pora już, żebym poważnie przejął się własną podświadomością. Bardzo nie podobają mi się moje sny o zamachu. Okazują się ostatnim ogniwem pewnego konspiracyjnego łańcucha. Mam do dyspozycji snajperski karabin i stanowisko zapewniające dobry przegląd sytuacji. Moim zadaniem jest trafić pewnego wysoko postawionego dygnitarza i tym samym uratować kraj. To ryzykowny krok, ale po prostu nie mamy wyjścia – ani ja, ani kraj.

Jakieś jeszcze szczegóły? Tak, on jest bardzo dobrym celem – wielkim i powolnym. Jednak jeszcze nigdy nie udało mi się doprowadzić sprawy do końca i pociągnąć za spust.

Zgadzam się, że to niedobrze. Niedobrze, kiedy śnią się takie sny. Niedobrze, że niczym się nie kończą. Wstyd mi za nie...

NATAŁKA BIŁOCERKIWEĆ

Kwartet saksofonistów

W pewnym wieku dziecięce sny o lataniu zastąpiły inne – z podtekstem erotycznym; choć *technically speaking* (jak mówił Bill Clinton) seksu w tych moich erotycznych snach nigdy nie było. Było natomiast poczucie szczególnej, delikatnej tkliwości, które zostawało ze mną przez pewien czas. Chciałoby się wiedzieć, co pomyśleliby sobie bohaterowie tych moich snów (całkiem realni mężczyźni, między innymi), gdyby nagle dowiedzieli się o swojej roli w tych snach i – pośrednio – w moich wierszach, tymi snami zainspirowanych.

Niestety, wraz z latami nastrój moich snów staje się coraz smutniejszy. Może dlatego tak szybko je zapominam („wypieram” w terminologii Freuda). Zdarza się, że śni mi się śmierć krewnych. Nawiasem mówiąc, ludowe senniki wcale nie uważają takich snów za złowieszcze, przeciwnie – one jakby symbolizują czyjeś dobre życie. Ale zawsze płaczę w takich snach, i jeśli nawet jest w nich coś dobrego, to jest to znowu takie przejście (wyparcie) tematu śmierci w literaturę... Jednak pociąg, jeden z moich najbardziej ulubionych poetyckich obrazów, nigdy mi się nie śni, choć w *Objaśnianiu marzeń sennych* Freuda pociąg właśnie symbolizuje śmierć. (Zawsze interesowało mnie tłumaczenie snów; od naiwnych ludowych senników po filozofię marzenia sennego Freuda).

Na koniec jednak przywołam jeden ze swoich ostatnich snów – zapamiętałam go, bo wydaje mi się szczęśliwy.

Otóż jakbym miała jeszcze jedno dziecko. To czarnoskóry chłopczyk o imieniu Martin (skojarzenie z Martinem Lutherem Kingiem?). Ma sześć lat i prowadzę go do szkoły muzycznej. Mój maleńki czarnoskóry Martin gra na saksofonie!

– O kurczę – powiedziała moja dorosła córka, kiedy opowiedziałam jej ten sen. – Nie mogłaś urodzić od razu czworga Murzyniątek? Mielibyśmy własny jazzowy kwartet!

ANDRIJ BONDAR

Pióro i wpust

W odeskim hotelu „Zyrka” przyśnił mi się sen.

Ja – młody „początkujący” poeta z „nieśmiałymi czarnymi wąsikami” – wydałem swój pierwszy tomik wierszy. Wkrótce do miasta ma przyjechać Aleksander Puszkina i po prostu muszę podarować mu tę książkę. We śnie czuję prawdziwą euforię, przecucie święta. Dam książkę samemu Puszkini-nowi!

I oto nastaje ta chwila. Trzymając w spotniałych rękach swój tomik, stoję przed drzwiami pokoju, w którym zatrzymał się Puszkina. I nagle skrót perspektywiczny i jak to czasem zdarza się w snach, punkt widzenia zmienia się o sto osiemdziesiąt stopni. Teraz to ja już jestem Puszkinem, który leży w swoim pokoju na łóżku z jakimiś rokokowymi ozdobami. Jestem naprawdę zmęczony po długiej drodze przez te kretyńskie akermanśkie stopy, ale miło mi przyjąć młodego poetę. Jestem Puszkinem ukraińskojęzycznym. Bo myślę po ukraińsku. Jestem bardziej podobny do Boba Marleya niż do Puszkina, ale odganiam tę myśl.

Wołam wprost z łóżka do młodego poety „Proszę, niech pan wejdzie”. Poeta wchodzi przy akompaniamencie skrzypiących drzwi. Jest bardzo niesympatyczny, w okularach, na ramiona ma czemuś narzuconą czerkieskę. W rękach trzyma książkę i chociaż nie za bardzo kryje swoje lekceważenie i poczucie wyższości, usiłując kątem oka odczytać jej tytuł. Na książce widać zdjęcie braci Kapranowych – Dmytra i Witalija – w trykotach w pozie lino-skoczków, którzy idą naprzeciw sobie, a tytuł książki jest taki: „Pióro i wpust”.

LUBOW JAKYMCZUK

Noc dziesiątego roku

Nie znam żadnego z tych ludzi z nazwiska, spróbuję więc o nich opowiedzieć bez nazwisk.

To była muzułmańska rodzina i wiedziałam o tym. Jednak wzięłam jedną z dwóch żon, młodszą, za służącą, bo właśnie tak traktowali ją wszyscy z wyjątkiem chłopca. Kobiety były ładne, tradycyjnie czarnowłose i czarnookie i na pierwszy rzut oka wyglądały na rodzone siostry. Ich wspólny chłopczyk miał książkę z bajką, która naprawdę bajką nie była, a opowiadała historię jego rodzonej mamy, służącej w tym domu. Malec kartkował książkę i zobaczyłam wykreślone, zamazane kulkowym długopisem słowa, powyrywane obrazki. Jednak to nie przeszkadzało chłopcu nosić się z książką, bardzo ją lubił.

Ojciec rodziny z kochaną żoną wieczorem gdzieś poszedł, może do kina. A druga, nieszczęsna służąca zdjęła z siebie bluzkę i pokazała mi swoje podrapane plecy. „To robi, bestia” – powiedziała. O bestii była mowa w książce chłopczyka, ale nie było już jej wyobrażeń ani imienia. Czytałam tę książkę o bestii i biednej kobiecie z podrapanymi plecami i współczułam, dlatego sama znalazłam się w tej opowieści.

„To bestia” – pokazywała mi plecy, a w tym czasie mój mąż leżał w samych majtkach na podłodze w pozie embriona. Nieszczęsna opowiedziała, że

bestia przychodzi do niej każdej nocy i drapie przez szafę, pozostawiając brunatne ślady na młodej skórze. Chodziło jej o to, że tej nocy to musi stać się ze mną, bo jej współczuję.

Wzięłam swojego męża na ręce i zaniósłam do sypialni. Zabolał mnie brzuch. Kobieta przyniosła za mną jego rzeczy i poszła, powiedziawszy, że to wszystko ustanie dopiero wtedy, kiedy rozwiążę zagadkę bestii. Na łóżku zaczęła się palić długa nitka, którą chciałam ugasić palcami, bo kiedy nitka spłonie, przyjdzie bestia, ale nagle się sparzyłam i uświadomiłam sobie, że to sen.

Obudziłam się, opowiedziałam sen Markowi, a on powiedział, żebym więcej nie poruszała tego, nawet we śnie.

HAŁYNA KRUK

* * *

Sny śnią mi się rzadko, przynajmniej rzadko je pamiętam, kiedy się obudzę. Jednak bywają sny, których się nie zapomina i które chodzą za mną przez jakiś czas, powodując niepokój i niezrozumiałe wewnętrzne drżenie. Jakby jakieś drzwi uchylały się przede mną, pozwalały zajrzeć w szparę, zobaczyć coś, ale wszystko dzieje się tak szybko, fragment zobaczonego jest tak niewielki, że przestraszona wyobraźnia nie może odtworzyć na jego podstawie całego obrazu.

Jechałam pociągiem do Wilna, gdzie razem z litewskimi artystami wideo i muzykami mieliśmy nagrywać poetyckie klipy. Był to czas największych zimowych mrozów, wagon niemal pusty – ja i starszy pan naprzeciwko. W końcu, przeczuwając, że następny dzień nie będzie lekki, zasnęłam. Zawsze dobrze śpię podczas jazdy, nauczyłam się tego w czasie licznych podróży. I tu właśnie przysnił mi się ten sen. Śniło mi się, że stoję na progu jakiegoś nieznanego domu i zaglądam do środka. Widzę niezbyt wiele – wejście z korytarza do innego pokoju, do którego prowadzą drzwi pod łukiem, i sam pokój z wielkim oknem naprzeciw drzwi. Wszystko tonie w galareto-watym półmroku – wydaje się, że na zewnątrz zapadł wieczór, ale w pokoju z jakiegoś powodu nie zapalono światła. W oknie wisi lekka firanka, która od czasu do czasu trzepoce od przeciągu, jakby płonie. Dziwne, że nie robię żadnego ruchu, po prostu stoję na progu i patrzę, odczuwając wszystko wokół z taką ostrością i pełnią, jakie w rzeczywistości nigdy się nie zdarzają (mam na myśli niczym niezmienną rzeczywistość). I widzę – dokładnie: nawet nie widzę, a po prostu odgaduję po kształtach – wielkie dwuosobowe łóżko pośrodku pokoju. Zwyczajne łóżko, dość typowe dla zwyczajnego wnętrza. A na łóżku – dwie postaci, jedna leży wyprostowana, a druga na pół siedzi, jakby wyciągając do mnie ręce. Wiem dokładnie, choć nie mogę tego widzieć w ciemności, że to dwóch mężczyzn, nie budzi to we mnie żadnego zdziwienia, że oni tu leżą obaj na jednym łóżku, bo wiem, że nie są razem, że jeden z nich jest martwy, a drugi – bliski tego. I nawet to mnie nie dziwi. I tylko usiłuję ze swego miejsca w drzwiach (bo nie mogę wejść do pokoju, tylko tak, z progu) zajrzeć w oczy tego, który na pół siedzi, wyciągając ręce w moją stronę, jednak na próżno – w jego oczach ziele gęsta czarna ciemność. Coś mi podpowiada – absolutna ciemność. I stoję tak nieruchomo, zdaje się niewiarygodnie długo, przez cały mój sen – i nic się nie dzieje, tylko firanka łopoce czerwono, i ciemność jest tak gęsta, że krój ją nożem, i cisza, jak wata w uszach.

Właśnie od tej ciszy nie do zniesienia się obudziłam, wewnątrznie oszołomiona tym snem. Niby nic w nim takiego nie było, ale nie opuszczało mnie wrażenie, że paskudny lepki strach wpełzł we mnie, kiedy spałam, i ułożył się kamieniem gdzieś w dole brzucha. I każdym swoim ruchem budziłam go, wywołując w pamięci ten dziwny pokój z dwoma mężczyznami.

Tymczasem okazało się, że właśnie dojechaliśmy do jakiejś granicy (białoruskiej albo litewskiej). Mężczyzna na ławce naprzeciwko też się zbudził i rozcierał zaspany policzek.

– Dziwny sen mi się właśnie przyśnił – powiedział niespodziewanie. – Jakby przyszła do mnie w odwiedziny moja babka i coś mi pospiesznie opowiada, niby się boi, że nie zdąży. A ja mały, w spodniach brata, za dużych, nie słucham babki, myślę sobie – to nie na mój rozum sprawa... Dziwne, już z pięćdziesiąt lat, jak babki nie ma, nigdy wcześniej mi się nie śniła, a tu – jak żywa, tak jak z panią rozmawiam. Czemuż to nagle?...

I zamilkł, jakby pogrążył się w jakichś swoich dziecięcych wspomnieniach, a mnie przed oczami wciąż stał ten pokój: gęsty półmrok, łuk nad drzwiami, dwóch mężczyzn na łóżku.

Miałam mieszkać w małym rodzinnym hotelu „Saules namai” (co w przekładzie z litewskiego znaczy „Dom słońca”). Przyjechałam tam, zadzwoniłam do drzwi. Na progu powitał mnie właściciel hotelu – wysoki mężczyzna w średnim wieku. Pokazał mi mój pokój i w paru słowach wytłumaczył, jak dojechać do miejsca, gdzie już na mnie czekali inni uczestnicy projektu. Mielśmy do dyspozycji stale 3, 4 kamery, które rejestrowały wszystko, co mogło się przydać do pracy nad klipami. Nie opuszczało mnie to senne przywidzenie, cały czas jakby stało za moimi plecami. Jako osoba dość bezpośrednia, od razu opowiedziałam je wszystkim, opisując z najdrobniejszymi szczegółami. Kamery były włączone, opowieść została zapisana. Chłopcy nawet zaczęli rozwijać dość frywolny temat dwóch mężczyzn w jednym dwuosobowym łóżku i kobiety, która ryzykuje do nich się przyłączyć.

A późnym wieczorem, kiedy wróciliśmy do hotelu, okazało się, że gospodarz domu, ten, który rano otwierał mi drzwi, niespodziewanie umarł. Atak serca. A przy tym wcześniej, jak mówili, nigdy na serce się nie skarżył. Wszyscy nagle przycichliśmy, jakoś trudno było inaczej zachowywać się w tym domu, widząc zapłakane oczy żony i córki gospodarza. Właśnie oni mieszkali na parterze tego budynku, a dwa wyższe piętra były przeznaczone na hotel. Następnego dnia po zdjęciach postanowiliśmy złożyć kondolencje ludziom, którzy przyjmowali nas w swoim domu w tak trudnym dla nich czasie. Zeszliśmy na parter wążutkami schodami, miejsca dla wszystkich nie wystarczało, więc musiałem stać na korytarzu. Popatrzyłam przed siebie i wiedziałam, że włosy mi stają na głowie – widziałam łuk nad drzwiami, pokój tonął w gęstym półmroku, pośrodku pokoju na zwyczajnym dwuosobowym łóżku leżał nieboszczyk. Paliły się świece, były kwiaty, ale to już nieistotne. Wystarczało mi tych szczegółów, które zapamiętałam ze snu,

Czułam się niezrozumiale włączona w to, co się stało. Ba, nawet więcej – czułam się odpowiedzialna, tak jakby przekazano mi coś ważnego, a ja nie rozumiałam i nie umiałam przekazać tego innym. Czułam się całkiem głupio – tak jakbym znała wszystkie litery, ale nie mogła przeczytać słowa. Całkiem bezradna. Najbardziej mnie teraz niepokoił ten drugi z mojego snu – prawie nieboszczyk. Zdawało się, że ode mnie coś zależy, że mogę go jakoś uprzedzić, ostrzec, ale próbuj, zgaduj, kto to – nie widziałam jego twarzy, nawet oczy kryły się w jamach oczodołów. I im więcej myślałam o tym, tym

bardziej czułam się bezradna, nawet, pamiętam, zadzwoniłam do domu, aby się upewnić, czy wszyscy żywi i zdrowi. Zresztą uspokoiliam się tym, że przecież ten drugi mężczyzna w moim śnie był jeszcze żywy. I może nic złego mu się nie stanie. Może ten mój wniosek, że jest „prawie nieboszczykiem” opiera się na chwiejnych podstawach, może on po prostu tak źle wygląda, a czerń dookoła oczu – z niewyspania (bywa tak, prawda?). Albo że jest bliski dla nieboszczyka, a ja przypadkowo zaliczyłam go do nieżyjących. Straszna rzecz – taki sen. Doszło do tego, że zaczęłam przyglądać się uważnie każdemu mężczyźnie – a nuż rozpoznam w nim tamtego drugiego. No dobrze, a jeśli jakoś nagle rozpoznam, to co – powiem mu: „A pan mi się śnił w roli nieboszczyka?”. Jednym słowem, brednie.

Mijał czas, już nawet wróciłam z Litwy do domu, już nawet przestałam myśleć o tym śnie, bo wszystko dokoła było w porządku i wszyscy na szczęście byli żywi. Już nawet zrzuciłam wszystko na przypadkowy zbieg okoliczności, bo tak zawsze prościej zmierzyć się z tym, czego nie możesz zrozumieć. A gdzieś po tygodniu Litwini napisali o tym, że w swoim mieszkaniu tragicznie zginął w pożarze jeden z uczestników naszego projektu (posiadał wyjątkowy sposób śpiewu – kamlanie). Pamiętam, wszyscy po kolei pomagali mu iść, kiedy zmienialiśmy miejsce zdjęć, bo był niewidomy. Mężczyzna z absolutną ciemnością w oczach, którego widziałam we śnie, ale nie rozpoznałam w rzeczywistości. Nie uprzedziłam. Nie ostrzegłam. Mea culpa. Myślałam o tym i przypominałam sobie firankę, która tak czerwono płonęła w moim śnie.

WASYL MACHNO

O snach

Podobają mi się suweniry łowców snów, które można kupić na czternastej ulicy koło Union Square. Być może wszyscy jesteśmy tymi łowcami snów z indiańskimi amuletami czy bez nich, bo sny – inna rzeczywistość – przechodzą przez nas przez całe życie. Czasami wydaje mi się, że człowiekowi w ogóle pozostają tylko sny i wspomnienia.

Z dzieciństwa pamiętam sen, którego szczegóły już się zatary, ale był ciężki, jak krok legionistów albo bizantyjskiego orszaku. Tę jego ciężkość nawet przez dłuższy czas odczuwałem niemal fizycznie, przyśniło mi się to wszystko w dość ciemnych kolorach: do pokoju wszedł ktoś podobny do prawosławnego patriarchy czy świętego z obrazu w wiejskiej cerkiewce, do której prowadziła mnie w dzieciństwie moja babcia. Jakoś milcząco i uważnie na mnie patrzył, zdaje się, że miał w ręce kostur, jego obecność w pokoju była przygniatająca, a milczenie – budziło lęk. Postać, popatrzył na mnie i wyszedł. Miałem takie odczucie, jakbym nawet słyszał ciężkie szuranie kroków starego człowieka i szelest jego ciężkich szat. Ten sen długo nie dawał mi spokoju, prześladował mnie nawet wtedy, gdy starałem się zapomnieć ten ciemny zarys, tę obecność nieznanego, to zagłębienie w jakąś tajemnicę, która budziła lęk. Wspomnienie o tym śnie z dziesiątego roku życia towarzyszyło mi długo...

Teraz moje sny są krótkotrwałe, pamięć o nich czemuś wyslizguje się nitką zapomnienia i chowa się gdzieś w jakichś swoich, tylko jej znanych, potajemnych norach. Sny nie trzymają się we mnie, rano znikają tak lekko, jak lekko się zjawiały, jak drżąca mordka w lisiej norze.

Tajemnicza jesienna fotografia

Tej fotografii chyba nigdy nie uda mi się zapomnieć. Wszystko wydarzyło się jesienią 2008 roku, już nie pamiętam dokładnie szczegółów – wiem tylko, że była to wystawa artystów fotografików w jednym z muzeów Użhorodu, nie pamiętam też, kto mnie tam właśnie zaprosił, ale tak należało, że nie mogłem się wymówić. Jesień była pogodna, przyjemna, ubrany byłem więc dość lekko, nastawiając się na miły spacer przez park i po nabrzeżu Uża. To lekkomyślnie lekkie ubranie było błędem, bo w ciągu trzech następnych dni nie mogłem pozbyć się odczucia chłodu, trząsałem się z zimna, przenikającego całe ciało. Zaczęło się to dosłownie w tej chwili, kiedy niefrasobliwie oglądałem wystawione prace fotograficzne i nagle natknąłem się wzrokiem na fotografię (formatu mniej więcej metr na metr), która zmusiła mnie do zatrzymania się i odczucia niebezpieczeństwa, które czyha na każdego z nas w tych nieznanach miejscach, gdzie system się zaciął i otwierają się drzwi w inną przestrzeń, w której istnienie często nie wierzymy.

Można różnie nazwać stan, w którym przebywałem, zobaczywszy tę fotografię – otrzeźwiałem, osłupiałem, przestraszyłem się, zaciekawilem, czy raczej wszystko to razem wzięte. Postąpiłem przed nią ze dwadzieścia minut, kilka razy zrywałem się, żeby odejść, ale wciąż zmuszałem siebie do pozostania. Co takiego było na tym zdjęciu? Teraz już nie mogę powiedzieć na pewno, przypominam sobie tylko, że miałem takie odczucie, jakby coś miało się stać, miało się wydarzyć coś bardzo ważnego, i to odczucie zmuszało mnie, bym stał i czekał. Na siłę oderwawszy wzrok od czarno-białej fotografii, powlokłem się do sali bankietowej, zamieniłem tam z kimś kilka słów, nawet wygłosiłem jakiś żartobliwy toast, ale wewnętrzny niepokój nie malał, więc jak najszybciej zabrałem z szatni swój plecak i poszedłem do domu.

Nadchodził wieczór, ulice miasta były prawie bezludne, tylko w pewnych nieoświetlonych miejscach nabrzeża siedziały jakieś zakochane pary, przyzwyczajone i starannie zakutane w ciemność. Robiło się coraz zimniej, ale tego chłodu niemal nie odczuwałem, bo we mnie w środku rozrastał się całkiem inny, lodowaty chłód, który obejmował i palił mi wszystkie wewnętrzne organy i gnał mnie naprzód. Kiedy zamykałem oczy, widziałem tę fotografię.

Coś miało się wydarzyć, ale nie wiedziałem, co. Następne trzy dni nie przyniosły wyjaśnienia, ale dodały trzy ważne szczegóły – trzy sny, które skierowały moje myślenie o zdjęciu na właściwe (mam nadzieję!) tory. Najpierw przywołały te sny, a potem wniosiemy do pokoju naszej opowieści zdjęcie, które, powtarzam, do dzisiaj nie daje mi spokoju. Więc zamykamy oczy i oglądamy sny:

Sen pierwszy

Ona ma na imię Magdalena, on – Saszko. Oboje mają po 24 lata, już trzy lata minęło od czasu, jak są razem, ale jeszcze się nie pobrali. Magdalena pracuje jako dziennikarka w gazecie, to jakaś całkiem toporna gazetka, sen nie jest tak wyraźny, żeby we wszystkim się połapać, ale nazywa się albo „Goniec Kolei Ukraińskich”, albo „Pomoc Weterynaryjna”. Magdalena prowadzi rubrykę „Pies – nasz przyjaciel” i „Bielizna pościelowa Kolei Ukraińskich”.

Saszko nigdzie oficjalnie nie pracuje, tylko od czasu do czasu dorabia w radio-taxi, przeważnie proszą go, żeby zastąpił kogoś w nocy albo w święta, dlatego takie dorabianie nie byle jak komplikuje i bez tego rozchwiane stosunki z jego małą Magdalenką. Dlatego w wolnym czasie usiłuje

we wszystkim jej dogodzić – sprząta, szykuje kolację, rano przynosi jej do łóżka herbatę i gorące grzanki, czyści do błysku buty, podlewa kwiaty, ale to wszystko psu na budę – widują się zbyt rzadko, przeważnie kilka minut wieczorem przy wejściu, gdy ona wraca zmęczona z pracy, albo rano, gdy on budzi ją dyskretną muzyką i zapachami z kuchni, ale jej się spieszy, więc robi swoją poranną toaletę nie po kobiecemu, bo błyskawicznie, szybko stara się połknąć kanapki z herbatą, która boleśnie parzy ją w usta, i od razu pogarsza się jej nastrój, coś krzyczy na niego i między tymi krzykami pospiesznie znika w drzwiach, aby wieczorem spotkać go na schodach i znowu mu nawrzucać przez jakieś problemy w pracy. I tak każdego dnia, bez końca.

W ciągu tej pierwszej nocy widzę ten sen, wydaje mi się, tysiące razy i za każdym razem wszystko odbywa się tak samo, w tych samych kolorach i w tym samym tempie. Magdalena – niewysoka dziewczyna z rudymi włosami, cała obsypana piegami, taka sobie Pippi Pończoszanka, ten wygląd ją istotnie przygniata, zatem próbuje wszystkim udowodnić swoją powagę i znaczenie, przez co chodzi cały czas napuszona, na prawo i lewo rzuca obcojęzycznymi terminami, właśnie dlatego zaczęła palić i ubiera się przeważnie w ciemne kolory. Jednak, muszę zaznaczyć, poważny wygląd takiej nadąsanej i okazałej rudej dziewczuchy prowokuje mężczyzn do gorączkowego wymyślania sobie rozmaitych erotycznych przygód, a więc adoratorów ma bez liku...

Saszko – przeciwnie – nie rzuca się w oczy, wątpliwe, czy można by go było odróżnić w tłumie. Ale ja go odróżnić mogę, bo widziałem co najmniej tysiąc razy. Zawsze przyzwoicie ubrany, ogolony, w wiecznie niebieskich (tak w moim śnie) džinsach, stosownym T-shircie czy sweterku i czarnej skórzanym kurtce. Oczy piwne. Włosy krótkie, fryzura – krótka, typu marynarz.

To trzy czwarte mojego snu, a teraz zaczyna się część czwarta, ostatnia. Nagle we śnie pojawia się ja – wychodzę z metra na stacji „Osokorki” w Kijowie. To ta dzielnica, gdzie wynajmują mieszkanie Saszko i Magda. Mieszkają na ulicy Urliwskiej. Zmierzcha się, wychodzę z metra i kieruję się w stronę tejże Urliwskiej, zapalam papierosa, patrzę w prawo i – o, wszyscy święci! – słyszę, jak niesamowicie wyje silnik olbrzymiego motocykla, jak piszczą, aż krzyczą hamulce na lewo ode mnie i jak z szaloną szybkością tuż przed moim nosem, sypiąc na wszystkie strony iskrami, przelatuje ogromne i już nieforemne ciało motocykla, bezradnie przewalając się po drodze i ciągnąc za sobą zamarłe ze strachu i zaskoczenia ciała dwóch pasażerów. Robię krok do tyłu, na chodnik, wiedząc, że wypadek wydarzył się z mojej winy, potem w gorączce biegnę do kupy metalu i ludzkich ciał, podbiegam bliżej i w świetle księżyca widzę, że na jezdni z szeroko otwartymi oczami leżą Magda i Saszko. Mija ledwie chwila i już widzę zastygły kadr tamtej fotografii z wystawy i budzę się zlany gorącym potem.

Sen drugi

Lubow Oleksijiwna pracuje jako nauczycielka chemii w małym prowincjonalnym miasteczku. Jest wychowawczynią klasy 7b. 7b siedzi na szóstej lekcji, połowa dzieci jest głodna, reszta senna – jak muchy. Lubow Oleksijiwna idzie do tablicy. Kończy właśnie pisać jakieś prościutkie równanie, kiedy ze środkowego rzędu, głośno przecinając powietrze, wylatuje kula toaletowego papieru, dobrze nasiąkniętego niebieskim atramentem. Ta miniaturowa bomba zaczepia o brzeg ramienia wychowawczyni i z głuchym dźwiękiem rozbija się o szkolną tablicę, gęsto pstrząc twarz i białą bluzkę wychowawczyni drobnymi piegami atramentu.

Lubow Oleksijwna beładnie zwraca się twarzą do klasy i wszystkie dzieci, nawet najbardziej zacięte „okazy”, kujony i i odmienicy, nie wstrzymują głośnego rechotu, od którego na głowie nauczycielki zaczynają nabrzmiewać żyły, czerwienieje, wpada w szał, ale potem znienacka lituje się nad sobą, wybucha płaczem i wybiega z klasy.

Tutaj we śnie pojawia się ja – ojciec Wadyma, ucznia 7 b, który wczoraj rzucił atramentową bombą w swoją panią i wezwano mnie na rozmowę do dyrekcji szkoły.

Wychodzę z domu, nastrój mam kiepski, wyciągam rękę po papierosa i w tej chwili widzę, jak na drugiej stronie ulicy zatrzymuje się stary przy-sadzisty pijaczyna, chwije się nad wykopany przez ekipę remontową dołem i rozpina rozperek w spodniach. Jeszcze chwila – i cieniutka strużka moczu, uważnie, po snajpersku wycelowana w sam środek dołu, zamiera. Z dna dołu słycać trzask, podnosi się słup iskier i dymu od krótkiego spięcia w kablu, który właśnie zamierzali naprawić elektromonterzy, lecz poszli na obiad, a pijak, tak samo niepewnie się chwiejąc, wpada do dołu i leży tam znieruchomiały.

Zszokowany ledwie łapię oddech, wyciągam komórkę, dzwonię po pogotowie, ale w tej chwili przed oczami mam już kadr z wystawy fotograficznej i w niewymownej rozpacz się budzę.

Sen trzeci

Minęło już siedem minut od czasu, gdy wezwałem pogotowie. Lusia, moja żona, nie mogła się uspokoić i wciąż na mnie krzyczała. Ludmile odeszły już wody, zaraz ma się zacząć poród, a karetki (oho, jak to romantycznie brzmi!) wciąż nie ma. Dobrze, że wywieźliśmy do babci naszą maleńką córeczkę.

Luda siedzi na małym krzeselku w korytarzu. Brzuch, który trzyma obie-ma rękami, przypomina ogromną futbolową piłkę, a szrama po cesarskim cięciu rozciąga się tak bardzo, że mam wrażenie, że zaraz brzuch pęknie w szwach i całe mieszkanie, cały budynek, całą naszą rodzinną Żmerynkę zaleje ogromny, nieskończony kosmiczny potop.

Próbowałem gorączkowo naciągnąć na nogi żony tenisówki, ale ona boleśnie kopnąwszy mnie w rękę, krzyknęła: „Głupcze, jeszcze hełm czołgisty włóż mi na głowę! Ciapy, ciapy dawaj, bydłaku!”

I oto stoję przed budynkiem oddziału położniczego, koło mnie znajomy lekarz, z którym w szkole siedzieliśmy w jednej ławce, usiłuje bawić mnie anegdotami, pałę papierosa za papierosem, ale nagle z okrzykiem „Masz syna!”, szybko otwiera się okno na trzecim piętrze, zaczepiając o wielką doniczkę z kwiatkami, i kiedy doniczka przelatuje jakieś trzy centymetry od twarzy lekarza, przymykam oczy – natychmiast widzę zastygłą fotografię z wystawy – i budzę się.

Uroczyste wniesienie fotografii

Wreszcie nadszedł czas, żeby odkryć karty i pokazać państwu tę fotografię, która w żaden sposób nie wychodzi mi z głowy.

Wtedy, tego jesiennego wieczora 2008 roku, na wystawie artystów fotografików zobaczyłem czarno-białe zdjęcie, metr na metr. Jego tytuł brzmiał „Oczekiwanie”.

Na fotografii długi słabo oświetlony korytarz radzieckiego szpitala – radziecki korytarz radzieckiego szpitala. Po obu stronach korytarza – przytu-

lone do ścian łóżka i stoły na kółkach. Korytarz pusty. Tylko na pierwszym planie siedzi ciemna – widać, że męska – postać, lat czterdzieści, czterdzieści pięć i trzyma głowę w rękach. Jakaś niewymowna rozpacz i ból albo zmęczenie i senność zmusiły tego człowieka, by w ciężkiej zadumie opuścił głowę i ukrył ją w wielkich dłoniach. Nie rozpoznaję niczego na tej fotografii – ani korytarza, ani tego mętnego światła, ani łóżek ze stołami. Ale co mnie zmusza, bym tak pilnie przyglądał się temu zdjęciu?

Tak, na tej fotografii widzę siebie (siebie?) za dwadzieścia lat.

DMYTRO PAWŁYCZKO

Moje sny

W dzieciństwie i młodości spałem twardo, a jeśli widziałem siebie w marzeniach sennych, to prawie zawsze leciałem. Leciałem nad stopczatowskimi pastwiskami i ogrodami, ale nie miałem skrzydeł, po prostu machając rękami, wzbijałem się w powietrze. To były moje najpiękniejsze sny.

Pewnego razu przyśniło mi się to, co stało się w rzeczywistości z moim kolegą Mykołą Kaszewką, kiedy w Stopczatowie założyliśmy się, który z nas dwóch przebiegnie bliżej przed nadjeżdżającym samochodem. Mykoła nie zdążył przebiec przez drogę, wpadł pod samochód, ale na szczęście tak, że znalazł się *między*, a nie *pod* kołami. Wstał, krew poszła mu z nosa, kierowca poklepał go po plecach i pojechał dalej, a ja przeżywałem strasznie. I śni mi się, że to ja nie zdążam przebiec przez drogę, samochód uderza we mnie i nawija na koła moje ręce i nogi. Moje ciało jest giętkie jak guma, a kierowca, który wyciąga mnie spod auta, chce pchnąć mnie nożem, żeby ukarać za przestępstwo. Uciekam, nogi mi się płaczą, krzyczę i budzę się od własnego krzyku.

Kiedy byłem aresztowany i katowany w więzieniu w 1945 roku, śnił mi się mój ojciec podczas kośby. On kosi i ja koszę, idąc za nim. Nie mam siły go dogonić, a on ogląda się i mówi: „Obejrzyj się, pełnie za tobą żmija!”. Oglądam się, nie widzę żadnej żmii, ale z przestachu macham kosą coraz szybciej, doganiam ojca, on mówi: „Lepiej zabić żmiję, niż gonić z kosą za tatą!”.

W 1979 roku przyśnił mi się sen, który zawarłem w tym wierszu:

*Mamo, przyśniłaś mi się
Tak smutno, tak żałośnie,
Że nie mogłem tego wytrzymać
I krzyknąłem z mogiły*

*„Wypuść mnie na wolność,
Na powietrze i słońce,
Żebym pomógł matce
W ciemnym smutku i biedzie!”*

*Ktoś mi odpowiada,
Ktoś potężny i okrutny:
„Możesz krzyknąć raz jeszcze,
To sam odwalaj tę płytę!”*

Mój wiersz *Nie wiem, kto uczynił mnie orłem* to opis snu, w którym zobaczyłem albo odczułem siebie jako orła, wysłanego przez jakąś tajemniczą siłę w górskie rozpadlisko, gdzie jak Prometeusz stoi przykuta do skały kobieta. Zrozumiałe, że ideę tego wiersza musiałem zaszyfrować. Ta kobieta była więc

jakby moją kochanką, choć naprawdę chodziło o Kobiętę-Ukrainę i to o niej pisałem. I chociaż wiedziałem, że przedstawiając siebie jako orła, który służy wyższej sile, przedstawiam się w nie najlepszym świetle, jednak nie naruszyłem snu. Możliwe, że ten sen był swoistą skuchą za te wiersze, w których naprawdę grzeszyłem przeciw swojej miłości. Jednak w tym śnie jestem już orłem nieposłusznym, zrywam kajdany z Kobiety, okrywam skrzydłami jej nagie ciało. Ratuje ją!

Czasami śniły mi się konie, czasami kobiety z końmi. Konie ze mną rozmawiały jak ludzie, skarżyły się, że zbyt ciasno wiązałem na ich nogach pęta, kiedy zostawiałem je na całą noc, by pasły się gdzieś pod lasem. Kobiety milczały, zamieniały się w demony, jedna z nich miała tułów konia, czym nie byłem rozczarowany, a przyjemnie zdziwiony. Oczarowała mnie jej kędzierzawa, długa aż do ziemi grzywa. Wiersz *Amazonki* pochodzi ze snów o koniach i kobietach.

Poemat *Ognisko* to sen, rozmowa z bratem, rozstrzelanym w 1944 roku w Kołomyi przez gestapowców.

Niedawno widziałem we śnie Romana Suchewycza. Siedzę na plaży w Odesie wśród Małorusów, słyszę surżyk i nagle widzę, że z morza wychodzi rudy facet z twarzą Scyty, odmalowanego w moim wierszu *Pojedynek*. Przypatruję mu się i poznaję Romana Szuchewycza. Ubiera się, wyraźnie widzę na nim szynel z pagonami radzieckiego pułkownika. Jest mi strasznie, czemuś myślę, że wszyscy plażowicze już go rozpoznali. Jednak on podchodzi do mnie i mówi: „Chodź za mną!”. Ubieram się i nagle widzę na sobie koszulkę gimnastyczną i kaszkiet radzieckiego żołnierza. Dość długo idziemy odeskimi ulicami, wychodzimy na jakiś plac w okolicy miasta. Na placu – motocykl. Szuchewycz wsiada na niego, uruchamia i znika w kurzu drogi. Ja wracam nad morze. A tam już pełno kagebistów, milicji, wszyscy krzyczą: „On tu był! Kto go widział?”. Otoczyli mnie, pokazują palcami: „On widział!”. Rzucam się w morze, słyszę strzały na brzegu, uciekam, płynę, podpływam do jakiegoś stepowego brzegu, gdzie nie ma nikogo, wychodzę z wody i tracę przytomność. Budzi mnie hurkot motocykla, który przemknął gdzieś w pobliżu.

Jeden z moich snów (w czerwcu 2010 r.) interesujący jest z tego względu, że ukazał mi potop, który jakby nastąpił w jakimś kraju zachodniej Europy, może w Hiszpanii czy Portugalii, gdzie bywałem. Otóż widzę siebie na międzynarodowej konferencji sławistów, na której jest wielu uczonych z Rosji i innych krajów słowiańskich. Każdy mówi językiem swojego kraju, wszyscy wszystko rozumieją, ale przedstawiciele Moskwy proponują, żeby przejść na rosyjski. Demonstracyjnie trzymam się swojego języka, ale niektórzy zachodni sławiści popierają Rosjan i zaczyna się dyskusja, jedni – za rosyjskim, inni za językami słowiańskimi. W tym momencie podchodzę do okna i widzę, że miasto zatapiają wody. To potop nie od deszczu, a z morskiego dna, które nagle się podniosło i wyrzuciło na ląd wodne góry. Widzę nad wodami krzyże kościołów, gotyckie dachy świątyń, może Barcelony, może jakiegoś innego miasta. Budynek, w którym odbywa się konferencja, jeszcze nie jest zatopiony, ale nikogo to nie interesuje. Stoimy przy oknach i patrzymy na straszną panoramę spokojnego morza, z którego wystają złote krzyże. Ucieczki z budynku nie ma. Nikt się nie boi, uczestnicy konferencji są zadowoleni z tego, co się stało. Ale fala uderza w okna i łoskot tłukącego się szkła mnie budzi.

A pod koniec 1969 roku, dokładniej 14 grudnia śniło mi się, że moja córka Sołomija złamała nogę. Jakbym stał w budynku kołomyjskiego gimnazjum,

w oknie, na drugim piętrze i patrzył na podwórze bliskiej mi szkoły. Na tym podwórku, będąc uczniem, grałem z kolegami w wybijanego albo w dwa ognie, biegałem za piłką i cieszyłem się ze zwycięstwa mojej drużyny. Patrzę z góry na podwórze i naciągniętą między słupkami siatkę, a po niej chodzi, biega od słupka do słupka moja córka Sołomija. Soleczko, wołam, nie biegaj, bo spadniesz! W tej samej chwili spada na ziemię. Zbiegam po schodach na dół, biorę ją na ręce, a ona: „Tato, złamałam nogę!”. Budzę się od jej bolesnego jęku, budzę Bohdanę. „Niedobrze! Śniło mi się, że Sołomija złamała nogę!”

Dwa tygodnie później my, Bohdana, Sołomija, Roskolana i ja, jedziemy do Lwowa powitać nowy rok 1970. Spotykamy się z przyjaciółmi Romanem Łubkiwskim, Bohdanem Horynem, Romanem Bezpalkiwym, Ihorem Heretą, postanawiamy powitać Nowy Rok w lesie przy ognisku w górskim masywie koło Skołowa. Siedzimy przy watrze, kolędujemy. Była z nami żona Łubkiwskiego – Natałka, która bawiła nas kołomyjkami i anegdotami. Nad ranem przechodzimy na nagi ośnieżony stok. Sołomija siada na sanki, Natalia siada na swoje (skąd się wzięły te sanki, nie pamiętam). I jakoś tak się staje, że sanki z Natalią wpadają na sanki z Sołomiją. Krzyk. Biegnę. „Tato, złamałam nogę!”. Bohdan Bezpalkiwyj jako człowiek z medycznym wykształceniem chce założyć na złamaną nogę opaskę, ale moja żona nalega, żeby natychmiast jechać z Sołomiją do szpitala. Semen Wasylowycz Stefanyk, ówczesny szef Lwowskiej Rady Wojewódzkiej, przysłała samochód i już w tym samochodzie, trzymając na kolanach Sołomiję, przypominam sobie, że dwa tygodnie wcześniej ona powiedziała mi we śnie: „Tato, złamałam nogę”.

To pewne, że już wcześniej czytałem w podręcznikach psychologii o faktach istnienia proroczych snów, ale nie bardzo przejmowałem się tymi tajemniczymi sprawami. Teraz dobrze wiem, że dar przeczucia istnieje, że nawet sny, w których nie można rozszyfrować poprzedzających znaków, przestrogi czy aluzji do czegoś bardzo ważnego w życiu człowieka, nie są tylko absurdalnie przypadkowe. Sny nie zawsze podpowiadają ludziom, jak trzeba żyć, ale prawie zawsze karzą ich za coś zrobionego w nieprzemysłany sposób, ukazują fantastyczną rzeczywistość, baśń podporządkowaną prawom widzianego na jawie, ale jakiegoś jakby innego świata.

OSTAP SŁYWYNSKI

Diabły i litery

W dzieciństwie miałem swój prywatny film grozy, wystrzałowy, dla jednego widza: dziadek nakładał płaszcz, wkładał kapelusz, odwracał się twarzą do ściany, wsuwał szyję w ramiona tak, że jej w ogóle nie było widać, i zaczynał, coś mrużąc pod nosem, „czytać żydowską książkę” – tak, jak należy, czyli z prawa w lewo i z dołu do góry. Czytał i czytał, książka była wysoka, kapelusz wraz z płaszczem powoli pełzł do góry, nogi się wydłużały, dziadek się kołysał niczym strach na wróble na wietrze, a ja wrzeszczałem. Wreszcie zasięg rąk dziadka, którymi podnosił płaszcz, się kończył, rozbrzmiewało krótkie „mhm!” – oczywiście dziadek osiągał niezbędną talmudyczną mądrość – i kapelusz wraz z płaszczem wracał na swoje miejsce. Oddychałem z ulgą i zaczynałem się śmiać, bo nagle robiło się śmiesznie, tak jakby monstrum przy drodze okazało się uschlým pieńkiem, ale pamiętałem, że będzie strasznie położyć się spać.

Dlatego wiele moich strasznych snów z dzieciństwa było związanych z książkami. Może byłyby także związane z Żydami, ale dotąd nawet nie

wyobrażałem sobie, jak naprawdę wyglądają Żydzi, a prawie niemożliwe jest zobaczyć we śnie coś, czego nawet sobie nie wyobrażasz – to wiadomo. Książki znałem aż nadto dobrze, bo w dzieciństwie atakowały mnie ze wszystkich stron, przez co już w drugiej klasie zacząłem nosić okulary, za to najprostszyc piosenek z radzieckich kreskówek nie znam do dzisiaj. Bardzo długo odciągając chwilę zaśnięcia, mimo wszystko stawałem twarzą w twarz z jedną z moich najbardziej znieawidzonych książek, która nosiła tytuł *Jan Bibijan* i terroryzowała mnie dydaktycznymi historiami o niegrzecznym chłopcu, który nigdy nie cesał włosów i dlatego słusznie dostał się pod władzę wyjątkowo paskudnych czartów, przedstawionych z całą złością i cynizmem. Cynizm tej książki polegał jeszcze i na tym, że roiła się ona od bezimiennych bohaterów, co – jak do dzisiaj uważam – jest zupełnie niedopuszczalne, bo każda istota musi mieć imię, przede wszystkim jest to ważne w przypadku czartów, gdyż musisz dobrze wiedzieć, z kim konkretnie masz do czynienia. Otóż jeden z najstraszniejszych snów mojego dzieciństwa – rozciągniętych na kilka serii – polegał na tym, że kartkowałem książkę, której w żaden sposób nie mogłem zamknąć i z wszystkiego na świecie najbardziej bałem się przeczytać w niej imię czarta, które miało się składać z przeczytanych liter – bo w chwili, kiedy to by się stało, powtórzyłbym smutny los Jana Bibijana i dożyłotnio robił czartom kawę. Teraz myślę, że dziadek czytał przy ścianie nie Talmud, a jakiś kabalistyczny traktat i przemyślności tego snu winien jest właśnie on.

Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zdarzyło mi się przeczytać imię czarta, jak w większości snów wszystko urywało się na chwilę przed strasznym rozwiązaniem, otwierałem oczy pośród ciemności, w głębi której stał na półce *Jan Bibijan* w zgrzebnej radzieckiej okładce. Wytężałem wzrok, żeby dostrzec grzbiet tej książki pośród innych i przekonać się, że nie wydobywa się z niej dym i nie przesącza się żadne światło. Przysięgałem sobie, że już nigdy nie wezmę jej do rąk, ale następny ranek nieustannie zaczynał się od tego, że kartkowałem *Jana Bibjana*, żeby się przekonać, że nie ma tam imienia czarta. Nigdy nie było.

Na to, że pismo, język pisany są bezpośrednio powiązane z diabelską siłą, moje dziecięce sny wskazywały nieraz. Naturalnie, że zanim sam nauczyłem się pisać, wiedziałem, że czart macza kopyto w każdym kałamarzu, bo inaczej skąd by się brały takie sny? Jeśli pomniejsze diabły tylko poganiają zapisane litery, jak owce, dopokąd nie zagonią ich i nas wszystkich w gęstwinę, to prawdziwą władzę nad słowami ma tylko Lucyfer. Ta władza oczywiście polega na przetwarzaniu słów w rzeczy, ale jeśli Bóg robił ze słów rzeczy niezbędne i solidne, to Szatan przypadkowe i pozbawione najmniejszego sensu. Co gorsze, szatańska fabryka pracuje do dzisiaj, w przeciwieństwie do dawno zamkniętej Bożej huty.

W jednym z moich snów gdzieś na granicy dzieciństwa i młodości siedziałem przy stole i pisałem list, który miałem przekazać komuś przez mężczyznę w kapeluszu. Ten mężczyzna stał obok, trochę z tyłu, za moim ramieniem i bez wątpienia podglądał. Mało kto lubi, kiedy ktoś czyta mu przez ramię to, co pisze. Ale musiałem pisać, co zrobić, takie były reguły snu. Wreszcie, obłany potem, skończyłem i już się odwracałem, żeby wręczyć list mężczyźnie, gdy list jeszcze w moich rękach zmienił się w krzak ciernia czy dzięki róży, coś kłującego i na pół suchego. Nie mam wątpiwości, kim był ten mężczyzna. I teraz myślę sobie, że to był sen przestroga, który warto by zobaczył każdy, kto coś pisze: pamiętaj, że z za twoich pleców podgląda cię diabeł.

To, że żadne ostrzegawcze sny, regularnie wysyłane mi przez senną kancelarię, w żaden sposób na mnie nie wpłynęły, nie budzi już teraz najmniejszych wątpliwości. Są tylko dwie rzeczy, które z nich zapamiętałem. Pisarzyna (gryzmoły) nie ma innego kuriera, jak tylko czort, choć ten bierze do rąk list, a dostarcza wiązkę chrustu. Druga: trzeba starać się pisać tak dobrze, żeby to, co napiszesz, nie zmieniało się w badyle jeszcze u ciebie w rękach. Zresztą nic nie zrobisz: tylko wypuszczasz to, co napisałeś, na cztery wiatry i tym, jak literami, zaczynają poganiać diabły.

Kiedy tylko zacząłem odnosić pierwsze sukcesy w literaturze, sny o diabłach i literach ustały. Co prawda ustało też i przerażenie, tak że teraz moje nocne wizje składają się wyłącznie z masowej zabawnej snoprodukcji, której nie można sobie przypomnieć już chwilę po przebudzeniu. Porzuciłem szkołę snów z dwójną na świadectwie, a więc muszę teraz dziękować nawet za to.

SERHIJ ŻADAN

* * *

Sny powinny być powiązane z rzeczywistością, są powołane, żeby ją przedłużać i wyprzedzać. Ludzie, których spotykasz we śnie, zdarzenia, które we śnie przeżywasz, podróże, jakie odbywasz, są częścią życia, wypełniają twoją świadomość, twoją pamięć i sny. Odpowiednio, rzeczy niezwiązane z doświadczeniem nie mają żadnych szans, żeby pojawić się w twoich snach, o ile nie należą do katalogu poznanego i przeczytanego przez ciebie świata. Wszystkie tłumaczenia i podejście do snów oparte są w wielkiej mierze na poznawaniu oczekiwanego i przyjmowaniu nieuniknionego. Świadomość jest złożonym, jednak nadzwyczaj efektywnym systemem korytarzy, z których każdy wyprowadza cię na świeże powietrze. Dlatego, zetknąwszy się z rzeczami, których nie możesz wytłumaczyć, jakby trafiasz w kozi róg, co natychmiast budzi panikę i niepewność. Wszystko prawidłowo, nic nie budzi takiego napięcia jak niewiedza, i nie uspokaja tak, jak poznanie.

Jest jeszcze jeden, nadzwyczaj ważny moment – nie wszystko, co wydaje ci się nieznanne, jest nieznanne ci naprawdę. Pamięć – to pudełko z podwójnym dnem i kto wie, jakie monety, dziecięce zęby i krzyżyki na łańcuszkach leżą na samym spodzie.

No właśnie, co to były za budynki? Skąd one? Śniły mi się z pewną regularnością, przez kilka lat, raz na parę miesięcy. Zdążyłem przyzwyczaić się do nich, udało mi się nauczyć ich skomplikowanego na pierwszy rzut oka, jednak naprawdę nad podziw przemyślanego i symetrycznego rozplanowania, z długimi korytarzami, licznymi schodami, żelaznymi półkami i krzesłami, zamkniętymi oknami, pustymi poddaszami. Były to jakieś szkoły, bez wątplenia – jakieś internaty z dużymi audytoriami i pustymi stołówkami z pustymi baniakami i górą umytych naczyń. Coś na podobieństwo przedszkola, w którym zatrzymały się marszowe bataliony nieznanej armii. Albo na podobieństwo uczelni medycznej, gdzie wszyscy uczniowie niespodziewanie umarli na nieznaną chorobę. Chociaż nie, nie wszyscy – rzadko stykałem się w tych budynkach z ich mieszkańcami, ale cały czas czuło się czyjąś obecność, za dalekimi ostrymi głosami na górnych piętrach czy za głuchymi krokami rozsypującymi się po schodach jak kamienie. Czasami zdarzało się zauważyć szybkie cienie, które znikaly za oknem, czy poczuć ciepło od nieznacznie uchylonych drzwi, prowadzących na kolejny ciemny korytarz, który łączył szkolne budynki, zamieszkałe przez przywidzenia.

Trafiając nieustannie do tych budynków, coraz lepiej w nich się orientowałem, nie tyle znając, co domyślając się za następnymi drzwiami zejścia do piwnicznych pomieszczeń czy długiego rzędu prysznicowych kabin. Budynki za każdym razem odrobinę się zmieniały, pojawiały się nowe rysy, które potem łatwo wpisywały się w ogólne architektoniczne założenie, w zmierną plecionkę schodów i pokojów, przez jakie za każdym razem trzeba było przejść. Czasami przypominało to dziecięcą grę komputerową – trzeba było dostać się z jednego korpusu do drugiego, pokonawszy przypadkowo bezlik pięt i przebiegając po nieskończonej ilości dachów. Czasem przeciwnie – zatrzymywałem się w oddalonym kącie, w ciemnym pokoju, ukryty i niewidoczny dla postronnego oka, musiałem pozostawać tam przez cały czas, czekając na coś niesłychanie ważnego i wsłuchując się w głosy za ścianami. W tym wszystkim nie czuło się żadnego zagrożenia – te budynki i te sny w ogóle nie były groźne, głosy i kroki, które to przybliżały się, to niespodziewanie oddalały, były całkiem neutralne. A samo chowanie się czy przebieganie z jednej części budowli do innej niosło w sobie zupełnie inny posmak – posmak jakiejś dziwnej mechanicznej zabawy, uczestnictwo w której nie przynosi ani jakiegóż szczególnego rozdrażnienia ani nadzwyczajnego zadowolenia. Wszystkie te postaci, przechodzące obok mnie, cały ten śmiech i szepty, do których się dosłuchiwałem, istniały jakby odrębnie ode mnie, w żaden sposób ze mną się nie przecinając i ignorując wszystkie moje próby porozumienia. Zresztą, wyizolowanie, nieobecność jakichkolwiek związków, znajomości i rozmów, przeżyć, strachów i radości, czyniły samą obecność ludzi w tych budynkach nieważną, jakby wskazując, że rzecz nie w mieszkańcach, a w samych budynkach, w tych nieskończonej długości korytarzach, którymi trzeba było przejść do końca, w tych ciemnych pustych strychach, po których chodzisz niczym po ładowniach statków, dawno i beznadziejnie opuszczonych przez załogę.

Szybko zrozumiałem, o co chodzi. Te budynki śniące mi się od czasu do czasu, do których uparcie powracałem, tworzyły prywatną architekturę moich snów, wewnętrzną toponimikę, która nie tyle niepokoiła, co czyniła sny nieskończone migotliwymi, jak światło za oknem letniego porannego pociągu. Zdołałem przywyknąć do ich niespodziewanego i nieprzewidywalnego pojawiania się, nie uważając każdego takiego pojawienia za coś nadzwyczajnego i nie widząc w nim żadnych znaków czy to przestrogi, czy zapowiedzi, ponieważ żadnych znaków te sny w sobie tak naprawdę nie kryły. I wszystkie moje próby znalezienia na ścianach, podłozie czy suficie jakiejś podpowiedzi kończyły się fiaskiem. Przecież nie można przeczytać liter, które nie były napisane.

Zresztą, myślałem, niechaj tak będzie: czasami budynki, które nam się śnią – to nie po prostu budynki, a ludzie przychodzący do nas we śnie – po prostu ludzie, którym nie mamy co powiedzieć.

Jedyne, co niepokoiło, to jaki stosunek one, wszystkie te budynki z podwójnymi podłogami i ukrytymi pokojami mają do mnie? Skąd mogą znać rozmieszczenie pokoi na piętrach czy liczbę stopni prowadzących do piwnicznych pomieszczeń? Nie byłem w żadnym z tych budynków, nawet do przedszkola nie chodziłem i żadnych ukrytych pokoi w moim dzieciństwie po prostu nie mogło być. Więc skąd się teraz wzięły? Wszystkie próby przypomnienia sobie, odnowienia w pamięci tej architektury, którą przychodziło mi widzieć, też do niczego nie doprowadziły – budynki wyslizgiwały się z przeszłości, nie mieszcząc się w niej i pozostając na tranzytowym niewiel-

kim terytorium pomiędzy widzianym a wymyślonym. Nic mi nie mówiły te pomalowane na zielono ściany, ta ciemnoczerwona podłoga, te białe ceglane ściany. Nigdy nie słyszałem tych chrapliwych skradających się głosów, które mówiły o czymś, nie domyślając się mojej obecności, nie słyszałem tego dalekiego postukiwania ram zamykanych okien. Mogłem rozpoznać chyba tylko zapachy. Właśnie zapachy. Ten dawny słodkawy zapach szkolnych klas pod koniec lata, przed początkiem roku szkolnego, smutny zapach starych szkół, które stały puste przez całe lato, wypalane przez słońce i ogarnięte ciszą. Niewytrawiona woń naszych dziecięcych nieszczęść i marzeń, przeciąg napełniony nastoletnią rozpaczą – cóż może być bardziej beznadziejnego od tych porannych świeżych klas, do których wbiegaliśmy rano. Zapach szkoły, niewątpliwie, to był właśnie zapach klas przy końcu letnich wakacji – cierpki i niewytrawiony jak zapach apteki. Nie najgorsza przeszłość, jaka może się przyśnić.

Historia była taka. Kiedy mieliśmy kilkanaście lat i szkolna nauka tak czy inaczej dobiegała końca, wymyśliliśmy z kolegami nowe zajęcie – długimi sierpniowymi wieczorami, kiedy mrok robił się liliowy i srebrny od gwiazd, otwieraliśmy okna szkoły albo szkoły medycznej i wślizgiwaliśmy się do środka, do wysokich od ciemności korytarzy, błakając się po omacku po audytoriach i salach gimnastycznych i patrząc przez czarne szyby w dźwięczną sierpniową pustkę. Zresztą, nawet niczego nie braliśmy, w tym wszystkim nie było żadnego kryminału, po prostu taka sobie próba zajrzenia za kulisy zwyczajnego dla nas życia, zobaczenia od środka wszystkich tych dekoracji naszego nastoletniego życia, wyjątkowa, kusząca możliwość nastąpienia na granicę tego co dozwolone, zrobienia jednego małego kroku w głąb tego mroku, który był cały czas obok nas, nie dając się chwycić w ręce. Coś nas prowadziło do tych cichych budowli, coś zmuszało, by ostrożnie otwierać okna i wchodzić przez dachy, wspinać się po balkonach i dobierać klucze do ciężkich szkolnych drzwi. Pewnego razu nawet znaleźliśmy się w bibliotece, zdarzyło się to dosłownie w ostatnie dni lata i mogłoby się zakończyć smutnie, bo ktoś przypadkowo zobaczył światło naszych latarek i zmuszeni byliśmy wydostawać się przez rozbite okno i uciekać nocnym kolejowym torowiskiem, które matowo płonęło w księżycowym świetle, czyniąc nas widzialnymi i bezbronnymi.

Dziwne, że po skończeniu szkoły ani razu się nie spotkaliśmy. Tak jakby nasza przeszłość została odcięta przez tamtą ucieczkę przez kolejowe nasypy, została gdzieś tam, między potężnymi dworcowymi reflektorami, i przywracać jej, odnawiać w pamięci nikt nie miał ani czasu, ani chęci, ani odwagi.

Rzeczy, które nam się zdarzają, strach i radość, które przeżywamy, nie opuszczają nas, żyją cały czas razem z nami, ukrywając się w naszej pamięci jak dzieci w trawie. To, co znajduje się pomiędzy snem i rzeczywistością, to, co zapada w pokłady świadomości, jest najcenniejsze i najważniejsze, o ile to właśnie ono każe twojemu sercu bić tak, żeby było ci dobrze i lekko żyć. Pamięć jest tym, co może się przyśnić. Marzenia senne – to to, co zawsze możesz sobie przypomnieć, chociaż nie zawsze chcesz. Jeśli ktoś wie, co tam jest – na samym dnie pudełka.

przełożył *Bohdan Zadura*

KRZYSZTOF SIWCZYK

Dokąd bądź

(fragment)

Nasz dom i my, nasze marzenie wypowiada w naszym imieniu chwast, ziemia, którą musimy nawieźć, dbać o przyszłość, drzewa, kopać głęboką dziurę, nie inaczej, nie kto inny jak właśnie my, jedyni, co zesłaliśmy się pewnego dnia, w niedbałym cieniu, w raczej zwiędłym mieście, odpowiemy słońcu pod przysięgą, chcemy żyć, nie chcemy zanadto lękać się żyć, nic na siłę, dziecko, może być coś na tę modłę, sens inny, co bądź uchroni przed nami, dochowa wierności przykazaniu dalszego ciągu, gdy staniemy wspólnie przed południem, w szpicie ogrodu, susi jak kokosanki, co wyszły z obiegu, od dawien dawna o tym myślimy, kim może i chcieliśmy zostać, dla innych, jedyną możliwością, jedynym rozwiązaniem, tego chcemy, nic z tego nie wychodzi póki co, póki mamy kontakt z własnym wyobrażeniem, błędną wskazówką, której udzielił nam czas, cisi ochotnicy, bez zastanowienia wyrażający zgodę dniom łąz, co wschodzą nad kołyską jak markizy, pod banderą dnieje niewiele dobrego.

Ono będzie naszym przewoźnikiem, nauczymy go zła się wystrzegać jak mszyc i moli, boże drogi, dokąd to prowadzi, mamy mamy od groma, kości leżą w spichlerzu, dobrze się wiedzie, jedzie się wygodnie, mamy speed i wiatr, pełną bibliotekę oraz zaufanie do ludzi, stąd nie widzimy już więcej powodów do obaw, daj nam rodzic, przepaść.

Albo daruj spokój, gdyż opuszczamy słowa piosenki, *kominy i wrony*, dobytek w dzielnicy emerytowanego proletariatu jak puste krzesło w kancelarii rejenta, och jak pięknie działa restauracja, wzmogły się wybiegi fasad, młodzież i moderna dają nogę, *ryby z Ustki* jak Brama Brandenburska otwierają targi węgla, nic już nie wiemy, błyskawiczny wypad do pracy, mówi ci to coś, ale tylko w dni parzyste, kiedy idziemy pod rękę ku działkom, a tam tablica kompromisu, zawieszenie prac egzekutywy, pijana inkwizycja, zwinięte wigwamy, kajaki w rowie melioracyjnym, ewakuacja kompostu z altany szefa.

Starczy dla wszystkich powietrza, zapewnia projekt konsorcjum, i nie wypada wręcz nie wierzyć w ofertę lasu, ostre podejście dzika, sarnę w łapetkach z fuzji, niczego już nie rozpoznajemy, jeden wykop, masowy grób, kabel doprowadza relatywnie małą ilość prądu tuszy,

która puchnie w tirze, na rogatek i bramkach, szkoda ich, nasze zyski, niewielkie uniwersum, o jakim śniło się filozofom praktyki, chłopom w dobie klonów, dębów, które stanęły naprzeciwko stadniny, gdy tam odbywa się proste nabożeństwo, apel społeczności, do jakiej aspirujemy jak ból głowy do tabletki, na opak patrzemy sobie w oczy, bo miłość donosi o rzeczach zawsze nowych, narzędziami finezyjnej obawy, co wystarcza za ratunkowe koło, gdy siedzę sam w kubaturze jak Lennon przy pianinie, z głupią miną, bo najwidoczniej okiennice zapiekły się na zawiasach i w tej bieli przyjdzie już spocząć, niedoczekanie, w towarzystwie muzyki.

Uporządkujmy jednak sny, w czytelne konieczności, czego domaga się od nas przestrzeń, opilki i nasiona mają opad przed południem, czego nie można powiedzieć o niecce, wypiętrzaniach, podatnym gruncie dla lekkiej konstrukcji, wokół której tańczymy jak czerwoni, blade twarze wystawiając donikąd, skąd przybywa w sumie całkiem urocza próżnia, starter zupełnie zbędnych tożsamości, z przyzwyczajenia nazywanych historią wzrostu i zmagania w klimacie ustrojowych ograniczeń jak warzywo pod folią, podróżujące z ogromną prędkością wprost ku otchłaniom zadośćuczynienia w wprawnych dłoniach Pana Kleksa, o tak, nie widzimy więcej powagi w wydukowanym przebiegu kariery życia, ładnie opisanej w logicznym cyklu przemiany, w segregatorach jesteśmy na tak, złamani niczym inwestycja w przyszłość, którą żyrują cienie dzieciństwa spędzonego w idealnej kapsule, gównianej wyściółce, pocałunku w budce wartownika, ustawionej pod nosem chatki masarza, jakbyśmy chcieli podać to dalej we fragmentach jak urwane ścięgnięta, łączą głuchego telefonu, odwracając głowę do ściany bloku, lustra, w jakim nie odbija się nic innego niż myślimy, niemrawi uczestnicy pielgrzymki włóczek, co skończyły się przed labiryntem, jeszcze w szybie windy, która miała zabrać nas z zsypu do ziemi, a tak nici z tego, skłonność do zwierzeń, reprodukcja, album za albumem oglądam, co widzę, pozostawia niewiele do życzenia, wszystko jest na górze, na wierzchu, na dachu świata, dla którego próżno szukać podstaw akurat w percepcji siebie sprzed lat, do czego namawia na okrągło oko, w którym zakręciła się lza, gdy zśliśmy właśnie po worki na śmieci i budzik zaświecił niejako.

Grzech, konwencjonalny jak lubrykant w porzuconej hurtowni maści, o który możemy się upomnieć, w ostateczności potwierdzi czas i miejsce naszego przybycia, konkret przeciwstawiony mglistej obietnicy, raj jak najbardziej znamy, to chyba będzie wszystko, odsłaniam zasłony jak tłuste karty do skata, które przeszły przez tyle palców, leżały jeszcze długo po śmierci właściciela w – jak mówił – byfju, by gnić, i chyba z tego względu wyrzucam rzeczy przed rozpakowaniem, zbieram jedynie małe przedmioty, upycham je po kątach, żeby nie pamiętać więcej niż to konieczne, skoro zjawisko pojawi się w pełnej krasie, nagie wyłoni się ze mnie, wylinka, dosłownie wywłok, ale ze skłonnościami do ustawicznej wiary jak wąż pracujący nad raciczkami wołu, bez buta jak Jazon zostaną na ostatku, nie udam się już po nic, tym razem wszystko przyniosą, do wyra, pod gardło podejdzie jedynie żal i złoto, prosba o wybaczenie, również ciężkie przypadki herosów.

Demonstracja memów jako jedyny dowód człowieczeństwa w ogólnym rezerwacie fikcji, tak chcielibyśmy się znowu zobaczyć, słyszałem, że zniknął gatunek i problem śmierci, i o to biega co drugi miejski wytwórca dobrobytu, nie można się nie wzruszyć, zwyczajstwo woli nad kompletną kapitulacją pod nożem praktykanta, odzysk zmęczenia, zwrot majątku mocy, która będzie potrzebna w nocy przejścia, chociaż wszyscy moi bliscy wyszli nad ranem, gdy inni spali, tak to już jest, w rękach kijki, na nogach betonowe bamboszki, lekki uśmiech i hop do przodu, gdzie czeka na nas odwieczna nagroda, sukcesy pociech skazanych na sukces, z których wyrosły potwory, my, raz na zawsze obiecujący poprawę, starzy i dalej bez życia, koniec końców ani me ani be, mlaskacze, dziąsła, organy, których nikt nie odwiedzi, realne kłopoty zarządu, zdany klaser ze znaczkami ruskiego kosmosu w depozycie oraz masa utylizacyjna, zdarzyć się może udana biografia, w piecu obok niebieski obłok, nasze splecione dłonie, obiecujące sobie być może nazbyt wiele.

Kiedy młynek proch miele, kawa jest taka zgrana, słyszałem całkiem dużo o nowościach, mianowicie nowa literatura przyszła, sporo w niej dorzecznego idiomu, jest temat i opracowanie, mocny autor, indywidualny jak telewizja śniadaniowa, o której opowiada pierwsza zmiana adwokatury, tak bardzo potrzebna z samego rana, bo mamy mało sił, nie wiemy, jak o tym opowiedzieć, większość protez wyłapie detektor humanisty, i masz ci go, w wewnętrznej kieszeni, głęboko w sercu jak mitralne tiki, odzywa się na granicy pastwiska, gdziekolwiek znać insze inspiracje, rykowisko kibola, *Pan Tadeusz*, poezja przed i po Oświęcimiu, co to to nie, chodzi przecież o wzruszenie istot przed obliczem istnienia, którego nie uniknęły jak sanitariuszki gwałtu, książki ognia, miasto dystynkcji.

Krzysztof Siwczyk

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Magdalena Rabizo-Birek: *Romantyczni i nowocześni. Formy obecności romantyzmu w polskiej literaturze współczesnej*. Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Rzeszów 2012, ss. 540.

Tradycja jest wyzwaniem. Z prymasem Czech, arcybiskupem Pragi Dominikiem Duką OP rozmawiają Tomasz Dostatni OP i Jarosław Šubrt. Przełożył Andrzej Babuchowski. Posłowie Jacek Baluch. Wydawnictwo „W drodze”, Poznań 2012, ss. 197+2 nlb.

Następstwa zagłady Żydów. Polska 1944-2010. Praca zbiorowa pod redakcją naukową Feliksa Tycha i Moniki Adamczyk-Garbowskiej. Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Żydowski Instytut Historyczny, Lublin 2012, ss. 925.

O Leśmianie po stu latach

Siedemdziesiąta piąta rocznica śmierci Bolesława Leśmiana przeszła bez echa zarówno w prasie codziennej, jak i w tygodnikach. A przecież był to jeden z największych polskich poetów. W 2012 roku minęło także stulecie od ukazania się pierwszego tomu jego wierszy. Nie ogłoszono ani roku Leśmiana, ani nawet miesiąca – inaczej niż w przypadku Brunona Schulza, któremu poświęcono wystawy, seminaria, festiwale.

Największym zainteresowaniem twórczość Bolesława Leśmiana cieszyła się w latach 60. i 70. XX wieku. We wstępie do londyńskiego wydania *Klechd polskich* z 1956 roku Bronisław Przyłuski oceniał autora *Pana Błyszczczyńskiego* z admiracją: *Bolesław Leśmian, jeden z największych naszych poetów ostatnich czasów*. W 1972 roku Jerzy Kwiatkowski na łamach „Pamiętnika Literackiego” stwierdził: „Leśmian jest »umiłowaniem« naszej epoki”. Dziś o twórcy jakby nieco zapomniano. Na szczęście są jeszcze jego wielbiciele, o czym przekonałem się, biorąc udział w poświęconej poecie audycji *Klub Trójki* w Programie 3 Polskiego Radia. Przypomniałem wówczas sylwetkę artysty i jego życiowe perypetie. Oddźwięk u słuchaczy był spory.

Ponadto z upływem lat od śmierci Leśmiana poszerza się nasza wiedza o jego poezji i języku (pod koniec 2011 roku nakładem wydawnictwa KUL ukazały się dwa niepublikowane dotąd teksty poety, których rękopisy znajdują się w USA: *Satyr i Nimfa* oraz *Bajka o złotym grzebyku*). O autorze *Napoju cienistego* od blisko stu lat napisano całe biblioteki rozpraw, książek, monografii. W ostatnim czasie interesujące prace opublikowały Barbara Stelmaszczyk¹ i Anna Czabanowska-Wróbel². Wciąż odbywają się także sesje naukowe poświęcone jego twórczości – m.in. w Raciborzu, Iłży, Zamościu. Co charakterystyczne, pamięć o artyście pielęgnują przede wszystkim ośrodki mniejsze. Uczczono go tablicami pamiątkowymi w Hrubieszowie, Zamościu, Iłży. W Warszawie, gdzie twórca się urodził, spędził około dwudziestu lat życia i zmarł, nie złożono mu takiego hołdu, mimo iż przetrwał jego dom przy ulicy Kopernika, w którym mieszkał przed I wojną światową. Stoi też kamienica przy ulicy Marszałkowskiej 17, gdzie Leśmian mieszkał w ostatnich latach życia i gdzie 5 listopada 1937 roku zmarł.

Artysta pochodził z inteligencji żydowskiej – z rodu warszawskich księgarzy Lesmanów i iłżeckich fabrykantów Sunderlandów. Pradziad poety Antoni Eisenbaum należał do przywódców frakcji asymilacyjnej wśród Żydów, był organizatorem postępowej Szkoły Rabinów w Warszawie, gdzie uczono języka polskiego, czytano dzieła polskich pisarzy oświeceniowych, dążąc do kulturalnej europeizacji i polonizacji społeczności żydowskiej. Nie oznaczało to jednak odejścia od judaizmu. Ani Eisenbaum, ani jego zięć Bernard Lesman (po hebrajsku Dov Ber syn Shaloma) nie zmienili wyznania. Obaj zostali pochowani na Cmentarzu Żydowskim w Warszawie i tam można obejrzeć ich odnowione nagrobki.

Dziadek poety Bernard Lesman wydawał podręczniki do nauki języków obcych i powieści Dumasa. Stryj Antoni, który przejął wydawnictwo, po-

¹ B. Stelmaszczyk: *Istnieć w dwoistym świecie... Model człowieka i obrazy Boga w poezji Bolesława Leśmiana*. Łódź 2009.

² A. Czabanowska-Wróbel: *Złotnik i śpiewak. Poezja Leopolda Staffa i Bolesława Leśmiana w kręgu modernizmu*. Kraków 2009.

stawił na ambitniejszą literaturę – publikował poezję, m.in. kilkutomową antologię *Lira polska*, książki historyczne i filozoficzne, np. pracę Aleksandra Świętochowskiego *O epikureizmie*. Rodzina matki poety – Emmy z Sunderlandów – wywodziła się z Anglii. Pierwszym jej przedstawicielem osiadłym w Polsce był Lewin Selig, który przyjął nazwisko Sunderland i założył wytwórnię fajansu w Ilży. Miasto to gościło Leśmiana kilkakrotnie – tam poznał Teodorę Lebenthal, późniejszą adresatkę cyklu *W malinowym chruśniaku*. Autor *Ląki* spokrewniony był z poetą Antonim Langem, historykiem Aleksandrem Krausharem, prawnikiem i bajkopisarzem Janem Brzechwą, malarzami Krystyną Brzechwą, Celiną i Franciszkiem Sunderlandami, fotografikiem Janem Sunderlandem. Wnuczką Leśmiana jest aktorka znana z *Powiększenia* Antonioniego – Gillian Hills-Young.

Bolesław Leśmian nie afiszował się ze swym pochodzeniem, ale też go nie ukrywał. Nie miał pod tym względem kompleksów. Przyjaciele: Zenon Przesmycki-Miriam, Franciszek Fiszer, Adam Szczerbowski, Zygfryd Krauze czy Kazimierz Wierzyński wiedzieli, że nazywał się Lesman. Również pracownicy notariatu w Hrubieszowie i Zamościu znali żydowskie korzenie poety, lecz nie przywiązywali do nich żadnej wagi – szanowali go jako człowieka. Zdarzały się jednak paszkwile zamieszczane na łamach prasy endeckiej, gdzie z niecną intencją pisano o pochodzeniu poety. Dawid Maria Osiński uznał wręcz, iż Leśmian chorował na kompleks żydowski, ponieważ rzekomo ukrywał swój rodowód³. Poeta nie miał się jednak czego wstydzić, pochodził bowiem z rodziny zasłużonej dla kultury – za to, jako człowiek subtelny i dobrze wychowany, nie widział powodu, by publicznie się z tym afiszować. Kazimierz Wierzyński również nie ujawniał swych niemieckich korzeni, a Jan Lechoń – tatarskich. W prasie endeckiej twórczość Leśmiana nazywano niby dowcipnie „prze-żydkiem”, odmawiano mu prawa do bycia Polakiem, a nawet kwestionowano polskość jego twórczości. Z kolei prasa żydowska zarzucała poetom, którzy odeszli od religii przodków (Tuwimowi, Słonimskiemu, Leśmianowi i innym), że są renegatami.

Choć wcześniej tworzyli inni polscy poeci o korzeniach żydowskich (m.in. Julian Klaczko i Antoni Lange), to właśnie Leśmiana można bez przesady nazwać geniuszem. Autor *Ląki* osiągnął niekwestionowaną artystyczną wielkość – jako pierwszy odkrywczo połączył poezję z metafizyką, słowotwórstwo z epistemologią, umiłowanie przyrody z poglądem o naturze czującej. Po nim przyszedli następni: Tuwim, Schulz, Jastrun. On był pierwszy: Żyd, a zarazem Polak – wielki poeta.

Sam Leśmian czuł się Polakiem i w dokumentach (np. w aktach osobowych Lesmana-notariusza z archiwum zamojskiego) deklarował narodowość polską. W wykazie stanu służby z 23 sierpnia 1926 r. w rubryce „wyznanie” napisał – zgodnie z prawdą – „rzymsko-katolickie” (został ochrzczony w wieku 10 lat w 1887 roku), zaś swą narodowość określił jako „polską” (choć zarówno rodzina ojca, jak i rodzina matki były pochodzenia żydowskiego). W twórczości tylko sporadycznie nawiązywał do kultury żydowskiej (we wczesnym wierszu *Z cyklu „Sny”*, poemacie *Eliasz*, eseju o *Pieśni nad pieśniami* lub recenzji *Miasteczka* Szaloma Asza). Bardziej interesowały go literatura polska i francuska oraz kultura i obyczajowość słowiańska z jej zapomnianą dziś mitologią, folklorem. Z upodobaniem studiował słowniki, by poznać wyszłe z użycia słowa.

W połowie lat 30. nacjonaści atakowali Leśmiana m.in. za nadmierną zmysłowość jego wierszy, zamiłowanie do makabry i wątków cmentarnych. Zarzucano mu nihilizm oraz plugawienie języka. Te oskarżenia odnaleźć można w paszkwilach Tadeusza Dworaka z „Prosto z mostu” czy szkicu Stanisława Czernika w „Okolicy Poetów”. Ten ostatni pisał, że predylekcja

³ D. M. Osiński: *Bolesława Leśmiana kompleks żydowski (w:) Pisarze polsko-żydowscy XX wieku. Przybliżenia*. Red. M. Dąbrowski, A. Molisak. Warszawa 2006.

do zabiegów słowotwórczych, z której znany był autor *Topielca, nie wynika z pasji ani umiłowania języka, raczej z jego niezrozumienia*⁴. Podobnie uważał jeszcze w czasie II wojny światowej Tadeusz Gajcy.

Zarzuty te przechodzą z pokolenia na pokolenie. W 2007 roku język poety skrytykowała Magdalena Rabizo-Birek, która na kartach „Frazy” napisała, że wadą poezji Leśmiana były: *grandilokwencja, poetyckie gadulstwo, nadmiar środków poetyckich oraz młodopolszczyzna – dziwny, daleki od współczesnej polszczyzny język. Właściwie to już język obcy, który trzeba tłumaczyć i opatrywać przypisami*⁵. Podobnie do problemu ustosunkowała się w 2011 roku na łamach „Newsweeka” Julia Hartwig, twierdząc, iż słownictwo cyklu *W malinowym chruśniaku* „myszką trąci”. Do polszczyzny poety krytycznie odniósł się też Krzysztof Masłoń w recenzji pierwszego tomu dzieł zebranych artysty.

Istotnie, poeta lubował się w języku z czasów swej młodości, czasem celowo nadużywał neologizmów, ale potrafił także wspaniale opisywać przyrodę, wnikliwie obserwować życie bąka, żuka, pszczoły, maków, róż, łąk, sadów, lasu... Język Leśmiana sięga do korzeni polszczyzny, do folkloru, a słowa przez niektórych mylnie uważane za neologizmy są dawnymi wyrażeniami, odświeżonymi tylko przez poetę.

Marian Piechal wspominał słowa Leśmiana: *Mówił, że poeta jest jak Stwórca, ale taki, który nieustannie poprawia i udoskonala ten już stworzony albo tworzy całkiem nowy świat*⁶. Twórczość poetycką autor *Pana Błyszczynskiego* postrzegał jako kreację świata, a ponieważ rytm utworu miał oddawać kosmiczny rytm istnienia, Leśmian odrzucał nowinki w rodzaju wiersza wolnego. Był przeciwnikiem awangardy i upodabniania poezji do prozy. Z tego powodu dziwić może chęć niektórych badaczy, by traktować go jako prekursora nowoczesności. Odwrotnie: artysta heroicznie bronił tradycji literackiej, klasycznej formy, przypominał zapomniane określenia, odnawiał gatunki, które w dwudziestoleciu nie były modne, np. balladę.

Leśmian przewyższa wielu uznanych poetów głębią filozoficzną swych utworów, umiejętnością obrazowania. Mieczysław Jastrun podsumował: *Wiersz „Do siostry” więcej wart niż cała dzisiejsza poezja*. W liryku tym, napisanym po śmierci siostry, Aleksandry Lesmanówny, zawiera się rozpacz człowieka, który utracił bliską osobę. Wcześniej zmarli matka i brat poety; w 1912 roku artysta stracił ojca, później macochę, a w 1923 roku siostrę (z wiersza dowiadujemy się, że do jej śmierci przyczynił się głód).

Obecnie dużo już wiemy o kolejach życia poety, o jego perypetiach miłosnych, finansowych, o bliskich z rodziny Lesmanów i Sunderlandów. A jednak nadal w opracowaniach, encyklopediach, a nawet w pracach naukowych podawane są różne daty urodzin artysty. Tymczasem – jak zapisano w oryginalne aktu urodzenia, który odnalazłem w Archiwum Państwowym m. st. Warszawy – Bolesław Stanisław Lesman przyszedł na świat 22 stycznia 1877 roku. Wszystkie inne wersje są błędne i wynikają z nieporozumienia. Bolesław został ochrzczony w 1887 roku, razem z bratem Kazimierzem (młodszym o jedenaście miesięcy) i czterdziestoletnim już ojcem Józefem Lesmanem, księgarzem. Później ten ostatni wybierze karierę urzędnika carskiego i wyjedzie do Kijowa, gdzie będzie pracował w kasie emerytalnej.

Na kijowskim uniwersytecie Leśmian pod wpływem perswazji ojca studiował prawo, chociaż interesował się literaturą. Do kręgu jego znajomych należeli wówczas słynny tenor Aleksander Myszuga, poeta Mamert Wikszemski, doktor Grzegorz Stanisławski, brat malarza Jana Stanisławskiego, oraz jego żona Stanisława Wysocka, późniejsza wybitna aktorka, która w 1924 roku w liście do Emila Zegadłowicza napisze: „Leśmian to naprawdę piękna dusza”.

⁴ S. Czernik: *Dwadzieścia lat poezji polskiej. 1918-1938*. „Okolica Poetów” 1939, nr 1/2.

⁵ M. Rabizo-Birek: *Pora poezji – Leśmian*. „Frazy” 2007, nr 2.

⁶ M. Piechal: *O Bolesławie Leśmianie (w:) tegoż: Żywe źródła*. Warszawa 1985, s. 209.

W grudniu 1900 roku poeta wziął udział w wystąpieniu czterystu studentów przeciw restrykcyjnym działaniom władz wobec uczelni wyższych. Był wówczas na czwartym roku studiów. W czasie manifestacji żądano swobód akademickich. Leśmian został zatrzymany przez policję, a w marcu 1901 roku (23 lutego według kalendarza juliańskiego) zeznawał na komisariacie. Podpisał wtedy oświadczenie, że ogłoszono mu rozporządzenie Ministra Oświaty Narodowej z 9 stycznia 1901 roku nr 490, zgodnie z którym za udział w demonstracjach mógł zostać skreślony z listy studentów i otrzymać „wilczy bilet”. W śledztwie pytany przez policję, z kim się spotyka, zachował się godnie. Nie „sypnął” nikogo. Jak mógł, wykręcał się od podawania konkretnych nazwisk. Powiedział, że czasem przychodzą do niego koledzy, jednakże nie chce wymienić ich nazwisk, by żadnego z nich nie narazić na kłopoty, bowiem są to – według niego – „młodzi i porządni ludzie”. Dla zwiększenia wagi tych słów Leśmian powołał się na znajomość z profesorem Jewgienijem Aniczkowem, folklorystą, uznanym autorytetem naukowym. Młody poeta nazwał go swym „bliskim znajomym”. To nazwisko oraz interwencja ojca, wówczas dyrektora kasy emerytalnej i radcy stanu, uchroniły Bolesława przed zsyłką. Taka kara spotkała dwieście innych osób uczestniczących w manifestacji. Niepokornych, za którymi nikt się nie wstawił, władze rosyjskie wywozły w głąb Rosji. Swoją drogą, warto się zastanowić, jak wyglądałyby droga twórcza i życie Leśmiana, gdyby zesłano go do Tobolska czy Irkucka. Czy pozostałby na Syberii? Czy zdołałby przeżyć rewolucję? A może wróciłby do kraju z oddziałami generała Hallera lub Dowborczykami?

Student Lesman, oskarżony o *rozpowszechnianie wśród studentów przestępczych proklamacji i antyrządowej propagandy*, otrzymał naganę i został wypuszczony do domu pod dozorem tajnej policji. Wydawało się, że wywinął się przed aresztowaniem. Nastąpiły jednak kolejne rozruchy i młody poeta znów wziął w nich udział. Zatrzymano go i tym razem na miesiąc osadzono w więzieniu na Łukianówce. Po latach w relacjach poety i wspomnieniach córki okres więzienia wydłużył się do pół roku. Jak twierdziła Maria Ludwika Mazurowa, Leśmian opowiadał żonie i córkom, że w więzieniu grał w karty i objadał się *kotletami przynoszonymi z pobliskiej restauracji przez przekupionego dozorcę*.

Po zwolnieniu z więzienia poeta zdał eksternistycznie ostatnie egzaminy. 31 maja sporządzono dyplom drugiego stopnia. Leśmian nie miał jednak pieniędzy na opłatę i otrzymał go dopiero po dwóch miesiącach. Oto jakie wyniki osiągnął na studiach: *Okaziciel tego, Bolesław Stanisław Józefowicz Lesman, syn stałego mieszkańca m. Warszawy, wyznania rzymskokatolickiego, (...) okazał następujące osiągnięcia: z prawa rzymskiego – stopień zadowalający, z prawa cywilnego – stopień zadowalający, z sądownictwa cywilnego – stopień zadowalający, z prawa karnego – stopień zadowalający, z prawa handlowego – stopień zadowalający, z egzaminu pisemnego z prawa rzymskiego – stopień zadowalający*. Jak widać, poeta był przeciętnym studentem. Dyplom prawnika przydał mu się, gdy podjął pierwszą pracę w Warszawie, a także po latach, kiedy w 1918 roku objął posadę (synekurę) notariusza w Hrubieszowie, a następnie w Zamościu. Wcześniej jednak Leśmian przez kilka lat recenzował nowości literackie i pisał interesujące eseje. Po okresie, w którym był związany z elitarną „Chimerą”, stał się aktywnym współpracownikiem „Literatury i Sztuki”, dodatku literackiego warszawskiej „Nowej Gazety”. Krótko publikował też w „Prawdzie” Rzymowskiego i „Kulturze Polskiej” Świętochowskiego. Zyskał wtedy opinię cenionego krytyka. Informacje o nim trafiły nawet do encyklopedii, mimo iż nie wydał jeszcze ani jednego tomu wierszy.

Bolesław Leśmian był człowiekiem wielu kultur, co należy uznać za charakterystyczne dla dawnej – wielonarodowej i wieloreligijnej – Rzeczypospolitej. Urodzony w Warszawie, kształcony w gimnazjum klasycznym artysta poznał

świat antyku, a dla przyjemności czytywał Hezjoda i Herodota (później napisze wiersz o Akteonie). Studia na rosyjskim uniwersytecie w Kijowie sprawiły, że dobrze przyswoił sobie literaturę rosyjską.

Poeta miał także przyjaciół wśród Ukraińców, a sama Ukraina wpłynęła na jego późniejszą twórczość poprzez swe baśnie, legendy oraz bujną przyrodę. Letnie wakacje autor *Pana Błyszczynskiego* spędzał na wsi, u rodziny macochy. Bywał w leśniczówce Aleksandra Sfaryczewskiego w Szamrajówce albo u stryja Aleksandra Lesmana pracującego w Żmerynce. Tam w 1898 roku urodził się brat stryjeczny poety – Jan Lesman, czyli Jan Brzechwa, którego Bolesław uczył mówić. Pierwsze zdanie wypowiedziane przez małego Janka brzmiało: „Mama skąpa”. Można sobie wyobrazić szok rodziny, jaki wywołały te słowa...

W debiutanckim tomie *Sad rozstajny* z 1912 roku znalazły się wiersze nawiązujące do młodości spędzonej na Ukrainie: *Step* i *Głuchoniema*. W *Głuchoniemiej* pojawia się konkretne miejsce: rzeka Tykicz płynąca przez Stawyszczę, między Białą Cerkwią a Humaniem, a więc w dobrach Braniczych, w okolicach, które poeta znał osobiście.

W Kijowie Leśmian włączył się aktywnie w życie kulturalne. Od 1895 roku należał do Towarzystwa Literacko-Artystycznego, którego członkami byli zarówno Polacy, jak i Ukraińcy. 8 lutego 1898 roku wziął udział w wieczorze ku czci Mickiewicza. Legenda rodzinna głosi, że Leśmiana aresztowano na scenie, gdy wygłaszał wiersze wieszczka. Córka poety pisała w 1959 roku: „*Za nierozsądne rozprzestrzenianie języka polskiego*” został skazany na zesłanie na Syberię. Nie jest to prawda: za występ na wieczorze mickiewiczowskim poeta nie poniósł żadnych konsekwencji prawnych (nigdy też nie skazano go na zesłanie, jedynie dwa lata później – o czym już wspomniałem – został aresztowany w czasie rozruchów studenckich).

Na twórczość artysty wpłynęła także kultura polska, literatura, z którą obcował od dziecka. W domu rodzinnym – gdy ojciec ożenił się po raz drugi, z Heleną z Dobrowolskich, krewną Walerego Sławka – obchodzono Boże Narodzenie, stała choinka, o czym Leśmian pisał w jednym z wierszy. Z korespondencji wiemy, że duży wpływ na jego rozwój literacki miała poezja Słowackiego, Tetmajera, Langego, Miriama-Przesmyckiego, a nawet Konopnickiej.

Z poetów obcych autor *Łąki* cenił Baudelaire'a (z jego przekładu korzystał podczas tłumaczenia Poego); przekładał też Paula Forta. Współpracował z estetyzującą „Chimerą”, lecz w 1912 roku, gdy przygotowywał do druku debiutancki tom *Sad rozstajny*, odżegnywał się już od symbolizmu. Starał się wyzwolić spod wpływu Miriama-Przesmyckiego, choć jeszcze w *Sadzie rozstajnym* można wskazać inspiracje symbolizmem. Swój światopogląd i własną koncepcję poezji zaprezentował w publikowanych na łamach prasy esejach (*Znaczenie pośrednictwa w metafizyce życia zbiorowego*), szkicach, a nawet w recenzjach, w których podkreślał znaczenie rytmu w poezji. Układając wiersz, najpierw nucił melodię, dopasowując treść do rytmu. Czasem zasadniczo zmieniał przesłanie utworu (np. zakończenie *Eliasz*), co powinni uwzględniać badacze piszący o jego światopoglądzie. Dla Leśmiana o wartości poezji stanowiły jej rytm, śpiewność, metaforyczność, a więc elementy formalne. Podobnie oceniał sztukę teatralną, którą chciał podporządkować formie, a w efekcie stworzyć teatr stylizowany (*Rytm jako światopogląd, U źródeł rytmu, O sztuce teatralnej*). Można go więc potraktować jako reprezentanta modnej wówczas grupy estetyków-formalistów, choć sam nie był teoretykiem estetyki, lecz głównie praktykiem. Postulował też tworzenie na ziemiach polskich instytucji kultury, bibliotek, muzeów, aby rodacy mieli gdzie obcować ze sztuką i nie musieli w tym celu jeździć za granicę. Jakże aktualne są te myśli!

Pobyty we Francji, zetknięcie się z nowymi prądami literackimi i filozoficznymi oraz przyroda Lazurwego Wybrzeża wpłynęły na poetę – sprawiły, że

odrzucał estetykę symbolizmu z jej ideami, pojęciami ogólnymi, a sięgnął po konkret, szczegół. Wszedł w świat przyrody, czego efektem były cykl *Zielona Godzina z Sadu rozstajnego*, cykl *Łąka* opublikowany po raz pierwszy w 1915 roku w „Myśli Polskiej” oraz wiele wierszy z wydanego pięć lat później pod tym właśnie tytułem tomu.

Leśmian żył w epoce – jak sam mówił – upadku indywidualności i kryzysu kultury. Jego twórczość była głosem niezależnej jednostki broniącej się przed zalewem mas. W wywiadzie dla krakowskiego „Czasu” powiedział: *Wartość jednostki mierzy się treścią, którą ona tworzy, wbrew wszelkim wpływom, i którą wnosi do życia, jako zdobycz nową, dotychczas nieznaną*⁷. Autor *Przygód Sindbada Żeglarza* był zwolennikiem indywidualizmu, uważał, że w życiu społeczeństwa ważną rolę odgrywają wybitne osobowości. W szkicu o *Ludziach Odrodzenia* Kazimierza Chłędowskiego z 1910 roku podkreślał znaczenie geniuszy dla kultury. Był wrogiem ideologii masowych, które w XX wieku zdominowały Europę. Według niego nie masy tworzyły nowe wartości, lecz jednostki, i to właśnie interes jednostek powinni mieć na względzie prawodawcy. Wzorując się na filozofii Nietzschego, wyróżniał dwie antagonistyczne warstwy społeczeństwa: elity i tłum. Pisał dla elit. Aż dziw, że jego dzieła trafiły pod strzechy, chociaż dopiero pośmiertnie.

W okresie międzywojennym Leśmian, mimo iż wydał najważniejszy tom poezji pierwszej połowy XX wieku – *Łąkę*, nazywany był z lekceważeniem „najlepszym rejentem wśród poetów i najlepszym poetą wśród rejentów”. Sławą cieszyli się skamandryci, odwołujący się do gustów przeciętnego człowieka, którego Leśmian nazywał „zmorą” czasów współczesnych.

Jako człowiek Leśmian nie czuł się nigdzie zakorzeniony. Był warszawiakiem z urodzenia, a w Kijowie, gdzie zamieszkał w wieku szkolnym, traktowano go jako kogoś obcego, dopiero od niedawna przebywającego w tym mieście. Z kolei w Warszawie zwracano uwagę na jego wschodni akcent i naleciałości języka rosyjskiego (których po latach się wyzbył). W tekstach publicystycznych poeta narzekał na warunki panujące w stolicy i marzył o wyjeździe do Paryża. W Paryżu zaś głodował, utyskiwał na brak pieniędzy i tęsknił do Ukrainy. Czuł się obco w Łodzi, gdzie przez jeden sezon pełnił funkcję kierownika literackiego miejscowego teatru. Z kolei gdy osiadł w Hrubieszowie i Zamościu, wyrwał się do Warszawy. W Zamościu unikał pracy w notariacie, przerzucając obowiązki na zastępców, co skończyło się zdefraudowaniem przez jednego z nich ogromnej kwoty pieniędzy. Właściwie dobrze czuł się tylko w Bretanii i w okolicach Cannes, gdzie pisał *Klechdy polskie*.

Przyroda południa Francji, przywołując pamięć o polskiej i ukraińskiej wsi, przełożyła się na wiersze oddychające klimatem polskości. Trudno dziś stwierdzić z całą pewnością, które utwory z *Sadu rozstajnego* powstały w Paryżu, a które w Hrubieszowie (próbowałem to ustalić w książce *Bolesław Leśmian. Marzyciel nad przepaścią*⁸). Wiemy natomiast, że liryki z tomu *Łąka* pisane były częściowo jeszcze we Francji, niektóre zaś – być może – w Hrubieszowie (z wyjątkiem poematu tytułowego). Z kolei cykl *W malinowym chruśniaku* wyszedł spod pióra artysty w Iłży. Córka poety Maria Ludwika wspominała, że wiersz *Koń* powstał w Paryżu w 1905 roku. Późna twórczość Leśmiana wiąże się natomiast z Zamościem i Warszawą.

Poeta znany jest z pięknych wierszy miłosnych. Większość z nich zrodziła się z uczucia do trzech kobiet: malarki Celiny Sunderlandówny, poznanej dzięki niej Zofii z Chylińskich, późniejszej żony, i Teodory Lebenthal. Romans z Celiną trwał nawet po zawarciu małżeństwa z Zofią, a gdy się zakończył (Celina na dłużej wyjechała do Paryża), nastąpił „czas Dory”. W 1921

⁷ I. Hellman: „Nasza ankieta: Wpływ epoki i środowiska na indywidualność” – odpowiedź B. Leśmiana. „Czas” 1935, nr 131 z 14 maja. Przedr. P. Łopuszański: *Leśmian*. Wrocław 2000, s. 224. Tekst został pominięty w edycji *Szkiców literackich* Leśmiana z 1959 r., zaś w *Szkicach literackich* z 2011 roku opatrzone go błędnym tytułem *Jednostka twórcza* (sic!).

⁸ P. Łopuszański: *Bolesław Leśmian. Marzyciel nad przepaścią*. Warszawa 2006.

roku Leśmian proponował Dorze Lebenthal, by zamieszkali razem w Paryżu. Kochanka chciała, by się rozwiódł. Zwyciężył jednak pragmatyzm – ważniejsze okazały się posada notariusza w Hrubieszowie, a potem w Zamościu, oraz dobro wiernej żony i córek, które jeszcze się uczyły. Skomplikowana sytuacja uczuciowa znalazła odbicie w twórczości. Dość często w wierszach i dramatach Leśmiana pojawia się motyw trójkąta miłosnego: w *Znikomku* padają słowa, iż bohater kocha jednocześnie dwie dziewczyny, aluzje do innej kobiety znajdziemy w *Wyznaniu*, a motyw trójkąta małżeńskiego jest tematem *Skrzypka opętanego* i dramatu *Zdziczenie obyczajów pośmiertnych*.

Łąka ukazała się w niekorzystnym czasie – był lipiec 1920 roku, a wojska bolszewickie parły na Warszawę. Poeta razem z wieloma innymi pisarzami i artystami wziął udział w pracach Centralnego Komitetu Propagandy przy Wojsku Polskim. Ten okres jego życia jest mało zbadany. Wówczas pozycję zdobywali młodzi poeci: Tuwim, Wierzyński, Lechoń. Swymi wierszami twórca zaskoczył czytelników. Zdumiał witalizmem, eksponowaniem bergsonowskiego stawania się istnień i dionizyjskim szałem (inspirowanym filozofią Nietzschego). Cyklem ballad odnowił popularny w romantyzmie gatunek i spowodował modę na tworzenie ballad quasi-ludowych (później zaczął je pisać m.in. Zegadłowicz). Pierwszymi, którzy zachwycili się *Łąką*, byli krytycy Eustachy Czekalski, Karol Irzykowski i Ostap Ortwin, a więc rówieśnicy poety. Niemniej na zrozumienie szerszej publiczności musiał on jeszcze poczekać do połowy lat 30. W 1921 roku Irzykowski pisał: *Gdy na próbę pokazałem komuś ten utwór* [chodziło o *Gwiazdy* z tomu *Łąka* – przyp. P. Ł.], *po przeczytaniu pokwitował wrażenie jednym słowem: wariactwo!*⁹.

W 1922 roku poeta planował wydanie nowego zbioru liryków pod znamennym tytułem *Wieczność i purpura*. Nic z tego nie wyszło, podobnie jak z zamiaru osiedlenia się we Francji. Z Zamościa Leśmian wyrwał się na kilka dni do Warszawy – do kochanki i przyjaciół: Franca Fiszera, Leopolda Staffa, Miriama. Spotykał się z nimi w kawiarniach, w Klubie Artystycznym, w „Ziemiańskiej”, później także „IPS-ie” czy „Sztuce i Modzie”. Dora pogodziła się, że jej kochanek nie opuści rodziny, zaś Zofia Leśmianowa z wyrozumiałością przyjmowała wyjazdy męża po „masło warszawskie” (jak tłumaczył swoje wyprawy do stolicy).

Autor *Satyra i Nimfy* przyjaźnił się z poetami młodszego pokolenia: Stanisławem Ciesielczukiem, Władysławem Sebyłą. Do kręgu jego przyjaciół należeli również rzeźbiarz Henryk Kuna z żoną Ewą, aktorką, oraz malarz Eugeniusz Żak, który w 1905 roku namalował mało znany portret Leśmiana. Poeta w „Ziemiańskiej” spotykał się z malarką Zofią Stryjeńską. Wieloletnia przyjaźń łączyła go także z Arturem Oppmanem (Or-Otem).

W okresie II RP artysta był niedoceniany przez krytykę. „Wiadomości Literackie” ignorowały jego poezję przez dziewięć lat (na piętnaście lat istnienia pisma). Zastanawiające, że lekceważenie to zostało przemilczane w wydanej niedawno monografii „*Wiadomości Literackie*” prawie dla wszystkich Małgorzaty Szpakowskiej. Grydzewski, Słonimski, Iwaszkiewicz pomijali twórczość autora *Łąki*, stanowiła ona bowiem przeciwieństwo ideologii „*Wiadomości Literackich*”, które głosiły hasła postępu i egalitaryzmu. Leśmian z kolei nie cenił jako poety Słonimskiego. Związał się w tym czasie z mniej popularnymi pismami „*Ponowa*” i „*Czartak*”.

Co symptomatyczne, w plebiscycie „*Wiadomości Literackich*” z 1925 roku na akademika literatury artysta zajął dziewięćdziesiąte miejsce, zdobywając jedynie siedemnaście głosów. Wzrost zainteresowania jego twórczością przypada dopiero na lata 30. – w 1931 roku w analogicznym plebiscycie „*Wiadomości Literackich*” zajął już miejsce czterdzieste szóste.

⁹ K. Irzykowski: *Dobre wiersze (Bolesław Leśmian „Łąka”, wydawnictwo Morkowicza, 1920)*. „Trybuna” 1921, nr 31 z 6 sierpnia, oraz „Tydzień”, dodatek do „Kuriera Lwowskiego” 1921, nr 191 z 15 sierpnia. Przedr. (w:) tegoż: *Pisma rozproszone 1897-1922*, Kraków 2000, s. 571.

Po katastrofie finansowej, gdy poetę okradziono i popadł w długi, ratowali go przyjaciele. Dzięki poparciu Wierzyńskiego umorzono Leśmianowi część spłat, resztę zaś rozłożono na raty. Pomogła też żona, sprzedając swą biżuterię, i Dora, która spieniężyła własne mieszkanie. Wierzyński zaprosił poetę do współpracy z redagowaną przez siebie „Kulturą”. Leśmian ogłaszał wiersze także w „Dwutygodniku Literackim”, dzięki czemu przypominał się czytelnikom. W latach 30. współpracował ponadto z „Pionem” oraz piłsudczykowską „Gazetą Polską”.

Z każdym rokiem autor *Łąki* ugruntowywał swą pozycję nowatora, odnowiciela języka, poety metafizycznego. W 1931 roku Stefan Napierski pisał: *Leśmian, jeden z najautentyczniejszych twórców poetyckich swjej epoki, należy do licznego pocztu niedocenionych autorów polskich*¹⁰. Rok później „Kurier Poranny” nazwał go jednym z „najznakomitszych naszych poetów”. A przecież do tego czasu artysta wydał zaledwie dwa tomy: *Sad rozstajny* i *Łąkę*. Wkrótce został doceniony również przez władze państwowe. W 1933 roku wybrano go do Polskiej Akademii Literatury – być może zaważyła bliska przyjaźń z Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim, którego Leśmian znał z Paryża sprzed I wojny światowej, gdy późniejszy adiutant Piłsudskiego nie był jeszcze ułanem, lecz adeptem sztuki poetyckiej i malarskiej, lub znajomość z wojewodą warszawskim Włodzimierzem Jaroszewiczem. W 1959 roku jeden z dawnych założycieli „Czartaka” Jan Nepomucen Miller wspominał niezyczącemu już od lat Leśmianowi znajomość z wojewodą. Mieczysław Jastrun, który wygłosił wówczas odczyt o poecie, w swym *Dzienniku* pod datą 19 maja zanotował: *Jan Nepomucen Miller zabrał głos w dyskusji, zarzucił – stary pepeesowiec – Leśmianowi brak sympatii dla proletariatu, elitaryzm, estetyzm (wszystko znamy aż nadto dobrze) – i to, że wojewodzie Jaroszewiczowi poświęcił wiersz. Po odczycie podszedł do mnie jakiś starszy pan. Był kolegą Leśmiana na uniwersytecie kijowskim. Jaroszewicz był również kolegą Leśmiana w tych latach*¹¹.

Gdy autor *Klechd sezamowych* został akademikiem, „Wiadomości Literackie” zaczęły drukować jego wiersze, wznowiono też *Przygody Sindbada Żeglarza*. W 1936 roku Leśmian opublikował nowy tom poezji – *Napój cienisty*, w którym zaskoczył wszystkich egzystencjalistycznym widzeniem świata, wszechobecnymi motywami śmierci i rozpaczy.

Od 2010 roku ukazują się dzieła zebrane Leśmiana w edycji PIW. To ważna inicjatywa, choć teksty zostały niepotrzebnie przeredagowane i uwspółcześniono ich język. W tomie, w którym zawarto szkice poety i wywiady, do tekstu *U źródeł rytmu* dopisany został bez powodu podtytuł „studium poetyckie”. Pominięto też wywiad udzielony przez Leśmiana czasopismu „Nasza Myśl” w kwietniu 1934 roku. Artysta stwierdzał tam: *Poezja współczesna bardzo mnie interesuje, ale uważam, że przeżywa okres upadku. Jeśli chodzi o grupę „Skamandrytów”, to uważam ją za ostatnie pokolenie, które miało w sobie wzlot poetycki. Bardzo kocham Wierzyńskiego i Tuwima, poza nimi Zegadłowicza*¹². Z dawniejszych twórców za największych uznał Mickiewicza, Norwida i Słowackiego (w tej kolejności).

Z kolei w plebiscycie „Kurier Poranny” z 1932 roku na „dziesięciu najwybitniejszych Polaków chwili obecnej” Leśmian w dziedzinie literatury wymienił nazwisko... historyka, badacza antyku Tadeusza Zielińskiego, wyrażając podziw dla niego *właśnie jako literata i poety – i to jednego z naj-*

¹⁰ S. Napierski: *Bolesław Leśmian*. „Wiadomości Literackie” 1931, nr 9 z 1 marca. Przedruk (w:) tegoż: *Wybór pism krytycznych*. Oprac. J. Zięba. Kraków 2009, s. 106.

¹¹ M. Jastrun: *Dziennik 1955-1981*. Kraków 2002, s. 201.

¹² J. Maciurzyński: *Rozmowa z Bolesławem Leśmianem, członkiem Polskiej Akademii Literatury*. „Nasza Myśl” 1934, nr 2 (maj). Tekst został pominięty w edycji *Szkiców literackich* Bolesława Leśmiana z 1959 r. i *Szkiców literackich* z 2011. Przedr. fragm. (w:) Z. Jastrzębski: *Nieznany wywiad z Bolesławem Leśmianem*. „Kurier Lubelski” 1964, nr 226 z 25-26 września. Przedr. całości w „Zamojskim Kwartalniku Kulturalnym” 1985, nr 3 (także 2007, nr 4), oraz w zbiorze wspomnień – A. W. Kulik: *Leśmian, Leśmian...* Gdańsk 2008.

świeźszych¹³. Poza tym wspominał Leopolda Staffa, a pominął Tuwima, Słonimskiego, Iwaszkiewicza, Wierzyńskiego, Czechowicza, Przybosa i wielu innych twórców tego czasu. Oddał hołd Miriamowi krytykowi, przypomniał lubianych przez siebie aktorów, malarzy i rzeźbiarzy. Nie wymienił natomiast nazwiska żadnego z polityków, mężów stanu. Szkoda, bowiem wiedzielibyśmy, czy bliżej mu było do Piłsudskiego czy może do Witosa. A przecież w młodości interesował się kwestiami politycznymi.

W napisanej w 1910 roku recenzji książki Władysława Jabłonowskiego *Dookoła Sfinksa* Leśmian ostrzegł przed zalewem kultury rosyjskiej, która coraz swobodniej przenika do literatury naszej, a więc i do życia. Zaznaczał, iż wpływ obcej nam mentalności rosyjskiej byłby dla nas zgubny: *Dusza rosyjska niszczy dla samego niszczenia, nic nie budując, nie znając żadnych umiarów...* W rosyjskiej krytyce literackiej dostrzegał nihilizm oraz „doprowadzenie do szału i rozpusty”¹⁴. Zastanawiające to wnioski, jeśli się zważy, że Leśmian był przecież wychowany na literaturze rosyjskiej (w Kijowie), wielbił twory rosyjskich poetów, a nawet sam pisał w tym języku (znane są dwa cykle poetyckie i wiersz *Wołny żywyje*). Artysta doszedł do wniosku, że kulturę rosyjską toczy choroba, a Polska pod zaborami musi dążyć do odrodzenia. O zagrożeniu dla rodzimej kultury pisał na dwa lata przed I wojną światową w liście do Stefana Żeromskiego, gdzie wspominał o konieczności stworzenia własnej, oryginalnej drogi do niepodległości. Był przeciwny opowiadaniu się za którymś z okupantów (podobne pomysły znajdziemy u Sienkiewicza). Żeromski – jak wiadomo – popierał Piłsudskiego, wówczas zwolennika sojuszu z Austro-Węgrami i Niemcami przeciw Rosji. Postulował konieczność stworzenia idei polskiej. Nie zgadzał się też na sojusz z Rosją, który propagowali endecy. Leśmian pisał do autora *Wiernej rzeki*: *Musimy się głęboko nad owym „wyborem” zastanowić i dojść wreszcie do przekonania, iż wybór ów nie powinien paść ani na jedną, ani na drugą stronę. Liczyć możemy jeno na ideę samodzielną, wyłącznie naszą, w nas samych zrodzoną. Ta tylko zbawić nas może. Poza sobą szukać nadziei, oparcia lub działania „na przyczepkę” – nie wolno.* Leśmian – polski patriota? O tym nie pisano w PRL, podobnie jak o tym, że jego najbliższy przyjaciel Adam Szczerbowski należał u schyłku lat 30. do Obozu Wielkiej Polski. A o bliskich powiązaniach Leśmiana z ludźmi sanacji tylko się aluzyjnie napomykało.

W okresie stalinowskim twórczość poety była przemilczana. Wrócono do niej po przełomie 1956 roku. Na emigracji Jan Lechoń w 1953 roku przyznał w swym dzienniku: *Czytałem „Dzieję leśną” Leśmiana – przyznam się ze wstydem, że właściwie po raz pierwszy. I ze wstydem pomyślałem sobie: cóż wobec tego chcieć od innych, jak oburzać się na tych, którzy nas nie czytają, skoro my sami pozwalamy sobie na taką niedbałość*¹⁵. Po 1956 roku pojawiło się wiele prac poświęconych twórcy *Dusiółka*. Każdy autor usiłował stworzyć portret poety na swój obraz i podobieństwo. Sandauer widział w nim fenomenologa, Wyka kantystę (tylko dlatego, że poeta w wierszu *Topielec* zażartował sobie z „rzeczy samej w sobie”, pisząc o „zieleni samej w sobie”), z kolei Błoński zwracał uwagę na jego bergsonizm, odrzucając inne niewątpliwe inspiracje filozoficzne, które można w owej twórczości znaleźć. Według Błońskiego Leśmian nie mógł być zwolennikiem fenomenologii, skoro był bergsonistą. Tymczasem między tymi kierunkami nie ma sprzeczności, wszak Roman Ingarden, uczeń Husserla, łączył w swej filozofii fenomenologię z ideami Bergsona. Warto dodać, że Leśmian czytał Husser-

¹³ Wielka ankieta „Kurierna Porannego”: 10 najwybitniejszych Polaków czasów dzisiejszych. Głos Bolesława Leśmiana. „Kurier Poranny” 1933, nr 289 z 17 października. Przedr. (w:) B. Leśmian: *Dzieła wszystkie*. T. 2 *Szkice literackie*. Oprac. J. Trznadel. Warszawa 2011.

¹⁴ B. Leśmian: „Dookoła Sfinksa. Studia o życiu i twórczości narodu rosyjskiego” Władysława Jabłonowskiego. „Prawda” 1910, nr 8 z 19 lutego. Przedr. (w:) „Twórczość” 1995, nr 12 (podał do druku P. Łopuszański) oraz w tomie drugim *Dzieł zebranych* Leśmiana (dz. cyt).

¹⁵ J. Lechoń: *Dziennik*. T. 3. Warszawa 1993, s. 254 (zapis z 22 listopada 1953).

la, interesował się jego przemyśleniami, czemu dał wyraz w wywiadzie dla „Pionu” w 1934 roku.

Mieczysław Jastrun – robiąc aluzję do Przybosa, z którym oficjalnie się przyjaźnił, jednocześnie nie bardzo go lubiąc – z przekąsem napisał: *Leśmiana podziwiają nawet wszelkiego rodzaju byli peiperzyści, ale czy go rozumieją? Na pewno nie!*¹⁶. Usiłowano zrobić z Leśmiana patrona awangardy, poetę nowoczesnego, chociaż on sam występował przeciw nowoczesności. Pamiętajmy, że gdy awangarda sławiła „miasto, masę, maszynę”, Leśmian wydał *Łąkę*, wskazując na naturę jako na teren zdarzeń poetyckich i metafizycznych. Z kolei w późniejszym wierszu *Pejzaż współczesny* potępił oblicze dzisiejszej cywilizacji.

Wielu doszukiwało się u Leśmiana symbolizmu, nawet w utworach tego rodzaju tropów pozbawionych. Jeden z krytyków uznał, iż dom ciotki Gustawy, w którym poeta przeżył początek miłości do Teodory, był „domem umarłych” i dlatego kochanka miała zimną dłoń. Tymczasem w wierszu jej dłoń nabrała chłodu od... kłamki u drzwi. Słowem – badacze często prowadzili czytelników na manowce.

Mało kto natomiast dostrzegł ewolucję poetyki Leśmiana¹⁷. W analizach uwzględniano na ogół zaledwie dwa tomy jego wierszy (*Łąkę* oraz *Napój cienisty*) i na ich podstawie dokonywano uogólnień. Tak pisali Michał Głowiński, Cezary Rowiński, autorzy monografii poświęconych dorobkowi poety. Najczęściej pomijano jego wczesne dzieła, nawet Anna Czabanowska-Wróbel, chcąc pisać o początkach liryki Leśmiana, sięgnęła po wiersze z *Sadu rozstajnego*, nie zaś po jego juvenilia. Tymczasem jest dla mnie czymś oczywistym, że inne doświadczenia i lektury miał za sobą dwudziestoletni młodzieniec, innym zaś był człowiekiem i twórcą, gdy w wieku czterdziestu trzech lat przygotowywał do druku *Łąkę*. Był wtedy szczęśliwie zakochany, przeżył wielką wojnę, otrzymał dobrą pracę. Nic dziwnego zatem, że w jego twórczości nastąpił okres witalizmu, związany z myślą Bergsona i Nietzschego. W wierszach pojawiły się ruch, żywiołowość, szal, taniec i humor.

Inna atmosfera panuje w tekstach pisanych u schyłku życia, gdy śmierć bliskich, choroby i doznane przykrości zmieniły tonację utworów. Poeta – o czym była już mowa – pod koniec lat 20. został okradziony, potem jego zastępca zdefraudował znaczną kwotę pieniędzy. Leśmian chorował wówczas na serce i gruźlicę. W 1932 roku przeszedł zawał. W tym czasie w pisanych przez niego wierszach pojawiły się motywy śmierci, choroby i poetycko-filozoficzne próby przezwyciężenia lęków egzystencjalnych. Znając biografie poety, możemy wskazać aluzje do tych zdarzeń m.in. w lirykach: *Poeta*, *Trupięgi*, *Wspomnienie*, *Do siostry*, *Za grobem*, *Ubóstwo*. W wywiadzie dla „Pionu” z 1934 roku Leśmian, zapowiadając nowy tom wierszy, powiedział: *Zwiedzam wszechświat nie od strony zieleni i kwiatów. Wchodzę weń przez wrota smutku, a nie zieloności!*¹⁸.

Lata 30. określić należy mianem okresu egzystencjalistycznego. Utrata złudzeń, katastrofa finansowa, choroby, przeżywanie śmierci ukochanych osób, wreszcie sytuacja zewnętrzna wpłynęły na zmianę nie tylko tonacji, ale i tematyki wierszy. Późna twórczość Leśmiana jest zabarwiona pesymizmem i nie ma w sobie witalizmu *Łąki*. Ekspozuje niezgodę poety na degradację ciała, stanowi obronę godności człowieka, wyraża pragnienie zdobycia pewności w sytuacjach ostatecznych, apeluje o solidarność ludzką w cierpieniu i wzywa do wzięcia odpowiedzialności za los innych. Leopold Staff w 1946 roku pisał o Leśmianie: *Prześladowała go myśl o nicości i śmierci. Wszędzie widział ból, wszędzie niedostatek i brak!*¹⁹. Te słowa pochodzą z okresu po

¹⁶ M. Jastrun: *Z rękopisów* (w:) tegoż: *Forma i sens poezji. Eseje i szkice*. Warszawa 1988, s. 209.

¹⁷ Czytelników zainteresowanych analizą przemian poetyki i światopoglądu Leśmiana odsyłam do mojego tekstu „*Idący z prawdą u warg i u powiek...*”. *Próba nowego spojrzenia na twórczość Bolesława Leśmiana*. „Teksty Drugie” 2002, nr 6. Przedstawiam w nim cztery okresy w twórczości poety.

¹⁸ E. Boyé: *Dialogi akademickie. W niepojętej zieloności. Rozmowa z Bolesławem Leśmianem*. „Pion” 1934, nr 23 z 9 czerwca.

¹⁹ L. Staff: *Wstęp* (w:) B. Leśmian: *Wybór poezji*. Warszawa-Kraków, brak roku wydania [1946].

II wojnie światowej, gdy zniszczono miliony istnień, zburzono miasta, gdy naród „panów” wypowiedział wojnę kulturze europejskiej, a totalitaryzm radziecki z tego skorzystał i podbił połowę Europy. Warto się zastanowić, jaki los spotkałby autora *Zdziczenia obyczajów pośmiertnych*, gdyby dożył czasu wojny. Czy jako Żyd trafiłby do getta? A może ukrywałby się w stolicy i doczekał zagłady miasta? Albo opuściłby od razu Warszawę i jak Tuwim wyemigrował? A może zostałby we Lwowie? Czy będąc człowiekiem wyższej kultury, nie spotkałby się z represjami sowieckiego totalitaryzmu? Czy nie zostałby zesłany do Kazachstanu albo też rozstrzelany przez NKWD? Nie dożył tych wydarzeń. Być może – na szczęście.

Napój cienisty z 1936 roku i wznowiona rok później *Ląka* oczarowały młodych poetów, przeczuwających w 60-letnim autorze arcymistrza. Jastrun, Ciesielczuk, Czechowicz, Sebyła, Kołoniecki twierdzili, że Leśmian oszołomił ich swym geniuszem. I właśnie gdy poeta zaczął zbierać należne mu laury – zmarł na atak serca. Przez cały dzień 5 listopada 1937 roku szukał bezskutecznie pracy dla starszej córki. Zmęczony, położył się do łóżka. Wieczorem dostał ataku. Zostawił rodzinę bez środków do życia – poza należnymi honorariami.

W okresie egzystencjalistycznym powstała większość wierszy z tomów *Napój cienisty* i *Dziejba leśna*. Artysta czuł się wtedy osamotniony, czemu dał wyraz w utworze *Samotność* („Nikt nie pomoże nikomu!”). Egzystencjalizm Leśmiana to egzystencjalizm religijny. Poeta nie odrzuca Boga, nawet gdy w obliczu śmierci bliskich przeżywa ból, gdy umiera ukochana siostra (*Do siostry*). Jego bohaterowie cierpią i konają, śpiewając swą „ze światem niezgodę” (*Jam – nie Osjan!*). Nie negują idei Boga, choć wadzą się z Nim, tupią na Niego butami dla zmarłych. Wiara nie przynosi ukojenia, ale sprawia, że człowiek potrafi wziąć na siebie brzemię odpowiedzialności za drugiego człowieka, w którym widzi bliźniego i tak samo pokrzywdzoną istotę. Blisko tutaj poecie do postawy Alberta Camusa. *Wszyscy winni są śmierci każdego człowieka* – pisał w wierszu *Do siostry*.

W późnej twórczości Leśmian sięgał do motywów chrześcijańskich, mitów kultury antycznej czy do wątków buddyjskich, by umieścić je w nowym kontekście. W wierszu *Urszula Kochanowska* kwestionuje wizję raju oraz wszechmoc Boga, który nie może spowodować, by do zmarłej dziewczynki przyszli rodzice. W wierszu *Betlejem* pokazuje świat, w którym Magowie odeszli, Maryja umarła, a Bóg być może nie istniał. Utwór ten – bardzo ważny dla zrozumienia światopoglądu dojrzałego Leśmiana – jest wyrazem jego metafizycznych poszukiwań. W wielu lirykach z *Napój cienisty* czy *Dziejby leśnej* poeta negował utrwalone przekonania wyniesione z ówczesnej katechezy, ale też polemizował z materialistycznym rozumieniem świata. Stawiał pytania o życie pozagrobowe, pisał – ku zgorzzeniu Jana Parandowskiego – o namiętnościach wśród umarłych (temu tematowi poświęcił utwory dramatyczne *Dziejba leśna* i *Zdziczenie obyczajów pośmiertnych*). Wreszcie – postulatem chrześcijańskim było wspomniane już wezwanie do wzięcia odpowiedzialności za bliźniego.

Leśmian dokonał kopernikańskiego przewartościowania, podkreślając równość istnień. W łące, polu, sadzie, kwiatach widział istoty żywe, które czują, pragną i tęsknią. Rzeczywistość podlega w jego utworach wiecznej zmianie, zaś istnienie ma rozmaite stadia, jest stopniowalne. Można mówić o pewnym rodzaju bycia także po śmierci – to forma rozrzedzonej egzystencji, w której dusza wciela się w próchno albo w zmarłego. Poeta uważał, iż ludzie dysponują nieśmiertelną duszą, a ta nawet po śmierci ciała targana jest namiętnościami. Głębia filozofii Leśmiana polega na stawianiu Bogu, religii, filozofii, naturze trudnych pytań i na próbach poetyckiej odpowiedzi na najważniejsze egzystencjalne problemy człowieka. Bolesław Leśmian u schyłku życia przemawiał jak filozof-chrześcijanin zmagający

się z rozpaczą wbrew zasadom wiary i z nadzieją ufający, że po śmierci nie wszystko się skończy.

Leśmian dla każdego ma coś do zaoferowania: dla filozofów – oryginalny dialog z największymi myślicielami ludzkości (od Platona, Spinozy, Vica, Kanta, Schopenhauera, Nietzschego, Bergsona po Husserla i Camusa); dla buddystów – związki z ideami Wschodu; dla ekologów – myśl o przyrodzie jako niezależnym od człowieka żywym elemencie kosmosu; dla metafizyków – przekonanie o rytmie przenikającym wszechświat na wzór bergsonowskiego élan vital, pozwalającym powracać strofom w nieśmiertelnym korowodzie. Jak uważał poeta, fakt życiowy jest niepowtarzalny, zaś wiersz oparty na rytmie może zostać zawsze przypomniany i znowu żyć (to – notabene – nawiązanie do wykładów o literaturze Mickiewicza). Być może dlatego właśnie twórczość Leśmiana przemawia do kolejnych pokoleń czytelników.

Piotr Łopuszański

Książki nadesłane

Wydawcy różni

Paweł Mackiewicz: *W kraju pełnym tematów. Kazimierz Wyka jako krytyk poezji*. Universitas, Kraków 2012, ss. 301+5 nlb.

Uri Orlev: *Książki mojego dzieciństwa (1931-1945)*. Przełożył z języka angielskiego Jan Rybicki. Posłowie Anna Nasalska. Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2012, ss. 37.

Waldemar Sulisz: *Teatr Stary w Lublinie 1822-2012. Historia, miłość, życie. Przewodnik*. Wydawca Miasto Lublin, Lublin 2012, ss. 208+płyta.

Olga Białek-Szwed: *Voyeuryzm medialny w kontekście współczesnej prasy w Polsce*. Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2012, ss. 420.

Piórem i czynem. O życiu i twórczości Longina Jana Okonia. Opracowanie i redakcja Stanisław Rogala i Anna Wzorek. Wydawnictwo GENS, Kielce 2012, ss. 289+10 nlb. (fotografie).

Bogusława Latawiec: *Zegary nie do zatrzymania. Literackie portrety, listy, szkice*. Instytut Mikołowski, Mikołów 2012, ss. 351.

Michał Tabaczyński: *Widoki na ciemność. Eseje*. Stowarzyszenie Kulturalno-Artystyczne „Rita Baum”, Wrocław 2013, ss. 124.

Sebastian Bukaczewski: *Onde estas?* Wydawnictwo Mimochodem, Lublin 2012, ss. 101.

Beata Nessel-Łukasik: *Oblicza samotności. Bruno Schulz, Franz Kafka i Samuel Beckett w polskim teatrze lalek*. Wyd. Scena Lalkowa im. Jana Wilkowskiego w Kwidzynie, Kwidzyn 2012, ss. 120.

Jadwiga Jaśkowiak: *To zdarzyło się w piątek*. Słowo wstępne Stanisław Nyczaj. Wydawnictwo STON 2, Kielce 2012, ss. 139.

Zofia Beszczyńska: *Sny o miłości i śmierci*. Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2012, ss. 224.

Leon Weliczker: *Brygada śmierci. Sonderkommando 1005. Pamiętnik*. Ośrodek „Brama Grodzka Teatr NN”, Lublin 2012, ss. 132+5 nlb.

Śladami Żydów. Lubelszczyzna. Opr. tekstów Marta Kubiszyn. Stowarzyszenie Panorama Kultur, Ośrodek „Brama Grodzka Teatr NN”, Lublin 2011, ss. 488.

JAKUB BECZEK

Wczoraj nad ranem śnił mi się ojciec.
Chciałem się już wybudzać, ale przyszedł.

Najpierw widziałem go w oddali, siedział na pieńku i kiwał nogą.
Za jego plecami opadały jabłka z twarzami pomarszczonymi jak dłonie wiejskich
staruszek.
Sad wygwizdywał melodie starych szlagierów, zbłąkany zając zwijał łapami kolejne
połacie łąki.

Gdy podszedłem bliżej, okazało się, że ojciec jest wielkim nietoperzem.
Coś we mnie pękło, bo nie wiedziałem, że lubi aż tak zaskakiwać.
Obserwowałem przelot pomiędzy gałęziami, korkociąg i inne podniebne akrobacje.
Wykonywał je tak szybko, że nie mogłem nawet otrzeć się o jego błony.
Nagle mocno zamknął oczy i wtedy na całym świecie zapadła ciemność.
Jakby wzrok powoływał do istnienia słońce i gwiazdy.
Czułem to ja – chłopiec – który pierwszy wyciągał rękę po złote kłosy i chabry
w zbożu.

Potem spostrzegłem ojca w mieszkaniu trosk, jak prostował opłotki kołnierzy.
Był skierowany w stronę drzwi, stopniowo dostawiał jedną stopę do drugiej.
Wtedy przypomniałem sobie, że najbardziej lubiłem chwile, gdy razem mieliśmy
zasypiać.
Ojciec chrapał, a ja przypatrywałem mu się w skupieniu, liczyłem grymasy na
twarzy.

Gdy miał już zupełnie gładkie czoło, odwracałem się do ściany.
Wtedy najmocniej odczuwałem jego nieporadność.

Sztukmistrz spod Żyrardowa
wyciąga z kapelusza chrupki kukurydziane,
którymi mała Ala kroi stół.
Rozchodzą się słoje i sęki.

Wychodzi z nich pradiadek Józef.
Macha ręką i tuli głowę do kosy
zimnej jak grudniowe płozy sań.

Prababcia Marcysia chowa syna za mężem,
z wielkim zmęczeniem otwiera czarne niebo
z gwiazdami jak szyszki olchy.

Dziewięćmiesięczna Ala wyłania się spod krzesła.
Na razie nic nie wie o odchodzącym w przeszłość
pochodzie pustych butów.

Głęboki oddech kobiety, a w zasadzie jej mocne westchnięcie,
radość, że to już,
że koniec, a przecież właściwie początek.
Że dostawiono kolejną częśćkę układanki, wielkiego planu, rozkładu.
Mocno naprężony brzuch, ale ciepły, a nawet gorący
w przeciwieństwie do brzucha pozostawionego z boku,
pod prześcieradłem.
No i przeraźliwe skupienie na sali, pot, krople potu spływające z czoła lekarzy
jak strumienie lawy.

Tego dnia niebo delikatnie się zachmurzyło, mucha usiadła na krańcu parapetu,
wychyliła jedno skrzydełko spod ściany, zastygła,
obok przejechał tramwaj,
ktoś zawołał kogoś po imieniu: „Tadziu, skocz po piwo, bo majstra suszy”,
młodej kobiecie wypadł z kieszeni bilet,
gdy wyjmowała paczkę papierosów.

Na stole operacyjnym moja córka pokonywała kolejne płyty rozciętych powłok
brzuszných.

Wielki granatowy kaptur skafandra przykrywa
pierwsze lanie za przemoczone buty,
wyjazdy nad morze
i do Szklarskiej Poręby.

Dziś intrygują mnie blaszane piersi,
gdy palcem wskazuję
dwie wyspy z tego pejzażu nad brzuchem łąki, którą znasz z opowiadań.
A jestem przy tobie tak mały, że na nowo staję się
Kubusiem.

Pamiętaj,
kiedyś sypiał w namiocie pomiędzy
blokiem a polem wielkim jak wieloryb.
Nie można było go zmieścić w oku,

nosić w kieszeni ani przyłapać na gorącym uczynku grzechu.
Rozpływał się w świeżym soku ściętej trawy,
a teraz leży na twoich włosach
i sypiesz mu piasek do ust.
On był takim ziarenkiem,
był kapitanem w wyścigu stateczków.
Nie zawsze wygrywał.

Jakub Beczek



Stasys Eidrigevičius: *Białe skrzydło*, tempera, 22 x 16 cm, 1984 r.

JOANNA CLARK

Królowa Barbara

W nowym sąsiedzie rozpoznałam Polaka po tym, że gwizdał *O mój rozmarynie...* Był późny wieczór, przechodziłam koło domu, do którego pan Franciszek wprowadził się tydzień wcześniej, zatrzymałam się. Siedział na schodku przed gankiem i w nikłym świetle zaśnieździej lampy wydał mi się niemłody, ale i niezbyt stary, zresztą zaraz odeszłam. Nie chciałam się narzucać swoją obecnością, sąsiedzkim wścibstwem, jakie, nawiasem mówiąc, nie charakteryzuje mieszkańców naszej niedużej (dwadzieścia cztery numery) ulicy, o miłej nazwie Dear Path. Sarnia ścieżka.

Owszem, zastanawialiśmy się, komu właściwie odpowiadałby ten niepokazny bungalow, zaniedbany przez wieloletnich właścicieli, małżeństwo Efedrę i Johna Stevensonów, którzy po długich wahaniach postanowili przenieść się do osiedla dla emerytów. Samotnej matce z dzieckiem w wieku szkolnym? Dwóm kobietom na progu zawodowej kariery, niezainteresowanym założeniem rodziny, a ceniącym tak zwaną prywatność i walory ekologiczne bujnie zarośniętego ogrodu? Jakiejś artystycznej duszy z pozwalającym na umiarkowane ekstrawagancje kontem w banku? Początkowo licznych potencjalnych nabywców odstraszała nie tylko wygórowana cena. Para rozłożystych dębów przed domem przypominała o jesiennym trudzie grabienia liści, a sucha gałąź sosny przy bocznej ścianie ostrzegała, że przy silniejszej wicherze stare drzewo może runąć na dach. Zarośnięty mchem, z chwastami w rynnach. Ścięcie sosny, wymiana dachu, zły stan podłóg, brak dużej sypialni z nowoczesną łazienką: zbyt wiele mankamentów, czyli dodatkowych kosztów. Kiedy wreszcie, pod koniec lipca, wystawioną w marcu tabliczkę FOR SALE zastąpiła mniejsza – UNDER CONTRACT – ulica opustoszała. Duszne upały, piąty tydzień bez ulgi w nocy, orzeźwienia po burzach. Kto nie wyjechał do New Hampshire, do Maine, rodzina Millerów na Alaskę, jeśli nie musiał, nie wychylał nosa ze sztucznego chłodu klimatyzowanego mieszkania w naturalną turecką łaźnię ulicy.

Dlatego też nie było w zasadzie świadków przeprowadzki nowego właściciela domu pod dębami. Ciężarówka z jego rzeczami przyjechała wcześniej rano w pierwszą sobotę sierpnia (równy rok temu) i odjechała zanim ktokolwiek wyszedł spojrzeć na szarawe niebo, wyprowadzić psa, otrząsnąć się na dworze z nocnych majaków. Tylko Sue Morgan, profesor antropologii, która w każdą pogodę, zawsze za kwadrans siódma, wychodzi podnieść z podjazdu swój „New York Times”, rzuciła okiem na ruch naprzeciwko. W jej relacji z „dużego auta” zaparkowanego obok ciężarówki ktoś wyniósł wózek inwalidzki, ale Sue nie zauważyła, czy pusty, czy z inwalidą. Nowszych informacji nikt nie miał. A mnie oczywiście korciło, żeby poznać gwizdzącego rodaka. Coraz mniej okazji do rozmów po polsku, przyjaciele odchodzą, wracają do kraju, pozostali krępują się zwierzeń o bolączkach życiowych po plus-minus czterdziestu latach emigracji. Bolączki są wszędzie, ale tu jakby bardziej kłują w oczy.

Poznaliśmy się nie na naszej ulicy, a w kiosku na Palmer Square, w centrum miasta. Kiosk dostaje jeden egzemplarz „Nowego Dziennika” i jeśli ja nie kupię, chuda gazetka trafia wieczorem do paki przeznaczonej na przemiał, cała ich wieża Babel: hiszpańskie, włoskie, chińskie, żydowskie, ukraińskie... Rządy w kiosku sprawuje młoda Hinduska, filigranowa strukturka na fundamencie z granitu, która kiedyś w autobusie z Nowego Jorku powiedziała mi, że lubi Manhattan, bo przypomina jej Kalkutę. Biorę, płacę 75 centów i słyszę za sobą pogodny baryton:

– Spóźniłem się.

Szczupły, średniego wzrostu, w jasnej koszuli i schludnych dżinsach, krótka szczecina szpakowatych włosów, mógł być kiedyś w wojsku, pracować w solidnym biurze, prowadzić własne solidne przedsiębiorstwo. Ani artystyczna bohema, ani członek znacznego tu środowiska uniwersyteckiego – ani ktoś, kto próbuje za kogoś takiego uchodzić. Nie chcąc się niczym wyróżniać – myślałam później – tym się właśnie wyróżniał. Miał jednak mały znak szczególny; pod przecinającą brew blizną, lekko uniesioną powiekę, co nadawało twarzy wyraz permanentnego zdziwienia, może zadumy, może nawet pewnej filuterności, kontrastującej z powagą i bezpośredniością jego usposobienia. Wyjąwszy może momenty, w których sam sobie na słabo oświetlonym ganku gwizdał... Ale to będą dalsze refleksje, ponieważ ta pierwsza rozmowa przed kioskiem, obok naturalistycznej rzeźby studenta z książką i hamburgerem, trwała bardzo krótko. Z jednej strony pan Franciszek Puchała, jak się natychmiast przedstawił, szczerze się spotkaniem ucieszył, z drugiej nie ukrywał, że się śpieszy. Nie załatwiać sprawunki, co byłoby jak najbardziej zrozumiałe w nowym miejscu zamieszkania, a do domu, bo tam go, jadąc z powrotem, zobaczyłam. Otwierającego okna.

Kilka dni później znajoma, która miała do mnie przyjechać w sobotę z Filadelfii, w ostatniej chwili odwołała wizytę. Bez większego namysłu odkroiłam spory kawałek jeszcze ciepłej szarlotki i wczesnym popołudniem zadzwoniłam do drzwi domu Stevensonów, obecnie pana Puchały. Otworzył nie tyle zaskoczony, co zaniepokojony. Już na progu wyjaśnił mi przyczynę. Mieszka z przyjacielem, sparaliżowanym w połowie ciała (jego słowa), który źle sypia, a właśnie teraz udało mu się zasnąć. Przeprasza, ależ tak, bardzo miło, że zaszłam, tylko może do kuchni, żeby nie obudzić Zenona, może kieliszek likieru? Ciasto ślicznie pachnie...

W kuchni, już odnowionej, lśniącej nienawykłą sobie czystością, wypiliśmy po kieliszku anyżówki. Zapytał, czy wykładam na uniwersytecie, co u kogoś innego wzięłabym za nieco gruboskórny uprzejmość, ale nie znając przecież człowieka, byłam instynktownie pewna, że nie jest gruboskórny. Na pytanie, gdzie poprzednio z panem Zenonem mieszkali, czy od dawna w Ameryce, odpowiedział, że Zenon od dziecka, on od dwudziestu ośmiu lat. Rozmowa się nie kleiła. Miałam ochotę na jeszcze jedną anyżówkę, domową nalewkę w butelce z ręcznie oznaczoną naklejką, jednak mój gospodarz niespokojnie zerkał na przytwarte drzwi, nie zachęcał do kontynuacji wizyty. Wstając do wyjścia, zaprosiłam go do siebie. Z panem Zenonem. Na pudełku, w którym przyniosłam szarlotkę, zapisałam nazwisko i numer telefonu. Ładnie (z ulgą?) się uśmiechnął. Na pewno przy najbliższej okazji skorzysta z zaproszenia. Zawsze to raźniej z kimś jeszcze oprócz jednego z drugim pogadać, podyskutować. Za ścianą odezwał się telewizor, strzały, film jakiś. Pan Franciszek odprowadził mnie do drzwi.

– Zadzwoń do pani.

Nie zadzwonił, ale okazało się, że oboje mamy zwyczaj wychodzenia po zmroku na spacer i podczas tych kilku przechadzek w dół i w górę ulicy pan Franciszek opowiedział mi trochę o sobie, wieńcząc każdy fragment autobiografii stwierdzeniem: „widzi pani, nic specjalnie ciekawego” i dodając, że nie ma porównania z historią życia Zenona. Opowie mi o nim przy następnej okazji, kiedy będziemy mieli więcej czasu. Przyjaciółmi, podkreślał, są od dawna, długo przed wypadkiem, który spowodował paraliż. Jakim wypadkiem, nie powiedział, ale wszystko razem nie na tyle mnie interesowało, żeby dopytywać o szczegóły. Mówił czy pogwizdywał, słuchałam go z przyjemnością. Swojak. I to ze znanych mi stron, pogranicza Dolnego Śląska i Wielkopolski, gdzie jego rodzice z dwiema siostrzyczkami, Janką i Bronią, jako repatrianci zza Buga dostali w 1945 r. ponemiecką gospodarkę. Wieś zabita deskami, pięć kilometrów do większej z kościołem i sklepem, dziesięć do najbliższej stacji kolejowej, Granowiec, za to okolica ładna, lasy, stawy, więc i grzyby, i ryby, gleba stosunkowo żyzna, tylko całe obejście rozkradzione, do tego stopnia, że łańcuch spod psiej budy odhaczony, dosłownie w ostatniej chwili, jeszcze był ślad na piasku. On tego nie widział, urodził się w 1950 i ma w sumie bardzo szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa. Miejscowi Poznaniacy wyzywali ich od ruskich, oni na Poznaniaków pyry, ale żadna krew się nie lała, chyba że z nosa. Uczył się średnio, skończył technikum budowlane, w wojsku był niecały rok i nawet wojsko lubił, dyscyplinę wojskową, kolegów, tylko coś tam znaleźli w sercu po tym, jak po trzeźwemu spadł z wieżyczki wartowniczej. Miękkie lądowanie, w kamuflażową kopę siana. Lekarz powiedział, że pozostałość po szkarlatynie, a wcale tej szkarlatyny nie pamiętał.

– Zenon się dziwi, jak ja mogę szkarlatyny nie pamiętać, bo on wszystkie swoje dziecinne choroby dokładnie pamięta. Szkarlatyna, koklusz, zapalenie ucha, cały zestaw. Sam z siebie się śmieje, że ma taki komputer w głowie.

– A jak pan Zenon się nazywa?

– Tego proszę pani – pan Franciszek zniżył głos – nikt naprawdę nie wie.

Lunał nagle deszcz, a że akurat zbliżyliśmy się do mojego domu, zaprosiłam go do środka, ulewa zaraz minie, a jeśli zaraz nie minie, dam mu parasol. Nie chciał usiąść, ale i nie patrzył w okno, czy ulewa mija. Chodził, rozglądał się, stawał przy półkach z książkami, popatrywał na oprawione plakaty i obrazki, choć wydawałoby się, że jako mistrz budowlany powinien być raczej zwrócić uwagę na niebanalną architekturę domu, zbudowanego z górą pół wieku temu przez słynnego w okolicy cieślę Hermana Schultza, emigranta z Niemiec, prześladowanego tam w latach trzydziestych ubiegłego wieku za działalność w socjalistycznym związku zawodowym. Jest jego monogram i znak cechowy (mam zdjęcie) na kamieniu węgielnym, jeśliby to pana Franciszka ciekawiło... Raczej go nie zaciekało. Wychodząc – ulewa była przelotna – zapytał, czy mógłby mnie nazajutrz odwiedzić razem z Zenonem.

– Jako artysta malarz – powiedział z dumą w głosie – jest miłośnikiem literatury i sztuki.

Artysta malarz, bez nazwiska? Amerykański Nikifor, co wcale na Nikifora nie wygląda... Dziwna historia.

Przedpołudniowe odwiedziny trwały niecałą godzinę. Zenon musiał być kiedyś dość przystojnym niskim brunetem, teraz prawie łysy, twarz tęga, nawet nalana, ale ze zdrową cerą i nadzwyczaj w kontraście do reszty ciała ruchliwymi, blisko osadzonymi oczami. Miał władzę w górnej części tułowia, mógł sam operować wózkiem, podane przeze mnie winogrona brał i jadł

z artystyczną, chciałoby się powiedzieć – gracją. Inaczej niż pan Franciszek, ledwie rzucił okiem na półki z książkami i ucieszył się, kiedy zaproponowałam przejście na taras. Piękna po uciążliwych upałach pogoda: ciepłe dni w ramach chłodnych wieczorów i poranków ożywiły niebaczne na bliski koniec liście, między krzewami inkrustowane rosą welony pajęczyn. Zastanawiałam się, czy pytanie, co teraz maluje, w nowym miejscu, przyjemnym krajobrazie, nie byłoby wobec jego kalektwa nietaktem. Odgadł moje myśli.

– Ma pani w tym ogrodzie piękny drzewostan, a ja własni ostatnio maluję drzewa.

– Dawniej – wtrącił pan Franciszek – Zenon malował portrety. Jak żywe, a zarazem sam dodawał odpowiadające danej osobie ozdobniki i...

– Po akcydenci – przyjaciel mu przerwał – zgubiłem talent toby umalowacz podobienstwo. Jedna mała uraza w mózgu i akurat w takie sensorytywne dla malarza miejsce. Zły pech.

Choć Zenon mówił płynnie po polsku, miał typowy amerykański akcent i zdarzały mu się drobne niepoprawności i anglicyzmy. Chwilami wahał się, szukał odpowiedniego słowa i wtedy pan Franciszek scenicznym szeptem mu podpowiadał. O Allentown, przemysłowym mieście w Pensylwanii, gdzie mieszkał w dzieciństwie i wczesnej młodości, chciał obrazowo powiedzieć, że „mieścizna zawęglona, op...” i Franciszek błyskawicznie pomógł: „obskurna”.

– Bez wątpienia obskurna – przymknął na chwilę oczy. – Umierający drzewa.

W drodze do wyjścia zatrzymał się jednak przed sekcją powieści mojej biblioteczki. Jeden rzut oka i wyjął *Rabbit Run* Johna Updike’a. Pan Franciszek spojrzał na mnie z wyrazem tryumfu i czułości. Zna się, wie czego chce, co dobre. Byłam ciekawa, czy Zenon wie, że Updike wychował się w tym samym co on regionie Pensylwanii i stąd ten wybór, ale nie chciałam na pewno zmęczonego wizytą już o nic więcej pytać. Słońce padło na wózek kaleki, cień przysłonił postać opiekuna.

Pięć, dziesięć minut przed zwykłą porą wieczornego spaceru pan Franciszek był już przed moim domem. Jakie odniosłam wrażenie? Czy zauważyłam, jak on pięknie się wysławia po polsku, mimo że w Polsce nigdy nie był? Jak nic się nie skarży, a kto by w jego sytuacji się nie skarżył? Przytaknęłam i poprosiłam, żeby mi opowiedział, jak się poznali.

Zaczął od początku. Czyli prawie od początku, od tego punktu, w którym trzyletni Zenon został znaleziony przez pluton amerykańskich żołnierzy wiosną 1945 r. Przy leśnej drodze w okolicy Dachau, nie wiadomo dokładniej gdzie, ponieważ pierwsze zanotowane informacje pochodzą od personelu szpitala, a właściwie punktu sanitarnego, gdzie ledwie żywy chłopczyk został odratowany. Nic przy sobie, żadnego skrawka papieru, żadnego medalika, nie miał, natomiast powtarzał swoje imię: Zenio. Zenio i słówko sza. Jakaś była więźniarka, do której Zenio tam przylgnął, oznajmiła, że jest to bez żadnych wątpiwości polskie imię, zdrobnienie Zenona. Czerwony Krzyż próbował szukać, starali się w tamtych prymitywnych powojennych warunkach łączyć rodziny, no i były setki zgłoszeń, tyle tych wojennych matek rozmaitych narodowości potraciło dzieci. Te, co same cudem przeżyły, i te, które nie przeżyły. A ile tych dzieci jeszcze większym cudem się uchoowało? Garstka. Zenio miał czarne kręcone włoski, może Żydziak (powtarzam za Franciszkiem)?. Bez znaczenia, że nieobrzezany, jeśli urodził się w obozie, kto by tam to robił. W każdym razie w tych zgłoszeniach zawsze się coś

nie zgadzało, albo za mały, albo za duży, nieprawdopodobne okoliczności. Więc adopcja. Przez małżeństwo polskich Żydów, także ocalańców. Poznali się już po wojnie, zamieszkali w Allentown, zmienili nazwisko ze Srebrny na Silverman, nie oglądając się, zacząć od początku. Ciężką pracą dochrapali się własnej fabryczki trykotów i zaadoptowali jeszcze jedno dziecko, dziewczynkę. Reginka. Rosła zdrowa, pracowita, nie mogli się nachwalić. Chętnie pomagała w fabryczce, w szkole nagrody, piątki z plusem. Natomiast z Zeniem od początku były kłopoty. Wątpy, łapał wszystkie możliwe infekcje, albo osowiały albo wybuchowy (jak opowie mi o tym później Reginka), rodzice nie mieli pojęcia, jak z nim postępować. Nie chodziło się wtedy z dziećmi do psychologów, a zwykli lekarze bagatelizowali tak zwane problemy z zachowaniem dziecka. Pobudliwy, łatwo się męczy, dawać żelazo. Uczył się wahadłowo, wagarował, coraz więcej awantur z ojcem, bójkę z kolegami, w których nie oni, a on obrywał. Ale dość wcześnie wyszło na jaw, że ma dryg do rysunków, do malowania portrecików i to mu pomogło zdobyć uznanie w oczach mądrzejszych nauczycieli, nawet rabina, który zakazał ojcu nazywania Zenia w przychylnych złości znajdują. W przedostatniej klasie gimnazjum uciekł z domu.

Dostał się na uniwersytet, ale nie skończył. To samo w różnych akademiach sztuk pięknych. Nie umiał się dostosować do programu, nie miał cierpliwości. Zmieniał adresy, numery telefonów, czasem zupełnie znikał. Krył się przed dziewczynami, dziewczyny od niego odchodziły. Trzeba by było poszukać kontaktu z wieloma osobami, żeby jakoś wypełnić jego życiorys z lat przed spotkaniem pana Franciszka i jego żony Barbary. Tyle wiadomo, że miał okres względnego dobrobytu. Malował portrety zamożnych kobiet, prowincjonalnych notabli, sędziów w togach, dzieci. Stopniowo źródło dochodu się kurczyło, aż w rezultacie zawrotnego postępu w dziedzinie kreowania wizerunków prawie doszczętnie wyszło i Zenon znalazł się na krawędzi ubóstwa. Trafił do Nutley (zwanego przez mieszkańców tam Polaków Natlejowem), jednego z tych otaczających metropolie, poszatkowanych autostradami, osiedli, jakie nie wiadomo gdzie się zaczynają, gdzie się kończą i gdzie się bardziej nocuje niż pracuje. W Nutley mieszkał i pracował Franciszek Puchała, był właścicielem dobrze prosperującej firmy budowlanej. Trzydzieści mil do Manhattanu, piętnaście do Newarku, wciąż warto budować. Zenon w Nutley podnajął piwniczną izbę. Poznali się przed sklepem spożywczym Giant, jedynym na głównej ulicy. Na chodniku leżała potrącona przez samochód psina, obaj zatrzymali się, zgadali. Zenon oświadczył, że weźmie kundelka do siebie, razem pojechali do weterynarza, od weterynarza do domu państwa Puchałów. Po tygodniu znajomości Zenon zaczął malować portret pani Barbary. Powracający wieczorem z pracy pan Franciszek wręcz nie wychodził z podziwu nad kunsztem malarskim nowego przyjaciela, bo choć powoli – prawdziwy artysta nigdy się nie spieszy – postać żony nabierała z dnia na dzień żywszych rumieńców. Zachwyty nie podzielała dwunastoletnia jedynaczka Małgosia Puchałówna. Swoją negatywną ocenę portretu skwitowała jednym epitetem po angielsku: *it's phony*. W ogóle do Zenona odnosiła się niechętnie. Nabarmuszona, wychodziła, kiedy on przychodził.

Nie mogłam, piętnaście lat później, zaproszona przez obu panów na niedzielny obiad, nie przyznać małej Małgosi racji. W ich skąpo umeblowanym salonie (wzgląd na wózek Zenona), ogromny, naturalnej wielkości portret kobiety w inkrustowanej perłami koronie i okalającym twarz i szyję kołnier-

rze z pereł, natychmiast rzucał się w oczy. Coś mi przypominał, widziany gdzieś obraz czy jego reprodukcję, ale klóciły się z tą asocjacją ostre kolory i proporcje. Jakaś nieudolna kopia?

– Kto to jest? – zapytałam.

– Moja św. pamięci żona Basia – odpowiedział Franciszek.

– Nasza królowa Barbara – powiedział Zenon.

– Od jak dawna jest pan wdowcem? Przepraszam. Współczuję – mamrotałam niepewnie, rozpoznając podobieństwo dzieła Zenona z portretem Barbary Radziwiłłówny w Muzeum im. Czartoryskich w Krakowie, zarazem tknięta przeświadczeniem, że istnieje jakiś związek między przedwczesną śmiercią Barbary Puchałowej i kalectwem Zenona.

– Od trzech lat – odpowiedział za wdowca Zenon. – Zabita w wypadku samochodowym, który ja przeżył. Byliśmy razem.

Wydało mi się, że z błękitnych jak niezapominajki oczu pana Franciszka znikł wyraz zdziwienia, że pojawił się w nich strach. Dostrzegł to także Zenon i zapytał, czy przyjaciel pamiętał wziąć rano swoją pastylkę. Przeszliśmy do jadalni.

Zenon i Barbara byli razem od dnia po uroczystym odsłonięciu portretu. Wyjechali z Nutley jej samochodem, Małgosia została z ojcem. Tak zdecydowanie chciała, a i oni nie mieliby warunków na utrzymanie dziecka. Ledwie na siebie, tłukąc się po całej Ameryce, od Kalifornii do Staten Island, jak w tej pieśni *God Bless America...* W naszych spacerowych rozmowach pan Franciszek tłumaczył żonę. Nie pasowali do siebie, powinien był to uwzględnić od początku. Tylko na początku człowiek nie zwraca uwagi na różnice usposobienia i często właśnie to, co dzieli, wstępnie przyciąga. Ją raziła codzienność, szarość życia, że wciąż to samo. Z nim odwrotnie, lubił porządek, na przykład w wojsku, unikał zmian. Ona biegała na koncerty rockowe, uwielbiała towarzyskie przyjęcia, nocne życie. On po hałasie na budowach pragnął ciszy, gorącej zupy, zawsze wołał dni od nocy, świt od zmierzchu. Ona tęskniła za wielkim światem, od dziecka marzyła o Ameryce. Jego za ten ocean wcale nie ciągnęło. Dla zarobku zgodził się na pracę w Libii, wróci, zbuduje własny dom. Basia tam do niego przyjechała i tam ich zastał stan wojenny, grudzień 1981. Chciał wracać, Basia nie. Okazja, spróbujmy do Stanów. Pierwszy rok owszem, dużo podniecenia, różnorodności, New York, samochody, gadzety, wszystko jak w kinie – i wszystko, czym więcej tym szybciej, zaczyna się przykrzyć.

Codziennosc wszędzie podobna, te same gary, pieluchy, supermarkety. Dla dziecka wybrała imię Margarita. Ojcu się nie za bardzo podoba, kojarzy się z margaryną i jakoś tym razem, po raz pierwszy w ich małżeństwie, postawił na swoim. Metodą podjazdową, ale Margarita się nie przyjęła. I z twarzy do niego była podobna, do Puchałów.

– Basia przywazywała wagę do imion – pan Franciszek zatrzymał się, spojrział w górę na na rozgwieżdżone niebo. – Zenon, tajemnicze imię, romantyczne. A Franek, z pastuchem się kojarzy, waciakiem, podwórkiem. Franek Puchała. W Ameryce jeszcze gorzej, Puczala. Mister Puczala i maestro Silverman. Tak to wtedy podsumowała. Trudno się było dziwić, znając Basię.

Powiedziałam mu, że w szesnastym wieku żył we Lwowie znakomity malarz o nazwisku Puchała. Całkiem prawdopodobne jego przodek.

– Co pani mówi, malarz? A jak miał na imię?

– Nie jestem pewna, ale chyba Wawrzyniec. Muszę sprawdzić.

– No to zrobiła mi pani niespodziankę. Wawrzyniec... Wołaliby go Wawrzek – znów spojrzął na niebo. – Niech pani popatrzy, jak w taką jasną noc wrześniową wszystko wyraźnie widać. Na przykład tam trochę na prawo, konstelacja Lutnia, z najjaśniejszą pod koniec lata Vegą. Lutnia Orfeusza, z greckiej mitologii wzięte. A ta mrugająca gwiazda, Sheliak, jest podwójna, kręcą się wokół siebie jak bąki, jedna drugą na zmianę zasłania, dlatego migają.

– Teraz pan mi zrobił niespodziankę swoją wiedzą o gwiazdach. Ja tylko wozy odróżniam, Wielki i Mały.

Pan Franciszek zagwizdał, urwał po pierwszej frazie nieznannej mi skocznej melodii. Gwiazdami, powiedział, zainteresował się w Libii. Trudno mu było zasnąć, więc patrzył w niebo nad pustynią.

– A nie myślałby pan teraz o powrocie do Polski, zamiast tu?

– Myślałem. Rozmawialiśmy o tym z Zenonem. Ale on tego kraju w ogóle nie zna, nigdy nie był. Nigdy nie chciał odwiedzić. Ludzie jadą i jednym się podoba, innym się nie podoba. Pojechaliśmy raz z Małgosią, do moich siostr. Ciotki OK, ale Polska jej nie zachwycała. Że muchy, że komary, nie ma siatek w oknach. Takie głupstwa, wymówki... Gdybym mógł, rzuciłbym to wszystko z zamkniętymi oczami.

O jego nagłej śmierci, późnym wieczorem szóstego grudnia, dowiedziałam się rano z nagranej wcześniej wiadomości od Zenona. Ledwie rozpoznałam czyj głos, ledwie zrozumiałam, co mówi. Atak serca. Niesłusznie siebie winił. Usłyszał przez stale otwarte drzwi jęk z łóżka przyjaciela, dotarł do jego sypialni, zadzwonił na 911. Lekarz z karetki pogotowia usiłował go przekonać, że nie było żadnej szansy ratunku. Nie mógł uwierzyć.

Pierwsza przyjechała siostra Zenona. Tak samo jak w dzieciństwie zaradna i pracowita Reginka metodycznie zajęła się załatwianiem formalności i opieką nad półprzytomnym bratem, który na każdy odgłos otwieranych drzwi powtarzał: sza, sza. W rozmowach ze mną interesująco opowiadała o rodzinnym Allentown i swojej zakończonej niedawnym przejściem na emeryturę pracy psychologa. Małgosia bardziej snuła się po domu, niż pomagała. Najpierw straciła matkę, teraz już zupełna sierota, Reginka wdychała, podając jej słuchawkę. Ktoś z Polski, ciocia... Dostrzegłam jej fizyczne podobieństwo do ojca, ale trudno było porównać charaktery. Miałam wrażenie, że mnie unika. Po nabożeństwie żałobnym w kościele św. Jadwigi w Trenton, skromnym przyjęciu dla kilkunastu przyjezdnych z okolic Natlejowa i wreszcie kremacji, Reginka zabrała Zenona do siebie do Marylandu. Następnego dnia – chyba o świcie, bo nikt z sąsiadów nie widział odjazdu jej czerwonego forda – Małgosia, z prochami pana Franciszka, udała się w swoją stronę. Nie zostawiła dla mnie adresu. Dom, tymczasowo wynajęty, do dziś czeka na nabywcę.

A ja mam dylemat. Najpierw przyszedł list od Małgosi, lekko zmoknięty w drodze między torbą listonosza i moją skrzynką (na dworze ulewa), o czym wspominam, ponieważ plamy na kartce mogły sugerować krople łez. Nic bardziej mylnego. W wysłanym z Polski liście Małgosia donosiła, że po dwóch przeprowadzkach kupili z Zenonem domek w Sieradzu, są zdrowi i pogodni na duchu, czego i mnie życzą. Wreszcie mogli sprowadzić oddane do „storadżu” w New Jersey rzeczy ojca, mają więc potrzebne meble i sprzęty domowe, choć oczywiście musieli kupić lodówkę i telewizor, a w kolejności jest pralka, żeby nie korzystać ze wspólnej. Portret matki pędzla Zenona

postanowili dać mi w prezencie, z wdzięczności za okazaną ojcu serdeczność w ostatnich miesiącach jego życia na obczyźnie (słowo ledwie czytelne). Serdecznie pozdrawiają.

W PS: „Zenon prosi dopisać od siebie, że w Sieradzu bardzo mu się podoba i że maluje piękne polskie drzewa, brzozy i jodły”.

Od kiedy w Sieradzu są jodły?! I co ja mam zrobić z „Królową Barbarą”? Stoi na razie w nieogrzewanym zimą pokoju tarasowym, zajmuje pół ściany. Gdzie indziej nie mam miejsca.

Nie mówiąc już o tym... Nie wiem, nie mam pojęcia. Przecież nikt tego, tej znajdy, nie weźmie.

Joanna Clark

Princeton, 18 września 2012 r.

Książki nadesłane

Wydawnictwo Polihymnia, Lublin 2012

Anna Pawelczyńska: *Koniec kresowego świata. Testament prababki. Na cztery wiatry*. Ss. 440+5 (tabele).

Anna Pawelczyńska: *Koni żal. Obrazki z kresowego świata*. Ss. 147+2 (tabele).

Janusz Świąder: *Apassionata. Wspomnienia o Januszu Gniatkowskim*. Ss. 321.

Alina Jahółkowska: *To jeszcze Twój czas*. Posłowie Alina Aleksandrowicz. Ss. 56.

Biblioteka „Wołania z Wołynia”, Ostróg (Ukraina) 2012, t. 75, 76, 77, 78:

Materiały do „Wołyńskiego słownika biograficznego” pod redakcją ks. Witolda J. Kowalowa. Cz. 1: A. Ss. 95.

Marek A. Koprowski: *Od Humania do Krzemieńca – Irena Sandecka*. Ss. 85.

Maria Kilar-Czapła: *Ojciec Ludwik Włodarczyk OMI. Portret duchowy*. Ss. 115.

Feliks Jasiński: *Kronika. Losy Polaków parafii Kąty, powiatu krzemienieckiego, województwa wołyńskiego w latach 1939-1945*. Ss. 116.

EMILIA MAZUREK

Japanese whispers

I

Hokusai ułożył pejzaże z ptaków
i kobiet. Wodospady przepuszczają przez drzeworyty
wczorajszy dzień, czern
za czerwienią. Jednym pociągnięciem piórka
otwierają się słowa; tusz ścieka z palców. Koguty
opowiedziały historię świtania, tańcząc na pergaminie.

II

Język stał się bezpowrotny; łodzie śmigają
po płatach skóry, gładkich jak tafla,
która odbija pałace wschody.
To, co nazywasz miłością, trzeba czytać
od końca, dopóki jeszcze rzeka ubiera brzeg
w słomki i odbicia. Nieostrzegalny ruch dłoni
potrafi rozchylić wszystkie doliny, przekwitające
wśród dzikich truskawek. Jedna jest linia cięcia,
linia Słońca.

III

Kaligrafia jak rozprawiczenie. Napisanego w powietrzu
po raz drugi nie da się zetrzeć; można tylko
odświeżać strony; na dnie słowiczego gniazda ugrzęzły
majaki, z traskiem łamanych patyków.
Płoną pola ryżowe.

IV

Rozsunięty parawan; w głębi żółty smok
powoli połyka płynne cienie,
na rysunku,
pozwalają się mozolnie rozczytać
ciemne włosy gejsz;

między pochodniami z jedwabiu

nie ma mowy.

Wszystko gaśnie. Drobne kroki, znaczenia, ostatnia
uschnięta wiśnia. Czas przelewa się z ciała w ciało.

Human resources

Wyprowadzam na wybieg wydarte niszczarkom
twarze; przypatrzcie się dobrze, jak zasoby zmieniają
stan skupienia.

Samotna matka w T-shircie z Tesco. Zbyniu –
nocuje na działkach i zbiera szlugi z ulicy. Studentka filozofii, wycykana
przez wszystkich haerowców w mieście; nie chcą jej nawet
na kelnerkę. Władek; zabrakło mu do emerytury pięciu lat,
ale Holendrzy wykupili cegielnię.

Sierota po pegeerze, Halinka, jej mąż, trójka dzieci
oraz destylator, najważniejszy członek rodziny. Można jeszcze ukraść
trochę ziemniaków,
dawaj, będziem pędzić. Wszyscy z tego żyją.

W pustostanie mamy metę, chodźcie, strzelimy po lufie.
Przez wybite okno zaglądamy łopiany, częstują księżycówką
z mięsistych liści. Cienie wrastają pod paznokcie.

Jutro pójdziemy w Polskę, świecić oczami. Nic do stracenia,
gdy człowiek niepotrzebny człowiekowi; Ile za ciebie
zapłacą, gdy masz patent na wózek widłowy, prawo jazdy kat. B
oraz sto tysięcy lat doświadczeń; to było jakby wczoraj:
uprawiałaś poletko, udomowiłaś kozę,
wykułaś pierwszy sierp.

Wtedy nie brakowało miejsca, czasu, źródeł.
I nikt nie pytał.

Infibulacja

rzeka okresowa napętnia się krzykiem
od środka
uda trzepoczą
dwie czerwonołuskie ryby w pełnym słońcu
wysycha strzęp skóry
rozkosz dla ścierwojadów

z ust wypłynął połknięty piasek
nie będzie innej czułości niż dzisiejsza
zaszczepiona ostrą krawędzią muszli

kolce akacji zaszyły pogranicza

przyjdzie kiedyś wojownik
aby kupić za kilka jagnięt

rozłupie nożem
jak skorupę żółwia

i znowu obmyje cię ta sama czerwień.

Cyferblaty

Położeni na żelaznych łózkach, wypełniają wąskie dźwiękoszczelne sale,
drążą życie w mięszu jabłka. Żadnych troskliwych krewnych.
Jeden ruch ramienia wycisza wołania; ludzkie, zwierzęce,
przemykają od parapetów do wezgłowi. Pod stopami
marszczy się półcień.

Zenuś, nauczę cię pędzić bimber. Niech tylko obrodzą śliwy;
teraz szron skapuje do gąsiorów, coraz bardziej wychudłych
skroni. Świat powinien być pusty. Chrząstem zapalek
wrastają w ciemność różne wersje tej samej ścieżki,
między fermentującymi sadami. *Ale mnie dzisiaj suszy.*

Im bliżej poranka, tym spokojniej. Zapach moczu i przecieru z renet
coraz krótszy. Sen nadchodzi na skraju dziesiątej wsi, zapamiętanej
przed pierwszą komunią. *Ja już nie wytrzymam.*
Drzwi są takie same, jak do kolejnego dzieciennego pokoju. Białe, uchylne.
Zaledwie jedna kropla słonej wody w ustach
i po wszystkim. O wyznaczonej godzinie wymienią prześcieradła.

Zenuś, daj spokój. Odcinki czasu kielkują, owocują i usychają
wielokrotnie.

Imiennie

Po imieniu każdy po kolei. Dziś jeszcze
w pofalowanych wieczorach, *online.*
Sztuczne krwiobiegi łączą i dzielą, rozmowy

przez diafragmę. Noc pogłębia szczeliny,
rozpryskuje się na ekranach. Pusto.

Dwa tysiące dwanaście. Niedziele w fast foodach.
Ciekłokrystaliczne sny. Rządziej fotomontaż
parkowych alejek i zmierzchów
w nieładzie. Nic pomiędzy, ciasno zaszyte
wargi; bez znaczenia, które. *Loading... done.*

Miało być. Bogate lato, nawet za nic,
gdy masz. *Variable not found.* Jak kobieta.
Nierzeczywista, nazywana odruchowo
słońcem. Obraz z rzutnika na całe życie

kiedys zniknie. Reinstalacja systemu
nerwowego. Nasycą się barwy, akacje
spłyną miodem, liśćmi po wydrukach.
CTRL+V; prawie
nieskończoność.

Trzy siostry. Irena

Pod koniec życia cieszyła się
gdy na dnie pudełka z guzikami
znalazła zapomnianą stowę.

Pożyczała wnukowi albo oddawała
sąsiadom. Każdy był *pocziwy*.

Najbardziej smakowały jej papierówki
zbierane pod osiedlową jabłonką
i resztki żółtego sera.

Dwóm mężom powiedziała – won!
wołąc gnojny zapach podwórza i siennik *u Gabrysiowej*
każdego lata.

Śladem pędzla na tuzinach akwarel
odwiedzała ukochane miejsca; przełom
Dunajca, Sokolicę, góralskie kapliczki
spływające żywicą i słońcem.

Pamiętała. *Powódź w trzydziestym czwartym
zabrała nam dom i ziemię na cyflu.* Uciekali
górską ścieżką do schroniska. Smreki w deszczu.
Dziś pozostała tylko wyspa zarośnięta olchami
i patronat PPN*.

* PPN – Pieniński Park Narodowy

Jeszcze na kilka dni przed śmiercią
odkurzała portrety przodków i karmiła
zmarznięte koty na parterowym balkonie.

Znajomi zasmuceni, teraz *zabrakło czwartej*
do brydża.

Emilia Mazurek

Książki nadesłane

Poezja

Mariusz Olbromski: *Róża i kamień. Podróże na Kresy*. Posłowie Jan Wolski. Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, PHU, „Parta”, Londyn – Rzeszów 2012, ss. 152.

Krzysztof Pankiewicz: *Wariacje teatralne do sonetów Andrzeja Żarneckiego*. Wydawnictwo „Ażet”, Łódź 2012, ss. 66+ płyta CD.

Czesław Sobkowiak: *Powieść ze snu*. Aprint, Zielona Góra 2012, ss. 82+2 nlb.

Janusz Kozłowski: *Tryptyk obecności*. Wstęp Anna Pajdzińska. Wydawnictwo Bestprint, Lublin 2012, ss. 36.

Stanisław Leon Popek: *Znaki zapytania*. Wydawnictwo Książkowe IBIS, Warszawa 2012, ss. 57.

Stanisław Leon Popek: *Arta – Unica certitudine. Poezii alese*. Selecte, traducere și comentarii Alexandru G. Șerban. Performantica, Iași 2012, ss. 319.

Piotr Mitzner: *W oku kuku*. Dom Wydawniczy TCHU, Warszawa 2012, ss. 94.

Ryszard Kornacki: *Jestem w drzewach i słońcu, wodzie i kamieniu / Sunt in arbori și soare, in apă și piatră*. Wydanie dwujęzyczne polsko-rumuńskie. Wybór i przekład Aleksandru G. Șerban. Wstęp Waldemar Michalski. Performantica, Iași 2012, ss. 183.

Joanna Bąk: *Pan tu nie leżał*. Fundacja Bielecki Art., Kraków 2012, ss. 79+4 nlb.

Jarosław Zalesiński: *Wiersze ponowne*. Wydawnictwo „Bernardinum”, Pelplin 2012, ss. 97+4 nlb.

Grzegorz Wołoszyn: *Poliptyk*. Miejska Biblioteka Publiczna, Świdnica 2012, ss. 76+3 nlb.

Danuta Hasiak: *Przymierzalnia skrzydeł*. Podkarpacki Instytut Książki i Marketingu, Rzeszów 2012, ss. 85.

Zbigniew Waldemar Okoń: *Dom nasz będzie ogromny*. Chełmski Klub Literatów OSNOWA, Chełm 2012, ss. 35.

Marta Dynysiewicz: *Rozterka*. Instytut Wydawniczy „Świadectwo”, Bydgoszcz 2012, ss. 49.

Małgorzata Południak: *Czekając na Malinę*. Zaulek Wydawniczy „Pomyłka”, Szczecin 2012, ss. 117.

Czesław Mirosław Szczepaniak: *Mimo że*. Nakład własny, Warszawa 2013, ss. 46. Wydanie bibliofilskie.

PIOTR KOBIELSKI-GRAUMAN

Leśmian – poeta współczesny

Współczesność poezji w krainie „nigdzie, czyli w Polsce” (jak to mówił Ubu Król), zwykło się w potocznym pojmowaniu utożsamiać z jej „rozumiałością” dla współczesnych, czego ofiarą padł już nieszczęsny Cyprian Kamil Norwid, a po nim cały legion prawdziwych nowatorów polskiego języka poetyckiego. Wśród nich znalazł się także – choć niby z innych powodów i w zupełnie innym czasie – Bolesław Leśmian.

*Zwoływali się surmą na wrzawę-zabawę,
A jam gadał z mogiłą...
Wszyscy na koń już siedli, by jechać po sławę,
Lecz mnie z nimi nie było.
(...)*

*Módlmy się wśród drzew
Za zdeptany wrzos –
Za przelaną krew,
Za zburzony los!*

*I za śmierć od kul –
I od byle rdzy!
I za cudzy ból –
I za własne łzy!*
(z cyklu *Mimochodem* z tomu *Napój cienisty*)

Takie oto wyznania-westchnienia wymykały się „mimochodem” z ust autora *Pejzażu współczesnego* w latach 30. XX wieku, co może nie takie znów dziwne, jeśli weźmiemy pod uwagę, że nie był on przecież w trakcie swego żywota ani działaczem niepodległościowym, ani kombatantem legionistą, ani nawet komunizującym „poetą walczącym” o sprawiedliwość społeczną. Zaś w czasie I wojny światowej powrócił z Francji do Łodzi, by literacko kierować tamtejszym teatrem, który wystawiał głównie dramaty poetyckie, bynajmniej nie cieszące się „oglądalnością”... Później, już w latach 20. i 30., wraz z rosnącą popularnością *Łąki*, zaczęto mu wytykać „dziwactwa” – zarówno nadużywanie neologizmów, jak i upodobania do makabry, czarnego humoru i... zaświatów – zaliczając je do przebrzmiałej manieri Młodej Polski. Natomiast różnej maści antysemitcko nastawieni publicyści i „krytycy-patrioci” jęli wypominać poecie żydowskie pochodzenie, do czego właściwie nigdy się nie odnosił, zachowując wobec „kwestii żydowskiej” całkowitą i dumną obojętność¹. Niemniej można sobie łatwo wyobrazić stan ducha artysty, gdy czytał w „Gazecie Warszawskiej” (1922), że jest jakoby *podszycającym się pod polskość przedstawicielem chaotycznego i nihilistycznego ducha żydowskiego* i że wskutek tego jego wiersze *przyczyniają się do splugawienia kultury polskiej szmoncesem i pornografią* („Myśl Polska” 1936). Wypada też pamiętać, że był to czas panowania „Skamandra” i „Wiadomości Literackich”,

¹ Zob. np. J. M. Rymkiewicz: *Leśmian. Encyklopedia*. Warszawa 2001, ss. 141-143 (hasło *Kwestia żydowska*).

które stanowiły wówczas najpopularniejszy medialny dystrybutor poezji „na topie” i choć przez pewien okres wydawały się cenić Leśmiana jako zjawisko elektryzujące egzotyką – dostrzegając i doceniając jego niewątpliwą maestrię językową – promowały przecież diametralnie odmienną formułę polskiego poezjowania. Ideowo zachłystywano się wówczas współczesnością – budową tożsamości odzyskanego wreszcie państwa, jego infrastruktury społecznej i cywilizacyjnej, a hurapatriotyzm Lechonia i obywatelski witalizm Tuwima tworzyły perspektywę dominującą i niemal obowiązującą. Był to przecież czas gombrowiczowsko rozpoznanych Pimków i Młodziaków, w którym futuryści i Awangarda Krakowska z hasłem 3xM (Miasto, Masa, Maszyna) wydawali się bardziej „współcześni” niż ekscentryczny zamojski rejent ze swym staromodnym hipererotyzmem, „zakłętymi ogrodami” i „gadaniem z mogiłą”...

Tyle że... czym właściwie jest „współczesność”? Leśmian w *Rozmyślaniach o poezji*² ujmuje tę kwestię z błyskotliwą ironią: *Współczesność wszakże dla nikogo nie jest tajemnicą, wymagającą odkrycia. Wiedzą o niej ci, którzy przy kawie czarnej – w zgiełku kawiarnianym – z nieodpartą stanowczością wyrokują o tym, czym powinna być sztuka dnia dzisiejszego. I ci wiedzą o niej, którzy ze zwycięską brawurą patrzą w głąb naukowo spopularyzowanego wszechświata przez skwapliwie modną, świeżo wynalezioną lornetkę – w tym przekonaniu, że oglądają zbliżoną w ten sposób i zawczasu już udoskonaloną przyszłość. Właściwie należałoby zbadać historycznie i psychologicznie to zawile, periodyczne zjawisko, jakim jest tak zwana współczesność w sztuce i w literaturze. Z czego jest utkana – z jakich treści i gestów? Może tylko – z gestów? Może by się okazało, że ton i postawa tej współczesności są zawsze te same bez względu na czas, w którym panują? Może by się udało faktycznie stwierdzić taki nawet paradoks, że współczesność panująca sto lat temu miała zasadniczo tę samą treść i chodziła w tej samej młodzącej się ku ludzkości masce, którą się chlubi jako nowością współczesność bieżąca... Trudno powiedzieć bez uprzednich badań porównawczych, kiedy zjawiała się na świecie pierwsza świadoma siebie współczesność. Czy ton i postawa następnych współczesności – nie wyłączając dzisiejszej – były i są dość żywotne i głębokie, aby wnieść coś twórczego, coś choćby częściowo nowego i uczuciowo trwałego do poezji i sztuki? Czy w ogóle współczesność wystarcza jako pobudka i źródło? Czy nie jest ona już czymś minionym przed chwilą albo czymś, co właśnie teraz przemija? Może jest podobna do kobiety, która ukrywa swoje lata? A może, spragniona łatwego powodzenia na drogach najmniejszego oporu – jest tylko chwilową i byle jaką namiastką indywidualnie twórczej nowości, tymczasową i ratunkową formą przetrwania nieżyczliwego i szkodliwego dla poezji okresu, kiedy trzeba wiele przebaczyć, wiele zapomnieć i jeszcze więcej przecierpieć?*

Martin Heidegger, który także uważał, że przyszło mu żyć w „czasie marnym”, rozpoznaje to na swój użytek, filozoficznie: *To, co spotykamy „najpierw”, nie jest bliskie, lecz zwyczajne. Otóż to, co zwyczajne, ma przerażającą moc odzwyczajania nas od tego, co zasadnicze, i to często w sposób tak ostateczny, że nie pozwala nam już nigdy tego osiągnąć*³. Transponując i przenosząc ów wgląd w domenę poezji: im bardziej poeta fiksuje się na tym, co „najpierw”, tym dalej mu do tego, co istotnie bliskie i zasadnicze – do tajemnicy objawiającej się w bezpośrednim doświadczeniu siebie i świata. To, co „zwyczajne”, staje się niepostrzeżenie tym, co zaledwie „zwyczajowe”. „Zwyczajny” język jest też językiem „zwyczajowym”, komunikuje i znaczy cokolwiek tylko w pewnej konwencji społecznej, jedynie w jej kontekście. Staje się semantyczną kalką, która w gruncie rzeczy zasłania (!) poecie jego indywidualną bezpośrednią percepcję. Także cała wiedza zawarta w tym języku stanowi ograniczenie poznawcze, swego rodzaju więzienie, którego

² „Rocznik Polskiej Akademii Literatury 1937/38”, Warszawa 1939.

³ M. Heidegger: *Co zwie się myśleniem?* Tłum. Janusz Mizera. Warszawa-Wrocław 2000.

mury poeta musi dopiero przekraczać, by dostrzegać nieustannie „stającą się” rzeczywistość.

Leśmian stworzył w tym względzie własną teorię, wyrosłą oczywiście z poetyckiej praktyki: *słowo jest skazane na żywot pełen bolesnego i tragicznego rozdwojenia, ma bowiem do spełnienia aż dwa biegunowo próżne zadania! Z jednej strony na twórczych wyżynach poezji ma być sobą – słowem dla słowa – z drugiej strony na terenie życia bieżącego krąży w mowie potocznej jako utarte, bezbarwne, bezdźwięczne pojęcie.*

Najnowszy badacz języka dzieli go na dwa rodzaje, a mianowicie: na język indywidualny i na język społeczny. My ten pierwszy przezywamy – słowem wyzwolonym, ten drugi – słowem pojęciowym. Zdarzają się wszakże takie okresy, kiedy zanika wiara w słowo twórcze. Wówczas owo przed chwilą jeszcze zawadiacko barwne i zuchwale rozpląsane słowo – przerażone własnym zbyt jawnym i zbyt śpiewnym wcieleniem, szuka schronu w bezpiecznej szarzyźnie zdań powszechnie uznanych i co prędzej wdziewa dla niepoznaki słynną od wieków ze swych własności czarnoksiężskich czapkę-niewidymkę, aby ukryć w ten zakłętą sposób swój grzeszny kształt i barwę – swój nagi płomień i nagą rosę – swoje ciało chciwie tysiąca istnień i tysiąca nie słumionych niczym radości – i aby koniec końcem – uśmierzyć swoją niepodległość twórczą – swoją niezależność i samoistność myślową i duchową. Co wówczas pozostaje poetom? Chyba – cierpliwe lub niecierpliwe przetrwanie tego nieprzychylnego dla słowa okresu i doczekanie się raz jeszcze tej nieprzysłanej wiosny, tej słonecznej bezrozumnej burzy, która swoim wonnym, swawolnym powiewem zdmuchnie z posłusznie zmalłego, wylęklonego i odbarwionego w swym ukryciu słowa wspomnianą wyżej czapkę-niewidymkę, ażeby znowu w całym zakazanym i występny przepychu odsłonić jego kształt rzeczywisty. Mamy więc przed sobą dwa rodzaje słów: słowa w czapce-niewidymce i słowa bez czapki-niewidymki (Rozmyślenia o poezji, wyr. P. K.-G.).

Warto sobie w tym miejscu przypomnieć słynny wiersz *Migoń i Jawrzon* – z jego finałową walką „widzialnego” z „niewidzialnym”:

*Aż słońce, poranniejąc w obłokach nieśmiało,
Rozwidniło to właśnie, co nocą się stało.*

*Rozwidniło dwa trupy i obok – dwa ule
I jedną niewidomską na krzaku czapkę!...*

Leśmian ciągnie swe *Rozmyślenia o poezji* dalej: *Albo słowo się wyzwala z pęt pojęciowych, albo dobrowolnie wdziewa te pęta. Zjawia się właśnie szkoła, która twierdzi, że należy pisać nie wyzwolonymi słowami, lecz ideowo skomponowanymi zdaniami tak, aby treść pojęciowa górowała w zdaniu nad nie usamodzielnionym słowem. Słowo chętnie zanika w ideowej całości zdania, pozostawiając pierwszeństwo temu ostatniemu. Tego rodzaju poezja pragnie nas czarować nie magią słów, lecz treścią zdań. Ma nawet pogardę dla magii słów. Uważa ją za przebrzmiały, raz na zawsze zużyty środek artystyczny – niezdatny do chwytania samego życia lub współżycia. Toteż słowa w wierszach tych poetów tracą swą rzeczową niezależność, swą uczuciową niepodległość, swą twórczą niespodzianą i nieprzewidywaną. Pozbywają się swych twórczych kapryśków, swych cudów, dziwów i zaklęć – w tym niejako przeświadczeniu, że pochłonięte ogólnymi, ideowo określonymi zdaniami nabiorą powagi, doniosłości społecznej, staną się zawczasu oczekiwane, spodziewane i – ułatwią sobie drogę do dusz i umysłów szerszej publiczności. Poeta tedy stara się nie tyle wyodrębnić, ile upodobnić do otoczenia. Zamiast dążyć do nowości, którą w sztuce jest tylko – niepowtarzalna indywidualność – dąży do współczesności.*

Kiedy więc poeci ulegają presji „doniosłości społecznej” i pokusie, by być bardziej komunikatywni, a swój przekaz poetycki uczynić łatwiej „zro-

zumiałym” dla współczesnych – w imię tych racji ukrywając wstydliwie „słowo wyzwolone” i zastępując je „słowem pojęciowym” – na placu boju tej szczytnej batalii najczęściej pozostaje tylko sam rekwizyt iluzji, właśnie owa... „czapka niewidymka” – symbol udawania.

Bo też i taki poetycki „język społeczny”, ze swym „słowem pojęciowym” podającym się za słowo poetyckie, przestaje się już czymkolwiek różnić od innych tekstów pojęciowych współczesności, również od niechlujnego i często na poły barbarzyńskiego języka potocznego. I to właśnie głównie w oczach niewydukowanych literacko odbiorców, owych Młodziaków Gombrowicza, bo profesorowie Pimkowie przynajmniej wiedzą, co tracą. Gdy w sondzie ulicznej dać dziś przeciętnie wykształconym młodym ludziom do przeczytania jakikolwiek wiersz Miłosza i jakikolwiek wiersz Różewicza, to w przypadku pierwszego z nich nie będą mieć wątpliwości, że to mowa „odświętna”, poetycka, zaś co do drugiego nie będą już mieli tej pewności, a niektórzy zaczną nawet podejrzewać, że się ich nabiera... Aż kusi, by stwierdzić, że Leśmian jeszcze przed wojną przewidział zaistnienie Różewicza czy Białoszewskiego i wszystko, co z tego wyniknie.

Na szczęście poeci nie wiedzą tego, co wie sama poezja: że mianowicie, „koniec końcem”, nieważny jest ich los, takie czy inne cierpienia, głupota czy mądrość i wszystko, czego by w związku z tym chcieli – liczy się tylko to, czy muza (za każdym razem w szczególny, indywidualny sposób!) dochodzi w nich do głosu:

*Lubię szaty swe liche, gdy na wskroś przemokną
Deszczem, jak łzami pieśni, co szumiąc, zamiera,
A nie śpiewam, lecz jeno słowami przez okno
W świat wyglądam, choć nie wiem, kto okno otwiera.*

*Niech się pieśni me same ze siebie wygwarzą
Obym ich nie dobywał, ale w sobie dożył!
A nie chcę im górować ni barwić się twarzą,
Jeno być niewidzialnym, jak ten, co mnie stworzył.*
(Zamyślenie z tomu *Ląka*)

Leśmian – choć jak widać z jego *Rozmyślań o poezji*, o mowie związanej wiedział niejedno – wie zarazem niejako organicznie, samym sobą, że musi być wierny... *pieśniom, których w sobie się spodziewa*. Powinien więc zaufać własnemu bezpośredniemu doświadczaniu wszystkiego jakby po raz pierwszy. A to znaczy: nie oglądać się na „karoserię wieczności” – jak to, co „najpierw”, nazwał potem inny wielki „poeta światła”, Rene Char – lecz uważnie rozglądać się wokół: czym i jak to, co jest pod nią, jest tu i teraz. W pełnym świetle tej właśnie chwili!

Tego właśnie dotyczą Leśmianowskie formuły: „sprawdzić naocznie” czy „stwierdzić jasnowidztwem”. Percepcja poetycka i akt tworzenia to procesy intuicyjne, odbywające się niejako poza wszelką wiedzę, bo w ich trakcie sam poeta dowiaduje się czegoś wcześniej mu nieznanego. Dzieją się między biegunami lęku i zachwyty, w przestrzeni wyostrzonej wrażliwości. Wszyscy widzieliśmy, jak słońce zachodzi nad lasem, i wiemy, czym jest zachód słońca; i wiemy też, co będzie potem. Ale co z tego?

Poeta, by się dowiedzieć, działa inaczej:

*Oto słońce przenika światłem bór daleki,
Sosnom z nieba podając tajny znak wieczoru.
Oto sosny spłonęły, jakby w głębiach boru
Nagle coś szkarłatnego stało się na wieki!*

*Zwabiony owym znakiem, biegnę tam niezwłocznie,
Aby zawczasu jeszcze, nim wpłynę w noc ciemną,
Zastać na nikłym trwaniu i sprawdzić naocznie
To właśnie, co już drzewa widziały przede mną.*

(*** [Oto słońce przenika światłem bór daleki] z tomu *Łąka*)

Czyż to nie najzwyczajniejsza w świecie rzecz: „sprawdzić naocznie”, doświadczyć, czym jest zachód słońca i wieczór w lesie? Dopóki tego nie zrobimy osobiście, dopóty pozostajemy tylko ze swoją tak zwaną wiedzą i wyobraźnią na ten temat, ale wciąż przed... „drzwiami do lasu”!

Scjentyści mogą to sobie określać mianem jakiejś infantylnej empirii, ale dla poetów nie ma innego wyjścia/wejścia, jak otworzyć i przejść przez te drzwi – bo to dla nich... „drzwi percepcji” (Blake). Powyższego wiersza nie napisał bynajmniej Leśmian nastoletni, lecz artysta czterdziestoletni, a mimo to – nieustannie ciekawy świata i potrafiący mu się jeszcze dziwić. Właśnie ta dyspozycja – błogosławiony stan permanentnego zdziwienia światem i sobą, właściwy dzieciom i poetom – sprawia, że jesteśmy „twórczy”. A kabaliści i budyści mówią wprost, że świadczy on wręcz o tym, że w ogóle jeszcze żyjemy...

*Jakaż radość bezbronna i z jakąż łez siłą
Wzbiera we mnie i serce obnaża na światy,
Gdy zoczę tej nocy narodzone kwiaty
W miejscu, gdzie jeszcze wczoraj tych kwiatów nie było!*

(*** [Zapłoniona czereśnia, przez wróble opita] z tomu *Łąka*)

Trzeba zatem być naprawdę czujnym, trzeba wytężonej bezustannie uwagi, by dostrzegać najzwyczajniejsze procesy przebiegające „realnie” w nieskończenie wiele znaczącej rzeczywistości. Bo są one jakby szybsze od nas i trzeba je niejako doganiać we współpowstawaniu z nami. Oto była noc, ale naraz mamy już przedświt:

*Trwa jeszcze ciemne rano –
Śpi niebo nad altaną.*

*Staw błysnął o dwa kroki –
Już widać, że głęboki.
(...)
Kształt wszelki wybrnął z cienia,
Lecz nie chce mieć imienia.*

*Chce snom się jeszcze przydać:
Nie widać nic, a – widać.*

(Przed świtem z tomu *Napój cienisty*)

I cóż to właściwie widać w tym Leśmianowskim „wtedy”, gdy „nie widać nic, a – widać”? Ano zjawisko niby najzwyczajniejsze ze zwyczajnych: jak mianowicie tak zwany „świat” budzi się do życia. Nie każdy śmiertelnik dostrzega w tym akcie misterium, którym przecież w rzeczy samej jest. Bo oto „kształt wszelki” – wszelki byt – wyziera naraz poniekąd z niebytu, jakim była ciemność nocy, ale też i nasza przerwana podczas snu świadomość, czyli nasza nieświadomość widzialnego świata. Metafizyk buddysta powie tu krótko, że oto rzeczywistość wyłania się z naszej budzącej się świadomości; kabalista zaś stwierdzi, że po prostu jedyną rzeczywistością jest tu Światło, które przeniknęło ciemności. To jednak tylko teorie istnienia, Leśmian zaś tego istnienia doświadcza – całym sobą:

*Gdy ulice, stopami ludzkimi nietknięte,
W słońcu porannym stoją dla nieba otworem,
Nie poznają drzew dawnych – takie są zakłete,
Tak trafnie olbrzymieją i tak pachną – borem.*

*Zda się, że po raz pierwszy owiane szelestem
Jawiają się moim oczom w cudnym niepoznaniu,
Jakbym zastał je nagle na ich skrytym trwaniu
W świecie zgoła odmiennym niż ten, gdzie ja jestem.*

*Lecz pierwszy zgiełk ulicy, wrzask życia uludy
Płoszy je, że – malejąc – tłumią czary swoje
I cofają się właśnie w ten świat, gdzie ja stoję
I podglądam ich pilnych przeistoczeń trudy.
(Wczesnym rankiem z tomu *Dziejba leśna*)*

Dopiero bezpośrednie doświadczenie zmysłowe i intuicyjne ujawnia poecie wieloznaczność rzeczywistości, zgoła inną niż ta, o której „wiemy”, oglądając świat przez pryzmat spopularyzowanych odkryć naukowych. Niby mamy świadomość wielości światów we wszechświecie, ale zwyczajowo pozostajemy z tą wiedzą jedynie na terytorium wyobraźni i nie kusi nas specjalnie, by ją „sprawdzać”. Nawet gdy mamy jakieś przeczucia czy przebliski intuicji w tym względzie, to zwykle właśnie „cofają się” one skrzętnie w głąb mentalnej rutyny, w nawyki automatycznej percepcji.

Leśmian jest od nich wolny; staje jakby nago pośrodku świata, by śledzić jego wszelkie „przeistoczenia”, to znaczy to, jak się on ustanawia wobec niego samego. Poeta czuje, że nie przynależy ani do świata „zgiełku ulicy”, ani do świata „boru” – chociażby dlatego, że pozostaje jednak na zewnątrz obydwu, skoro właśnie konstatuje ich „ułudę życia” czy „czaru”. One zresztą przenikają się nawzajem, a Leśmian przeczuwa, że prawdziwa tajemnica tkwi gdzie indziej:

*Coś się spełniło skrzydlatego
Nad przynaglonym kwiatem! –
Coś tam spłoszyło się bożego
Pomiędzy mną a światem!...
(Mimochodem z tomu *Napój cienisty*)*

Prawdziwa tajemnica bytuje bowiem gdzieś pomiędzy poetą a „stającym się” światem – „Tumanem wszechrzeczy”, jak Leśmian zdaje się określać uniwersum. „Sekret jest podstawą wszystkiego” – powiada *Zohar (Księga blasku)*, średniowieczny fundamentalny traktat metafizyki kabalistycznej. Sekret ów może nosić miano, jakie mu nadamy: Absolutnej Świadomości, Światła Światła czy Ducha Świętego (hebr. Ruach ha-Kodesz); lecz w istocie nie potrzebuje i tego: „nie chce mieć imienia”. To właśnie poeta tropi, „podgląda”, tę oto „niepochwytność” usiłuje rozpoznać i ująć „w dwa przyległe słowa”. Leśmian jest bowiem poza wszystkim także obserwatorem i badaczem tajemnicy istnienia. I w tym pozostaje nader współczesny dla nas i dla trzeciego tysiąclecia.

Piotr Kobielski-Grauman

BARTOSZ SUWIŃSKI

[marcowy zaczyn]

Dla D.

*

Pola zaczynione na szaro. Pościerane na wylot.
Słońce dźwiga się wyżej, zmierza ku jasnemu.
Zielone kępki prześwitują spod zmarzniętej ziemi.

Chłód zachodzi od tyłu, idzie po twarzy, sięga niżej.
Kilka ptaków podrywa się z gałęzi, byle jak, byle gdzie.
Nagie pola zawiązują się echem po jednej i drugiej stronie głosu.

Do mnie należą imiona, które pędzi wiatr.

*

Dzięcioł opukuje korę, przelatuje z jednego pnia na drugi.
Dłubie w buku, a stukot odbija się drzewem po drzazgi.
Ostry wizg rozcina powietrze na jeszcze mniejsze usta.

Chce się powiedzieć: topola czeka, by buk zapadł na głucho.

*

Ściółka wyschnięta na wiór, nagrzana. Prawie południe.
Moczary parują rozrzedzonym ciepłem, które unosi się nad
uleżaną od zimy wodą. Bagniska zapadają w głąb pod defiladą racic.

Zostaje tych kilka kroków, śliskie grzbiety odbijające z oddali.
Pętla zawiązana w coraz mniejsze kółka.

*

Po twojej ręce. Mrówka mija kolejne przeszkody
by zniknąć w poszyciu trawy, w zakamarkach chrustu.
Wychodzi na swoje.

Jeszcze tego nie wiesz, ale chce ci się przyglądać.
Widzieć jak włos na prawej ręce lekko trąca czarne
nic do ziemi.

*

Chrobotek u stóp sosny.
Nad głową pierwsza mucha tego roku.

Po drodze nie spotkałem nikogo.
Nikogo z nogami za las.

Przez rozchyloną skibę ziemi więcej czasu na później.

*

Korzenie wywleczone na zewnątrz. Dookoła okopane dolki.
Przez dzikie strony, na przełaj nas.
Mówi D: „było zielono, był las, było słońce”.

I nie straciliśmy nic z tego, po co wyszliśmy.
I zawsze lepiej przez leśne korytarze niż
„wysupływać ze starego kufra białe / naftalinowe wiosny ucichłe na zawsze”.

*

Te pola. „Nie straciłem ich. Są moje. Do mnie należą /
W zapomnieniu, w przypadkowym pragnieniu”.

Wrócę tu, pójde inną ścieżką.
Dotrzymam kroku (i słowa), sam sobie będę świadkiem.

Majenie, usypana w wydnię kropka.

[Bukowo, 25.03.2012]

Bartosz Suwiński

Książki nadesłane

Poezja

Chełmska Grupa Literacka „Lubelska 26” Antologia. Wstęp Waldemar Taurogiński. Wydawnictwo TAWA, Chełm 2012, ss. 119.

Stefan Laudyn, Tomasz Szafranski, Witold Szuk: *Corso i inne wiersze*. Staromiejski Dom Kultury, Warszawa 2012, ss. 104.

Grupa poetycka „Rebjata”. Wstęp Maksymilian Leluchow. Staromiejski Dom Kultury, Warszawa 2012, ss. 712.

Niebieskie trawy. Antologia haiku o roślinach. Wstęp Krzysztof Kokot. Wydawnictwo Kontekst, Poznań 2012, ss. 99.

WALDEMAR BAWOLEK

Litania*

*Święty Andrzeju,
wybaw mnie od zła wszelkiego*

Przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski ks. abp Józef Michalik w Liście na Wielki Post przestrzega przed działaniem szatana, który posługuje się kłamstwem, manipulacją, fałszywymi oskarżeniami, niedotrzymywaniem obietnic. *Niestety, także dziś ludzie wciąż zbyt łatwo idą za fałszywymi prorokami.* Dlatego ja od dzisiaj będę patrzył na karuzelę czasu od innej strony. Chodzi o to, iż jestem już zbyt daleko, że dalej już się iść nie da, światło jest zbyt mocne. Dalej już nic, pustka. Mogę najwyżej cofać się, zawracać do miejsc, w których nigdy fałszywych proroków nie brakowało. A i diabły tam na porządku dziennym tańczyły pospołu. Taki mój wiek, taka przestrzeń, taka pamięć niedzisiejsza. Moje stopy, dłonie, twarz, serce, wargi, długo wysługiwały się złu, które było we mnie i pchało mnie do ucieczki w sen. Tam kiedyś był Szaweł, przyszłość okazywała się nieważna. Nie co teraz, kiedy każdy błysk chwili jest na wagę złota. I ciągle to samo pytanie – wieczność czy nicność? Niebo takie czyste, horyzont daleki rozpościera się przede mną, ale mnie się już nie chce nigdzie iść, nawet sił nie ma na to, chęci poznania, niechby się już to wszystko skończyło, nawet najbardziej diabelskim śmiechem. Może wówczas coś by się wreszcie wyjaśniło, pozwoliło dotrzeć do prawdy o naturze świata. Ale nic się nie dzieje. Skręciłem w jakąś bramę. Usłyszałem odgłos kroków na metalowych schodach. Nic jeszcze nie jest przesądzone. Postawiłem nogę na pierwszym stopniu, wiodącym do przedśionka mlecznej drogi. A jednak nie jest jeszcze ze mną aż tak źle. Kiedy nagle poczułem za sobą jakby zwierzęcy oddech, przysiadłem i przygotowałem do obrony twardą pięść. Tylko czy wobec tej siły wiecznie zła pragnącej moja pięść będzie wystarczająco nieugięta. Dobrze byłoby ją czymś uzbroić, ale czym? Wyprostowałem podkurczone nogi, wsłuchując się, czy znowu nie nadchodzi niebezpieczeństwo. W słabo widocznym miejscu ujrzałem ogoniastą postać, którą zachwyciłem się wprzód, by po chwili grozą zostać ogarnięty. Mogę tedy cofnąć się w stronę schodów i być może kontynuować rozpoczętą walkę albo iść wprost przed siebie. Potrąciłem nogą leżący obok jakiś ochłap gryzonia czy coś takiego. Usłyszałem słaby jęk i żadnych oznak otwarcia się na cudowność bytu. Zamarkowałem krok naprzód, celowo głośno. Czart usunął się na bok i ugrzązł w ciemności. Czai się teraz niewidoczny i przez to jeszcze bardziej niebezpieczny. – Czy to źle? Za to nie głaszcze się po głowie... Sięgnąłem do kieszeni – który to już raz w życiu? – a tam trochę tytoniu i zapalki. Nie mam więc czym w niego rzucić, chyba że światło może go odstraszyć. Ale nagle jakieś niewidzialne ręce zaczęły miażdżyć mi głowę,

* Fragment powieści

moje niepowtarzalne myśli ulatują w przestworza. Nadszedł czas skruchy...

– Dosyć – jęknąłem. – Wygrałeś, koleś. Puść...

Uścisk nie zelżał.

– Już nie mogę, o Jezu, puść – przyszło mi zebrać i wić się w uchwycie. – Kim jesteś? Kto cię przysłał?

– Nikt!

Zostałem podprowadzony do wyjścia. Deszcz rozpadał się na dobre, porywisty wiatr wypełnił ulicę. Jej koniec wznosił się stromo do góry. Ale cóż było robić. Zacząłem się wspinać. Usłyszałem komunikat, że brat mój w niebezpieczeństwie. Śniegu przez noc nasypało i zasy się porobiły. Lawina w każdej chwili może zejść. Sanie przemknęły, rozdzwonione dzwonki gnają za kuligiem. Tak pięknie wokół, a tak niebezpiecznie. On tam gdzieś musi być, na pewno, nie można zostawić go samemu sobie, tak trudno wydostać się z niebytu, spod presji określonego systemu wartości. Rozgarniam zwały śniegu, rozbrajam fortyfikacje, muszę go uratować, bo wiem, że on gdzieś tutaj jest, w przestrzeni dzisiejszej tradycji. – Bracie mój, ale ty źle wyglądasz. Czuję, że nie oddycha, skostniały wobec drugiego człowieka. Gdy wyciągnąłem jego ciało z wody, zacząłem robić mu sztuczne oddychanie. Po chwili otworzył oczy i wraz ujrzeliśmy jego żonę z dzieckiem na ręku. Stała pośród sterty kuchennych odpadków, resztek jedzenia, kosmicznych śmieci. Widać jak schyla się po nadgryzionego andruta, gdy opodal suto stół zastawiony – gospodarze zapraszają. Sięgnąłem do szafy po wieszak z marynarką, żeby się przebrać. Teraz poszukam odpowiedniego miejsca, przecież nie mogę być gdzie. Ubierać się trzeba z nadzwyczajną dokładnością i ostrożnością. Jako że stopa utknęła mi między kopcem kreta a krowim łajnem, stoję tak, jak ten chuj, zakładając koszulę tylko od święta, i nic we mnie nie mija z przeszłości.

Święci Janie i Jakubie,

wybawcie mnie od zła wszelkiego

Teraz hipnotyzujące nuty zapachu złotej frezji oraz zielonego anyżku zachęcają do ucieczki w świat surrealistycznej pokusy, by coś przesunąć, postawić, schować. Stąd te wszystkie dziwne odgłosy za szafą, w ścianach i w podłodze. Czas staje się kołem martwo obracającym się w nieskończoność, ginie sens powtarzanych gestów. O przyszłości mogę jedynie pomyśleć. Mogę pomyśleć o żonie, że jutro ją odwiedzę. Ale czy tak będzie, czy tak się stanie? Zapach jest niebezpiecznie kuszący – przywołuje na myśl przeszłość, a jednocześnie wionie sokami czasu obecnego. Poznanie przyszłości byłoby przekleństwem. Mogę tylko myśleć o dniu jutrzejszym, o chwili, w której odwiedzę żonę. Zrezygnuję z bierności i marazmu, przemknę tuż obok wśród huków, błysku reflektorów, tumanów kurzu, smutnych kiwnięć głowy, niepewnych uśmiechów, uciekających spojrzeń. Zanim stanę w drzwiach i uśmiechnę się do niej, zanim ucałuję ją w czoło, muszę skompletować narzędzia. Któż to wie, co tam trzeba będzie zreperować. Czy tylko ciekący kran, czy może przełamana oś? Ogołę się jako tako, skropię lekko jej ulubionymi perfumami i włożę czystą koszulę. Kiedy otworzy drzwi, będzie blada, jakby zatroskana i zadumana. Uśmiechnie się lekko, smutno. Pocałuję ją w czoło i zaproponuję, że zaparzę kawę. Przytaknie skinieniem głowy. W kuchni okaże się, że z kranu woda płynąć będzie, chociaż zakręcony. Kiedy kawa będzie gotowa, ciepły aromat przyciągnie ją do kuchni. Spojrzę jej w oczy, które powiedzą, że jest zmęczona, smutna i samotna. Poglaskam ją po głowie, dopiję kawę, odłączę dopływ wody, rozkręcę kran. Gumowa uszczelka będzie

pęknięta – nic wielkiego. Wystarczy wymienić i już. – Żle się czujesz? – zapytam ot tak, bawiąc się rozkręconym kurkiem. – Nie. – Odpowie. Oto kronika prawdziwych i zmyślonych sytuacji. Rozważam je, szukam błędów, lepszych rozwiązań, wniosków. Kobiecość to stan ducha, który wyrażają dłonie. Te małe i drobne, ale i te pofałdowane, ze skórą cienką jak pergamin. Dłonie ruchliwe i pospieszne, odprowadzające co chwila niesforny kosmyk włosów za półkole ucha oraz te spokojne, trzymane beczynn timer na wysokości bioder. Dłonie zdejmujące splot zbląkanej nici z drobnego ramienia albo zawieszone na męskim karku, gdy jedna obejmuje drugą za nadgarstek. Dłonie nagie i tak gładkie, że ich dotyk przypomina ciepły powiew wiatru albo schowane w rękawach wełnianego swetra, w układzie sugerowanym przez kształt materiału. Klamka skrzywnęła i przekręciła się. Okno trzasnęło i ustąpiło pod mocniejszym pociągnięciem. Do pokoju wpadł powiew przepęlniony wionią ulicy. Niesiony podmuchem kurz opadł na twarz. Włosy uciekły w ciemność pokoju. Wzrok skierowany na wprost, z dumnie podniesioną głową spogląda w przestrzeń. Daleko. Tam, gdzie już nic nie ma. Mniej niż pustka. Już nic nie istnieje. Tego, czego tu nie ma, nie ma nigdzie. Powie, żebym jej wybaczył, że to co się do tej pory wydarzyło, to wyłącznie jej wina. Tyle lat minęło, a ona ciągle ma wyrzuty sumienia. Przypomni sobie, że przez cały tamten czas pokazywałem jej świat, którego ona wcześniej nie widziała, dlatego też zaczęła zwracać uwagę na otaczające piękno. Także przez cały czas powtarzałem jej, że wszystko przed nami, że jeszcze niejedną odkryjemy esencję. Lecz to wyobrażanie sobie przyszłości zaczyna być nudne. Od wczoraj nie potrafię o niczym innym myśleć. W kółko to samo. Jak to będzie, gdy doczekam, gdy dożyję. Żeby tylko przyszłość nie okazała się powtórką przeszłości. Coraz mniej czasu, obleciał mnie strach i ręce trzęsły się, jak innym ludziom w tej chwili. Poza tym niczego nie jestem pewien, a przede wszystkim zupełnie nie rozumiem swojego lęku, bo przecież, chociaż mi się kiedyś nie powiodło, to jednak jestem pewien, że nie zostawiłem po sobie żadnego zapachu.

*Święty Tomaszu,
zmiłuj się nade mną*

Rozgarniając mokre od deszczu gałęzie posuwałem się po miękkim podłożu w miarę cicho. Nigdzie pod nogami nie było widać żadnych punktów oparcia. Tak doszedłem do miejsca prześwietlonego ukośnie padającymi promieniami słońca, które mimo wczesnej pory już zaczęło grzać. Nie zwracając uwagi na otaczającą mnie przyrodę zmierzam najkrótszą drogą w stronę jej kresu. Stąd będę mógł w spokoju obserwować gigantyczny wybuch na Słońcu, który może zniszczyć sieci energetyczne i przebiegnąć pole magnetyczne Ziemi. Podobno nasza planeta zacznie wirować w przeciwną stronę, a przez jej glob przebiegną potężne wstrząsy tektoniczne, wzbudzające fale tsunami o wysokości wielu kilometrów. Ponadto tajemnicza planeta Nibiru wytrąci Jowisza z orbity, wskutek czego zapalą się na nim gazy i w naszym układzie planetarnym rozblśnie drugie słońce. Mało tego – jeśli wierzyć rozpowszechnianym przepowiedniom – w grudniu punkt przesilenia zimowego znajdzie się na równiku galaktycznym, co zdarza się tylko raz na 26 tys. lat, i jeśli nawet bezpośrednio nie sprowadzi jakichś kosmicznych katastrof, to niechybnie je powinien zapowiadać. Może na przykład zwiastować supernową, która wybuchnie w pobliżu Układu Słonecznego i wysterylizuje naszą planetę śmiercionośnym promieniowaniem gamma, albo spotęgować grawitację czarnej dziury w centrum Galaktyki, po

czym Słońce i Ziemia zostaną wessane w Ciemną Szczelinę, ziejącą w Drodze Mlecznej tuż nad gwiazdozbiorem Strzelca. Oj tak, wiem, jestem trochę zbyt beztroski, lecz mnie już jest wszystko jedno, niech się dzieje, co chce. Skądinąd to, co ma się w końcu wydarzyć, nie oznacza jeszcze bezpośredniego zagrożenia. Może się skończyć tylko na wnikliwej obserwacji nieba. Gdy wreszcie zdyszany przystanąłem na skraju zarośniętej ścieżki, zobaczyłem w oddali horyzont zwijający się w spiralę. Splotłem palce na brzuchu. Nie wyjmując z ust papierosa, wypuściłem z nich kolisty obłoczek niebieskiego dymu i zmrużywszy powieki, spojrzałem na białe chmurki na intensywnie niebieskim niebie. Druga połowa tej rustykalnej impresji była martwa. Musiałem się długo męczyć, trawa pognieciona, jeżyny połamane. Rozejrzałem się za sposobnymi gałęziami, którymi można by przykryć padlinę. A kiedy sięgałem po ściętą jedlinę, usłyszałem huk. Lecz nie była to erupcja gigantycznego gejzeru tryskającego z odwiertu, który rozproszyłby na kontynencie i w atmosferze nad całą kulą ziemską nieznanne bakterie i wirusy, wywołując trudne do przewidzenia skutki. To wystrzał z dubeltówki, który powalił zającą. Końca świata nie będzie, wcześniej ja umrę, ścieżka za mną gęsto zarasta. Wszystko logiczne, proste, a jednak sytuacja pozostaje absurdalna. Usłyszałem głosy, a po chwili ujrzałem ludzi poruszających się w kłębach dymu. Kobiety i dzieci ze świeżymi gałęziami w rękach ścigają płomienie, które pojawiały się na wysuszonych trawach. Płomienie w promieniach słońca są tak mało widoczne, że Bóg powinien ze zdumieniem patrzeć na ten taniec z gałęziami, na ciosy wymierzane niewidzialnemu wrogowi. A co ze mną? Lata mam policzone. Cóż mogę zrobić, na co mnie jeszcze stać? Czy chcę coś jeszcze pozytywnego uczynić? Przecież za późno na popisywanie się, chociaż znam na pamięć wszystkie zakręty, przeszkody, korzenie, kamienie, zjazdy i podjazdy, ścieżki i wertepy. Co z tego, że wszyscy tylko myślą, jak zwyciężyć. Ja już nie nadaję się do żadnej konkurencji. Tym bardziej że na niebie pojawił się jastrząb, lecąc nisko nad drzewami. Ci, co stali na linii natarcia, nagle się ożywili. Padają ostre rozkazy. Węże i dżdżownice wiją się jak w ukropie, żeby nie powiedzieć – jak w soczewce. Zapieniły się wierzchołki sosen tak, że Iwaszkiewicz w grobie pewnie się przewraca. Wiatr dmuchnął żarliwie. Pokazał się ogień, najpierw w jednym, drugim, trzecim miejscu. Ryk, syk, trzask po drugiej stronie linii natarcia. Więc dalej ścigamy wroga, nie słysząc komend wzywających do odwrotu.

*Święty Mateuszu,
zmiłuj się nade mną*

Maurycy, Franciszek, Fryderyk... Mieszają mi się te imiona w głowie, jak i melodia jednego z walców, gdy tak pędzę do rynku w takt tańca. Czyj to walc tak mnie uskrzydla i niesie wysoko ponad ulicą. Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. Pod czyimi palcami w uszach nuty mi dźwięczą? Vladimir, Mauricio, Światosław... *Płakała w izdebce, płakała w stodole, bo jej przeorali pod fartuszkciem pole.* Mknę przed siebie niezależnie od innych, nie tworząc żadnych figur i nie będąc częścią żadnego układu. Podśpiewuję pod nosem, takie tam murmurando, bo mi lekko i przyjemnie, słońce świeci, rynek okrążam, rękami wymachuję, jakbym dyrygował wszelkim beztroskim śmiechem, żabim rechotem. A oto i na rogu Henryk stoi, przytupuje, podskakuje, a z oczu łzy mu płyną, tylko nie wiadomo z jakiego powodu, może to słońce jaskrawe albo i rzeński wiatr skłania do płaczu, a może radość, że kilka drobnych spraw udało się załatwić. *A chyż ino chyż, pod fartuszkciem*

mysz, a mam ci ja kotka w portkach, co se bedzie gryz. Ja także podskoczyłem, na stopę mu nadepnąłem, lecz Henryk się nie gniewa, tylko pyta, czy już po sprawunkach, bo on na Mikołaja czeka, który pieniądze jest mu winien. Jestem ja, jest on, jest ptaszek, który zanosí pełnym ozdobników trelem. Mając pewność, że efektowną introdukcję tańca mam za sobą, pożegnałem się i przeszedłem na drugą stronę ulicy. Teraz już prosto chodnikiem w podskokach, gdzie zaczyna się quodlibet, czyli mijanie, wymijanie dzieci, kobiet i starców. Dzień dobry, dzień dobry, miłego dnia, ciepło dzisiaj, przyjemnie, żeby nie ten wiatr, od zachodu chłodniej, katarynka gra. Nie ma co zwlekać. Szybko, do tyłu, do przodu. Dalej po trotuarze. Ale co to? *Antek z Mańką tak wywijał, aż ją chwycił za kuciapkę, a ona go za onego, tańcowali powolnego.* Dołem ciągnie uliczne tchnienie, jest jakiś otwór. Z ledwością można tam wpełznąć, ostre kamienie drą ubranie, kaleczą skórę. Brak mi tchu, pot zalewa oczy, wlewa się do ust. To nie ma nic wspólnego z koncertem w typie brillante. Ale po chwili wszystko wraca na swoje miejsce. Znowu mogę swobodnie podśpiewywać. Serce bije mocno, przejeżdżają samochody, otwierają się okiennice. Opiewam tę porę dnia, w której wybuchy gorących namiętności można przewyciężyć melodią w basie. Więc hola, hola, aha ha, ha, raz dwa trzy, raz dwa trzy. I co tam słychać? Co tam słuchasz, co w uszach ci gra. *A u naszej Janki, cysucie jak dzbanki, piczka zgrabna jak doniczka, a w dupie organki.* A cóż on tak do mnie, jakbyśmy krowy razem pasali, gówniarz jeden. Oj, nie szanują mnie ludzie, choć już swój wiek mam. Lecz odpowiedzieć nie zawadzi, więc mówię, że takie tam walce sobie słucham, bo wtedy lżej mi na sercu, a i żyć się chce jakoś, i śpiew się z piersi wyrывa swobodny, szeroki i nieskrępowany, jakby zbyt długo tłumione uczucia nareszcie znalazły swe ujście. Idę więc dalej przed siebie, mijam ludzi, omijam umykające skrajności, aż do chwili, gdy, pa pa pam, raz, dwa, trzy, Janusz Zięcina wychynął zza rogu, w pysku cygar, toż proszę go, bo nie mam, chociaż pół papierosa, palić się chce jak cholera, a nikogo znajomego nie uświadczysz. Zakręcił się w kółko, rozwinął jak nić z kłębka, sięgnął do kieszeni beztrósko, swobodnie prawą ręką i podał mi skręta, gdy mnie w uszach walc wysnuwa się z czterotaktowej frazy, powolnej i zamyślonej. Pyta mnie, czy wina bym się napił, bo on by zatańczył, zaśpiewał. Po lampce moglibyśmy się napić, na Psiorkach powinni być znajomi, rano jeszcze byli, że hej, ha. Chodźmy, chodźmy, nie ma na co czekać, bo wszystko wypiją. *Olaboga! Co się stało. Pod fartuszkiem pękło ciało. Ani zaszyć, ni załatać, ino z taką dziurą latać.* Minęliśmy piękną dziewczynę i Janusz powiedział, że taką toby zharatał. Ale śpieszymy się, tańczymy. I już leją po całym, śpiewają, a wino po brodach cieknie. Raz, dwa, trzy, pijesz ty, do Władka, do Jaśka, do Wojtka. W deskach sęki, na kamieniu siedzi Pan Akordeonista i rżnie walczyka, co się niesie po całej okolicy, ani szerokiej, ani długiej. Wszyscyśmy pijani tym walcem, że pora do domu już hen, do kóleczka, do kóleczka, żeby tylko za bardzo nawzajem się nie podeptać, za-deptać, ja jego, on mnie, ten tego, po butach, po palcach, walc Miłósza, walc Staffa, walc Miłósza, walc Staffa, rzyg, rzyg, rzyg...

Waldemar Bawolek

Od „Złotej Hramoty” do Złotego Rogu Wernyhory

Motyw *Złotej Hramoty* będzie nas interesować przede wszystkim jako mit niespełnionego polsko-ukraińskiego pojednania. Warto zwrócić uwagę, jakim przemianom podlegał on w polskiej tradycji kulturowej drugiej połowy XIX wieku i jaką rolę w procesie jego mityzacji odegrała literatura. Podejmując tę kwestię, nie sposób pominąć najbliższy kontekst historyczny, którym dla badanego zjawiska było powstanie styczniowe. Ale trzeba też przywołać diametralnie odmienne przesłanie, jakie niósł z sobą ów motyw, związany wcześniej z koliszczyzną. Niewykluczone, że można je rozumieć (choćby w jakiejś mierze) jako polemiczny układ odniesienia dla *Złotej Hramoty* z 1863 roku. Na szczególną uwagę zasługują wreszcie ideowo-literackie powiązania (o ile wiem, dotąd niebadane) między zmetaforyzowanym sensem *Złotej Hramoty* a symboliką Złotego Rogu w *Weselu* Wyspiańskiego. Zanim jednak zajmiemy się tak zarysowaną problematyką, przypomnijmy krótko: ukraińska „hramota”, rosyjska „gramota” (z grec. „grámmata”) znaczyła dawniej na Litwie i Rusi po prostu pismo, dokument pisany. To właśnie dosłowne znaczenie posłuży nam za punkt wyjścia dla naszych rozważań.

Historyczne realia koliszczyzny, jej genezę, przebieg oraz skutki kompetentnie opisał i zinterpretował m.in. Władysław A. Serczyk¹. Chciałbym więc tylko zwrócić uwagę na sprawy, które dla moich rozważań mogą się okazać znamienne. Chodzi o rzekomy ukaz carski Katarzyny II, jakim podżegając do rebelii, posługiwali się dowódcy hajdamaccy wiosną i latem 1768 roku. Za rzecz bezsporną uważa się dzisiaj sfalszowanie tego dokumentu. Rozszerzanie się buntu, który w każdej chwili mógł po stronie rosyjskiej ogarnąć ziemie ukraińskie Lewobrzeża, wywołało spore zaniepokojenie wśród wysokich rangą carskich dygnitarzy. Po chwilowej dezorientacji wojska carskie przystąpiły jednak do tłumienia powstania. O „k l a m l i w y c h u k a z a c h , danych jakoby w naszym imieniu”², nawołujących do buntu pisała zresztą sama caryca w manifeście z 20 lipca 1768 roku, potępiając zarówno chłopską rewoltę, jak i zaporoskich prowodyrów ruchu. Oryginał żadnego z owych sfalszowanych ukazów (czy ukazu) nie został, jak się wydaje, do tej pory odnaleziony. Na zachowanym egzemplarzu francuskiego przekładu takiego dokumentu widnieje data 20 czerwca 1768 roku. Rzekomy ukaz imperatrowej miał legitymizować i mocą autorytetu sankcjonować chłopską rebelię skierowaną przeciw Polakom, Żydom i unitom na ziemiach Prawobrzeża. Nakazywał przywódcy ruchu Maksymowi Żeleźniakowi (zwanemu tu „pułkownikiem”) wkroczenie z wojskiem do Polski w obronie „świętej” wiary prawosławnej i wycięcie wszystkich jej bluźnierczych przeciwników. Nawoływał do przyłączenia się do państwa rosyjskiego i obiecywał w zamian uwolnienie chłopstwa od pańszczyzny. Autor falsyfikatu nie jest znany, można wszakże przypuszczać, że wywodził się z najbliższego otoczenia

¹ W. A. Serczyk: *Koliszczyzna*. „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego” 1968, „Prace Historyczne”, z. 24, zwłaszcza ss. 76-78, 148-153. Stąd też pochodzą w większości cytowane przeze mnie urywki dokumentów z czasów rebelii.

² Cyt. za W. A. Serczyk: *Koliszczyzna* (w:) tegoż: *Początek końca*. Warszawa 2000, s. 31 (wyróżnienia rozstrzelonym drukiem – S. K.).

Maksyma Żeleźniaka. Dokument powstał najprawdopodobniej w Motreńnie, w miejscowym klasztorze pod piórem któregoś z mnichów. Tam też zapewne sporządzono kilka egzemplarzy owego ukazu, którym posługiwały się później oddziały powstańcze Żeleźniaka. Pisana złotymi literami na pergaminie hramota rychło zyskała sobie – jak wynika z relacji przytoczonych przez Franciszka Rawitę-Gawrońskiego – miano „złotej”³. Czy było w tym dostojnym jej zdobnictwie coś więcej niż chęć uwiarygodnienia monarszego pochodzenia dokumentu, trudno teraz powiedzieć. Choć zapewne prostemu ludowi błyszczące na pergaminie złoto kojarzyło się nie tylko ze świeckim autorytetem władzy stojącej w obronie prawosławia, ale również – co trudno wykluczyć – z sankcją nadprzyrodzoną samej wiary.

Inną, mocniej utrwaloną w tradycji polskiej hramotą znaną powszechnie pod mianem „złotej” jest słynny manifest *Hramota selskomu narodu*, wydany niemal sto lat później, wiosną 1863 roku, w imieniu Tymczasowego Rządu Narodowego przez Wydział Prowincjonalny na Rusi. Była to 12-punktowa odezwa, publikowana wyłącznie po ukraińsku, wzywająca chłopów „Podola, Wołynia i Ukrainy” do uczestnictwa w powstaniu. Wydrukowano ją nielegalnie w Ławrze Peczerskiej cyrylicą – złotą farbą na grubym papierze. Stąd też (jak w poprzednio omawianej sytuacji) przyjęła się nazwa *Złota Hramota*. Dokument opatrzony został pieczęcią trójherbową z głazami Polski, Litwy i Rusi (Orła, Pogoni i Archanioła Michała), bez korony, z napisem: „Rząd Tymczasowy na Rusi”⁴. Nosił datę 31 marca/12 kwietnia 1863 roku – ponieważ w owym czasie obchodzono właśnie prawosławną Wielkanoc, autorzy chcieli, być może, w ten sposób nawiązać do liturgicznego czasu chrześcijańskiego pojednania. Ogłoszona przez rząd powstańczy *Hramota* była w istocie dekretem uwłaszczenia ludu wiejskiego. Obwieszczała mu przy tym równocześnie wolność osobistą, równość praw obywatelskich, swobodę wyznania i języka. Tym zaś, którzy włączą się czynnie do powstania, obiecywała nadto „ziemię i sadybę” bądź „dożywotnią płacę ze skarbu narodowego”⁵. O ile fałszywa *Złota Hramota* z 1768 roku nawoływała do wyrznięcia Lachów, Żydów i unitów oraz wyzwolenia ukraińskiego ludu spod panowania polskiej szlachty, o tyle *Złota Hramota* powstania styczniowego, wzywając do wspólnej walki z rosyjskim zaborcą, nadawała bezrolnym pańszczyźnianym chłopom ziemię i wolność oraz zrównywała ich w prawach wobec innych obywateli przyszłego odrodzonego państwa. Mimo to nie spotkała się, ogólnie rzecz biorąc, z pożądanym odzewem. Ukraińscy chłopci przyjmowali ją różnie, najczęściej jednak z dużą dozą nieufności, podejrzliwie, a nierzadko też z otwartą wrogością. Oddziały powstańcze usiłujące propagować ów dokument były przeganiane. Dochodziło do napaści na powstańców, którzy rozdawali chłopom tekst *Hramoty*. Patrząc na te wydarzenia z dzisiejszej perspektywy historycznej, można sądzić, że wszelkie ówczesne próby agitacji powstańczej wśród ukraińskiego ludu były nierealne, z góry skazane na niepowodzenie. Chłopci bowiem (jeśli ujmijemy to najogólniej) nie mieli zamiaru walczyć za sprawę, której nie uważali za swoją. Jak zauważył Paweł Jasienica: *Lud ukraiński zwalczał powstanie nie dlatego, że było ono polskie, lecz dlatego, iż uważał je za p a ń s k i e*⁶.

Wymownym przykładem wrogiego stosunku chłopstwa do powstańczej *Hramoty* może być to, co zdarzyło się w maju 1863 roku w Sołowijówce. Dwudziestoosobowy oddział spiskowców pod dowództwem Antoniego Juriewicza, wiozący na dwu wozach egzemplarze owego manifestu po-

³ F. Rawita-Gawroński: *Historia ruchów hajdamackich (w. XVIII)*. T. 2. Brody 1913, ss. 101, 108.

⁴ Zob. S. Kieniewicz: *Powstanie styczniowe*. Wyd. 2. Warszawa 1983, s. 499, a także s. 755 (aneks *Złota Hramota*). Równocześnie z ogłoszeniem wspomnianej oficjalnej wersji *Złotej Hramoty* pojawiła się próba upowszechnienia innego wariantu tego dokumentu. Chodzi tu o hramotę zmodyfikowaną przez Mariana Sokołowskiego, skróconą do siedmiu punktów, wydaną po polsku i ukraińsku. Owa „złagodzona” w zakresie projektowanych reform odezwa została zdecydowanie odrzucona przez Rząd Narodowy. Stąd też jej oddziaływanie było w znacznym stopniu ograniczone. Na Kijowszczyźnie – jak sądzi Stefan Kieniewicz (dz. cyt., s. 756) – nie była kolportowana.

⁵ Tamże, s. 499.

⁶ P. Jasienica: *Dwie drogi. O powstaniu styczniowym*. Wstęp A. Szwarz. Warszawa 2009, s. 177.

wstańczego, został brutalnie zaatakowany. Oddział tworzyli młodzi ludzie w wieku od 15 do 25 lat, głównie studenci uniwersytetu kijowskiego, przejęci romantyczną ideą braterstwa z ludem ukraińskim, bliscy chłopomańskiej i patriotycznej zarazem ideologii Związku Trojnickiego, działającego wówczas w Kijowie wśród polskiej młodzieży akademickiej. Głoszenie *Złotej Hramoty* uznali za swój obowiązek i misję. Z Kijowa ruszyli w nocy z 7 na 8 maja (25/26 kwietnia wg kalendarza juliańskiego). Jak pisze Stefan Kieniewicz, *jechali (...) od wsi do wsi podwodami, odczytując i rozdając „Złotą Hramotę”*. *Władze carskie, uprzedzone o marszu, poleciły chłopom uzbroić się i chwycić buntowników*⁷. W swej literackiej rekonstrukcji wydarzeń powstania styczniowego tak opowiada o tej wyprawie Julian Wołoszynowski: *Wyjechali o godzinie dziesiątej o n e g d a j, z Kijowa. Wyszli z ulicy Kuźnicznej, a za rogatką Wasylkowską wsiedli na wozy i wydobyli broń, ukrytą w słomie na dnie wozów. (...) Minęli na drugi dzień Motowidłówkę, odczytali po raz pierwszy „z ł o t ą h r a m o t ę” ludowi Ukrainy; bratali się z nimi chłopci, lud śpiący i obojętny, jak czarne starzejące się i połamane krzyże. Cóż oni mogą, młodzi kijowscy studenci? – myślała ta pierwsza wieś, Motowidłówka. We wsi Chwałostówku ledwo uszli z życiem: lud, zbity w gromady przypadkowe, nie chciał ich nawet wysłuchać – młodych panków polskich, którzy jadą niezrozumiale przez step na wozach dwóch drabiniastych i nadają chłopom ziemię nie swoją i nie swoją wolność. (...) Oto zbliżali się teraz do nowej niewiadomej, (...) zwącej się S o ł o w i j ó w k a (...). Wieś Sołowijówka leżała niedaleko Białej Cerkwi [w powiecie radomskim, przyp. – S. K.]. Chłopi tam byli uzbrojeni w drągi i kosy. Studenci złożyli broń i poddali się, nie chcąc przelewać krwi ludu, jak mówili*⁸.

Było to 9 maja (27 kwietnia) 1863 roku⁹. Podczas owego dobrowolnego składania broni padł prowokacyjny strzał. Tłum rzucił się wówczas na bezbronnych emisariuszy. Dwunastu z nich zginęło. Pozostali, ciężko ranni, zostali przez chłopów zatrzymani do momentu przybycia wezwanych żołnierzy rosyjskich. Ci zaś przewieźli aresztowanych do szpitali więziennych, potem do twierdzy kijowskiej.

Pierwszym – jak się wydaje – literackim nawiązaniem i do *Hramoty* 1863 roku, i do tego, co wydarzyło się wówczas w Sołowijówce, była wydana dziesięć lat później tragedia wierszem Leonarda Sowińskiego *Na Ukrainie* (1873)¹⁰. Autor, znany poeta drugiej generacji polskich romantyków, podejmował tu problematykę tragicznego fiaska, jakim zakończyła się próba pozyskania chłopów ukraińskich do powstania. Pisał o tym nie bez goryczy, dostrzegając wszakże winę po jednej i po drugiej stronie. Klęskę powstania potraktował jako katartyczne doświadczenie, mogące, mimo wszystko, połączyć kiedyś przeciw carskiemu despotyzmowi tych, co znów tragicznie się nie zrozumieli. O ile temat *Złotej Hramoty* wraz z głównym jej przesłaniem przywołał autor wprost, o tyle krwawe zdarzenia w Sołowijówce ukazane zostały aluzyjnie – bez nazwy miejscowej. I choć nietrudno w ich literackim obrazie odnaleźć historyczne realia, podlegają one tu jednak prawu poetyckiej transformacji, stając się elementem artystycznej wizji pisarza. Nie doszukujemy się więc w utworze pełnej zgodności z faktografią. Nie wchodząc bliżej w tę kwestię, odnotujemy rzecz najbardziej oczywistą: w dramacie nikt

⁷ S. Kieniewicz: dz. cyt., s. 500.

⁸ J. Wołoszynowski: *Rok 1863* [reprint wyd. z 1931]. Posłowie J. W. Gomulicki. Białystok 1992, ss. 306-307. Por. W. Lasocki: *Wspomnienia z mojego życia*. Przygotowali do druku M. Janik i F. Kopera. T. 1. *W kraju*. Kraków 1933, ss. 448-449. Zob. także W. A. Serczyk: *Historia Ukrainy*. Wyd. 4, popr. i uzup. Wrocław 2009, s. 199.

⁹ Inaczej datuje przywołane tu zdarzenia Eligiusz Kozłowski, według którego grupa Juriewicza opuściła Kijów 8 maja 1863 roku rano, a „wieczorem tego dnia” dotarła już do Sołowijówki (*Polski słownik biograficzny*. T. XI. Warszawa 1964, s. 337). 8 maja jako datę tragicznego zajścia w Sołowijówce podał również Władysław Kopański w swoim *Słowniku mitów i tradycji kultury* (wyd. nowe popr., Warszawa 2003, s. 1209). Jeszcze inną wersją posługiwał się kiedyś Adam Szelągowski. Choć jako datę tragedii sołowijowskiej przyjmował 9 maja, to jednak sądził, że oddział Juriewicza wyruszył z Kijowa „w nocy z 26 na 27 kwietnia” – tj. 8 na 9 maja wg kalendarza gregoriańskiego. Zob. *Dzieje Polski w czasach powstania styczniowego* (w:) *Polska, jej dzieje i kultura od czasów najdawniejszych do chwili obecnej*. T. 3. *Od roku 1796–1930*. Oprac. A. Brückner [i inni]. Warszawa [1932], s. 414.

¹⁰ Fragmenty utworu publikowane były wcześniej w „Tygodniku Wielkopolskim” 1872, nr 14, 15, 19.

z powstańczego oddziału nie ocalał¹¹. Pod piórem Sowińskiego romantyczny czyn polskich studentów obrasta legendą. *Złota Hramota* staje się metaforą niespełnionej szansy na pojednanie i braterstwo szlachty z ludem, Polaków z Ukraińcami, Sołowijówka zaś – symbolem zdrady i daremności ofiary.

Owe znaczenia metaforyczne kształtują – zdaniem Doroty Sapy – pewien mit¹². W dwudziestowiecznej prozie przywołuje go w historycznym odniesieniu Julian Wołoszynowski w *Roku 1863* (1931), a także Jarosław Iwaszkiewicz w *Zarudziu* (1976). Pierwszy z pewną liryczną empatią stara się łagodzić drastyczność stereotypowego przeciwstawienia: bezmyślna, nieludzka czerń – szlachetni marzyciele, ukazując brak (tragiczny w skutkach) wzajemnej znajomości ludzi żyjących pozornie blisko siebie. Drugi, bardziej sceptyczny wobec męczeńskiej legendy, odsłania jej upozowanie i teatralne gesty konspiratorów. Decyzja głównej postaci *Zarudzia*, by porzuciwszy broń, pójść w lud ze *Złotą Hramotą*, nie wynika tu z uzasadnień ideowych. To raczej potrzeba heroicznej autokreacji, zgodnej z wzorem romantycznej konwencji martyrologicznej¹³. Do metaforyki *Złotej Hramoty* nawiązuje również Józef Łobodowski w wydanym na emigracji zbiorze wierszy zatytułowanym – jak jeden z nich – *Złota Hramota* (1954). Niczym przestroga przed ciągle tymi samymi błędami spóźnionego polsko-ukraińskiego dialogu brzmią tu słowa:

*I oto się od wieków powtarza to samo:
wciąż wróżymy, natchnieni i śmieszni prorocy,
szepczemy słowa zeszlowiecznych hramot,
manifestów spóźnionych (...)*

(J. Ł. – ZH 172)¹⁴

Przywołując pamięć o skomplikowanych i trudnych wzajemnych relacjach obu narodów, poeta stara się jednak akcentować konieczność przezwyciężenia fatalizmu przeszłości. Dla Łobodowskiego *Złota Hramota* to przede wszystkim przesłanie – zasługujące, by wypełnić je żywą treścią, zobowiązanie do poszukiwania dróg porozumienia. Braterstwo Polski i Ukrainy uważa za ich przeznaczenie dziejowe i moralny nakaz, który wyrażony został w symbolicznej warstwie metafory. Łobodowski ma wyraźne poczucie swej misji, jaką jest głoszenie takiego przesłania. W metaforycznym znaczeniu *Złotą Hramotą* okazuje się więc nie tylko wspomniany wiersz czy tomik poety, ale cała jego twórczość i działalność służąca sprawie polsko-ukraińskiego pojednania¹⁵.

To właśnie z nadzieją wychylone w przyszłość skrzydło mitu zasługuje na szczególną uwagę. Interesować nas będzie, w jaki sposób *Złota Hramota*, choć niewymieniona z nazwy, znalazła się z początkiem dwudziestego wieku w orbicie *Wesela* (1901). Całkiem prawdopodobna wydaje się teza, że nie byłoby to możliwe bez *Złotej Hramoty* Teofila Lenartowicza. Wróćmy więc znów w lata siedemdziesiąte dziewiętnastego stulecia. Lenartowiczowska *Złota Hramota* ukazała się w 1872 roku – prawie równocześnie z publikacją dramatu Sowińskiego. Sposób ujęcia tytułowego motywu jest wszakże

¹¹ To zresztą znany w literaturze chwyt legendotwórczy, przykładem Mickiewiczowska *Reduta Ordona* czy Gałczyńskiego *Zołnierze z Westerplatte*. Okazuje się, że taką legendową wersję o „wyrznięciu” w Sołowijówce całego powstańczego oddziału zawiera wspomniana już synteza historyczna Adama Szelągowskiego (dz. cyt.). Warto też przy okazji zauważyć, że autor dramatu – wbrew sugestii zawartej w *Słowniku mitów i tradycji kultury* (dz. cyt.) – nie mógł z autopsji znać tych wydarzeń. Skazany w 1862 roku za swą działalność patriotyczną na zesłanie, powrócił stamtąd w 1867 roku. Nie mógł zatem – jak podano w kompendium – być „uczestnikiem tragedii sołowijowskiej”. Por. R. Taboriski: *Sowiński Leonard* (w:) *Polski słownik biograficzny*. T. XLI. Kraków 2002, s. 10.

¹² D. Sapa: *Między polską wyspą a ukraińskim morzem. Kresy Południowo-Wschodnie w polskiej prozie 1918–1988*. Kraków 1988, ss. 190, 192.

¹³ Por. tamże, ss. 196–199.

¹⁴ J. Ł. – Z = J. Łobodowski: *Złota Hramota*. Paryż 1954. Analogicznie: T. Ł. – ZH = T. Lenartowicz: *Złota Hramota* (w:) tegoż: *Echa nadwiślańskie*. T. I. Kraków 1872; T. H. – ZZH = T. Hołwko: *Zagubiona „Złota Hramota”*. „Droga” 1926, nr 3–4. Liczba po skrócie oznacza numer strony.

¹⁵ Por. M. Gawrychowska: *Sakralizacja Ukrainy w przestrzeni ludzkiego doświadczenia w „Złotej Hramocie” Józefa Łobodowskiego*. „Slavia Orientalis” 1990, nr 1–2, s. 158; P. Krzeczunowicz: „...za wolność ukraińską i laszą”. *Obraz Ukrainy w „Złotej Hramocie” Józefa Łobodowskiego*. „Ruch Literacki” 1992, z. 1–2, s. 71. Większość z zamieszczonych w *Złotej Hramocie* wierszy powstała przed rokiem 1939, wojna jednak uniemożliwiła ich wydanie w złożonym już do druku tomie. Po wojnie zaś nie można było ich opublikować w peerelowskich wydawnictwach krajowych ze względu na antysowiecką postawę autora i takąż wymowę wielu jego utworów.

u Lenartowicza zupełnie odmienny. Autor nie odwołuje się wprost ani do wspomnianego manifestu z 1863 roku, ani też do żadnej innej historycznie skonkretyzowanej hramoty. Sięga raczej po znaczenia motywu utrwalone w ukraińskim folklorze. Jednak poprzez podjęcie tematu polsko-ukraińskiego pojednania i braterstwa, których rękojmiec stanowi legendowe hetmańskie orędzie, autor zdaje się metaforycznie nawiązywać do – znanego mu zapewne – dokumentu powstańczego. Wiersz stylizowany jest na pieśń starego ukraińskiego lirnika. Czas zdarzeń przedstawionych nie został jednoznacznie określony. Lirnik mówi o jakimś polskim „hetmanie” i jego orędziu skierowanym do ludu ukraińskiego. Wzywa ono do braterstwa i wspólnej walki o wolność, zapowiada wszystkim równe prawa i troskę publiczną o najuboższych. Pojednanie obu narodów okupione zostało już bowiem ofiarą łez i krwi. W wierszu czytamy:

*Nabroili Jezuity,
Nabroili polskie pany,
Ale grzech już łzami zmyty,
I świat we krwi wykąpany.

I hramota prawi złota:
Pochwalony Pan nad Pany,
Podniesiony lud sierota,
Porównane wszystkie stany,
Jednakowe wszystkim sądy,
Jednakowe wszystkim rządy.
(...)
A ubogich kraj opatrz
I za roczek, za dwa, za trzy;
Ani jednej biednej chaty,
Ani jednej ujrzy łąty.*

(T. L. – ZH 89-90)

Ten dokument noszący nazwę *Złotej Hramoty* otrzymuje w Krakowie z rąk „hetmana” lirnik Hrehory. Poetycki opis u Lenartowicza zawiera elementy przypominające autentyczną hramotę Rządu Powstańczego:

*Bo z hramoty Chrystus świeci
Błogosławiąc wierne dzieci.
Wielka pieczęć przyciśnięta,
Z Mężem [czyli Pogonią, przyp. – S. K.], z Orłem, z Archaniołem¹⁶,
Wierna Rusi czołem! czołem!*

(T. L. – ZH 87)

Z tym właśnie manifestem rusza Hrehory „od Krakowa do Kijowa”, a więc na Ukrainę, by głosić go swemu ludowi. Lirnik jest stary i ślepy, zna wszakże doskonale własny kraj i rodaków. *Ze Złotą Hramotą* dociera wszędzie tam, gdzie chce dotrzeć. Nad nim i jego misją czuwa Bóg:

*Rannym świtem, nocną dobą,
Sam Pan Chrystus idzie z tobą.
(T. L. – ZH 95)*

Zaznacza się w konstrukcji tej postaci (podobnie zresztą jak i w ujęciu motywu *Złotej Hramoty*) pewien rys sakralizacji. Stary lirnik Hrehory pełni nieraz w utworze rolę starotestamentowego proroka, części jej jednak wystę-

¹⁶ Ukazana w tym opisie pieczęć jest wyraźnym śladem ideowej aktualizacji przedstawionych zdarzeń. Trójhербowe godło Rzeczypospolitej – z Orłem, Pogonią i Archaniołem – przyjęte na przełomie sierpnia i września 1861 roku w Warszawie przez uczestników narady działaczy niepodległościowych, uprawnione zostało ostatecznie przez Rząd Narodowy z czasów powstania styczniowego. Takie właśnie godło, widniejące na pieczęciach powstańczych, wyrażać miało, zgodnie z duchem unii horodelskiej, ideę braterstwa polsko-litewsko-ukraińskiego. Zob. F. Ziejka: *Horodelska tradycja* (w:) tegoż: *Nasza rodzina w Europie. Studia i szkice*. Kraków 1995, ss. 176, 183.

puje jako apostoł „prawdy nowej” – pojednania polsko-ukraińskiego. *Złota Hramota* upodabnia się wtedy do ewangelii – jest „dobrą nowiną”, którą niesie on ludowi ukraińskiemu. Głosi ją niczym św. Piotr („jak Piotr wtóry”) także wśród nieprzekonanych jeszcze i wątpiających. W wierszu Lenartowicza lud i jego starszyzna przyjmują orędzie hetmana, zaprzysięgając mu wierność na cudowny obraz Matki Bożej Berdyczowskiej. Ufundowana w ten sposób zgoda obu narodów ma prowadzić je do wolności. *Złota Hramota* u Lenartowicza, zupełnie inaczej niż ta rzeczywista z 1863 roku, spełniła swe zadanie. Między obu narodami, mimo wzajemnych krzywd i przelanej krwi, buduje się metaforyczny „prom” pojednania. Cel ideowy wiersza autor utożsamia z misją Hrehorego. W zakończeniu lirnik powiada:

*Ja hramotę złotą niosłem,
Na szerokie stepy, smugi,
Ja u promu stoję z wiosłem,
A pieśń chwały zabrzmi drugi.
Ja wam tylko jak wiatr szybki,
Od Krakowa do Kijowa,
W srebrnej sieci rybołowa
Pokazałem złote rybki.*

(T. L. – ZH 95-96)

Pojawia się nadzieja, że walcząc wspólnie z caratem, i Polacy, i Ukraińcy zdobędą dla siebie wolność. Na zwycięstwo jest jednak za wcześnie. „Pieśń chwały zabrzmi drugi” (wyśpiewa już kto inny) – czytamy w utworze. Ten, kto „przejdzie polskie lasy, bory”, przynosząc odwzajemnione orędzie braterstwa:

*Może ludu wieszcz Hrehory,
A może sam Anioł biały.*

(T. L. – ZH 96)

Przywołany w tej wizji „Anioł biały” nie tylko, jak sądzę, nadaje najwyższą sankcję moralną walce obu narodów o wolność. Stanowi również aluzję do Archanioła Michała – patrona Rusi¹⁷. Zwiastun wolności – sugeruje Lenartowicz – ma nadejść z Ukrainy. Byłoby to zresztą zgodne z apokryficzną przepowiednią Wernyhory, bardzo popularną w czasie zaborów i wielokrotnie przez polskich romantyków modyfikowaną. Głosiła ona odrodzenie Rzeczypospolitej, o którym przesądzą ostatecznie zwycięskie bitwy z Moskałami w jarze zwanym Hanczarycha oraz gdzieś w pobliżu tajemniczych mogił Perepiata i Perepiatychy. Do symboliki owych miejsc nawiązuje zresztą motto Lenartowiczowskiego wiersza, zaczerpnięte – jak podaje autor – z „pieśni gminnej”:

*Preczystaja Diwo Maty
Pomóż wrahiw prohnaty,
Wid dołyny Hanczarychy,
Do mohyły Perypiat i Perypiatychy.*

(T. L. – ZH 73)¹⁸

¹⁷ Józef Bohdan Zaleski, który niejednokrotnie w swej poezji posługiwał się tym motywem, pisze w komentarzu do jednego ze swych wierszy (*Podzwonne ku ojcom*): *Święty Michał Archanioł, jako patron Ukrainy, w osobnej i wielkiej czci tam zostaje. (...) Lud zowie (...) Ś. Michała swoim Białym Aniołem (Bily Anhel) już to głównie dla przymiotu anielskiego, a po części i dlatego, że widywał go zawždy srebrem wyszywanego na chorągwiach atamańskich* (J. B. Zaleski: *Pisma*. T. 1. Lwów 1877, s. 218).

¹⁸ Właśnie jako „pieśń gminną”, związaną z pierwotną ludową wersją legendy o Wernyhorze, odnotowuje ten tekst wcześniej Erazm Izopolski (*Badania podań ludu*, 1843), a za nim Lucjan Siemiński (*Podania i legendy polskie, ruskie, litewskie*, 1845). Wernyhora nie jest tu wszakże – jak zauważył Władysław Stabryła – „prorokiem przyszłości Polski” (W. Stabryła: *Wernyhora w literaturze polskiej*. Kraków 1996, s. 13). Jeszcze mocniej wyrażają swą opinię w tej kwestii autorki *Romantyzmu i historii*. Ich zdaniem w żadnym ze znanych wariantów *o powieści ukraińskich Wernyhora nie zdradza zainteresowań, ani tym bardziej sympatii, dla politycznych losów Polski* (M. Janion, M. Żmigrodzka: *Romantyzm i historia*. Warszawa 1978, s. 119).

Przeświadczenie, że czas owej przepowiedni właśnie nadchodzi, żywe było z początkiem powstania styczniowego. Jeszcze w numerze z 12 czerwca 1863 korespondent powstańczego pisma „Prawda” pisał w *Listach z Rusi* (pozbawionych wszakże konkretnych informacji o rozwoju insurekcyjnych działań): *Bracia! Święta Ruś powstała! To rozstrzyga stanowczo sprawę naszego wielkiego ruchu narodowego. Na Rusi odniesiemy walne zwycięstwa. (...) Tam owe sławne mogiły Piaty [sic!] i Perypiatychy, tam jar Hanczarycha! Nie słyszycieź dźwięku broni z Rusi?! I powstaną – mówi prorok koza chy – tak licznie jak szyszki w boru leśnym, jak liście na drzewach, i stoczą 3 walne bitwy, i muzułmanin konie napoi w Horyniu... To Wernyhora! – Czas się zbliża, Ruś powstała!*¹⁹.

W połowie czerwca 1863 roku, gdy powstanie na Rusi już dogorywało, mogły owe złudne nadzieje być tylko zaklinaliem bolesnej rzeczywistości, nie mogły wszakże odwrócić biegu zdarzeń. Z subtelną ironią odnosi się do tych daremnych oczekiwań Julian Wołoszynowski: *W uroczysku, w dolinach Hańczarychy, jak głosiła legenda i pieśń ludu, miał być stoczony krwawy bój, zwycięski, rozstrzygający w walkach o niepodległość wszystkich polskich ziem. W Hańczarysze wołyńscy [tzn. powstańcy z Wołynia, przyp. – S. K.] bitwy nie mieli, a właśnie dzień odpoczynku.*

Chutor spał.

*Chutor w uroczysku Hańczarychy*²⁰.

Ewentualność misji powrotnej Hrehorego miała więc u Lenartowicza swe uzasadnienie mityczne. Wyspiański zdaje się do tej możliwości konstrukcyjnej nawiązywać. Tym, kto doprowadzić ma do zwycięskiego końca dzieło zapoczątkowane w *Złotej Hramocie*, jest w *Weselu* właśnie Wernyhora. To on na białym koniu, z lirą u siodła i ze Złotym Rogiem – przez „polskie bory, lasy” (można by rzec: „od Kijowa do Krakowa”) – przybył z Ukrainy do bronowickiej chaty, goszczącej na uroczystościach weselnych krakowską inteligencję i miejscowych chłopów. Przybył z orędzim braterstwa i wezwaniem do powstania, którego powodzenie gwarantować miał magiczny Złoty Róg – symbol potęgi i mocy. Na nim wybrzmieć miało hasło do walki, zarazem „pieśń chwały” i pieśń zwycięstwa. Konsekwencją zagubienia owego rogu jest w *Weselu* zaprzepaszczenie powstańczych planów.

Postać ukraińskiego wieszczka, utrwaloną w polskiej literaturze romantycznej, jak też w malarskiej wizji Matejki, był Wyspiański żywo zainteresowany²¹. Ową romantyczną tradycję literacką reprezentują m.in. takie utwory, jak: *Wernyhora, wieszcz ukraiński* (1838) Michała Czajkowskiego, *Beniowski* (1841) oraz *Sen srebrny Salomei* (1844) Słowackiego, *Duma Ukraińca* z tomu Lucjana Siemieńskiego *Trzy wieszczby* (1841), *Wacław Rzewuski* (1841) Michała Budzyńskiego. Można by też w tym kontekście przypomnieć inny wiersz Lenartowicza, zatytułowany *O Wernyhorze pogadanka ze starym Kozakiem* (1841). Wernyhora jest w tych tekstach wieszczem odrodzenia Polski w dawnych historycznych granicach, a zarazem rzecznikiem polsko-ukraińskiego pojednania.

Nie dziwi więc pojawienie się w dramacie Wyspiańskiego Wernyhory w podobnej funkcji symbolizacyjnej. Istotne jednak może okazać się powiązanie owej postaci z finalnym motywem *Złotej Hramoty* Lenartowicza i z zarysowaną tam perspektywą misji powrotnej Hrehorego. Kreując postać

¹⁹ Powstanie styczniowe. *Materiały i dokumenty*. [T. 2]. *Prasa tajna z lat 1861–1864*. Cz. 2. Red. S. Kieniewicz, I. Miller. Wrocław 1969, s. 63. Warto przy okazji zauważyć, że nazwy owych miejsc z *Proroctwa Wernyhory* w komentującym je przypisie wydawców (dz. cyt.) potraktowane zostały jako fikcyjne – „fantastyczne”. Trudno się z tym zgodzić. Jar (dolina) Hanczarycha to bowiem realne miejsce „pod Konstantynowem” (Starym Konstantynowem) na Wołyniu. Natomiast mogiły Piata i Perepiatychy znajdują się koło Pawołoczy, między Fastowem a Marianówką, w byłej guberni kijowskiej. Por. W. Stabryła: dz. cyt., s. 14; S. Makowski: *Wernyhora. Przepowiednie i legenda*. Warszawa 1995, s. 7.

²⁰ J. Wołoszynowski: dz. cyt., s. 309.

²¹ Zajmowała jego wyobraźnię, gdy tworzył *Wesele*, ale również – nieco wcześniej i później – podczas pracy nad fragmentami rapsodu *Wernyhora* (IV 1900) oraz projektami witrażu wawelskiego z postacią ukraińskiego lirnika (IV 1900, II 1902).

tajemniczego lirnika przybywającego z Ukrainy z hasłem do powstania, Wyspiański tę możliwość fabularną wykorzystał. I nie wydaje się to wcale sprzeczne z widocznym w *Weselu* nawiązaniem do zewnętrznych rysów Wernyhory ze *Snu srebrnego Salomei* Słowackiego. Ani też z zapowiedzianym tu motywem powrotu lirnika z zaświatów, gdy spełni się przepowiednia – w dniu zmartwychwstania Polski. Śladem wiodącym znów ku *Złotej Hramocie* Lenartowicza może być występujący w *Weselu* motyw Archanioła²². U Lenartowicza *wieszcz Hrehory, a może sam Anioł biały* ma być zwiastunem ostatecznego zwycięstwa sprzymierzonych ze sobą Polaków i Ukraińców. W *Weselu* tę funkcję pełnić ma zarówno Wernyhora, jak i anioł. Na ponowne przybycie Wernyhory, który – zgodnie ze swą obietnicą – wraz z archaniołem i jego wojskiem ma nadjechać „od Krakowskiego gościńca”, czekają zgromadzeni w bronowickiej chacie. Archanioł właśnie, jak można sądzić, ma przypieczętować zwycięstwo insurekcji, nadać mu Bożą sankcję. Nadzieje to jednak daremne. Nie zabrzmi w *Weselu*, oczekiwana przez Lenartowicza, „pieśń chwały”. W zamian za to skrytykował Wyspiański w tonacji sarkazmu i rozczarowania nieprzygotowanie polskiego społeczeństwa do podjęcia skutecznej walki o niepodległość. Ukazał zarazem fiasko reprezentowanej przez Wernyhoreę idei walki o Polskę w dawnych granicach i zaznaczył anachroniczność tej koncepcji w zmienionych uwarunkowaniach społeczno-politycznych przełomu XIX i XX wieku. W ten sposób autor *Wesela* podważył mit niepodległościowy Polski przedrozbiorowej. Iluzoryczna okazała się symbolizowana w dramacie przez postać Wernyhory idea jagiellońska, w której dziewiętnastowieczni polscy demokraci chcieli widzieć przede wszystkim projekt restytucji Polski w granicach historycznych²³. Na płaszczyźnie symbolicznej utworu do tego właśnie impasu myśli narodowej odnosi się m.in. utrata magicznego Złotego Rogu.

W ćwierć wieku od premiery *Wesela*, w Polsce już niepodległej, Tadeusz Hołówko pisał: *Istnieje wśród ludu ukraińskiego legenda o Złotej Hramocie, o tajemniczym piśmie, zesłanym przez Niebo narodowi, a zawierającym treść jego praw, jego szczęścia i pomyślności oraz całego sensu jego życia i pracy. Cudowne działanie tej Hramoty zostało jednak zatrzymane. Zginęła gdzieś ona w szerokim świecie, a naród skazany jest na ciężki i bezплоdny żywot, zanim nie zostanie ona odnaleziona.*

Jakże wielkie zastosowanie ma ta legenda do Polski współczesnej – dodawał Hołówko, aktualizując publicystycznie znaczenia owego przekazu. I uzasadniał: *dzisiejsza Polska zgubiła swoją „Złotą Hramotę”, zgubiła swoją duszę, swoją ideę* (T. H. – ZZH 1). Poszukiwał jej autor artykułu właśnie w *id e i j a g i e l l o Ń s k i e j*, w której postrzegał przede wszystkim federalistyczną koncepcję *dobrowolnego związku wolnych i równych narodów*. Sądził, że jest to niezwykle ważne, niewykorzystane źródło inspiracji w procesie przemian politycznych współczesnej mu Europy, charakteryzujących się narastaniem aspiracji niepodległościowych. Jego zdaniem tylko taka Polska, wspierająca dążenia niepodległościowe, jest w Europie „potrzebna”. Stąd też – jak pisał – *w interesie Polski, interesie bezpośrednim jest (...) powstanie niepodległych państw Ukrainy i Białorusi i stworzenie z nimi, a względnie z Czechosłowacją wielkiej federacji wschodniej Europy* (T. H. – ZZH 6). Myślał o związku federacyjnym narodów – bliskich sobie ze względu na wspólne dziedzictwo historyczne, opartym na zasadzie pełnego równouprawnienia i wzajemnego poszanowania, bez dominacji któregośkolwiek z państw członkowskich. W takim kształcie projektowanej państwowości upatrywał zapewne możliwość polsko-ukraińskiego pojednania, które stawało się

²² Genezę tego motywu i jego ideową funkcję w twórczości Wyspiańskiego (nie tylko w *Weselu*) rozważa Franciszek Ziejka: *W kręgu mitów polskich*. Kraków 1977, ss. 212-220.

²³ Por. tamże, ss. 141-179; 200-222; S. Makowski: *dz. cyt.*, ss. 114-116. Por. J. Maternicki: *Kontrowersje wokół idei jagiellońskiej w historiografii polskiej przełomu XIX i XX wieku*. „Przegląd Humanistyczny” 1992, nr 4.

jednym z priorytetów jego działań politycznych²⁴. Reprezentując orientację piłsudczykowską, oskarżał Polskę współczesną o egoizm polityczny i brak dalekowzrocznej polityki wschodniej, która pozwoliłaby Rzeczypospolitej stać się państwem nowoczesnym. Zawarta w artykule ostra krytyka obozu rządowego, ogłoszona niemal w przeddzień przewrotu majowego, stawiała się jakby uzasadnieniem konieczności sanacji państwa. I zarazem – mającą się już rychło sprawdzić – przepowiednią wojskowego przejścia władzy. Nawiązując do mitu *Złotej Hramoty*, zdaje się też Hołówko aluzyjnie przywoływać niedokończoną w *Weselu* misję Wernyhory. Funkcję Złotego Rogu, zagubionego – jak wiemy – w dramacie, pełni tu metafora „rogu entuzjazmu” i granej na nim „pieśni Zwycięstwa” (T. H. – ZZH 8). Obudzi ona – spodziewa się autor – liczny odzew tych, którym bliska jest „nowa”, „prawdziwa” i nowoczesna Polska. Jej wychylona w przyszłość wizja, skojarzona z mitem Wernyhory, jest – jak widać – odmienna od tej, jaką ewokuje postać lirnika w *Weselu*.

Nie oceniając zasadności wyrażonych w artykule Hołówki poglądów, przeświadczeń oraz nadziei, wypada zauważyć, że stanowią one jeszcze jeden interesujący obszar wzajemnego przenikania mitów zakorzenionych w folklorze i historii. Wchłonięte, przetworzone przez literaturę i publicystykę, modulują one swe polityczne odniesienia. W ten sposób koduje się w nich i aktualizuje pamięć historyczna.

Stanisław Kryński

²⁴ Tadeusz Hołówko – poseł na sejm, znany działacz państwowy II Rzeczypospolitej, nazywany „apostolem zbliżenia polsko-ukraińskiego” – zginął w 1931 roku zamordowany w Truskawcu.

Książki nadesłane

Norbertinum, Wydawnictwo – Drukarnia – Księgarnia, Lublin

Stanisława Burda: *Ogrody milczenia. Wybór poezji*. Posłowie P. Sanetra. 2012, ss. 359.

Elżbieta Lewandowska: *Szczęśliwe oczy*. Poezja. 2012, ss. 55.

Ryszard Winiarski: *Echo Ewangelii*, t. 3, 2013, ss. 20.

Anna Wójtowicz: *Na rewersie twarzy*. Poezja. Posłowie P. Sanetra. 2013, ss. 75.

Piotr Krzysztof: *Odwracalny świat*. Poezja. 2012, ss. 63.

Daniel Chraniuk: *Ignacy Czuma. Uczony i polityk*. 2012, ss. 218.

Problemy frazeologii europejskiej, t. 9, 2012, ss. 131.

DÉNES KRUSOVSKY

Jakbyśmy rozmawiali

Kiedy ułożone w stertę głębokie talerze
wydają taki sam dźwięk
co pociąg osobowy,
nie chcę być w pobliżu.

Nie dlatego, że się boję,
ale w dzielnicy willowej już nawet po południu
trudno utrzymać równowagę między gniewem
a nudą.

Jakby obie moje ręce były zakończone ciężkimi siatkami.

W dodatku te ustawiczne pytania,
jak choćby teraz, żebym powiedział,
co mam wspólnego
z wystającą z nagiej ściany zardzewiałą rurą?

Gesty, które runęły. Wystaje
z nich noga, jakaś część ciała.

Poczuć zapach innego człowieka
to niemal tak,
jakbyśmy rozmawiali.

Gdzieś muzyka

gra i ludzie się śmieją,
nie w tym wierszu,
lecz tutaj też słyhać.

Chce żyć

Zardzewiała beczka w ogrodzie, w pół drogi między domem i rzeką. Strach przed wodą w beczce był czystym wspomnieniem, teraz to mglisty instynkt. Coś rusza się na dnie ciemnej masy. Jest ranek, dwóch mężczyzn wrzuca do beczki suma. Jest wieczór, już trudno wyobrazić go sobie jako rybę. Coś

jednak chce żyć w rdzawej wodzie, nie może się wyprostować, kręci się wkoło. Krąży, szurając po ścianach beczki.

Przyjechali goście

Przyjechali goście, dopiero po jakimś czasie zauważył ich auto. To przyjaciele dziadka, powiedzieli rodzice. Przyjaciele rodziny, niemal jak bliźniacy. Na tarasie siedziało dwóch starszych mężczyzn, z zaczesanymi do tyłu, jeszcze nie całkiem siwymi włosami. Reflektor po prawej stronie był stłuczony, a maska nad nim wgnieciona, jakby spadł na nią worek. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby ktoś tyle palił, opowiadał później, na zmianę podawali sobie ogień. W zagłębieniach zderzaka znalazł świeże kępkę sierści. Z nim nie rozmawiali, tylko z dorosłymi, i strasznie bladzi, coraz bardziej rozpinali przepocone koszule. Nie odezwali się do niego, nawet kiedy przykucnął przed autem, tylko nagle wstali, zgasili na wpół wypalone papierosy i ruszyli w jego stronę. Kiedy wyciągali z bagażnika pogruchotane ciało sarny, z zabłoconej folii, na której leżała, spływała krew.

W ciemnym pokoju wszystko jest bardziej dokładne

Wystaje ze mnie jakiś przedmiot.

Nie to mnie obudziło,
dopiero po śniadaniu zauważyłem,
że jak sprężyna płaska
nie potrafię się porządnie
wyprostować

Chociaż bardzo się staram.

Nie chcę nikogo sobą
upokarzać,
a jeśli już to zrobiłem,
obym przynajmniej mógł zamienić
to ciało na jakieś tańsze.

Z różnicy nawet we dwójkę
wyżyjemy przez jakiś czas.

Oczywiście to też nie jest proste.

W ciemnym pokoju, na przykład,
wszystko jest bardziej dokładne,

mimo to nie umiem ustalić,
gdzie w naszym wspólnym mieszkaniu
przebiega
linia podziału.

Albo raczej sam głód,
kiedy z cichej, wieczornej pogawędki
nagle wypadają
noże i widelce.

A w najlepszym wypadku łyżki.

Co się wyłoni

Kiedy podniesie się mgła przypominająca
nasienie, trzeba skupić się na tym, co się z niej wyłoni,
i na ile jest do mnie podobne.

Jak to zwierzę na wystawie
sklepu myśliwskiego, tak wyblakłe,
że nie potrafię określić,
czym było wcześniej.

Pozostaje cichy niepokój,
jakby pod skórą zaszyli mi
ćmy, które już tylko czekają na ostatni
sygnał, żeby się poruszyć.

Zaglądać w usta

Jak wiele jest możliwości
w jednym machnięciu ręką, niestety na nic
nie ma czasu, wciąż trzeba odpowiadać,
albo przynajmniej w trakcie rozmowy

zaglądać w usta i obserwować
potok wilgotnych, ciemnych słów,
jakbyśmy nie mieli nic do stracenia.
Ten, kto mnie pogłaskał, czułem to,

wcześniej miał na rękach gumowe rękawiczki,
i to, co naprawdę chciałem powiedzieć,
teraz zaszyte w grubym worku,
szamocząc się opada na dno.

Ostatni świt na Orizabie

Co znaczy przebaczenie, tego od tej
pory nie mam już ochoty wyjaśniać,
lecz wszystko powoli przetrawiam, jakbym
był żołądkiem w jakimś większym ciele, co

właśnie spostrzegłem. Rozkładałam poranek,
wszystkie złośliwe śmiechy, naprężone
mięśnie. Kiedy stojąc obok mnie, patrzę
na wschód słońca, w ciszy zbryzguję ich

twarze – powiedzmy, że tak się żegnam.
Dno morza jest okrutne, stwierdziłem kiedyś,
ale wobec tego powierzchnia wcale

już nie zna litości. O przebaczeniu
naprawdę nie mam nic do powiedzenia.
Statek zatrzęsł się jak tchórzliwe zwierzę.

przełożyła *Anna Butrym*

Książki nadesłane

Wydawnictwo ISKRY, Warszawa 2012

Marek Nowakowski: *Pióro. Autobiografia literacka*. Ss. 210.

Zygmunt Mycielski: *Niby-dziennik ostatni 1981-1987*. Ss. 741.

Radosław Romaniuk: *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza*. Ss. 618.

Zdzisław Skrok: *Wymowność rzeczy*. Ss. 202.

przekroje

Prozaicy, prozaicy...

MARCIN KLIMOWICZ

LEDWIE WIDOCZNE SZNURKI

Karol Maliszewski w poprzedniej książce prozatorskiej, *Sajgonie*, zadał pytanie, czym powinna lub czym może być literatura. Narrator borykał się z uwięzieniem w schemacie „autotematycznej etiudy”, oscylując między iluzją a fragmentarycznością przedstawienia rzeczywistości.

Manekiny, najnowsza publikacja Maliszewskiego, wydaje się następnym etapem jego prozatorskiego eksperymentu. Tym razem autor, sięgając po schemat powieści inicjacyjnej, rozwojowej, zwraca się ku źródłom, ku – użyjmy wytartego terminu – krainie dzieciństwa. Stawką, o jaką tym razem gra Maliszewski, jest odtworzenie rodzącej się świadomości, a może lepiej – autonomizującego się stanu jednostkowej świadomości. I, co ważne, nie świadomość pisarska, twórcza, jest tu najistotniejsza. Chodzi przede wszystkim o świadomość jako taką. Po prostu – o życie. Jest to – jak się wydaje – najbardziej „życiowa” z książek Karola Maliszewskiego. Owa „życiowość” może w zasadzie stanowić całkiem udatną formułę opisującą *Manekiny*, bowiem obejmuje ona właściwie wszystkie najważniejsze problemy tu poruszane: opozycje życia i sztuki, biologii i duchowości; lęki egzystencjalne, freudowskie; determinizm jednostki, pęd ku kreacji oraz – excusez le mot – sens życia.

Ważna dla zrozumienia sensów powieści wydaje się fingowana rozmowa narratora z ojcem, w której padają kluczowe słowa opisujące życie: „intensywność”, „tłó”, „rozdrabnianie”, „pozory”. I tu pojawiają się pewne problemy, ponieważ rozmaicie rozumiane pozory mają przesłonić niejednoznacznie pojmowane prawdziwe życie: *Nie czytaj tyle, bo ci się obraz życia zaburzy, ułóż podług porządku słów. Porządek słów jest szlachetnym złudzeniem, tymczasem prawda o życiu jest organiczna, międzykomórkowa i w sposób co najmniej wątpliwi wiążę się z porządkiem słów. Porządek słów jest elementem tła. (...) Kluby są po to, by was omamić, ukierunkować (...), by was zająć, powiązać, usadzić. Macie przy tym zapomnieć o bezsensie, o tragiczności losu, o rozdrabnianiu się. Perory ojca, które notabene recytowali bracia narratora, zdają się wyznaczać pewną dwubiegowość „prawdziwego życia” i jego „pozorów” – z jednej strony, szeroko rozumiana działalność instytucjonalna, aktywizująca na różne sposoby młodzież, ma ją odwrócić od bolesnej prawdy o tragicznej istocie egzystencji, mogącej wywołać metafizyczny dreszcz; z drugiej strony natomiast – „porządek słów”, a więc litera-*

tura oraz sztuka w ogóle, udają, że życie to coś innego niż ciąg powtarzających się gestów fizjologicznych. Ironicznym dopełnieniem wywodów ojca jest jego własne „prawdziwe życie”, na które składają się: odczucie tragiczności losu spotęgowane alkoholizmem, biologiczny wymiar egzystencji sprowadzony do znęcania się nad żoną oraz – to jakieś echo Schulzowskiego Jakuba – wrażenie intensywności życia zapewniane „polatywaniami” od czasu do czasu na lotni.

Bohater-narrator, przedwcześnie dojrzały, naznaczony piętnem dręczącej samowiedzy, i – jak mu się zdaje – doskonale rozumiejący prawa rządzące światem i ludźmi, będzie chciał za wszelką cenę wyrwać się spod ojcowskiego wpływu. Paradoksalnie owa nadświadomość paraliżuje go, uniemożliwiając wzięcie udziału w rytualnym mordzie kukły ojca, co nie stanowi problemu dla starszych braci: *O, czysta nienawiści, co zatruwasz młodociane serduszko, a potem tak trudno cię usunąć, bo przedzierzgasz się w pokrętnę formy zjadliwości i ironii. Być może nienawiść braci była bardziej prosta i serdeczna, ale moja krążyła ukrytymi kanałami, zatruwając krew niczym rtęć, paskudziła się. Oni wypchnęli ją z siebie, przelożyli na proste działania magiczne, ja stałem z boku i tylko patrzyłem.*

Bohater, chcąc zintensyfikować swoje życie – nieustannie na przekór ojcu – rzuca wyzwanie światu. Prowokując konflikty, dostrzega w nich sens istnienia, dokonuje powtórzenia gestu romantycznego bohatera: *Gdy walczy się w pojedynkę z całym światem, uruchamiają się w człowieku niespodziewane moce. To w ich świetle widzi się jak na dłoni poruszające ludźmi sznurki, a dojrzewanie staje się przejściem z pozycji bezwładnej lalki do świadomego swej roli lalkarza.* Początkowo kleczenie kukieł z resztek w krawieckim warsztacie ojca jest niewinnym, dziecięcym ćwiczeniem wyobraźni, przewyciężaniem samotności, tworzeniem wymagowanych przyjaciół. Stopniowo jednak przeradza się w coś więcej. Narrator, odkrywszy w sobie talent do pisania, wstępuje do klubu literackiego. Tam, inspirowany poradami pana Szczepana, nie tyle szlifuje styl i umiejętność opowiadania, ile doskonali zdolności kreacyjne. Przekonuje się, że manekiny potrafi nie tylko obdarzyć formą, ale ma również moc, by tchnąć w nie życie. To, co pierwotnie nosiło znamiona trywialnej kompensacji, substytucji, zamieniło się w niebezpieczną zabawę w demiurga. Przypomnijmy znamienne przestrogi ojca z – nomen omen – *Traktatu o manekinach* Brunona Schulza: *Materia nie zna żartów. Jest ona zawsze pełna tragicznej powagi. Kto ośmiela się myśleć, że można igrać z materią, że kształtować ją można dla żartu, że żart nie wrasta w nią, nie wżera się natychmiast jak los, jak przeznaczenie? Czy przeczuwacie ból, cierpienie głuche, nie wyzwolone, zakute w materię cierpienie tej pałuby, która nie wie, czemu nią jest, czemu musi trwać w tej gwałtem narzuconej formie, będącej parodią? Czy pojmujecie potęgę wyrazu, formy, pozorów, tyrańską samowolę, z jaką rzuca się on na bezbronną kłodę i opanowuje, jak własna, tyrańska, panosząca się dusza?¹*

I tu, jak się zdaje, dotykamy sedna powieści *Manekiny*: Maliszewski kontynuuje myśl Schulzowskiego Jakuba i prezentuje z pomocą swego narratora świadomość „cierpiącej pałuby”. W planie fabularnym odsłania się to, gdy poznajemy tekst opowiadania, jakie na konkurs literacki napisał bohater. Narratorem tego utworu jest jeden z manekinów – Łukasz Pancernik. Cytowane opowiadanie niepostrzeżenie wkrada się w główny tok narracji. „Ja” dotychczasowego narratora-bohatera zostaje wyparte przez „ja” manekina, a właściwie wielu manekinów. Dokonuje się proces zawładnięcia materią powieści przez wykreowane monstrum. Tekst staje się jakby bezradnym bełkotem, pełnym cierpienia kukieł, które nagle zostały rażone gromem świadomości i nie wiedzą, jak sobie poradzić. Dopada je coś, co można nazwać „nadmysłowością” – nie selekcionują bodźców, bo nie znają żadnej hierarchii. Wszystkie dźwięki, obrazy, szczegóły, smaki, erotyczne doznania zwalają się na nie z jednakową intensywnością. Pobrzękują w ich narracjach strzępy różnych jaźni, jakby same pałuby pełniły tylko funkcję medium

¹ B. Schulz: *Proza*. Kraków 1973, s. 66.

– są niczym odbiorniki radiowe, które nagle obdarzono świadomością: *Koń wyszedł z za zarosli, z za słońca. Pod wiatr. Podrygują kosmyki grzywy. Kiwiają się słoneczniki. Dziecko uczezione sztachet. (...) Promienie słońca w przetaku wiatru. Miarowo kiwiają się głowy kur. Zaduma indyków. Półsen prosiaków. Krowa milczy w znowiu z łańcuchem. Kosmiczna cisza, słychać głosy z za chmur. Najmniejsze szczegóły z dziką łatwością dopadają do oczu. Majestat wsi. (...) Usta poruszają się same. Trans. Nie biorę odpowiedzialności. W wojsku mówili na mnie poeta.*

Ostatecznie okazuje się, że manekiny odgrywały określoną rolę w powieściowym planie i raczej nie wymknęły się spod kontroli. Przywoływane upiory „frankensteiniów i golema” nie dokonały zemsty. Wręcz przeciwnie – chyba musiały się pojawić jako katalizatory oczyszczenia w czasie zajęć tzw. dram manekinowych, kiedy to leczony mógł pozbyć się wszystkich swych demonów, nazywając je i niszcząc przedstawiające je kukły. Manekiny stworzone przez bohatera zostają symbolicznie pogrzebane w pustych trumnach, które wypłynęły z miłogrodzkiego cmentarza po powodzi – tak dopełnia się ich przeznaczenie.

Motto *Manekinów* stanowi cytat z utworu Mariusza Grzebalskiego: *Prowadzą mnie słowa. Jestem jak lalka / czekająca na zmartwychwstanie lalek.* Dla bohatera-narratora słowa te mogły stać się przekleństwem, gdyby w porę nie uświadomił sobie, że każdy jest manekinem dopóty, dopóki siebie o to nawet nie podejrzewa: *Ojciec, matka, Miłogród. No i bracia. Lektury, koledzy. To są te sznurki. A wstrząsany konwulsjami manekin zdaje się ich nie dostrzegać. Choć zapewne i on czeka na swoje zmartwychwstanie.*

Manekiny to jeszcze nie ostatni etap prozatorskiego eksperymentu Karola Maliszewskiego. Wiedząc, że autor traktuje wyzwania poważnie, wypada powtórzyć za Szczepanem: *Zatem liczę na ciąg dalszy i ten drugi tom zatytułuj „Ludzie”.*

Karol Maliszewski: *Manekiny*. Prószyński i S-ka, Warszawa 2012, ss. 199.

EDYTA IGNATIUK

TOTEMY I FETYSZE

Andrzeja Stasiuka fascynuje przemijanie – rozkład materii, stare, zapomniane grobowce, cmentarze, opuszczone miejsca to elementy stale przewijające się w jego prozie. *Istnieje tylko to, co minęło, ponieważ posiada swoją formę, jest uchwytnie, dotykalne i w pewien sposób ocala nas przed szaleństwem, przed mentalnym unicestwieniem*¹ – stwierdza pisarz w *Fado*. Najnowsza książka wydaje się kwintesencją tej filozofii.

Grochów to cztery opowiadania o odchodzeniu bliskich narratorowi istot (Stasiuk pisze nie tylko o ludziach). Książkę otwiera wspomnienie o babce mieszkającej na podlaskiej wsi oraz o jej opowieściach, w których świat realny przenikał się z nadprzyrodzonym: *W tej szarej materii pojawiały się od czasu do czasu pęknięcia, nitki wątku i osnowy rozstępowały się i przezieraly przez nie zaświaty* (s. 9). Duchy i zjawy stanowiły w świadomości wiejskiej staruszki naturalny składnik rzeczywistości: *dla niej istniał chyba jeden niepodzielny porządek zdarzeń tak samo realnych i tak samo uprawnionych* (s. 9). Odejście babki to pierwsze w życiu narratora doświadczenie śmierci, której jako dziecko nie rozumiał. Wydarzenie to wzbudziło w nim raczej zdziwienie niż smutek czy lęk: *Zdziwiłem się, że jest tak twarda i nieruchoma i że nie pachnie żadnym z tych ciepłych znanych zapachów* (s. 12). Szczątki zasłyszanych w dzieciństwie historii stają się symbolem autentycznego

¹ A. Stasiuk: *Fado*. Wołowiec 2006, s. 132.

kontaktem z „niewidzialnym”, wyrazem oswojenia śmierci, ostatnim bastionem „żywej, istniejącej nadprzyrodzonej rzeczywistości” (s. 13).

Opowiadanie *Augustyn* mówi o *doświadczeniu strasznej obcości i jednocześnie bliskości* (s. 20). Jego bohaterem jest Augustyn Baran – zaprzyjaźniony ze Stasiukiem pisarz z małej podkarpackiej wsi Izdebki, który po wylewie krwi do mózgu stracił pamięć, mowę, doznał częściowego paraliżu, trafił do szpitala, a potem przebywał w kilku domach opieki. Autor niezwykle poruszająco opisuje powolne odzyskiwanie przez przyjaciela własnego życia, przytacza szereg tragikomicznych scen obrazujących z jednej strony ułomność Augustyna, z drugiej – jego heroiczną walkę: *Wokół w pokojach byli ludzie, którzy mieli nigdy nie opuścić tego miejsca. Wielu z nich nie zdawało sobie nawet z tego sprawy. Istnienie niektórych ograniczało się do kilku powtarzanych w nieskończoność gestów. (...) I wśród tego Augustyn jedną ręką turlający swój wózek i powtarzający „Kurwa mać. Tragedia”* (s. 27). Walka bohatera skończyła się jego przegraną – *umarł w lipcu i nikogo przy nim nie było.*

Historia pisarza z Izdebek ilustruje bezradność wobec cierpienia drugiego człowieka. Stasiuk wspomina kolejne wizyty u przyjaciela, poszukiwanie najmniejszych symptomów poprawy (uśmiechu, gestu), lęk, jaki wywoływał nieruchomy wzrok Augustyna. Kilkakrotnie przewija się (zadawane z lekkim wstydem) pytanie, czy człowiek, który utracił świadomość, to wciąż ta sama, bliska osoba, czy ktoś zupełnie inny, obcy?

W kolejnym opowiadaniu Stasiuk skupia się na umieraniu starej, szesnastoletniej suki (co ważne, suka „umiera”, nie „zdycha”!), która – jak dowiadujemy się z naturalistycznego opisu – straciła wszystkie zmysły i „przypomina stary, strzępiący się dywanik” (s. 33). Zaraz potem autor jakby usprawiedliwiał się ze swych działań pisarskich: *Piszę o tym wszystkim, ponieważ pierwszy raz oglądam powolną, długą śmierć istoty, z którą przez lata dzieliło się właściwie każdą chwilę* (s. 35). Obraz odchodzącego psa staje się dla niego pretekstem do podjęcia refleksji nad „człowieczeństwem w stanie umieralności”. Pisarz akcentuje ironiczną, ale jakże przerażającą analogię między dogorywającą na werandzie suką a ludźmi *leżącymi w tych wszystkich starannie ukrytych miejscach służących umieraniu* (s. 36). Dochodzi do wniosku, że im skuteczniej człowiek potrafi ratować i przedłużać życie, tym bardziej bezradny bywa w obliczu śmierci, wobec której nie wie, jak powinien się zachować. Dlatego ludzie tak często umierają w samotności: *Moją babkę do trumny ubierały ciotki i sąsiadki. Mój sąsiad umierał w domu. (...) Ale moja babka i mój sąsiad to śmierci niemal utopijne* (s. 38).

Tytułowe opowiadanie to długi tren poświęcony przyjacielowi. Motywem przewodnim jest podróż – wspomnienia wspólnie spędzonej na warszawskim Grochowie młodości, szalonych wypraw autostopem przeplatają się z relacją z ostatniego, naznaczonego widmem nieuchronnej śmierci towarzysza wyjazdu do Piranu: *I wydawało mi się, że to jest tak, jakbyśmy do tego Piranu przyjechali prosto z Grochowa (...) Podlasko-grochowskie chłopaki z wiejsko-przedmiejskiej krainy badziewnych cudów przeniesione w czasie i przestrzeni do Śródziennomorza* (s. 52).

Stasiuk stara się zaklinać upływający czas, szuka w teraźniejszości śladów przeszłości, na mapach satelitarnych próbuje odnaleźć blask palonych przed laty ognisk, pyta, *dokąd odchodzą zdarzenia, które były naszym udziałem?* (s. 56). Wspomina też miejsce, gdzie się wychował. Co ciekawe, obraz Warszawy jest tu zupełnie inny niż ten wyłaniający się z *Dziwięć* czy książki *Jak zostałem pisarzem*. Stołeczny Grochów powraca jako świat lat dziecińczych, jako miasto, które *zatrzymywało się w pół kroku jak nad urwiskiem, jakby traciło oddech albo wpadało w osłupienie* (s. 44). Wspomnienia młodości to zapachy palonych traw, świeżego chleba z piekarni na Wiatracznej, woń klatek schodowych bloków na robotniczym osiedlu; to psie wygony, blaszaki, torfowiska, wpatrujący się w „głęb

nieskończoności” faceci z *flaszkami piwa Królewskiego, wina nomen omen Kwiat Jabłoni, z flaszkami wódki Stołowej*; to zimne szare światło hal fabrycznych i „tłustawy dotyk wnętrza kieszeni” robotniczego drelichu; to wreszcie marzenia o tym, aby żyć inaczej, aby „odejść jak najdalej”... Opis Grochowa przypomina momentami impresjonistyczną narrację z *Dukli* – przybiera postać sekwencji poetyckich obrazów przywoływanych z głębi pamięci bez określonego porządku, na zasadzie luźnych skojarzeń.

Przecież nie od razu jesteśmy śmiertelni. Wtedy nie byliśmy. I jeszcze przez wiele lat (s. 84) – podsumowuje swoją podróż w przeszłość Stasiuk, uświadamiając sobie przy tym, że jedynym łącznikiem między „kiedyś” a „dziś” jest przyjaciel, który odchodzi samotnie, bo *trudno (...) z kimś dzielić powolną śmierć. Zwłaszcza z kimś, z kim się tylko żyło* (s. 63). Gdy tego kogoś wreszcie *plomień i powietrze uniosły w czarne niebo* (s. 80).

Warto zwrócić uwagę na kompozycję książki – kolejność opowiadań nie jest przypadkowa. Stasiuk rozpoczyna od ciepłego wspomnienia babki, zmarłej zanim zdołał pojąć „ideę śmierci”, następnie wspomina przyjaciela, którego odwiedził zaledwie kilka razy, a wreszcie opisuje śmierć suki i długie umieranie najbliższego przyjaciela. Każdy kolejny tekst dotyczy bliższej mu istoty. Dwie pierwsze śmierci dzieją się jakby obok, stanowią fakt dokonany, dwie kolejne to proces, w którym narrator uczestniczy: *wcale nie jest łatwo patrzeć, jak ktoś (czy pies to ktoś?) zjada własne odchody* (*Suka*, s. 40); *trudno jest z kimś dzielić powolną śmierć* (*Grochów*, s. 63).

Grochów to z jednej strony bardzo osobista, wręcz intymna opowieść o śmierci. Stasiuk porządkuje emocje, spowiada się z poczucia winy: *Pięć, sześć, siedem spotkań w życiu. Zawsze potem jest za mało. Zawsze potem widać, że trzeba było częściej* (*Augustyn*, s. 19); *Tak mówiłem w kółko, żeby go rozerwać albo rozbawić. Ale najbardziej po to, by nie dać mu dojść do głosu, ponieważ jestem tchórzem* (*Grochów*, s. 65). Z drugiej strony mamy do czynienia z uniwersalną refleksją na temat współczesnej cywilizacji, w której śmierć stała się tabu: ludzie umierają samotnie w domach starców, hospicjach, szpitalach; kondukty pogrzebowe nie pasują do ulicznego zgiełku, *skłębionego, drapieżnego żywiołu współczesnych metropolii, niemilkącego skowytu miasta, z poświęcią neonów* (s. 38); czas jest zbyt cenny, aby „traścić go” na uczestniczenie w umieraniu bliskich. Stasiuk, *syn ludu, który niegdyś swoich zmarłych chował pod progami* (s. 93), protestuje przeciwko „gładkiej, wypolerowanej powierzchni codzienności”, w której trzeba poszukiwać *dowodu, że żyliśmy prawdziwym życiem* (s. 90). Może pisanie jest dla niego substytutem konkretnego, a zarazem totemów i fetyszy, których domaga się, za którymi tęskni?

Andrzej Stasiuk: *Grochów*. Czarne, Wołowiec 2012, ss. 94.

ANDRZEJ GOWORSKI

KSIĄŻKA JAK SWETER POLONISTY?

Czym jest książka? Zgodnie z wykładnią encyklopedyczną to przedmiot graficzny składający się ze stron, na których zawarta została ludzka myśl¹. Według innej definicji, mniej intuicyjnej, a bardziej pragmatycznej, stosowanej między innymi przez Główny Urząd Statystyczny w Polsce, chodzi o przedmiot materialny, który liczy co najmniej czterdzieści dziewięć stron, sklejonych lub zszytych ze sobą i oprawionych w okładkę bądź – warto pokusić się o uzupełnienie – odtworzonych na ekranach komputerów czy czytników². W obu definicjach pada

¹ Hasło „książka” w *Encyklopedii PWN*, <http://encyklopedia.pwn.pl/haslo/3928399/ksiazka.html> (20.01.2013).

² Szerzej o tym zob. <http://www.britannica.com/EBchecked/topic/73295/book> (20.01.2012).

sformułowanie „wydawnictwo zwarte”, umożliwiające dokonanie rozróżnienia pomiędzy książką, która sama w sobie stanowi całość, a czasopiśmem będącym publikacją bez planowanego z góry zakończenia.

Spśród tytułów wydanych w Polsce, z którymi zapoznałem się w ciągu ostatnich pięciu lat, do rozważań nad istotą książki skłoniły mnie liczne pozycje przeznaczone dla dzieci oraz jedna jedyna publikacja z gatunku beletrystyki – powieść Waldemara Bawółka *Humoreska*. Oprawa poligraficzna znanych mi z dzieciństwa książeczek dla najmłodszych zazwyczaj niewiele różniła się od oprawy strzegomskich zeszytów. Zmiany, jakie zaszły w sposobie produkowania tego rodzaju literatury, sprawiły, że obecnie publikacje dla dzieci są prawdziwymi wizytówkami drukarskiego rzemiosła. I choć wzrosły równocześnie ich ceny – szczególnie w porównaniu z innymi rodzajami książek – zwiększyła się też liczba zainteresowanych nimi nabywców. Aby się o tym przekonać, wystarczy porównać w salonach księgarskich wielkość działu z literaturą dziecięcą z rozmiarami choćby działu z poezją. Rozwój poligrafii, choć nie aż tak spektakularny, odbił się także na sposobie drukowania literatury innego typu. Progres ów stanowi w głównej mierze efekt komercyjnego podejścia wydawców do rynku księgarskiego. Traktują oni materialną stronę publikacji jako swego rodzaju przestrzeń reklamową. Dotyczy to zwłaszcza literatury popularnej, np. powieści kryminalnych czy piśmiennictwa biograficznego, produkowanego w zawrotnych jak na dzisiejsze czasy nakładach kilkunastu tysięcy egzemplarzy. W przypadku tzw. ambitnej prozy bądź niszowej w Polsce książki poetyckiej kryteria komercyjne nie muszą decydować o opracowywaniu koncepcji wydawniczej³. Należy odnotować, że dzięki finansowemu wsparciu donatorów (np. Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego) coraz częściej także wśród tego typu publikacji pojawiają się książki atrakcyjne wizualnie. Ich walory materialne nie ograniczają się jedynie do jakości estetycznych. Poligrafię porównać można do architektury będącej sztuką tworzenia przestrzeni estetycznych oraz użytkowych. I tak jak powstają piękne, a zarazem dostosowane do potrzeb mieszkańców budynku, tak tworzone są książki stanowiące swego rodzaju przedmioty sztuki użytkowej, w których wartość symboliczna, czyli treść, podana została w sposób nie tylko ładny, ale też nowoczesny, przejrzysty i czytelny (np. z uwzględnieniem ergonomii lektury).

Humoreska – w odróżnieniu na przykład od książeczek dla dzieci publikowanych przez designerskie wydawnictwo Dwie Siostry – skłania do rozważań nad istotą książki jako przykład negatywny. Podczas lektury trudno nie dostrzec licznych błędów składu czy niedociągnięć korektorskich, które powodują, że uwaga czytelnika kieruje się ku obszarom refleksji sprzecznym z intencjami autora. Literówki zaś – choć być może w książce opartej głównie na zwrotach akcji nie powodowałyby aż tak dużego uczucia dyskomfortu – tu, w publikacji, gdzie uwagę czytelnika angażują przede wszystkim narracja i magiczność opisanego świata, rażą w dwójnasób. Liryczność języka i fantastyczny realizm, którego reguły umożliwiają u Bawółka przeistoczenie się zimy w lato, a diabłom pozwalają wyłonić się zza kołnierza idącego mężczyzny, sprawiają, że pojawiające się sformułowanie „porosić” czytelnicy mogą uznać za w pełni zamierzone. I zanim odkryją w nim pierwotne i właściwe „poprosić”, zdążą się już rozsmakować w jego ciekawej, nowatorskiej i poetyckiej aurze. Taka deziluzja nie ma w sobie nic z radosnej gry z tekstem i po natrafieniu na drugą, trzecią wpadkę korektora czytelnicy zwyczajnie mogą się do lektury zniechęcić. Jednak nie dość na tym. Szata graficzna *Humoreski*, przygotowana przez Ludową Spółdzielnię Wydawniczą⁴, bardziej przypomina druki bezdebitowe

³ Opisywana sytuacja dotyczy Polski; czytelnictwo np. we Francji lub w Czechach charakteryzuje się inną dynamiką: nad Sekwaną nie dziwią nakłady rządu kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy, a nad Wełtawą, mimo że siła nabywcy w Czechach stanowi jedną czwartą siły nabywczej w Polsce, ogólna liczba egzemplarzy wydawanych książek jest w obydwu krajach porównywalna.

⁴ Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza szczyci się na swoich stronach internetowych między innymi publikacją od 1946 roku ponad siedemdziesięciu pięciu milionów egzemplarzy książek; rozważając tę oraz kilka innych informacji zawartych na podstronie *O LSW* (zob. http://www.lsw.pl/?p=p_13), dojsz do przekonania, że głównym celem wydawnictwa jest propagowanie literatury zgodnie z hasłem, by księgi dotarły pod strzechy.

niż współczesne oprawy książek prozatorskich. I to właśnie owa mizerna oprawa graficzna publikacji stanowi główny powód podjęcia przeze mnie rozważań nad losem książek w Polsce. Powiedzmy wprost: jakość wydania *Humoreski* – jej strona materialna – wyjątkowo mocno kontrastuje z treścią dzieła, a więc zawartością symboliczną, która jest na tyle nietuzinkowa, że powieść ta mogłaby stać się jeśli nie hitem czytelnictwa – w przypadku prozy poetyckiej pomysł taki zakrawa raczej na pobożne życzenie – to bez wątpienia ozdobą niejednej domowej biblioteki.

Akcja *Humoreski* rozgrywa się w małym, podgórskim miasteczku – Ciężkowicach⁵, fabuła zaś ogniskuje się wokół postaci głównego bohatera – Waldka, który wykorzystując ostatnie dni urlopu, pielęgnuje chorą żonę Marię i widuje się od czasu do czasu do czasu z kochanką – Mileną. Protagonista w oczach swoich najbliższych i mieszkańców miasteczka uchodzi za dziwaka. Widywany bywa przez pobratymców w niecodziennych sytuacjach: to zadumany przechadza się nad rzeką, to przemierza tam i siam podcienia kamienic okalających ciężkowicki rynek, to znów przeskakuje przez płot i zamiera zapatrzony w chmury. Nie wszystkie zdarzenia opisane w książce rozgrywają się w planie realistycznym. Jedną z drugoplanowych postaci – oprócz żony i kochanki Waldka – jest śmierć (dla Waldka – Śmierć). Bohater pragnie ją „oblaskawić” i w ten sposób odsunąć jej widmo od niedomagającej żony. Głównym sposobem umożliwiającym osiągnięcie tego celu okazuje się zabicie innego człowieka i złożenie go zamiast Marii w ofierze Śmierci. Waldek próbuje także innych forteli: *Od czasu do czasu przygryzam ten palec i słyszę pojękiwania. Palec z powrotem wędruje do pochwy, by po chwili, ociekając śluzem, przywrzeć do mych uchylonych ust. – A buu, iii... aaaa. Smakuje to jak kandyzowany fenkuł z serowym puree⁶. Tam i nazad. Wzięła moją dłoń do swojej dłoni i powiedła ją w gorące miejsce, bym też swój palec zanurzył w ociekającej śluzem szczelinie.*

Mineta zrobiona kostusze stanowi element serii działań, które Waldek podejmuje, aby przeciwdziałać nieuchronności przemijania. Istota tych posunięć, mimo że ich bezpośrednią adresatką jest Śmierć, nie wydaje się nonsensowna. Przy odrobinie dobrej woli można sobie wyobrazić postać z krwi i kości, która przyjmując totalną odpowiedzialność za swoich bliskich, dochodzi do absurdalnych wniosków i tak jak Waldek, pragnąc zmienić niekorzystny bieg wydarzeń, zamierza spełnić ofiarę. Działania podejmowane przez bohatera – choć w *Humoresce* jednoznacznie fantastyczne – wynikają zatem z logiki, która nie musi być sprzeczna z psychologicznym prawdopodobieństwem: *On, Maria i linia, po której zmuszony jest posuwać się naprzód. Całe życie na tej samej nieuchronnej linii, póki śmierć nie wtrąci s o w i c h [wyr. – A.G., powinno być „swoich”] trzech groszy. (...) Mam tylko siebie i nie mogę siebie odrzucić, bo nie miałbym czym zastąpić. Najwyższy czas pogodzić się z sobą. Czy jestem zdolny zabić człowieka? Żadna modlitwa nie wydaje mi się dostateczna, żeby oblaskawić śmierć.* Tak rozumiany akt zastępczy, choć nie jest często wykorzystywanym motywem literackim, pojawia się w takich dziełach jak *Biesy* Dostojewskiego czy – zwłaszcza – *Alkestis* Eurypidesa⁷.

Jednak nie tylko podniosłe tony i molowe skale rozbrzmiewają w powieści Bawółka. Jej tytuł stanowi aluzję do *Humoreski B-dur op. 20* Roberta Schumanna – utworu będącego z jednej strony muzyczną odpowiedzią na koncepcje prekursora romantyzmu, Jeana Paula, z drugiej zaś wariacją na temat humorów (krwi, żółci, śluzu i czarnej żółci), które zdaniem antycznych i średniowiecznych fizyków decydowały o ludzkiej kondycji. Jacek Hawryluk – dziennikarz i krytyk muzyczny – tak opisuje dzieło Schumanna w wykonaniu znanego polskiego pianisty:

⁵ Bawolek urodził się, mieszka obecnie i tworzy w Ciężkowicach – liczącej dwa i pół tysiąca mieszkańców miejscowości, która znajduje się w połowie drogi między Tarnowem a Nowym Sączem.

⁶ Niestety także i w tym fragmencie pojawia się błąd redakcyjny – kandyzowany fenkuł, czyli koper włoski, można podawać jako deser z „selerowym”, a nie „serowym” puree (vide np. artykuł *Knajpki dla wtajemniczonych*. „Gazety Wyborcza” 05.02.2010, dodatek „Wysokie Obcasy”; http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/1,96856,7529420,Knajpki_dla_wtajemniczonych.html).

⁷ Mitologiczna Alkestis z miłości do śmiertelnie chorego męża – Admeta, króla Ferajji w Tesalii – postanowiła umrzeć w zastępstwie ukochanego.

W „Humoresce” jest zabawa i zaduma, poczucie humoru i patos – Anderszewski nie boi pokazać się w różnych stanach emocjonalnych. W książce Bawółka skala nastrojów koresponduje z tą, którą krytyk dostrzegł w dziele Schumanna. Ponadto rejestr ten można uzupełnić o erotyzm ocierający się niekiedy o poetycką i – by tak rzec – charakterystyczną dla postaci Waldka pornografię: *Zanim zanurzę się witką, by dna dosięgnąć, rozchylam jej uda i językiem liżę jej pieśćkę. Rozchylają się wargi moje, jej wargi się rozchylają (...)*. Relacjonując przebieg aktu miłosnego ze Śmiercią, Waldek-narrator wprost odnosi się do dzieła Schumanna i tym samym najpełniej tłumaczy rolę muzycznej aluzji: *To nasze zadzierzgnięcie jest jak rozbudowany szkic na temat ulotności nastrojów i kapryśności chwilowego usposobienia, na kształt Humoreski pod palcami Erica Le Sage*⁸.

Gdy pamiętamy, że dowcip Bawółka bywa często groteskowy, we fragmentach dotyczących na przykład katastrofy smoleńskiej łatwo dostrzec możemy aluzje do humoresek jedynie inspirowanych twórczością Schumanna, a bliższych np. parodystycznej *Humoresce* Antoniego Dworzaka⁹. Ponadto tytuł książki Bawółka, stanowiąc nawiązanie do wiersza Juliana Tuwima pt. *Humoreska*, może wskazywać na rolę, jaką odgrywa w powieści motyw przemijania. Dwie strofy owego liryku – pierwsza i ostanía – świetnie korespondują z sytuacją, w której znalazł się Waldek:

*Noc czarna, krucza
Na ogród spadła,
Śmierć mi dokucza,
Chytra, zajadła.
(...)
Teraz niech w usta
Twoje się wpiję,
Błogosławiona,
Błogosławiona!*

Jednak to nie aluzyjność ani problematyka przemijania stanowią o specyfice tej książki. Jarosław Wach w tekście *Inercja albo rzeczywistość utkana z miraży*, podsumowując twórczość ciężkowieckiego autora, stwierdził: *Niejedno nowe skojarzenie można z tej prozy wyłuskać. Zagadnienie oryginalnej stylistyki podnosiło już wielu krytyków. Bez wątplenia jest to twórczość oparta na „pomyśle, warsztacie, ekspresji”*. Dodajmy: *nieskrępowanej. W kontakcie z prozą Bawółka czytelnik nie tyle jest odkrywcą sensu, co jego twórcą*¹⁰. Choć przytoczony fragment dotyczy przedostatniej publikacji Bawółka – *Raz dokoła* (2005 r.), wypowiedź Wacha można w zasadzie z powodzeniem odnieść także do jego najnowszej książki, pamiętając jednak, że *Humoreskę* od jej poprzedniczek¹¹ odróżnia niesłychana wręcz plastyczność. To właśnie obrazy mogłyby stanowić o jej sile, zwłaszcza że wspomniana ekspresyjność, znajdująca wyraz w specyficznym języku Bawółka, nadaje wizjom feeryczny i fertyczny charakter: *Dostrzegł człowieka zmagającego się z czasem i przestrzenią. Podlubał w nosie. Sięgnął do kieszeni. To aż śmieszne – pomyślał. Postąpił kilka kroków naprzód. W głowie kołatają się jemu luźne obrazy. Poczul na plecach chłód świata. Słyszy zewsząd ludzkie głosy. Chce się wyzwolić. Dłonie są śliskie. Chce coś powiedzieć, jednak jego usta poruszają się bezgłośnie*. Osadzenie akcji w malowniczej galicyjskiej miejscowości, obecność elementów architektury i przyrody oraz współlistnienie ludzi i bytów metafizycznych sprawiają, że powieść przywołuje na myśl prace Marca Chagalla.

⁸ Éric Le Sage jest cenionym francuskim pianistą, wykonawcą m.in. utworów Schumanna.

⁹ Schumann zapoczątkował modę na humoreski jako swego rodzaju gatunek muzyczny; jego pomysł podjęli m.in. Dworzak, „który pisał je jako parodystyczne pieśni z użyciem tekstów stylizowanych na dziecięce strofy” (hasło „humoreski” w wikipedia.pl), Grieg i Paderewski.

¹⁰ „Akcent” 2006, nr 4.

¹¹ Bawółek opublikował trzy książki: *Delectatio morosa* (zbiór opowiadań, 1995), *Raz dokoła* (zbiór opowiadań, 2005) oraz *Humoreskę* (powieść, 2012); ponadto zamieszczał opowiadania w wydawnictwach zbiorowych oraz czasopiśmie literackich.

Wszystko na to wskazuje, że kończy się epoka książek będących w głównej mierze przedmiotami symbolicznymi. A jeśli tak jest w rzeczywistości, to jej ostatnie chwile można przyrównać do płomiennej lekcji prowadzonej przez polonistę w dziurawym, wyciągniętym wełnianym swetrze. Moje pokolenie, które rozpoczynało przygodę z książkami w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku, mimo że naśmiewałoby się z takiego belfra, w skrytości ducha zachowałoby dla niego szacunek. Obecnie dla młodych ludzi forma coraz częściej okazuje się ważniejsza niż kiedyś i w związku z tym nawet najciekawsze zajęcia prowadzone przez nauczyciela, który nie będzie umiał pogodzić aspektów materialnych z symbolicznymi, wydadzą się nastolatkom nieatrakcyjne. Dzisiejsza książka pozbawiona adekwatnej oprawy graficznej jest więc jak ów polonista w wyciągniętym swetrze, a czytelnicy czy także, szerzej, cały rynek księgarski – niczym współcześni uczniowie. Mając to na uwadze, trudno oczekiwać, że *Humoreska* przysporzy swojemu autorowi licznych czytelników i wielbicieli. Niestety w tym przypadku dobry manuskrypt został opublikowany z karygodnymi błędami redakcyjnymi, niestarannie i nieciekawie. Jako odbiorca życzyłbym sobie widzieć *Humoreskę* wydaną w eleganckiej formie albumowej, w twardej okładce z kolorowymi ilustracjami.

Waldemar Bawolek: *Humoreska*. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 2012, ss. 154+1.

MAŁGORZATA SZLACHETKA

CO MAJĄ ZOMBIE DO HOLOKAUSTU?

Noc żywych Żydów to druga książka Igora Ostachowicza. *Potwora i pannę* autor wydał pod pseudonimem Julian Rebes. Tym razem postanowił wystąpić przed czytelnikami z otwartą przyłbicą. Czy słusznie?

Sam tytuł stanowi oczywiste nawiązanie do jednego z najbardziej kultowych amerykańskich horrorów – *Nocy żywych trupów* George’a A. Romero. Przypomnijmy, że w tym uważanym za klasyka gatunku filmie, który doczekał się licznych kontynuacji i parodii, umarli masowo wychodzą z grobów po tym, gdy w Ziemię uderzył meteoryt. U Ostachowicza natomiast żywe trupy to Żydzi zamordowani albo zmarli z głodu w czasie II wojny światowej. Przez kilkadziesiąt lat trwali w letargu, ukryci w kanałach pod dawną dzielnicą żydowską w Warszawie. Obudzili się, bo ludzie weszli w posiadanie tzw. srebrnego serca. Teraz można ich spotkać w piwnicach bloków na Muranowie. Brzmi absurdalnie? Pewnie tak, ale to jeszcze nie zarzut, bo w konwencji science fiction wszystko jest możliwe. Rozłóżmy jednak świat wykreowany przez pisarza na części.

Zacznijmy od postaci. Pierwsze skrzypce gra *trzydziestoletni cynik, glazurnik z uniwersyteckim dyplomem*, który po krótkim okresie bycia bezrobotnym znalazł swoje miejsce z dala od warszawskiego wyścigu szczurów, co pozwala mu patrzeć na rywalizujących ludzi z góry. To z jego perspektywy prowadzona jest narracja. I być może dlatego wiemy o nim nieco więcej niż o innych bohaterach, choć czasami można odnieść wrażenie, że ta wiedza nie wykracza ponad poziom powierzchownych złotych myśli zaczerpniętych z popularnych poradników psychologicznych w rodzaju: „Jak wejść na każdą górę i być szczęśliwym do końca życia (rady na każdy dzień roku)”. *Lubię gotować i lubię jeść. Nie jestem gruby, ale przy Chudej wyglądam jak balon* – zwierza się nam główny bohater.

Pojawiają się jeszcze dziewczyna glazurnika o ksywce Chuda oraz niejaka wnuczka, czyli Kobieta z Podbitym Okiem i Dużym Biustem. No i bohaterowie drugoplanowi: domorośli naziści, Ktoś Zły, który zmienia się w Zupełnie Złego, nastoletnia „internetowa wyrocznia” Chirico, dziadek Nostromo i sąsiad

Krystian. Problem w tym, że jedynym sposobem dookreślenia ich charakteru są w książce Ostachowicza imiona. Nie znamy ani motywacji, ani przeszłości tych postaci – sprawiają one wrażenie marionetek miotanych po scenie przez niezdecydowanego demiurga.

Także umarli Żydzi nie są indywidualnościami, ale postaciami-typami, zdającymi się pasować do uproszczonej i stereotypowej wizji getta. Rachel, która woli, aby nazywano ją Rejczel, zmarła jako nastolatka. Wie, kim była i co się z nią stało, ale nie wydaje się, aby z tego powodu przeżywała obecnie jakąś głębszą traumę. Chce wreszcie włożyć modne ciuchy, zjeść lody w centrum handlowym i posłuchać muzyki, która jest w tym momencie „na czasie”. O ojcu Rejczel dowiadujemy się, że był żołnierzem, natomiast między światami żywych i umarłych trwa tylko dla córki. Egzystencjalne rozterki to nie jego specjalność, a zastaną rzeczywistość przyjmuje taką, jaka jest.

Z książki Ostachowicza o dramacie getta warszawskiego nie dowiemy się nic. Jedynym wyjątkiem jest historia lekarza Polaka, który w czasie wojny ukrywał w szpitalu narzeczoną Żydówkę, ale został zdradzony. W komiksowej, czarno-białej rzeczywistości *Nocy żywych Żydów* również ta postać ulega w pewnym momencie deformacji i staje się karykaturą samej siebie – lekarzem-szaleńcem torturującym niewinne ofiary w ciemnej piwnicy. Sytuacja wyjęta wprost z niskobudżetowych horrorów gore klasy C.

A świat przedstawiony? Okres okupacji to krótkie przebłyski w tle. Główny bohater na chwilę przenosi się w czasie do momentu, kiedy getto jest już zniszczone i „chyba trwa powstanie warszawskie”. W każdym razie po gruzach biega groźny Niemiec z bagnetem (!) w dłoni. Innym razem Chuda płacze, mówiąc, że była w getcie, ale nie rozwija tego tematu. Bo tak naprawdę to, co stało się w czasie wojny, nie ma w tej powieści znaczenia. Powstaje wrażenie, że autor równie dobrze mógłby podjąć temat zamachu majowego albo innej zawieruchy historycznej, których przecież w Polsce nie brakowało. Dla dramaturgii opowiadanej historii efekt byłby prawdopodobnie ten sam.

Nie ulega dla mnie wątpliwości, że powiązanie motywu zombie oraz holokautu nie jest najszcześniejszym rozwiązaniem. Szczególnie gdy autor nie może się zdecydować, jaką konwencję wybiera. Początek mógłby wskazywać, że będzie „na poważnie” – pierwsze, ironiczne, słowa książki brzmią bowiem: *Urodziłem się i mieszkam w mieście poszukiwaczy złota. Zjechali tu kiedyś z całej wypalonej równiny. Poszukiwacze złotych zębów i srebrnych tyżeczek*. Powaga szybko jednak gdzieś przepada, zatem nie spodziewajmy się kolejnej publikacji, która umożliwi rozliczenie się z polskim antysemityzmem.

Paradoksalnie, jedyną płaszczyznę, na której książka Ostachowicza wydaje się wiarygodna, wyznaczają nie wydarzenia przeszłe, ale teraźniejsze. *Noc żywych Żydów* to przede wszystkim krytyka współczesnego, konsumpcyjnego stylu życia, którego głównym elementem stało się spędzanie wolnych chwil w centrum handlowym. To nie jest czas na rewolucje i bohaterstwo. Wszystko zdaje się jakieś skarłowaciałe, nawet naziści „wyglądają jak wycieczka z Elku”, a zło przybiera postać bardziej śmiesznego niż straszego diabła z rogami. Nie brakuje też współczesnych gadżetów: ZZ poznaje Hitlera przez internet, a potem wszyscy naziści robią zdjęcia umarłym Żydom i wrzucają je na bloga. Oczywiście nie udaje się też uniknąć zainteresowania mediów – w końcu Arkadia pełna zombie w przybrudzonych przedwojennych jesionkach to news, po który będzie się klikać w necie.

Wśród nielicznych plusów powieści trzeba wymienić wartko płynące dialogi, chociaż w pewnym momencie można odnieść wrażenie, że i tego jest ciut za dużo. Jakby autor nie potrafił zatrzymać się w tej wyliczance ciętych ripost. *Noc żywych Żydów* ma w sobie coś z telenoweli, której bohaterowie spędzają trzy czwarte odcinka na prowadzeniu rozmów przy herbacie pitej nieśpiesznie w zaciszu przytulnej kuchni. Na szczęście bronią się niektóre epizody, do perełek należy

spotkanie gestapowca zombie i ochroniarza z Arkadii. Pułkownik Fritzl duka z kartki: *Masz nagrana bojka obok kibel und incident na parking?*

Autor zbudował świat przywodzący na myśl komiksową i nieco przerysowaną rzeczywistość. Ale być może chciał, aby poza dawką absurdu i komizmu znalazło się w tym coś więcej? Mimo wszystko stworzona forma okazała się zbyt wątła, by unieść egzystencjalny przekaz o naturze dobra i zła. *Noc żywych Żydów* dzieli od *Jądra ciemności* ogromny dystans. Książkę częściowo rehabilituje nieco surrealistyczne zakończenie, które może zaskoczyć, a jednocześnie wpisuje się w przyjętą konwencję.

Nie zawsze podobne próby wplatania fikcji w historie dotyczące zagłady muszą być skazane na porażkę. Jeśli podejść do tematu umiejętnie, z pokorą i z szacunkiem dla przeszłości, można z takiego eksperymentu wyjść obronną ręką. Udało się to w przypadku *Fabryki muchołapek* Andrzeja Barta, który postawił sobie pytanie: co by było, gdyby Chaim Rumkowski odpowiedział przed sądem za swoje decyzje z łódzkiego getta? Getto to – przypomnijmy – dzięki horrendalnym ustępstwom Rumkowskiego wobec Niemców istniało dłużej niż jakakolwiek inna zamknięta dzielnica żydowska na terenie okupowanej Polski. Tragicznym symbolem polityki Rumkowskiego stało się jego słynne przemówienie: „Oddajcie mi swoje dzieci”. Chodzi o dramatyczny epizod tzw. Wielkiej Szpery z 1942 roku, kiedy to Niemcy zesłali na śmierć 55 tysięcy mieszkańców łódzkiego getta. *Do transportów szły dzieci z sierocińców, przytułków, szpitali, dzieci odrywano od matek i bliskich. Nie ma chyba nikogo, kto przeszedł łódzkie getto i nie został przez te wydarzenia osobiście dotknięty. Wspomnienia Szpery pojawiają się we wszystkich relacjach, dziennikach, wywiadach. Dzieje getta Litzmannstadt dzielą się na okres przed Szperą i po Szperze...* – czytamy na stronie łódzkiego Centrum Dialogu im. Marka Edelmana.

Wykreowany przez Barta proces byłego króla getta odbywa się w nieokreślonej bliżej przestrzeni, być może już w zaświatach. *Fabryka muchołapek* stanowi swobodną wariację na temat dramatycznych wydarzeń, chociaż jednocześnie narracja prowadzona jest z wyjątkową konsekwencją i zgodnie z historyczną wiedzą o dziejach getta. Warto podkreślić, że w powieści Barta nie pojawia się – przynajmniej bezpośrednio – ton oskarżenia. Świadcami w procesie Rumkowskiego są m.in. pedagog Janusz Korczak z Warszawy oraz mieszkańcy getta łódzkiego (większość z nich wojny nie przeżyła). Sam Rumkowski ma prawo się bronić i z prawa tego korzysta. W sali sądowej stoi już nie wszechwładny król, ale staruszek, który w chwilach stresu czerwieni się i piskliwym głosem przekonuje do swoich racji. Napięcie w *Fabryce muchołapek* opiera się na niedopowiedzeniu, czyli tym, czego w dobrej literaturze zabraknąć nie powinno.

Ale wróćmy do *Nocy żywych Żydów*, gdzie jest prawie wszystko – z wyjątkiem niedopowiedzenia. Książka Igora Ostachowicza to typowy produkt popkultury, genetycznie bliski modnym ostatnio trendom, by wątki znane z klasycznych dzieł literackich na siłę łączyć z motywem zombie. Na przykład Seth Grahame-Smith wziął na warsztat *Dumę i uprzedzenie* – na okładce książki *Duma i uprzedzenie i zombi* jego nazwisko widnieje obok nazwiska Jane Austin. Za cały komentarz niech posłuży fragment zapowiedzi wydawcy, która ma zachęcić czytelników do lektury: *Jest prawdą powszechnie znaną, że zombi, który posiadał jeden mózg, pragnie ich więcej! Siostry Bennet przeżywają perypetie miłosne, a w hrabstwie Hertfordshire zmarli powracają do życia. Zadziorna Elżbieta Bennet walczy z wygłodniałymi zombi. Jej uwagę odrywa jednak przyjazd przystojnego, ale wyniosłego i aroganckiego pana Darcy. Polacy nie pozostają w tyle – możemy się już pochwalić Przedwiośniem żywych trupów.* A to zapewne dopiero początek serii radosnych przeróbek.

Na razie jednak zapomnijmy o eksperymentach prowadzonych na żywym organizmie klasyki literackiej. Jeśli chcemy dogłębnie poznać historię Muranowa i dzielnicy żydowskiej, która w tej części Warszawy istniała przed wojną,

zdecydowanie powinniśmy sięgnąć po książkę inną niż *Noc żywych Żydów*. *Stacja Muranów* Beaty Chomątowskiej jest świetnie udokumentowaną, opartą na relacjach świadków opowieścią o miejscu, którego już nie ma. Bo dzisiejsza ulica Bohaterów Getta na Muranowie to fragment tętniących życiem przedwojennych Nalewek, gdzie na jedno podwórze przypadało po dwadzieścia zakładów i sklepów. Kres owego świata nadszedł wraz z wybuchem wojny. Po wymordowaniu warszawskich Żydów Niemcy teren ten zrównali z ziemią. W dużej mierze stało się to już podczas tłumienia powstania w getcie. Wielka Synagoga na Tłomackim na rozkaz Jürgena Stroopa została wysadzona w powietrze 16 maja 1943 roku. Po wojnie w miejscu oznaczonym bolesną nieobecnością powstało nowoczesne osiedle. Nie wszyscy chcieli pamiętać o przeszłości, inni świadomie starali się o niej zapomnieć. Chomątowska pisze w tym kontekście o „bólu fantomowym”. Na kartach *Stacji Muranów* wypowiada się na ten temat Piotr Poziński – wnuk ocalałych z holokaustu, który pięknie pisał o echem przeszłości w osobistej minipowieści *Pensjonat – U mnie w rodzinie bez przerwy opowiadało się o przedwojennym Muranowie i nie chodziło na ten powojenny*. Właściwie nigdy, z wyjątkiem wizyt 19 kwietnia pod pomnik Bohaterów Getta w rocznicę powstania. Więc znam przedwojenną siatkę ulic, a powojenna jest jakby zagadką, nieoczytanym palimpsestem. Myślę, że nie tylko dla mnie.

Igor Ostachowicz: *Noc żywych Żydów*. W.A.B., Warszawa 2012, ss. 253.

AGNIESZKA KIDA-BOSEK

KRYSTAŁOWY PAŁAC

*Widzę tę książkę jako taką szklaną kulę z padającym śniegiem
– to jest rodzaj pozytywki, makiety, domku dla lalek¹.*

Marek Sieprawski, recenzując kilka lat temu na łamach „Akcentu” *Wojnę polsko-ruską pod flagą białą-czerwoną*, przytoczył słowa Doroty Masłowskiej, która stwierdziła, że kolejną książkę napisze, gdy usłyszy coś nowego. Dwa lata później ukazał się *Paw królowej* – powieść napisana językiem hip-hopu, która podobnie jak poprzednia powstała szybko, niemalże na jednym oddechu. Nowatorska, usiana idiomami oraz nietypowymi frazeologizmami narracja Masłowskiej stała się rozpoznawalną marką. Czytając *Kochanie, zabiłam nasze koty*, także stykamy się z nowym rodzajem komunikacji, przywodzącym na myśl kolorowe magazyny, gdzie tragedia z Sandy Hook Elementary School figuruje jako mała wzmiianka obok rozrodu Małgorzaty „Perfekcyjnej Pani Domu” Rozenek. Język, w jakim napisana została najnowsza książka Masłowskiej, stanowi zbitkę złych tłumaczeń zwrotów obcojęzycznych, krótkich rozmów telefonicznych, SMS-ów, tekstów z plotkarskich gazet. Zastyszana i perfekcyjnie odtworzona współczesna mowa ulicy świadczy o kunszcie warsztatowym oraz lingwistycznym zmyśle pisarki. Masłowska funduje czytelnikowi oniryczną wizję świata na w pół realnego, na w pół wyobrażonego, wysnionego przez głównych bohaterów, gdzie senne fantomy trudno oddzielić od rzeczywistości, przez co stają się nieodłączną częścią akcji.

Bezkarnie zakrzywana przestrzeń wydaje się odzwierciedleniem wypaczonych marzeń i dążeń bohaterek. Autorka umieszcza akcję gdzieś w Nowym Jorku – mieście wyjątkowym dla współczesnej popkultury, które Polacy postrzegają przez pryzmat mitu o „american dream”. Senne marzenia bohaterek ocierają się o rze-

¹ M. Szarejko: *Świat złego tłumaczenia*. „Nowe Książki” 2012, nr 11.

czywistość i ulegają zdumiewającym metamorfozom. Takim wielokształtnym symbolem są np. syreny, w powieści mieszkające na dnie oceanu pośród ludzkich śmieci, które znoszą do swych siedzib nie bez szkody dla ich świata. Nie ma tu nic z romantyzmu i bajkowości znanej z Andersena bądź sprzedawanej przez Disneya. Syreny są chore, zniszczone i niezwykle poranione. Pożądamy tego, co posiadają ludzie, zatracając przy tym siebie. Farah, główna bohaterka, oddaje włosy za spełnienie życzenia – chce zbliżyć się do Go (Goszy). Ofiara ta nic nie daje poza poznaniem prawdziwej natury Go, która jest zniszczoną dziewczyną, by móc błąkać się wśród artystów chodzi na wernisaże, wiecznie nie ma pieniędzy, a nowo poznaną „przyjaciółkę” traktuje w sposób czysto instrumentalny, wykorzystując ją w zależności od potrzeb. Go, podobnie jak wszyscy bohaterowie powieści, pojmuje przyjaźń jako sposób na zaspokajanie własnych pragnień i zachcianek. Współcześni trzydziestolatkowie (tyle lat mają bohaterowie) aspirują do życia na wyższym poziomie, choć nie będą do tego nigdy zdolni zarówno ze względów finansowych, jak i intelektualnych. Jedyną ucieczką stają się dla nich sny. Tam niestety mała syrenka *ma ochryply głos, kalifornijski akcent i rozbiegane oczy dworcowej oszustki. Musiała kiedyś być ładna; miała czarne oczy i zepsuta od trądziku cerę; jej włosy zawiązane siatką z K-martu* (ss. 72-73). Syrenka mówi do Farah: „Mogę ci pomóc”, choć w rzeczywistości sama potrzebuje wsparcia – dziewczyna bezrefleksyjnie oddaje jej mężczyzn i nogi Jo. Takie przedmiotowe podejście do innych charakteryzuje wszystkie postaci pojawiające się w powieści. Nawet powieściowe alter ego Masłowskiej „wykorzystuje” ludzi, traktując ich przeżycia i perypetie jako materiał do książki. Bowiem jak w większości swoich tekstów, tak i w najnowszym Masłowska pojawia się osobiście jako postać – ujawnia się tu jako pisarka, której brak natchnienia. W świecie odartym z wartości cierpi na niemoc twórczą, a inspiracji szuka w otoczeniu.

Na myśl przychodzi film Woody’ego Allena *Manhattan*, którego bohaterowie, podobnie jak postaci w *Kochanie, zabiłam nasze koty*, wypływają z siebie potok słów – bez sensu, bez celu, nie angażując się w dialog, raczej upajając brzmieniem własnego głosu. Widz zwraca na to uwagę już od pierwszych minut, zwłaszcza gdy na ekranie pojawia się Mary Wilke. Bohaterka rozmawia z Izaakiem – odgrywanym przez samego reżysera – na temat postaci ze świata kultury i bez zastanowienia ocenia je w niesprawiedliwy, krzywdzący sposób. Wypowiada osąd, delektując się własnymi słowami: *Albo Ingmar Bergman (...) Berman, Begmaann (...) Jest taki zabawny, a jego poglądy są takie skandynawskie. Takie czarne, mój Boże. Cały ten Kierkegaard, zgoda? Prawdziwa niedojrzałość, modny pesymizm. Ta cisza. Cisza boża. Dobrze, dobrze. Podobalo mi się, jak chodziłam do Radcliffe, ale wyrasta się* (Woody Allen: *Manhattan*, 1979). Tego rodzaju pseudofilozoficzne dywagacje o niczym znajdują odbicie również w życiu bohaterów oraz wpływają na ich sposób wartościowania świata. Izaak rozstał się z żoną, która losy małżeństwa opisuje w powieści – kobieta, obecnie żyjąca w lesbijskim związku, otwarcie wspomina o zdradach swoich i męża oraz huśtawkach emocjonalnych, nie krępując się obecnością syna. Przyjaciel Izaaka, Yale, zdradza żonę z kobietą, która najpierw rzuciła go dla Izaaka, by następnie znów do Yale’a wrócić; sam Izaak spotyka się z Tracy – siedemnastolatką uosabiającą czystość i brak skażenia środowiskiem artystów Manhattanu. Główny bohater odczuwa pustkę wśród otaczających go ludzi, ma świadomość nicości związków, w które się po kolei wplątuje, egoizmu fałszywych przyjaźni czy też jałowości rozmów artystycznego świata. Wernisaże, spotkania, różnego rodzaju party nie zapełniają wszechogarniającego „niczego”. Próbuje nadać swemu życiu jakiś głębszy sens, co sugeruje wstęp do filmu, szybko jednak porzuca owe rojenia na rzecz zarobku: *Spróbujmy... zrobić to bardziej głębszym. „Rozdział pierwszy. Uwielbiał Nowy Jork. Dla niego była to metafora rozkładu nowożytnej kultury. Ten sam brak wartości, który powoduje, że wielu ludzi wybiera łatwe wyjście, szybko przemieniał miasto*

jego marzeń... Nie, to będzie za bardzo moralizujące. W końcu chce sprzedawać te książki” (Woody Allen: *Manhattan*, 1979).

Zarówno w książce Masłowskiej, jak i w filmie Allena współczesna sztuka, a przede wszystkim obcowanie z nią odznaczają się pewną banalnością i miałością. Sądy ferowane przez ludzi związanych z kulturą i tworzone przez nich jej obraz sprawiają, że dla zwykłej osoby prawdziwe obcowanie z wartościowym artystycznie dziełem jest utrudnione, jeśli nie całkowicie niemożliwe. Tym samym szybko pojawia się zwątpienie i zniechęcenie do współczesnej „bohemy”. Masłowska dała upust temu odczuciu nie tylko na kartach powieści, gdzie nie oszczędzała pseudodzieł i pseudoartystów, ale również w wywiadach. Na łamach „Nowych Książek” stwierdziła: *Czuję laskawość życia, bo wiem, że zaklinowanie się w toksycznym, warszawskim świecie aspirującym do nie wiadomo czego wróży zgubę, że już potem tylko brać kredyt i kupować designerskie żyrandole. Takie wyobrażenie i aspiracje życiowe przyjmujesz drogą osmozy z otoczenia*². Temu właśnie ulegli bohaterowie książki, doskonale pasujący do współczesnych czasów. Choć pragną uniknąć ogarniającej pustki, wszyscy walczą z nią w jedyny sobie znany, neurotyczny sposób, co prowadzi do bezwolnego zatracenia się i uprzedmiotowienia. Symptomatyczne wydaje się stwierdzenie: *Mam mnóstwo niczego... la la la... Nic to dla mnie w sam raz* (s. 42), które uparcie krąży po głowie po lekturze. Możliwe, że taki kształt powieści podyktowany został warunkami, w jakich tworzyła autorka. *Kochanie, zabiłam nasze koty* to pierwsze dzieło Masłowskiej pisane nie pod wpływem „szału twórczego”, ale przemyślane, konstruowane mozolnie, na konkretne zamówienie, poprzedzone siedmioletnim wyczekiwaniem publiczności. Presja tych czynników daje się niestety odczuć. Ale nawet ta dochodząca w powieści do głosu pustka i nicość nie wyda się, mam nadzieję, całkowicie wyzuta ze znaczenia dla współczesnych czytelników.

Trzy kobiety – ukazane jak trzy Gracje – szamocą się w wirze współczesnej kultury. Umieszczone w nieistniejącym mieście spędzają czas na pracy, chociaż jej nie lubią, oraz chodząc na zakupy. Wzorowane na serialach życie, które wydaje się nic niewarte, jeśli zabraknie w nim przyjaciółek rodem z *Seksu w wielkim mieście* lub miejsca na jogę, testy psychologiczne oraz sukcesy zawodowe, zostaje zderzone z rzeczywistością. Jo przestaje być przyjaciółką Farah, kiedy poznaje mężczyznę i poświęca mu cały wolny czas. Moment, gdy w kinie Farah staje się mimowolnym świadkiem aktu miłosnego tej pary, ostatecznie kończy przyjaźń kobiet. Czytelnikom zostaje natomiast zakomunikowane, że na tym świecie nie ma intymności, a wszystko wystawione jest na widok publiczny.

To niespecjalnie odkrywcze. Brak intymności stanowi dziś szeroko dyskusowany problem. Współczesna kultura jest u Masłowskiej niczym Kryształowy Pałac z *Notatek z podziemia* Fiodora Dostojewskiego. Został on wzniesiony z okazji Wystawy Światowej w Londynie w 1851 roku z myślą o uczynieniu imprezy artystycznej rozpoznawalną, nadaniu jej odpowiedniego prestiżu, ale również dla propagowania modernistycznych idei. Dla Dostojewskiego budowla stała się symbolem materializmu pragnącego zamknąć ludzkiego ducha we wnętrzu, w którym nie można się w żaden sposób ukryć, bo zawsze będzie się widocznym: *Państwo wierzyście w kryształowy gmach, który będzie stać przez wieczność, czyli taki, któremu nie będzie można nawet ukradkiem pokazać języka albo przez kieszeń wystawić figi. Jeżeli o mnie chodzi, to ów gmach właśnie dlatego przejmuje mnie lękiem, że jest kryształowy, że ma trwać całą wieczność i że nie będzie można nawet ukradkiem pokazać mu języka*³. Wysłunięcie języka staje się zatem manifestacją jednostkowej autonomii, której Kryształowy Pałac śmiertelnie zagraża. Obecnie nie można internetowi, „odpowiedzialnemu” za kreowanie i propagowanie współczesnej kultury, pokazać figi czy też języka. Zatem, czy pisząc banalnie

² M. Szarejko: dz. cyt.

³ F. Dostojewski: *Notatki z podziemia*. Przeł. G. Karski, W. Broniewski, Warszawa 1992, s. 32.

o banale i podpierając to banałem, pisarka odnalazła swój sposób na pokazanie języka współczesnemu Kryształowemu Pałacowi?

Masłowska nie daje odpowiedzi, nie moralizuje, nie określa recepty i nie stawia diagnozy. Po prostu opisuje to, co usłyszała. Jej pierwszej książce zarzucano złe zakończenie. Krytycy pisali, że lepiej było pozostawić Silnego w dyskotecce, nie zaś wyrywać z powieści, stawiać obok siebie, patrzeć na niego i naigrywać się z możliwości poruszania nim jak papierową lalką. Teraz, jakby na prośbę rzeszy krytyków, autorka zostawia swoich bohaterów niemalże tam, gdzie ich zastała – w piżamie, z zakrwawionymi nogami, ślepo i bez emocji patrzących na przejechanego na szosie kota. Ta powieść nie ma zakończenia, to fragment współczesnej rzeczywistości, doskonale wycięty, zilustrowany barwnym językowo komentarzem, opieczętowany, ubrany w twardą okładkę wydawnictwa Noir sur Blanc.

Czy warto jednoznacznie najnowszą książkę Doroty Masłowskiej polecać czytelnikom. Czy spełni ona siedmioletnie oczekiwania publiczności? Doprawdy trudno odpowiedzieć. Książka ta w pewnym sensie kwestionuje intelektualną wartość postaw i myślenia współczesnych „szarych ludzi”, którzy są przez autorkę najczęściej atakowani (choć dostaje się również „intelektualistom”). U Woody’ego Allena bohater, z którym łatwo się nam utożsamić, został uzbrojony przeciw rzeczywistości w oryginalny humor – oręż równie mocny, jak i skuteczny. Dostojewski pisał o podziemiu, gdzie można było się skryć. Masłowska natomiast zostawia nas we wnętrzu Kryształowego Pałacu samych i nie daje nam nic. Nasze życie realne, prawie nieistniejące bez mediów, wypełnione kolorowymi pismami, testami psychologicznymi, klikaniem w facebooka, odarte z iluzji, przedstawione zostało z ogromną goryczą czy wręcz ze wstrętem. Nawet w tworzeniu autorka nie upatruje drogi ucieczki, gdyż o artyście i o jego dziele każdy mógłby napisać: *to niezwykle zderzenie dojrzałego przekazu z infantylną estetyką odpadu i bazgroły* (s. 86), a nawet – *W regresywnym cudzysłowie artysta umieszcza traumatyczne doświadczenie cielesnego zbliżenia* (tamże). Sami artyści ulegają mechanizmom dzisiejszego świata, poddając się im i płynąc z prądem. Czy jednak te spostrzeżenia cokolwiek wnoszą do refleksji współczesnych myślicieli nad kondycją naszych czasów? Na pewno książka będzie chwalona za język, który potrafi zainteresować i zainspirować; jej poszczególne fragmenty zapadają w pamięć jak dobra piosenka. Jednakże czy naprawdę tylko utopią musi pozostać pragnienie, by twórcy zamiast poddawać się rozpacz, próbowali szukać antidotum na otaczającą nas egzystencjalną pustkę? Tego niestety Masłowska nie czyni, rzuca nas w wir rzeczywistości, którą doskonale znamy, i tam pozostawia zdanych na siebie i na własny osąd. Dla dzieła to atut, dla ducha marna pociecha.

Dorota Masłowska: *Kochanie, zabiłam nasze koty*. Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2012, ss. 160.

PRZEMYSŁAW KALISZUK

CIĘŻAR HABITU

Białe nieszpory Tadeusza Chabrowskiego pozwalają nasycić ciekawość. Możemy podpatrzeć świat zakonnej wspólnoty, przyjrzeć się temu, co w zasadzie niedostępne ludziom świeckim. Nie oznacza to, rzecz jasna, że książka obliczona została na „plotkarskie” cele. Trudno jednak powstrzymać się od stwierdzenia, iż tajemnicza codzienność duchownych budzi zaciekawienie, a może nawet fascynację. Szczególnie że nie wydaje się powszechnie znana, po części z winy samych duchownych, którzy niezbyt chętnie opowiadają o praktycznej stronie swego życia. Niewątpliwie to, co nierozpoznane, musi budzić pewną sensację, gdy

szerzej wchodzi do publicznego dyskursu. Autor – raz jeszcze warto to podkreślić – unika skandalizowania i taniego plotkarstwa. Interesuje go ludzki wymiar zakonnej rzeczywistości.

Chabrowski, snując opowieść, oprowadza po zakonnej społeczności widzianej oczyma zwykłego członka wspólnoty. Pierwszoosobowa narracja sugestywnie przybliży szczegóły klasztornych obowiązków, zajęć, czynności. Poznajemy tak inny od świeckiego świat, rządzony sztywnymi regułami, zhierarchizowany niczym wojskowa struktura, a czasem dość surowy. Czytelnicy poszukujący wiadomości o zapleczu materialno-życiowym zakonników oraz społecznej dynamice wspólnoty zakonnej będą usatysfakcjonowani. Bohater *Białych nieszpórów*, brat Prokop, staje się przewodnikiem nie tylko po klasztornej codzienności. Opowiada o kondycji życiowej mnichów, przechodząc od praktycznych problemów zakonnego bytowania do kwestii psychologicznych i światopoglądowych: *Po złożeniu ślubów wieczystych i rozpoczęciu studiów teologicznych uświadomiłem sobie, że wstępuję na drogę zwalczania wszelkich możliwych wątpliwości, które życie może mi podsunąć. (...)*

Ale potem przychodzą dni szare, pospolite, skrzeczą z każdego kąta, a nowe żyrandole nie zapalają się na niebie. Trzeba stąpać po ziemi i twardych gruntach ostrożnie, żeby nie pokaleczyć stóp. Noce stają się szare i jeszcze bardziej mroczne, a aniołowie w ciągu dnia topnieją jak płatki śniegu na trotuarze i mokrych ścieżkach w ogrodzie.

W monotonnej ciszy klasztornej, przerywanej skrzypieniem podłogowych desek lub podczas mało rytmicznej recytacji psalmów, każda minuta i sekunda (...) próbuje przekształcić się w indywidualną wartość (ss. 138-139).

Lektura *Białych nieszpórów* uzmysławia istotny problem. Klasztornej egzystencji nie sposób oceniać i opisać właściwie, jeśli nie doświadczy się jej wyjątkowości. Mówiąc: „właściwie”, mam na myśli możliwie wierne uchwycenie jej ambiwalentnego charakteru, zaskakującego stosunku do czasu i do świata: *Poprzez stulecia świat wielokrotnie się zmieniał, ale w klasztorze sygnaturka zawsze w podobny sposób wzywa na popołudniowe nieszpory, poranną jutrznię i wieczorne matutinum. Jesteśmy żywymi świadkami surowej ascezy i tradycji Starego Testamentu. Są wśród nas prorocy Izraela, są Ojcowie Kościoła, są również wyznawcy i męczennicy pierwszych wieków chrześcijaństwa [mowa o imionach zakonnych, przyp. – P. K.]. Nie powinniśmy zajmować się czasem współczesnym, powinniśmy przejść jego wrzaskliwymi ulicami z zamkniętymi oczami. To, że Polska była kiedyś królestwem, że zamiast cesarza Dioklecjana na arenie politycznej pojawił się Stalin lub Gomułka, nie powinno mieć dla nas większego znaczenia. (...) Byliśmy i na zawsze będziemy kontynuatorami starego obrządku, tradycji, która odmładza się tylko wtedy, kiedy wraca do swoich początków* (s. 59).

Prokop portretuje to środowisko jako ktoś z wewnątrz. *Białe nieszpory* mają charakter notatnika, w którym wydarzenia przeplatają się z refleksjami, fabularność z eseistycznością, środowiskowy szkielet z intymnym wyznaniem. Ta dziennikowa forma uwiarygodnia rzecz jasna opowieść – Chabrowski stylizuje tekst „na autentyk”, nadając mu tym samym pewną literacką lekkość. Może to rodzić nieporozumienia. Z jednej strony autor stwarza pokusę lektury *Białych nieszpórów* przede wszystkim jako zbeletryzowanej autobiografii, bowiem historia oparta została na osobistych doświadczeniach, z drugiej – wyraźnie posługuje się charakterystyczną dla dwudziestowiecznej prozy konwencją, przekreślając dokumentalny charakter książki. Ponieważ pisarz opowiada się po stronie literatury, czytelnicy nie dostają socjologizującego reportażu czy studium – trudno mówić o *Białych nieszpórach* jedynie jako o „literaturze faktu”.

Silą opowieści jest niewątpliwie główny bohater. Przeprowadzając ostrą autoanalizę, rozlicza się on z własnymi wyobrażeniami na temat świata. Prokop pozostaje zdolny do takiej refleksji z uwagi na swój osobliwy status w zakonie.

Niewykryta epilepsja daje o sobie znać niedługo przed święceniami kapłańskimi, zamykając tym samym drogę do zakonnej normalności, do tego, co można określić jako – „kariery duchownego”. Choć Prokop związał się z zakonem wieczystymi ślubami, z uwagi na chorobę został skazany na niepełne funkcjonowanie we wspólnocie. Niespełnione ambicje rodzą frustrację: *Jeszcze rok temu nie rozstałem się z „Panią Bovary” Gustawa Flauberta. Sytuacja, w jakiej znalazłem się po ślubach wieczystych, do złudzenia pasowała do jej – „Przed ślubem wydawało się jej, że go kochała, ale oczekiwane szczęście nie nadeszło”. Zawiodły ją wielkie słowa w książkach: szczęście, namiętność, upojenie, które tak pięknie brzmiały w ustach innych kobiet. W końcu przyzwyczała się do swojego smutku, bo właściwie wszystko straciła, żyje... tylko wysiłkiem rozsądku* (s. 161).

Teologicznie doskonale przygotowany, bystry i inteligentny młodzieniec tkwi w niedookreśloności ze względu na przypadłość, o której nie miał pojęcia i której nie można uleczyć. Przepisy życia zakonnego, tak doskonale uregulowane, nie uwzględniają niestandardowych sytuacji, faktycznie skazując Prokopa na bezczynność, jako że nie ma on żadnych praktycznych umiejętności. Będąc kimś innym z uwagi na swoje intelektualne predyspozycje i zainteresowania, różni się od braci zakonnych dbających o klasztorny dobrobyt: kucharzy, elektryków etc. Zarazem boleśnie doświadcza niesprawiedliwości, gdy słabo wykształceni i nierzadko niezbyt inteligentni bracia otrzymują święcenia, co automatycznie sytuuje ich wyżej w hierarchii: *Do klasztoru przyjechał ojciec Placyd, wyświęcony na kapłana w marcu zamiast w czerwcu ze względu na wyjazd do Amerykańskiej Częstochowy. Wrócił po uroczystościach prymicyjnych w swojej parafii (...). Musiała to być gala na najwyższy poziom, bo nasz do niedawna zastraszonego diakona, ledwie przepchnięty przez końcowe egzaminy z teologii, nagle zhardtował. (...) Z zapalem młodego rekruta opowiadał, jak cała wioska przeżywała jego prymicję. Młode panny kręciły się wokół niego jakby przyjechał z Hollywood. Przez cały tydzień w remizie strażackiej weseliła się cała wioska. (...)*

Zachowanie ojca Placyda uświadomiło mi problem, którego u nas nikt nie poruszał, a który dotyczył świeżo wyświęconych kapłanów. Znakomita większość powołań w zakonie rekrutowała się ze środowiska wiejskiego. (...) „Kto ma księdza w rodzinie, temu bieda nie dobodzie” – szeptali nasi sąsiedzi w Radomiu. To, że byliśmy zakonem pustelniczym, składaliśmy śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, nikomu nie mąciło snu. Wcześniej czy później każdy mógł zostać przeorem lub ekonomem, zaopatrującym klasztor w żywność i wszystkie inne materiały potrzebne do prawidłowego funkcjonowania klasztoru. Budziły się wtedy tłumione instynkty, można było dobrami ziemskimi nasycić i uszczęśliwić jeszcze swoją rodzinę (ss. 176-178).

Prokop powoli przechodzi transformację. Z kapłana-teologa, zanurzonego w zgromadzeniu zakonnym, stopniowo przemienia się w filozofa-humanistę z odległości obserwującego współbraci. Jako ktoś usytuowany w sferze wiecznego „pomiędzy”, ani nie przynależy do żadnej z grup wewnątrzzakonnych, ani nie jest kimś świeckim według kategorii pozaklasztornych. Ta swoista niezależność, czy może raczej przymusowy dystans, czyni z Prokopa uważnego obserwatora zewnętrznosci, a w konsekwencji staje się przyczyną prowadzenia zapisków. Kiedy przełożeni znajdują Prokopowi zajęcia – wykładają historię literatury polskiej młodym klerykom oraz uczą wygłaszania kazań – jego krytyczny stosunek do obranego sposobu życia jeszcze bardziej się pogłębia.

Chabrowski stworzył niezwykle interesującą postać głównego bohatera-odmieńca. Z jednej strony wprowadzenie Prokopa z „kompleksem wiecznego diakona” (s.182) w pozornie idealnie działającą społeczność obnaża niedoskonałość klasztornej wspólnoty. Z drugiej strony – skomplikowana sytuacja bohatera przynajmniej początkowo nie rodzi poważnego dramatu duchowego, co zresztą również wydaje się intrygujące. Dopiero powolna i zrazu nieporadna autorefleksja pozwala bohaterowi rozpoznać siebie, określić własną tożsamość.

Ten gruntownie wykształcony i ciągle głodny wiedzy młody zakonnik prowadzi swój „diariusz” dosyć nieudolnie. Początkowe partie książki rażą sztywną poprawnością i wymuszoną poetyckością opisów uczuć i przeżyć, przeplatanych sprawozdawczym tonem. Wrażenie to ustępuje wraz z dalszą lekturą. Jesteśmy świadkami rodzącej się pisarskiej sprawności Prokopa, a tym samym obserwujemy, jak dochodzi do samopoznania. W pewnym momencie sam zresztą relacjonuje swe pragnienia związane z pisaniem: *Czasami szeleszczę długopisem na papierze, próbując umieścić odpowiednie słowa w odpowiednich miejscach, tak jak Picasso szukam właściwego załamania linii w rysunku. Odkrycie stylu, który mnie mami, który sprawia mi przyjemność, jest sztuką. Kiedyś mędracy, tacy jak: Sokrates, Orygenes, święty Augustyn, Mistrz Eckhart, Spinoza i obłąkany Nietzsche dyskutowali w podobny sposób.*

Ich umiejętności przekonywania i natarczywość budziły Europę z marazmu i odrętwienia. Chciałbym iść w ich ślady, choć nie potrafię tak jak oni odzierać własnych złudzeń do kości. Często myślę parzenie herbaty z modlitwą, urodę z nudą, cebulę z cytryną (s. 143).

Prokop nie zмага się z utratą czy kryzysem wiary, bowiem wierzącym być nie przestaje. Kluczowym problemem okazuje się tożsamość, która – niegdyś budowana na fundamencie wspólnoty zakonnej – uległa zachwianiu: *To, co się do tej pory wydarzyło na tych stronach, może mi się kiedyś przydać do poważnej refleksji. Są to czynione na bieżąco zapiski: codzienne życie, okoliczności i osoby, z którymi obcuje, stwarzają sytuacje, które mnie od środka kształtują, wzbogacają, albo – brutalnie kaleczą. W klasztorze nie można być tylko sobą, skoro jest się częścią większej społeczności. (...)*

Mogło mi się czasem wydawać, że jestem w opozycji, myślę inaczej, ale tak naprawdę kopiowałem wszystkich i nadal będę kopiował, bo zbiorowo łatwiej jest iść przez mgłę i nie stoczyć się w przepaść. Bywają godziny, że miałbym ochotę wyskoczyć z własnej skóry; zderzyć się ze ścianą, porozpychać łokciami otaczającą mnie przestrzeń. Ale czy taki wewnętrzny krzyk może na kimkolwiek zrobić wrażenie? (ss. 169-170).

Tadeusz Chabrowski kończy książkę, nie rozstrzygając definitywnie losów Prokopa. Pokazuje jedynie bolesny moment zwątpienia w dotychczasowe życie, zmuszający do ponownego samookreślenia. Szukając powodów, by nadal stąpać obraną ścieżką, bohater znajduje raczej argumenty przeciwko tej decyzji. Otwarte zakończenie podnosi dramaturgię opowieści. Warto jednak pamiętać, że chodzi tu nie tyle o efekt artystyczny, ile o jednostkowy dramat zakonnika, który odkrywa własną zbyteczność we wspólnocie.

Tadeusz Chabrowski: *Białe nieszpory*. Norbertinum, Lublin 2012, ss.196.

Książki nadesłane

Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2012

Biblioteka „Toposu”, t. 79, 80, 82, 83:

Krzysztof Andrzej Jeżewski: *Światłość u progu*. Ss. 68.

Jarosław Jakubowski: *Święta woda*. Ss. 73.

Jerzy Grupiński: *Kuszenie świętego Poetego*. Ss. 71.

Kazimierz Brakoniecki: *Chiazma*. Ss. 73.

Z lubelskiej przeszłości...

ANDRZEJ TRZCIŃSKI

BAŁABAN PO RAZ DRUGI

Ośrodek „Brama Grodzka Teatr NN” przy współpracy dwu profesorów germanistów (Hartmuta Eggerta z Freie Universität z Berlina i Janusza Golca z UMCS z Lublina) doprowadził do edycji reprintu oryginału oraz poprawionego przekładu na język polski (dokonał go Jan Doktor z Żydowskiego Instytutu Historycznego) niemieckojęzycznej pracy Majera Bałabana o „mieście żydowskim” w Lublinie. Oryginał ukazał się w 1919 roku w renomowanym Jüdischer Verlag w Berlinie¹. Pośród monografii poświęconych przez autora czołowym gminom żydowskim Rzeczypospolitej książka ta, choć skromna, plasuje się obok dwu monumentalnych dzieł – o gminie lwowskiej (pierwsze wydanie w 1906 roku) oraz krakowskiej (pierwsze wydanie w 1912 roku). Majer Bałaban (1877-1942) był w pierwszej połowie XX wieku nie tylko najwybitniejszym znawcą dziejów Żydów w Polsce, lecz także znakomitym popularyzatorem ich kultury i aktywnym działaczem na rzecz ochrony zabytków żydowskich. W historycznych monografiach dzielnic żydowskich w znacznej mierze uwzględniał układ urbanistyczny, topografię i obiekty kultury materialnej. Tak jest też w pracy dotyczącej Lublina – zawdzięczamy jej odtworzone z autopsji opisy miejsc, które nie przetrwały czasu zagłady. Wydanie omawianej publikacji – jak informuje w słowie wstępnym dyrektor Ośrodka „Brama Grodzka Teatr NN” Tomasz Pietrasiewicz – stanowi jeden z elementów upamiętniających 70. rocznicę zagłady żydowskiego Lublina.

Majer Bałaban pochodził ze Lwowa, gdzie studiował prawo, historię i filozofię. W 1904 roku uzyskał stopień naukowy doktora za pracę o dziejach Żydów lwowskich. Podczas wielkiej wojny, po zajęciu Lwowa przez Rosjan w 1914 roku, przeniósł się do Wiednia, a następnie, po utworzeniu austro-węgierskiego c. i k. Generalnego Gubernatorstwa Wojskowego w Lublinie, został tam skierowany i pełnił w latach 1916-1918 funkcję referenta do spraw wyznania mojżeszowego i żydowskiego duchownego wojskowego.

O okolicznościach powstania książki poświęconej miastu żydowskiemu w Lublinie dowiadujemy się z przedmowy samego autora oraz z interesującego *Posłowania* pióra Hartmuta Eggerta, które napisane zostało z myślą o omawianej edycji, a na język polski przełożone przez Janusza Golca. Majer Bałaban, po znalezieniu się w mieście, którego gmina żydowska należała niegdyś do najznakomitszych w Rzeczypospolitej, nawykły do pracy naukowej, postanowił wykorzystać czas wolny od służby na napisanie książki o żydowskim Lublinie. W początkowym zamierzeniu miał to być przewodnik po dzielnicach zamieszkałych przez Żydów, opatrzone wstępem obejmującym dzieje gminy żydowskiej. Z czasem owe proporcje uległy zmianie. Autor tak relacjonuje to we wstępie: *Książkę tę pisałem w czasie wojny, co trzeba mieć na uwadze, gdy się ją ocenia. Wojna zawiodła mnie*

¹ Majer Bałaban: *Die Judenstadt von Lublin, mit Zeichnungen von Karl Richard Henker*. Jüdischer Verlag, Berlin 1919.

do Lublina, gdzie w wolnych chwilach, których zresztą nie miałem zbyt wiele, zbierałem i porządkowałem materiał do tej pracy. Każdy, kto kiedykolwiek pracował naukowo, wie, co to znaczy tworzyć studium historyczne bez dostępu do bibliotek i bez własnych notatek. (...) W tych warunkach musiałem z góry zrezygnować z zamiaru napisania historii lubelskich żydów [pis. oryg., przyp. A. T.] i ograniczyć się do topografii miasta. Topografia taka budzi jednak zwykle małe zainteresowanie ludzi, którzy nie są, choćby w zarysach, zaznajomieni z dziejami miasta. Uznałem przeto, że na początku winienem pokazać nieco obrazów z dziejów żydowskiego Lublina, a dopiero później przejść do opisu żydowskich ulic i domów. W trakcie pisania praca stopniowo się rozrastała i zmienił się też nieco jej cel. Część historyczna stawała się coraz obszerniejsza i składa się w końcu z jedenastu rozdziałów².

W efekcie powstało dzieło zawierające jedenaście barwnie napisanych esejów poświęconych różnym aspektom dziejów lubelskiego żydostwa. Autor prezentuje początki gminy żydowskiej i jej złoty okres (od wieku XVI do połowy wieku XVII), przystępnie opowiadając o strukturze i funkcjonowaniu kahału, o aktywności ekonomicznej kupców i dzierżawców, o znaczeniu lubelskiej uczelni talmudycznej, o Lublinie jako miejscu obrad żydowskiego Sejmu Czterech Ziem, ale też o niesławnej działalności Trybunału Koronnego w związku z oskarżeniami o rzekome przestępstwa o charakterze rytualnym. Przywołuje i charakteryzuje, na ile to było możliwe, sylwetki znanych postaci z tego okresu, szczególną uwagę poświęcając dwu wybitnym uczonym rabinom – Szalomowi Szachnie i Szlomo Lurii – reprezentującym odmienne stanowiska zarówno w zakresie metody studiów religijnych, jak i rozstrzygnięć rabinicznych. Dalej – oddając głos relacjom z epoki – podejmuje temat wojen połowy XVII wieku, w wyniku których nastąpiło całkowite zniszczenie lubelskiej społeczności żydowskiej, a następnie opisuje stopniowe jej odradzanie się ze zgliszcz. Wyraziście charakteryzuje ekonomiczną walkę między lubelskimi mieszczanami a Żydami w zakresie handlu i rzemiosła. Ostatnie dwa szkice historyczne, poświęcone okresowi XVIII i początku XIX wieku, skonstruowane zostały jako portrety dwu koryfeuszy reprezentujących odmienne grupy społeczne – przedstawiciela oligarchii rabinicznej, marszałka sejmu żydowskiego Awrahama Heilperna nazywanego Parnasem oraz charyzmatycznego cadyka Jakowa Icchaka Horowica zwanego Widzącym z Lublina. Trzeba przyznać, że literackie ożywienie postaci historycznych i ukazanie ich w działaniu na tle epoki sprawdziło się jako znakomity zabieg przyciągający do lektury, ułatwiający przebrnięcie przez zagadnienia prawne i ekonomiczne. *Dopiero ostatni, dwunasty rozdział tej książki jest przewodnikiem po Starym Mieście i Mieście Żydowskim, który w początkowym zamysle miał stanowić jej główną część* – wyjaśnia Bałaban we wstępie. W tym to właśnie rozdziale (*Rundgang durch das Ghetto / Spacer po getcie*), który rozgrywa się w marcu 1918 roku, autor osobiście oprowadza czytelnika po ulicach żydowskich skupisk – tego najstarszego na Podzamczu, tych późniejszych na Starówce i wzdłuż ulicy Lubartowskiej oraz tego osobnego na Wieniawie i Czechowie. Prezentuje, z podaniem nazwy i numeru ulicy, bóżnice gminne i prywatne, cmentarze, monumentalne kamienie i malownicze drewniane domy mieszkalne (mając jednocześnie świadomość, że za tą malowniczością kryje się nędza, ciasnota, brak wodociągów i kanalizacji).

Równie bezcenne jak opisy miejsc są ich rysunkowe widoki wykonane z natury przez architekta Karla Richarda Henkera. Jak doszło do spotkania i współpracy z Henkerem, Bałaban wyjaśnia we wstępie, natomiast cenne uzupełnienia do biografii tego architekta zamieszcza w *Posłowniu* Hartmut Eggert. Na warstwę ikonograficzną książki składa się pięćdziesiąt dziewięć rysunków ukazujących plany miasta, weduty lub pojedyncze budowle, ich wnętrza, widoki ogólne starego cmentarza i pojedynczych nagrobków, przedstawienia sprzętów stanowiących wyposażenia bóżnic. Ponadto, odrisy motywów zdobniczych z nagrobków,

² Cytaty polskojęzyczne w przekładzie Jana Doktora zacerpnałem z omawianej edycji.

służące jako winiety końcowe rozdziałów. Ogromna wartość tych rysunków (z punktu widzenia poznawczego, a nie estetycznego), mimo że część z nich ma cechy impresyjne, wiąże się z ich dokumentalnym charakterem. Wypada dodać, że niemało spośród nich spotykamy w późniejszych publikacjach dotyczących Żydów polskich, zwłaszcza lubelskich (m.in. w *Jüdisches Lexikon*), a niektóre otrzymały ostatnio nowe życie³.

W całej książce Bałaban mistrzowsko łączy warsztat historiografa i beletrysty. Mimo trudnego czasu na badania naukowe, udało mu się zdobyć niemało cennych tekstów źródłowych, którymi rzetelnie podparł barwną narrację. Książka ma wszystkie formalne cechy dzieła naukowego. W wykazie literatury (ss. 102-103) Bałaban krótko skomentował wykorzystane (jak też niedostępne dla niego w warunkach, w jakich się znajdował) zasoby materiałów źródłowych oraz stan badań nad podjętym tematem. Informacje o źródłach i opracowaniach znalazły się także w przypisach.

Autor napisał i wydał omawianą książkę w języku niemieckim, bowiem w tym właśnie języku publikował swe prace w Austrii i Niemczech. Gwarantowało to dostęp do licznej rzeszy czytelników, co było jednym z celów przygotowywanej publikacji.

Po lekturze możemy zadać sobie pytanie – czym jest dla nas ta książka? O intencji samego autora czytamy we wstępie: *Musimy obudzić duchy wielkich ludzi, którzy kiedyś tu żyli i działali, przywołać w pamięci ich czyny i cierpienia i wraz z nimi zwiedzać zaułki, domy i synagogi. (...) Niniejsza książka chce tych ludzi wyrwać z zapomnienia, chce być drogowskazem do getta przeszłości i getta teraźniejszości. Być może obecna krwawa wojna zburzy mury ostatnich gett, a wówczas przyszłe pokolenia będą się mogły z książki tej dowiedzieć, jak żyli i cierpieli w zamierchłej przeszłości ich przodkowie. (...) Książka ta powędruje w świat (...) jako drobny przyczynek do poznania polskich gett ze wszystkimi ich osobliwościami, które korzeniami swymi sięgają w średniowiecze. Nikt nie mógł przewidzieć, że po kolejnej wielkiej wojnie nie będzie już przyszłych pokoleń i gett (w ówczesnym rozumieniu). W interesującym Posłowniu znajdujemy odpowiedź czytelnika patrzącego z dystansu, z pozycji literaturoznawcy z berlińskiego uniwersytetu. Według Hartmuta Eggerta główną wartością książki Bałabana było, w czasie jej pierwodruku, rzetelne zapoznanie niemieckojęzycznych czytelników ze światem polskich Żydów na przykładzie gminy lubelskiej, natomiast *dzisiaj, siedemdziesiąt lat po zniszczeniu dzielnicy żydowskiej, deportacji i zamordowaniu jej mieszkańców, (...) potrzeba przywrócenia do społecznej pamięci całej historii Miasta Żydowskiego w Lublinie (...)* jest (...) *aktualna bardziej niż kiedykolwiek*. A czym jest ta książka dla badacza kultury materialnej Żydów i regionalisty Lubelszczyzny, wreszcie dla mieszkańca Lublina? Przede wszystkim bezcenną dokumentacją – przy pomocy słów i obrazów – nieistniejącej już części miasta, jego ogólnego charakteru, fragmentów i detali. Mimo że w ostatnich latach stan wiedzy o zniszczonych dzielnicach żydowskich Lublina znacznie się powiększył (dzięki pozyskaniu nieznanych wcześniej dokumentów tekstowych, relacji, fotografii czy dzięki makietom-rekonstrukcjom fizycznym i wirtualnym – w czym ogromną zasługę ma wydawca omawianej książki), niektóre informacje przekazane przez Bałabana i Henkera są nadal jedynymi.*

Wydawcy należą się słowa uznania za perfekcyjną stronę techniczną edycji. Reprint oddaje wszelkie cechy oryginału, łącznie z kolorystyką okładki, i – rzecz można – jest jego klonem. Cieszy to tym bardziej, że oryginał był wykonany na najwyższym poziomie edytorskim. Owe zalety estetyczne i techniczne zostały utrzymane także w bliźniaczym tomie przekładu – poprzez dobór podobnych krojów pisma, analogiczne łamanie, układ tekstu i ilustracji, żywą paginę. Od

³ Szczególną karierę zrobił motyw z XIX-wiecznego nagrobka (M. Bałaban: *Die Judenstadt...*, dz. cyt., s. 13), „wypromowany” jako „Tradycyjny herb Żydowskiego Miasta w Lublinie” – zob. „Scriptores. Pamięć. Miejsce. Obecność” 2003, R. XI, nr 1, s. 15.

strony estetycznej otrzymaliśmy zatem prawdziwy bibliofilski rarytas, trudno jednak chyba do zdobycia, bowiem nakład liczy zaledwie czterysta egzemplarzy.

Pozostaje otwarte pytanie, w jakim stopniu książka ta była znana w Lublinie, czy w ogóle w Polsce, w okresie międzywojennym. Omawiany reprint pierwodruku jest – o ile mi wiadomo – dotychczas jedyny. Tuż przed drugą wojną światową ukazało się natomiast w języku polskim streszczenie omawianej publikacji (jako hasło dotyczące gminy żydowskiej w Lublinie w almanachu gmin żydowskich⁴). W 1947 roku Centralny Związek Żydów Polskich w Argentynie wydał przekład na język jidysz⁵. Tłumaczenie na język polski, autorstwa Jana Doktora, opublikował w 1991 roku lubelski księgarz Marek Gacka⁶. Wydanie to pozostawiało wiele do życzenia tak pod względem technicznym, jak i merytorycznym – co odnotowano w recenzjach⁷. W obecnej edycji w *Uwagach od tłumacza* czytamy: *W 1991 roku w Lublinie opublikowano moje ułomne tłumaczenie na polski. Nie ma sensu wyjaśniać, dlaczego uważam je za niedopracowane. Ważne, że teraz ukazuje się po raz drugi, udoskonalone. Poprawiłem błędy, transkrypcje, w tekście starałem się – przy cytowanych przez Bałabana dokumentach – sięgnąć do oryginałów (...). Najważniejsza zmiana dotyczy wprowadzenia przypisów od tłumacza (znajdujących się na dole strony, w których wyjaśniam kwestie lub koryguję pewne błędy)*. Istotnie, wiele błędów z tamtej edycji zostało poprawionych, lecz nadal liczne pozostały. A szkoda, bo w parze z doskonałym wyglądem książki mogliśmy uzyskać poprawny, wierny przekład opatrzonej odpowiednią liczbą komentarzy uwzględniających obecny stan wiedzy. Należy żałować, że ten cenny tekst został po raz drugi potraktowany nie dość poważnie. W następnej części tego omówienia chcę się podzielić szczegółowymi uwagami z lektury.

Majer Bałaban, z pełną świadomością potencjalnych błędów, zastrzegł we wstępie: *Książkę tę pisałem w czasie wojny, co trzeba mieć na uwadze, gdy się ją ocenia*. Musimy też pamiętać, że przybył on do Lublina z zewnątrz i na krótko. Zaczniemy zatem od pomyłek, których nie ustrzegł się sam autor. W kontekście transakcji z 1550 roku pojawia się „Schlosshauptmann von Lublin Andreas Teczynski” (s. 9), w przekładzie „lubelski starosta Andrzej Tęczyński” (s. 11). Mąż ów sprawował urząd kasztelana lubelskiego w latach 1543-1545, następnie wojewody lubelskiego w latach 1545-1561; zatem chodzi być może o Jana Gabriela Tęczyńskiego, który był starostą lubelskim w latach 1530-1552, lub raczej o Stanisława Tęczyńskiego, pełniącego tę funkcję w latach 1552-1560 i występującego w źródłach jako osoba związana ze wspomnianą transakcją i jej prawną finalizacją w 1555 roku. Na s. 18 (przekład s. 20) czytamy o nagrobku Szaloma Szachny: *auf seinem Grabe steht nunmehr ein neuer Stein, der an Stelle des alten vor nicht langer Zeit gestellt wurde*, co nie jest zgodne z rzeczywistością, bowiem oryginalna, XVI-wieczna stela upamiętniająca tego rabina stoi na swoim pierwotnym miejscu do dziś. Poza tym w kilku miejscach Bałaban przytacza treści z inskrypcji nagrobkowych słynnych mężów (ss. 18, 24, 26, 76, 84), opatrując je znakami cytowania. Trzeba mieć jednak świadomość, że nie są to dokładne tłumaczenia z hebrajskiego, lecz fragmenty epitafiów w swobodnym przekładzie. Oprócz poprawnej daty wielkiego pożaru miasta żydowskiego – 16 października 1655 roku (ss. 48, 49) – pojawia się kilkakrotnie błędna data roczna: 1656 (na s. 45 – tu błąd wewnątrz cytowanego dokumentu, oraz ss. 64, 88, 93; w przekładzie polskim, odpowiednio, ss. 44, 63, 88 – tu tłumacz poprawił na 1655 r., 92). Na s. 84 (przekład s. 83) widnieje błąd w hebrajskiej rocznej dacie śmierci cadyka – 5675, a powinno być 5575. Na s. 67 (przekład s. 66) mowa o Hirschu Doktorze zamiast Hirschu Doktorowiczu, czyli

⁴ J. Z.: *Lublin [w:] Almanach gmin żydowskich w Polsce*. Red. J. Zineman, Warszawa 1939, ss. 133-147.

⁵ Majer Bałaban: *Di jidn-sztot Lublin*. Wstęp i tłum. A. L. Szushajm. Central-Farband fun Pojlisze Jidn in Argentine, Buenos Aires 1947.

⁶ Majer Bałaban: *Żydowskie miasto w Lublinie. Z rysunkami Karla Richarda Henkera*. Przeł. z niemieckiego Jan Doktor. Wydawnictwo FIS Marek Gacka, Lublin 1991.

⁷ Jan Lewandowski: *Dwie strony Majera Bałabana*. „Gazeta w Lublinie” 13.04.1992, s. 6; Andrzej Trzciniński: „Żydowskie miasto w Lublinie”. „Kresy” 1992, nr 12, ss. 220-222.

synu Mojżesza Doktora (por. s. 26, 91). W kilku miejscach (ss. 93, 94, 107; przekład ss. 92, 94, 104) Bałaban pisze o zniszczeniu synagog Maharszala i Maharama w 1856 roku przez pożar. Według obecnego stanu wiedzy powodem zniszczenia było zawalenie się sklepień w synagodze Maharszala z powodu wieloletnich zaniedbań stanu dachu, co nastąpiło 7 października 1854 roku. Dostrzegamy też błędy merytoryczne w podpisach dwu ilustracji – nr 42 i 43. Ukazane tam elementy pochodzą z ogrodzenia bimy w synagodze Maharama, a nie Maharszala. Wskażmy też „typowe” błędy drukarskie, takie jak tzw. literówki (zwłaszcza w przypisach), albo brak w tekście oznaczeń niektórych przypisów (jak w rozdziale XII).

Przejdźmy teraz do uwag dotyczących przekładu. Zaczniemy od kwestii terminologicznych. Majer Bałaban stosuje krótki termin „Ritualprozesse” (np. ss. 58, 68, 72, 86, 92) – stanowiący skrót myślowy, bowiem owe procesy dotyczyły oskarżeń o tzw. morderstwa rytualne, o profanację hostii, o nakłanianie do konwersji na judaizm. W języku polskim nie ma adekwatnego osobnego terminu, lecz tłumaczenie „proces o mord rytualny” (s. 58, 67, 71, 74, 86, 92) – także będące niefortunnym skrótem myślowym – nie podaje w wątpliwość istnienia mordów rytualnych oraz zawęża problem; powinno być raczej: „procesy związane z oskarżeniami o przestępstwa o charakterze rytualnym”. I w tym miejscu zasadny byłby przypis tłumacza. W innym miejscu Bałaban zastosował podobny karkołomny skrót myślowy: *der Verbrennungsprozess der Brüder Reizes in Lemberg 1728* (s. 72), co zostało przetłumaczone jako – *sąd nad braćmi Reices we Lwowie w 1728 roku* (s. 71), a w istocie autorowi chodziło o proces, w wyniku którego dokonano egzekucji wyroku poprzez spalenie osądzonych na stosie. W kilku miejscach (np. ss. 38, 69, 72, 103) pozostało tłumaczenie terminu „Landsmannschaft” jako „ziomkostwo”, który w kontekście omawianego okresu ma znaczenie „ziemstwo” jako jednostka organizacji samorządowej. Zwrot Bałabana „sassen in der Landsmannschaft” (s. 70) przełożony został jako „zasiadali w ziomkostwie” (s. 69), a przecież jego sensem jest to, że zasiadali jako delegaci ziemstwa. Podobnie lwowski „Landesrabbinat” (s. 38) to rabinat ziemstwa, a nie „rabinat krajowy” (s. 39); „Landsmannschaft Lublin” (s. 103) to ziemstwo lubelskie, a nie „ziomkostwo Lublin” (s. 103).

Określenie „Frauenshule” (s. 91) przetłumaczono jako „szkoła dla kobiet” (s. 91) – ten staropolski termin (szkoła = bóżnica) bywa opacznie rozumiany nawet przez historyków i lepiej stosować jego polski odpowiednik: „babiniec”. Podobnie „Talmudthoraschule” (s. 95), oddana jako „szkoła Tory i Talmudu” (s. 95), ma swój polski ekwiwalent: „szkoła Talmud-Tora”, w znaczeniu – „szkoła nauczania Tory”. Z kolei – odnośnie do nazw własnych bóżnic – we fragmencie *Synagoga Parnasu założona przez Abrahama Heilperna* (s. 91, analogicznie na s. 75 oraz w podpisach do ilustracji 32 i 33) odczuwamy brak zrozumienia sensu oryginalnego zdania, zważywszy, że wystarczyło wiernie przetłumaczyć sformułowanie Bałabana: „Synagoge des Parnas, d. i. des Abraham Heilpern” (s. 92), czyli – „synagoga Parnasa, to jest Abrahama Heilperna”. Hebrajskie słowo „parnas” („żywiciel”, ale też „przewodniczący”, „zwierzchnik”, „naczelnik”) występuje tu jako przezwisko tegoż lubelskiego rabina i marszałka sejmu żydowskiego. Niezbyt szczęśliwe jest nazwanie bóżnicy kotlarzy („Kotlerschul”, s. 67) „Kotlarnią” (s. 66). Określenie „Schneiderschule” (s. 107) oddane jako „szkoła krawiecka” (s. 104) na pewno nie skojarzy się czytelnikom w kontekście wymienionych obiektów z bóżnicą krawców.

Jako historyk sztuki uczulony jestem zwłaszcza na niezrozumienie istoty rzeczy w opisie elementów kultury materialnej, stosowanie nieodpowiedniej terminologii, jak też upraszczanie (np. opisu architektonicznego bóżnicy im. Saula Wahla, s. 89). Zagęszczenie takich zniekształceń dostrzegamy zwłaszcza w ostatnim rozdziale, gdzie znajdują się przecież unikatowe opisy niezachowanych obiektów. Na określenie dwu typowych planów bóżnic (ss. 92-93) powinno się stosować

terminy przyjęte w polskiej literaturze przedmiotu, czyli: „założenie podłużne” i „założenie centralne”. Zdanie *Polskie synagogi miały swoje cechy charakterystyczne* (s. 104) powinno brzmieć – *Także od strony zewnętrznej synagogi miały swoje charakterystyczne cechy* (por. tekst niemiecki s. 107). Mylone są ze sobą dwa główne obiekty wyposażenia bóżnic. Określenie „heilige Lade” (s. 44) – „święta skrzynia”, czyli „aron ha-kodesz”, oddane zostało jako „bima” (s. 44). Podobnie na s. 91, zamiast „ściany wschodniej z szafą na Torę” („Thoraschrein”, s. 91) mamy „ścianę wschodnią z bimą”. „Kranzgesims” to gzyms koronujący lub wieńczący (a nie „główny”, s. 93). Termin „Decke” wypada tłumaczyć z wycuciem – zaznaczając, gdzie chodzi o sufit, a gdzie o strop. Opis *durchbrochenen Wölbungen, ausgebrannten und verregneten Decken* (s. 88) przetłumaczono jako *sklepienia są popękane i wypalone, dach przecieka* (s. 88), choć powinno być: *sklepienia podziurawione, stropy wypalone i przemoknięte od deszczu*. We frazie *Bogenstellung steht, die die flache Decke stützt* (s. 94) „Decke” to „strop”, a nie „dach” (s. 94). „Mansardendach” (s. 89) natomiast to nie „poddasze” (s. 88), lecz „dach mansardowy”, a „Saal mit einer Holzbalkendecke” (s. 92) to raczej „sala z drewnianym stropem belkowym”, a nie „sala z sufitem z drewnianych bali” (s. 91). Niezrozumiałą jest opis centralnej podpory sali męskiej (z kuriozalnym określeniem „sklepienie dachu”): *Niekiedy ta środkowa podpora składa się z czterech filarów połączonych łukami, które podtrzymują gzyms główny, z którego w górę wznosi się sklepienie dachu* (s. 93); powinno być – *Niekiedy składa się ta centralna podpora z czterech wiązek kolumn, które za pośrednictwem arkad wspierają jej gzyms wieńczący, na którym spoczywają sploty sklepienia*.

Podobne wycucie należy się określeniom podpór architektonicznych („kolumna”, „filar”, „słup”, ss. 93-94). O bóżnicy Hirsza Doktorowicza czytamy, że znajduje się „w tylnym korytarzu” budynku (s. 91) zamiast „w tylnym trakcie” („Trakte”, s. 91). Zdanie *Beim Eingang sehen wir eine käfigartige kleine Verschaltung; hier beten die Frauen* (s. 92) tłumacz oddał jako: *Przy wejściu widzimy małe przepierzenie w kształcie chrząszcza, za którym modliły się kobiety* (s. 91), a sens jego jest następujący – *Przy wejściu widzimy przypominające klatkę małe pomieszczenie z desek; tu modlą się kobiety*. Zatraca istotę rzeczy fragment przekładu: *W nocy zapalano wielkie świeczniki i piękną menorę dla prowadzącego modły, którą umieszczano po prawej stronie pulpitu. W wielkie święta stawiano na samym pulpicie, podobnie jak przy almemorze, srebrne świeczniki* (s. 94); powinno być – *W nocy zapalano wielkie świeczniki i piękną menorę, która stała na prawo od pulpitu dla prowadzącego modły* [„Vorbeterpult”, przyp. A. T.]. *W wielkie święta stawiano na pulpicie dla prowadzącego modły, jak i na almemorze, srebrne świeczniki*. Chodzi tu o menorę chanukową, która nie służyła jako sprzęt oświetleniowy dla chazana. Z kolei w zdaniu *Ze wszystkich drogocennych mebli pozostał dziś tylko ośmioramienny lichtarz* (s. 75) menora chanukowa stała się meblem (por. tekst niemiecki s. 76: „Geräten” – „sprzęty”). Dla terminu „Thoraschild” (s. 94) polskim odpowiednikiem jest „tarcza na Torę” lub „tarcza na rodał”, a nie „okładka Tory” (s. 94 oraz podpis do ilustracji 59). Na s. 96 czytamy: *Najstarszy nagrobek pochodzi z roku 1541 i leży na grobie uczonego*; jak wiadomo, typowe nagrobki żydowskie (w tym stela Jakowa Kopelmana ha-Lewi) nie leżą, lecz stoją, a sam Bałaban użył tu wyrażenia „gehört dem Gelehrten” (s. 96) – „należy do uczonego”.

W tej kategorii grzechów przekładu mieszczą się też niektóre podpisy pod ilustracjami, które należałoby z większym wycuciem przystosować do języka polskiego. Podpis do ilustracji 37: „Grundriss und Schnitt der Maharschalschul”, to nie „Szkic Maharszalszul”, lecz „Rzut przyziemia i przekrój Maharszalszul”. Zamiast „Głowa filaru z almemoru Maharszalszul” (ryc. 43) powinno być: *Zwieńczenie słupa balustrady almemoru Maharamszul* (uwzględniając wspomnianą wcześniej pomyłkę Bałabana). W niemieckim podpisie do ilustracji 45 wymieniona została technika trybowania, zatem zamiast „Kuta misa z brązu”

wypadałoby dać „Misa z blachy mosiężnej trybowanej”. Podobnie podpis pod ilustracją 59: „Okładka Tory z kutego srebra” (pomijając już szyk zdania) lepiej brzmiałaby jako „Tarcza na Torę, blacha srebrna trybowana”. W odniesieniu do terminologii z zakresu technik plastycznych, a konkretnie miedziorytu ukazującego widok Lublina (ryc. 1), niefrasobliwie brzmi określenie, że artysta kościoły „namalował” (s. 85); Bałaban użył adekwatnego „bezeichnet und dargestellt” (s. 85) – „oznaczył i przedstawił”.

W wielu miejscach podane zostały inne niż w tekście oryginału nazwy jednostek monetarnych – zamiast florenów, marek, dukatów mamy złote lub grzywny (m.in. ss. 46, 55, 59, 61, 63, 64, 65, 75), przy czym zamiast „30 000 fl.” mamy „300 tysięcy złotych” (s. 46).

Następna kategoria grzechów, o jaką już się otarliśmy, to – nie wiadomo, z jakiego powodu – dowolne redukowanie lub dodawanie tekstu przez tłumacza lub zmiana znaczeń. Na s. 11 czytamy „gdzie do tej pory stał żydowski szpital” zamiast „gdzie do tej pory znajdował się żydowski cmentarz” (por. tekst niemiecki s. 10). Na s. 12 pojawia się zdanie „Na placu tym gmina żydowska zbudowała akademię talmudyczną”, lecz zginął jego dalszy ciąg – „i synagogę” (tekst niemiecki s. 10). Na s. 16 mamy „który wraz z rabinem krakowskim” zamiast „który w roku 1541 wraz z rabinem krakowskim”. Na s. 17 (w. 6-7 od dołu, por. tekst niemiecki s. 15) autor przekładu dopisał do tekstu głównego partie, których nie ma w oryginale, a które mogłyby znaleźć się w przypisie tłumacza jako objaśnienie dla czytelnika. U Bałabana czytamy: *Stammvater Mose Fischel mit Rasska, einer Hoffjüdin der polnischen Könige Johann Albert und Alexander, verheiratet ist, czyli – Ojciec rodu, Mojżesz Fiszel, ożeniony był z Raszką, która była Żydówką dworską polskich królów Jana Olbrachta i Aleksandra*. Natomiast w omawianym tłumaczeniu zdanie to brzmi: *Założyciel rodu Mojżesz Fiszel był ożeniony z Rachelą, czyli Raszką, która była „dostawczynią” na dworze królowej matki Elżbiety i dzięki temu zawarła znajomość z królewiczami Janem, Albertem i Aleksandrem*. Ponadto niepotrzebny przecinek między imionami sprawił, że mowa tam o trzech królewiczach, choć chodzi o dwu synów króla Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety Rakuszanki – Jana Olbrachta oraz Aleksandra. Na s. 19 widnieje „Mojżeszem Isserlesem” zamiast „Mojżeszem Isserlesem w Krakowie” (tekst niemiecki s. 18). U dołu s. 22, przy opisie obowiązków sędziów (tekst niemiecki s. 20), tłumacz dodał od siebie, że urzędowali oni „przez dwie godziny”. W odniesieniu do wydarzeń z 1639 roku określenie „der blutige Ritualprozess von Łęczycza” (s. 34) przełożone zostało jako „proces o mord rytualny w Łęcznej” (s. 35). Pomijając niuanse sensu, mamy do czynienia z „korektą” nazwy miejscowości, mimo że Bałaban powołał się na teksty źródłowe. Jeśli tłumacz żywił jakieś wątpliwości, powinien je przedstawić w przypisie. Konsekwencją tej „korekty” jest wprowadzenie owej błędnej informacji do obiegu naukowego przez Hannę Węgrzynkę⁸, która korzystała tylko z przekładu Jana Doktora. Z wyliczenia „Wechsel und Membrane (Mamrane)” (s. 39) zostały tylko „weksle” (s. 39). Ewentualnie w przypisie powinien się znaleźć komentarz („a w istocie o sabataistyczną herezję”) dodany przez tłumacza do zdania Bałabana (s. 70, por. tekst niemiecki ss. 70, 71). Na s. 74, przy wymienianiu grupy protestujących Żydów, część personaliów została zmieniona, część zniknęła; czytamy tam *Wolf Zamojski pospołu z Berkiem Abusiewiczem i Izraelem Tabernikiem*, choć powinno być *Wolf Zamojski syn Zyskinda, Koplowicz Hirsch syn Abusa, z Lejbem Szmuklerzem i Izraelem Kuśnierzem* (por. tekst niemiecki s. 75).

Zamiast „cmentarz ze skromnymi białymi nagrobkami” (por. tekst niemiecki s. 80) mamy „cmentarz z prostymi małymi nagrobkami” (s. 79). Na s. 91 czytamy: *usunęli z niej wszystko, co było stare i piękne, w miejsce ironicznego „was »alt und unschön« war”* (s. 91). Początek akapitu na s. 93: „Maharamszul w Lublinie nale-

⁸ Zob. Hanna Węgrzynka: *„Czarna legenda” Żydów. Procesy o rzekome mordy rytualne w dawnej Polsce*. Warszawa 1995, s. 193.

ży” powinien brzmieć „Maharszalszul w Lublinie należy”, bowiem to opis właśnie tej synagogi w tym miejscu się rozpoczyna (tekst niemiecki s. 93), natomiast na s. 95 (w. 17 od góry) zamiast nazwy „Maharszalszul” pojawia się „Maharszul”. Fragment dotyczący synagogi Maharama: *dieser alten Synagoge, die im Kriege für militärische Gottesdienste verwendet wurde* (s. 94), czyli – *tej starej synagogi, która podczas wojny wykorzystywana jest do nabożeństw wojskowych*, ma inny sens niż w omawianym przekładzie: *tej starej synagogi, która teraz, w chaosie wojny, jest wykorzystywana do celów wojskowych* (s. 94). W opisie cmentarza zamiast *Kiedyś była tu także kostnica* (s. 96) powinno być *Kiedyś – dopóki cmentarz był używany – była tu także kostnica* (por. tekst niemiecki s. 96); na tejże samej stronie, w przedostatnim akapicie, w miejsce „po północnej stronie” tłumacz powinien napisać „po zachodniej stronie” („gegen Westen”).

W omawianej książce pojawia się jedyny znany dotychczas opis nieistniejącego już „małego żydowskiego cmentarza wojskowego”, a nie „małego cmentarza wojskowego” (s. 100), o którym czytamy dalej: *Smutno brzmią długie epitafia, które dotąd nie zostały jeszcze wyrzeźbione na nagrobkach*, choć powinno być – *Smutno usposabiają długie rzędy grobów, do dziś nieoznaczone jakimkolwiek nagrobkiem i nieozdobione żadnym kwiatem*. Ponadto wkraść się błąd w dacie założenia owego cmentarza – podano rok 1915, a nie 1918. Z kolei właściwy sens frazy przetłumaczonej jako: *obie miejscowości tworzyły jedną gminę* to – *obie miejscowości tworzyły jedną gminę żydowską*.

Czytając rozdział XII, stwierdzamy, że usunięte zostały z tekstu wszystkie odnośniki do ilustracji, a przecież w tej właśnie części autor szczególnie często odsyła czytelników do rysunków ukazujących wygląd opisywanych miejsc i obiektów. Mocno zredukowano też podpisy. Pod ilustracjami 49 i 50 widnieje opis „Widok z cmentarza” zamiast „Widok fragmentu starego cmentarza żydowskiego”. Pod ilustracją 51 zamiast *Nagrobek Abrahama Heilperna (Artemis z łukiem)* powinno być *Zwieńczenie nagrobka Abrahama syna Chaima Heilperna, przedostatniego przewodniczącego sejmiku żydowskiego. Zm. 15 cheswan 1762*; zaś pod ilustracją 52: *Zwieńczenie nagrobka młodego uczonego. Zm. 1 adar 1824* zamiast – „Nagrobek młodego uczonego”. Wreszcie pod ilustracją 53 czytamy: „Nagrobek Jekutiela Zellmana” zamiast – *Zwieńczenie nagrobka uczonego Jekutiela Zalmana syna Eliezera. Zm. 15 szwat 1810*.

Jeśli chodzi o błędy w datach, czy w ogóle w zapisach liczb – z czym po części mieliśmy już do czynienia – można by je traktować jako „literówki”, gdyby nie to, że mogą zostać niezauważone, a przez to groźne w skutkach. Opisany na początku rozdziału XII stan Krakowskiego Przedmieścia nie dotyczy „XVIII wieku”, lecz „XVII” (s. 85). Na s. 89 mówi się o pewnym zwyczaju odbywającym się w „święto Simchat Tora” (które przypada 23 tiszri), natomiast tłumacz zamienił tę nazwę na „Kuczki” (s. 89), które to święto (zwane także „Sukot”) obejmuje przedział czasu od 15 do 21 tiszri. Wyrażenie „am 16. Oktober 1656” (s. 93) zostało zredukowane do „w październiku 1656” (s. 92), zaś datę 12. VII (s. 103) zmieniono na „12 czerwca” (s. 104). Adres bóżnicy Parnasa to Szeroka 44, a nie „Szeroka 4” (s. 75). W podpisie do ilustracji 28 pełny adres to Zamkowa 2.

Przyjrzyjmy się jeszcze błędom w zapisach nazw własnych – osób, miejscowości itp. Starosta „Johannes de Pilcza” (s. 7) w języku polskim występuje jako „Jan z Pilczy”, względnie „Jan Pilecki”, a nie „Jan z Pilcza” (s. 9). „Samuel Eliezer ha-Lewi Ejdeles” to „Maharsza” (s. 25) – akronim od hebrajskiego „morejnu ha-rav Szmuel Edels”, a nie „Maharszal” (s. 27). Poprawna forma patronimikum doktora Samuela (tekst niemiecki s. 26) to „Matitjahu”, a nie „Matijahu” (s. 28). Nazwisko rodowe Eibenschütz pochodzi od nazwy miejscowości w ten sposób zapisywanej w języku niemieckim i taką właśnie formę przyjął Bałaban (ss. 70 nn.), natomiast propozycje wariantów wyglądają na błędy literowe. Właściwe brzmienie innego pojawiającego się w pracy nazwiska rodowego to Kacenellen-

bogen, a nie „Kacellenbogen” (s. 89). Odpowiednikiem imienia Samuel (s. 84) nie jest „Szlomo” (s. 83), lecz Szmuel. Personalia cadyka z Izbicy, zapisane przez Bałabana jako „Mordche Joseph” (s. 95), zamienione zostały na „Józefa Mordkego” (s. 95), a taka „korekta” kolejności imion, gdy weźmiemy pod uwagę, że wówczas nie używano nazwisk, to poważny błąd. W ogólnie przyjętym spolszczonym zapisie powinno być: „Mordechaj Józef”. Miejscowość występująca we fragmencie dotyczącym personaliów wielkiego magida, ucznia Baal Szem Towa, to Międzyrzecz (s. 77 nn.) zwany Ostrogskim lub Wołyńskim, a nie Międzyrzec (ss. 76 nn.). Użyty przez Bałabana zwrot „von Sawina” (s. 40), dotyczący miasta koło Chełma, powinien zostać przetłumaczony jako „z Sawina”, a nie „z Sawiny” (s. 41). Podobnie podana przez niego nazwa miasta „Lubom” (s. 107), która w przekładzie winna uzyskać formę „w Lubomli” (chodzi o Luboml w dawnym województwie ruskim), a nie „w Lubomiu” (s. 104). Przy okazji jeszcze słowo o innych nazwach własnych. Określenie bractwa dobroczynnego, w zapisie niemieckim „Achieser” (s. 88), ma w języku polskim odpowiednik „Achi Ezer”, a nie „Achizer” (s. 88). Tytuł czasopisma wymienionego na s. 95 to – jeśli trzymać się polskich norm – „Ha-Melic”, a nie *Hamelic*, natomiast właściwa łacińska nazwa komisji dobrego porządku (ss. 59, 61) brzmi „boni ordinis”.

Niektóre nieścisłości przekładu wynikają z nieznamomości wyglądu opisywanych miejsc i lokalnego nazewnictwa. Zwrot zastosowany w odniesieniu do Bramy Krakowskiej: „wir passieren das Tor” (s. 86) powinien zostać oddany jako „przechodzimy przez bramę”, a nie „mijamy bramę” (s. 86). Dla określenia „Schlosskirche in Lublin” (s. 93) odpowiednie jest wyrażenie „kaplica zamkowa”, a nie „kościół zamkowy” (s. 93). W kontekście opisu wzgórza Grodzisko „Topographie des Ortes” (s. 96) oznacza „ukształtowanie terenu”, a nie „topologię miejsca” (s. 96).

Wskazując poważniejsze różnice między tekstem oryginału a przekładem, należy zwrócić uwagę na skrócenie cytowanego dokumentu źródłowego (s. 58; tekst niemiecki ss. 58-59) oraz pominięcie wiersza o dzielnicy żydowskiej w Wilnie (s. 88 – tu tłumacz nie zaznaczył interwencji w tekst; por. tekst niemiecki s. 88). Znacznie poszerzony został natomiast cytat dokumentu źródłowego z 1648 roku (ss. 45-49, por. tekst niemiecki ss. 45-47). Niektóre wolne przekłady fragmentów inskrypcji nagrobkowych dokonane przez Bałabana tłumacz zastąpił ich pełnymi wersjami, znanymi mu z nowych opracowań (ss. 20, 26, 28, 83-84). O tych większych zmianach poinformował w *Uwagach tłumacza* (s. 111), wskazując wykorzystane opracowania, choć nie wszystkie (brak adresu edycji nagrobków z XVII wieku). Należy także skomentować umieszczoną przez niego w przypisie wzmiankę odnoszącą się do nagrobka Szaloma Szachny: *Oto inskrypcja wyryta na (niezachowanym już dzisiaj) nagrobku* (s. 20). Otóż nagrobek Szaloma Szachny przetrwał do dziś, a jego pełna inwentaryzacja znajduje się w opracowaniu, z którego tłumacz zaczerpnął przekład inskrypcji. Natomiast do przekładu inskrypcji na ss. 83-84 wkraśli się błędy: zamiast „świata naszych oczu” powinno być „światła naszych oczu”, a zamiast „mana i mistrza” – „pana i mistrza”. Do znaczniejszych różnic między oryginałem a przekładem należy też przeniesienie przez tłumacza obszernego komentarza z przypisów rozdziału XII (ze s. 107) do *Uwag ogólnych* (s. 104).

Osobnego komentarza wymaga część książki zawierająca omówienie przywoływanej przez Bałabana literatury oraz przypisy (s. 102 nn.). Autor posłużył się bardzo zredukowanymi zapisami bibliograficznymi, które mogą okazać się niezrozumiałe dla czytelników próbujących np. odnaleźć wskazane tam publikacje. Co więcej, niektóre adresy podane zostały błędnie. Zatem, przy równoległej edycji reprintu i przekładu, formy użyte przez Bałabana (jako zabytki językowe epoki) powinny znaleźć się tylko w tomie niemieckojęzycznym, natomiast w tomie polskojęzycznym wypadałoby podać pełne adresy bibliograficzne sporządzone

według współczesnych standardów (jeśli nie w tekście, to choćby w osobnym komentarzu od tłumacza bądź od redakcji). Oto kilka przykładów. Na s. 102 czytamy: *einige Führer durch die Altstadt (Roniker, Ciszewski) / przewodników po Starym Mieście (Ronikera, Ciszewskiego)* (tu i dalej nie komentuję kolejnych redukcji zdań Bałabana dokonanych przez tłumacza). Pełny adres pierwszego z tych przewodników to – Maria Antonina Ronikerowa: *Ilustrowany przewodnik po Lublinie*. Warszawa 1901. W przypadku drugiego z nich niewątpliwie mamy do czynienia z błędnie zapisanym nazwiskiem – zapewne chodzi o Tadeusza Ciświckiego: *Jak zwiedzić w ciągu jednego dnia pamiątki Lublina*. Lublin 1908 (może też tegoż: „Najważniejsze pamiątki Lublina” na podstawie nowych źródeł. Lublin 1917)⁹. „Werk Eisenstadt-Wiener, Daat Kdoschin” / „praca Eisenstadt-Wienera (Daat Kdoszin)” to – Jisrael Towija Ajzensztat (Eisenstadt): *Daat kedoszim. Kolel zichronot le-toldot ha-miszpacha...* Red. Szmuel Wiener. Sankt Peterburg 1897-1898. W niektórych przypadkach użyte przez Bałabana określenia nie mają nic wspólnego z tytułem, jak „Album Nissenbaums” / „album Nissenbauma” (s. 102 i dalej w przypisach). Poprawny adres to – Szlomo Baruch Nisenbaum: *Jewrejskije nadgrobnije pamjatniki goroda Ljublina (XVI-XIX w.). Fotograficzeskije snimki s tekstami nadpisej i objasnienijami* [dodatek do] „Jewrejskaja Starina” S. Peterburg 1913, R. V, t. 6 (oddzielna paginacja), przy czym w charakterystyce tej publikacji czytamy *mit 27 Photographien der historisch wichtigsten Leichensteine*, co tłumacz przeinaczył na *z fotografiami 27 najważniejszych z punktu widzenia historyka nagrobków*, choć liczba fotografii nie pokrywa się z liczbą nagrobków.

O wzmiankowanym leksykonie Leona Szpera Bałaban pisze, że „ist aber erst im Entstehen” (s. 102), czyli „jest jeszcze w zaczątku”, co tłumacz przekłada – „jeszcze się nie ukazała”. Podany przez Bałabana w języku niemieckim tytuł polskojęzycznej publikacji Leona Szpera drukowanej w odcinkach w czasopiśmie „Myśl Żydowska” przetłumaczony został jako *Przyczynki do dziejów żydów w Lublinie*, choć właściwa jego forma to *Dzieje Żydów w Lublinie (od w. XIII do XX)*. Powtórzony za Bałabanem zapis „Bierschadzki (Russko-jewrejskij Archiw, t. 3)” wypadłoby rozwinąć (rezygnując z niemieckiego zapisu nazwiska) – Sergiej Aleksandrowicz Berszadzki: *Russko-jewrejskij archiw. Dokumenty i materialy dla istorii Jewrejew w Rossii*. T. III. *Dokumenty k istorii polskich i litowskich Jewrejew (1364-1569)*. S. Peterburg 1903 (w przypisach występuje ponadto forma Berschadzki). Jeszcze kilka uwag tego rodzaju (pomijamy literówki i niekonsekwentne stosowanie kursywy): w przypisie 7 do rozdziału II pozostawienie w przekładzie tytułu w języku niemieckim nie jest zasadne, bowiem praca ta ukazała się w języku polskim jako *Dzieje Żydów w Krakowie i na Kazimierzu (1304-1868)*. T. 1. *1304-1655*. Kraków 1912; w przypisie 25 do tego samego rozdziału zamiast „Lublin” w adresie źródła powinno być „lublin.” (skrót formy przymiotnikowej); natomiast w przypisie 27 tłumacz opuścił odnośnik do wydania, z którego pochodzi cytat.

W przypisie 2 do rozdziału III tłumacz zmienił tytuł książki, której pełny adres to – Menachem Mendel Biber: *Mazkeret li-gedolej Ostra*. Berdyczów 1907. I dalej w tym rozdziale: w przypisie 11 zamiast słowa „Gesbichte” powinno być „Geschichte”; w przypisie 13 właściwa data wydania to rok 1913, a nie 1013; a w przypisie 17 nazwisko autora powinno brzmieć nie Freidberg, lecz Friedberg. Jeśli chodzi o rozdział V: w przypisie 1 „Wsieobyczajno” należy zmienić na „Wsieobszczo” (także w przypisie 1 do rozdziału IX); w przypisie 6 pełny i poprawny zapis, konsekwentny w stosunku do przekładu polskojęzycznego, powinien mieć formę – Ajzyk (Eisig) Graber: *Ocar ha-sifrut*. Kraków 1896; w przypisie 8 znalazł się niepoprawny tytuł książki Bałabana (powielający błąd autora w oryginale), podczas gdy właściwy zapis to – *Dzieje Żydów w Krakowie i na Kazimierzu...* (identycznie w przypisie 1 do rozdziału IX). Natomiast w rozdziale VII od przypis-

⁹ Za identyfikację Tadeusza Ciświckiego dziękuję p. Edycie K. Ścibor z Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie.

su 5 występują luki w tekście oraz opuszczenia numeracji i kolejności przypisów. Wreszcie w *Spisie ilustracji* (na s. 119) pominięty został wykaz dwunastu rysunków służących jako winiety na końcach rozdziałów.

Książka Majera Bałabana nadal stanowi w podejmowanym zakresie bogate kompendium wiedzy, do którego sięgają zarówno amatorzy, jak i profesjonalści. Już to może służyć za dostateczny powód, by w ramach współczesnej edycji opatrzyć tekst indeksami – osób oraz nazw geograficznych i toponimów. Tym bardziej że w polskim przekładzie zrezygnowano ze szczegółowego spisu treści, który w oryginale stanowił swojego rodzaju indeks rzeczowy dla czytelnika.

Miejmy jednak jeszcze nadzieję na rzetelną edycję przekładu. Do trzech razy sztuka...

Majer Bałaban: *Die Judenstadt von Lublin, mit Zeichnungen von Karl Richard Henker*. Nachwort Hartmut Egger, Nachdruck der Ausgabe von 1919. Wyd. Ośrodek „Brama Grodzka Teatr NN”, Lublin 2012.

Majer Bałaban: *Żydowskie miasto w Lublinie, z rysunkami Karla Richarda Henkera*. Z niemieckiego przełożył Jan Doktor, posłowie Hartmut Egger. Wyd. Ośrodek „Brama Grodzka Teatr NN”, Lublin 2012.

ŁUKASZ BABUŁA

LUBELSKIE JUDAİKA

Śladami Żydów. Lubelszczyzna to od dawna wyczekiwana publikacja, która zabiera czytelników w odległy i częściowo zapomniany już świat żydowskich sztetli. Świat ten odszedł bezpowrotnie, ale zostały po nim tytułowe „ślady”, czyli – mówiąc ogólnie – dziedzictwo żydowskie uobecniająca się zarówno w kulturze materialnej, jak i duchowej/umysłowej.

Lubelszczyzna ze swoją długą i bogatą wielokulturową historią z pewnością zasługuje na taki przewodnik, tym bardziej że do tej pory ukazało się niewiele krajoznawczych publikacji, w których zostały omówione judaika z tego obszaru. Pozwólmy sobie na wrywkową retrospekcję, by na wybranych przykładach przypomnieć, jakie miejsce zajmowała tego rodzaju tematyka w wydanych wcześniej przewodnikach poświęconych Lubelszczyźnie jako całości bądź jej poszczególnym miejscowościom.

Pierwszą bodajże tego typu publikacją był *Ilustrowany przewodnik po Lublinie* autorstwa Marii Antoniny Ronikierowej, wydany w Warszawie w 1901 roku nakładem własnym autorki¹. W książce tej znalazł się rozdział poświęcony zabytkom żydowskim, w którym na pięciu stronach opisane zostały lubelskie cmentarze i synagogi. Zupełny ewenement stanowi natomiast książka *Die Judenstadt von Lublin* napisana przez znakomitego historyka żydowskiego Majera Bałabana, z ilustracjami Karla Richarda Henkera (wydana w 1919 roku w Berlinie)². Praca ta, mająca w pierwotnej koncepcji stanowić przewodnik po dzielnicy żydowskiej, rozrosła się w zbiór esejów historycznych, a rzeczywisty przewodnik obejmuje ostatecznie jedynie XII rozdział publikacji (*Rundgang durch das Ghetto*, ss. 85-101), w którym autor oprowadza czytelników po żydowskim Lublinie. Należy dodać, że przekład tej książki na język polski wydano dopiero w 1991 roku, zaś w 2012 roku ukazał się reprint oryginału wraz z poprawionym tłumaczeniem³. W 1931 roku Oddział Lubelski Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego opubliko-

¹ Maria Antonina Ronikierowa: *Ilustrowany przewodnik po Lublinie*. Wydane nakładem własnym autora, Warszawa 1901 (reprint – Lublin 1992).

² Majer Bałaban: *Die Judenstadt von Lublin, mit Zeichnungen von Karl Richard Henker*. Jüdischer Verlag, Berlin 1919.

³ Majer Bałaban: *Żydowskie miasto w Lublinie, z rysunkami Karla Richarda Henkera*. Przeł. z niemieckiego Jan Doktor. Wydawnictwo FIS Marek Gacka, Lublin 1991; Majer Bałaban: *Die Judenstadt von Lublin, mit Zeichnungen von Karl Richard Henker*. Nachwort Hartmut Egger, Nachdruck der Ausgabe von 1919. Ośrodek „Brama Grodzka Teatr NN”, Lublin 2012; Majer Bałaban: *Żydowskie miasto w Lublinie, z rysunkami Karla Richarda Henkera*. Z niemieckiego przełożył Jan Doktor, posłowie Hartmut Egger. Ośrodek „Brama Grodzka Teatr NN”, Lublin 2012.

wał *Ilustrowany przewodnik po Lublinie* pod redakcją Stefana Uziembły⁴. Znalazły się w nim jednak tylko wzmianki o starym cmentarzu, dzielnicy żydowskiej i jej synagogach oraz o bóżnicy na Wieniawie.

W okresie PRL, jak wiadomo, prace o mniejszościach narodowych (a zwłaszcza o Żydach) podlegały cenzurze. Publikacją literatury krajoznawczej w regionie zajmował się Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej. Spośród stosunkowo licznych wydanych wówczas przewodników poświęconych poszczególnym miejscowościom, weźmy pod uwagę wyłącznie książki dotyczące dwóch miast, w których do naszych czasów przetrwały ważne żydowskie zabytki: w przewodniku po Lublinie wydanym w 1983 roku znalazły się jedynie wzmianki o starym cmentarzu oraz jesyzybocie⁵, natomiast w przewodniku po Zamościu, opublikowanym w 1988 roku, zamieszczono krótkie informacje o synagodze głównej, budynku kahału i nowym cmentarzu⁶.

Po 1989 roku nastąpił wyraźny wzrost ilościowy i jakościowy publikacji na temat kultury żydowskiej z terenu Lubelszczyzny. Wspomniany Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej już w 1990 roku wydał tematyczny przewodnik *Śladami zabytków kultury żydowskiej na Lubelszczyźnie* opracowany przez Andrzeja Trzcńskiego⁷. W książce tej zaproponowano pięć tras zwiedzania, obejmujących wspólnie trzydzieści cztery miejscowości. W tym samym roku Przemysław Burchard opublikował materiały dotyczące zabytków żydowskich znajdujących się na terenie całej Polski (skopiowane z Żydowskiego Instytutu Historycznego)⁸. W książce zebrano informacje dotyczące dziewięćdziesięciu miejscowości z Lubelszczyzny. Wkrótce ukazały się kolejne przewodniki opracowane przez Andrzeja Trzcńskiego na zamówienie różnych wydawców: w 1991 roku *A Guide to Jewish Lublin and Surroundings* przedstawiający zabytki dwudziestu miejscowości⁹, a w 1996 roku *Landmarks and traces of Jewish Culture in Lublin. Guide Book*, gdzie zaprezentowano trzynaście obiektów z Lublina¹⁰. W 2001 roku Wojewódzki Ośrodek Informacji Turystycznej opublikował kieszonkowy przewodnik *Śladami pamięci Żydów lubelskich*, z tekstem Roberta Kuwałka¹¹. Książka zawiera opis trzynastu miejsc znajdujących się na oznakowanym szlaku turystycznym na terenie Lublina, ponadto ośmiu miejsc leżących poza tym szlakiem. W wydanym w 2002 roku ogólnopolskim przewodniku po judaikach *Śladami Żydów polskich, przewodnik ilustrowany* Adam Dylewski uwzględnił dwanaście miejscowości z rejonu Lubelszczyzny¹². W 2006 roku ukazała się kolejna publikacja Roberta Kuwałka *Z Lublina do Bełżca. Ślady obecności i zagłady Żydów na południowo-wschodniej Lubelszczyźnie*, obejmująca czternaście miejscowości¹³. Jedynym przewodnikiem po judaikach Lubelszczyzny napisanym w języku hebrajskim jest wydany w 2008 roku w Izraelu *Przewodnik dla odwiedzających Lublin. Lublin, trasy wycieczek, Lublin w czasie zagłady* autorstwa Batie Dvir i Alexa Dancyga¹⁴. Zaproponowali oni sześć tras zwiedzania, obejmujących pięćdziesiąt trzy miejscowości regionu lubelskiego.

⁴ *Ilustrowany przewodnik po Lublinie*. Red. Stefan Uziembło. Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, Oddział Lubelski, Lublin 1931 (reprint – Lublin 1994).

⁵ Włodzimierz Wójcikowski: *Lublin*. WOIT, Lublin 1983.

⁶ Tenże: *Zamość*. WOIT, Lublin 1988.

⁷ Andrzej Trzcński: *Śladami zabytków kultury żydowskiej na Lubelszczyźnie*. WOIT i Hotel Orbis-Unia, Lublin 1990 (równoległe w wersji angielskiej – *The Traces of Monuments of Jewish Culture in the Lublin Region*. Transl. M. Sady).

⁸ Przemysław Burchard: *Pamiętki i zabytki kultury żydowskiej w Polsce*. Wydane nakładem własnym autora, Warszawa 1990.

⁹ Andrzej Trzcński: *A Guide to Jewish Lublin and Surroundings*. Transl. D. Molska. Jewish Information & Tourist Bureau, Hotel Unia, Lublin-Warsaw 1991.

¹⁰ Tenże: *Landmarks and traces of Jewish Culture in Lublin. Guide Book*. Transl. M. Perehubka-Chmielewska. AD REM Advertising Agency, Lublin 1996. Kolejne wydania – *Landmarks and traces of Jewish Culture in Lublin. Guide Book*. Transl. M. Adamczyk-Garbowska, M. Perehubka-Chmielewska. Advertising Agency AD REM, Lublin 2005; Tenże: *Przewodnik po zabytkach kultury żydowskiej w Lublinie*. Agencja Reklamy AD REM, Lublin 2006.

¹¹ Robert Kuwałek: *Szlakiem pamięci Żydów lubelskich*. Lubelski Ośrodek Informacji Turystycznej, Lublin 2001 (seria: *Szlaki turystyczne Lublina*).

¹² Adam Dylewski: *Śladami Żydów polskich, przewodnik ilustrowany*. Pascal, Bielsko-Biała 2002.

¹³ Robert Kuwałek: *Z Lublina do Bełżca. Ślady obecności i zagłady Żydów na południowo-wschodniej Lubelszczyźnie*. AD REM, Lublin 2006 (ponadto wersje angielsko- i niemieckojęzyczna).

¹⁴ Batia Dvir, Alex Dancyg: *Maderich le-mesajer be-Lublin. Lublin, maseluli sijurim, Lublin ba-szoa* [Przewodnik dla odwiedzających Lublin. Lublin, trasy wycieczek, Lublin w czasie zagłady]. „Moreszet” Bejt Edut a’sz Mordechaj Anielewicz, Tel Awiw 2008.

Z przeglądu wynika, że Lubelszczyzna nie doczekała się – aż do tej pory – kompleksowego przewodnika po miejscach związanych z kulturą żydowską. Problem ten dotyczy zresztą także innych regionów Polski. Nie brak co prawda częściowych opracowań czy monografii poszczególnych miast i miasteczek, ale prezentują one najczęściej tylko wybrane, najsłynniejsze miejsca i zabytki. W przypadku książki Marty Kubiszyn dla wydawców i autorki ważny był niemal każdy „ślad”, jaki zostawili po sobie Żydzi w krajobrazie kulturowym Lubelszczyzny. Należy wspomnieć, że książka ta wydana została jako druga pozycja z zainicjowanego przez Muzeum Historii Żydów Polskich cyklu przewodników¹⁵.

Marta Kubiszyn jest adiunktem w Zakładzie Kultury i Historii Żydów w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej i od lat współpracuje z Muzeum Historii Żydów Polskich przy redagowaniu tekstów na portalu Wirtualny Sztetl. Autorka podjęła się trudnego zadania stworzenia syntetycznego przewodnika, który przybliżyłby czytelnikom wielowiekową historię Żydów oraz ich dorobek kulturowy. Jak dowiadujemy się ze *Słowa wstępnego* i tekstu *Od redakcji*, pomocne w jej pracy były artykuły różnych autorów poświęcone poszczególnym miejscowościom Lubelszczyzny, powstałe w latach 2008-2010 i umieszczone na wspomnianym portalu. Wszystkie te teksty zostały zweryfikowane i uzupełnione przy współpracy licznych historyków i regionalistów. W rezultacie powstał podręczny przewodnik po dokładnie stu dwóch miastach i miasteczkach w granicach obecnego województwa lubelskiego. Za kryterium doboru posłużył spis powszechny z 1921 roku, a warunkiem uwzględnienia danej miejscowości była liczba ponad 180 zamieszkałych wówczas na jej terenie Żydów.

Tom otwiera artykuł historyka Adama Kopciowskiego *Zarys dziejów Żydów na Lubelszczyźnie* (ss. 9-25), w którym autor omawia dzieje społeczności żydowskiej tego regionu od XV do XX w. Właściwy przewodnik (ss. 26-465) zatytułowano *Sto miejscowości*. Hasła przedmiotowe uporządkowane zostały w kolejności alfabetycznej i mają ujednoczoną strukturę. Autorka przywołuje zarówno dzisiejszą nazwę opisywanej miejscowości, jak i nazwy historyczne (również w innych językach – jidysz, hebrajskim oraz rosyjskim), określa jej lokalizację, a także obecną przynależność administracyjną. Na zamieszczonych obok aktualnych planach kartograficznych naniesione zostały symbole oznaczające istniejące do dziś oraz historyczne już tylko obiekty omawiane w tekście, a także główne ulice, rzeki i tereny zielone. Kolejny element stanowi tabela informująca o liczbie ludności żydowskiej mieszkającej na danym terenie w poszczególnych okresach. Czytelnicy mogą się także zapoznać z krótkim rysem historycznym miejscowości oraz z dziejami tamtejszych Żydów, podzielonymi zwykle na cztery etapy: do 1918 roku, w okresie międzywojennym, podczas holokaustu oraz po II wojnie światowej. Po części historycznej pojawiają się opisy judaików, w tym przede wszystkim cmentarzy, bóżnic, pomników martyrologii oraz innych godnych uwagi miejsc. Ponadto do każdego artykułu hasłowego dołączono krótkie informacje o najważniejszych zabytkach znajdujących się na danym terenie. Objętość poszczególnych artykułów bywa bardzo różna, a zależna jest od wielkości charakteryzowanej miejscowości, liczby zamieszkujących ją niegdyś Żydów, ilości i stanu zachowania bądź rozpoznania judaików czy wreszcie od dostępnych przekazów. Pożyteczny element publikacji stanowi zamieszczony na końcu słowniczek objaśniający sto trzy specjalistyczne terminy judaistyczne wykorzystane w tekście. Książkę zamyka obszerny wykaz bibliografii przedmiotu (ss. 475-488), obejmujący zarówno opracowania ogólne, jak i prace dotyczące poszczególnych miast i miasteczek.

Zaletami omawianego przewodnika są przede wszystkim jego rozległość (opisano sto miejscowości) oraz różnorodność i drobiazgowość opracowania, która znalazła odzwierciedlenie w objętości książki – liczy ona prawie pół tysiąca

¹⁵ Pierwszy przewodnik z tego cyklu to – Maciej Borkowski, Andrzej Kirmiel, Tamara Włodarczyk: *Śladami Żydów. Dolny Śląsk, Opolszczyzna, Ziemia Lubuska*. Muzeum Historii Żydów Polskich, Warszawa 2008.

stron. Na uwagę zasługuje też uwzględnienie obiektów nieistniejących, co stanowi nowość w stosunku do poprzednich publikacji tego typu. Prezentacja szerokiego tła historycznego z położeniem szczególnego nacisku na dzieje Żydów znacznie ułatwia zrozumienie roli, jaką pełnili oni w danej społeczności. Godną pochwałą jest również aktualizacja zasobu źródłowego oraz stanu wiedzy o losach, wyglądzie i obecnej kondycji miejscowych judaików, co dodatkowo uwiarygodniło zamieszczone w książce informacje. Należy ponadto zwrócić uwagę na bogaty i różnorodny materiał ikonograficzny, obejmujący m.in. wiele starych, unikalnych zdjęć, a także pochwalić nowoczesne rozwiązania wizualne i atrakcyjne opracowanie edytorskie. Wydawca zadbał przy tym o odpowiednio wąski format tomu, by można go było nosić w kieszeni, choć nie sprzyja temu jego ciężar.

Śladami Żydów. Lubelszczyzna to książka przede wszystkim dla tych, którzy interesują się historią i kulturą Żydów. Może być także użyteczna dla turystów poszukujących nowych, interesujących obiektów i szlaków oraz dla wszystkich ludzi pragnących uporządkować i uaktualnić swą wiedzę na temat judaików Lubelszczyzny. Jednak być może najważniejszym zadaniem tej publikacji, starannie wydanej i pięknie zilustrowanej, jest stymulowanie ludzkiej wyobraźni i wrażliwości – nieodzownej, by odczuć miniony świat żywej kultury żydowskiej.

Marta Kubiszyn: *Śladami Żydów. Lubelszczyzna*. (Rozdział *Zarys dziejów Żydów na Lubelszczyźnie* napisał Adam Kopciowski.) Stowarzyszenie Panorama Kultur, Lublin 2011, ss. 488.

ANDRZEJ TRZCIŃSKI

O MIASTECZKU, GDZIE STOLARZ BYŁ POETĄ

Sięgając wspomnieniami do „sztetla”, w którym się urodziłem i dorastałem, widzę wyraźnie każdą ulicę, każdy dom i każde ukryte podwórko. Obrazy i wspomnienia z dzieciństwa zostają w naszej pamięci na zawsze (s. 59). Tak rozpoczyna się jedno z trzydziestu dwu opowiadań Philipa Bibela opublikowanych w przekładzie Tomasza Pańczyka w tomie *Szebrzeszin*, wydanym nakładem własnym tłumacza¹. Zarówno autor, jak i tłumacz pochodzą ze Szebrzeszyna. Dwa teksty wstępne Pańczyka (*O autorze* oraz *Od tłumacza*) – zawierające informacje o Bibelu i etapach powstawania książki, o historii spotkania tłumacza z autorem i o polskiej edycji – stanowią same w sobie interesujące opowiadania, stapiające się z całością publikacji. Dla literatury wspomnieniowej, mimo że beletryzowanej, osadzenie w konkretnym czasie i miejscu jest niezbędne, dlatego też rozproszone w tekstach nie zawsze jasne dla czytelnika fragmenty autobiograficzne Pańczyk wspiera notą *O autorze*. Pisarz urodził się w 1909 roku w Szebrzeszynie jako Pinchas Bibel. Jego matka pochodziła z osiadłej od wieków w tym miasteczku rodziny Bęglajbterów, zajmującej się stolarstwem, natomiast ojciec wywodził się z rodziny rabinackiej z Chełma. Takie alianse powodowały, że w sztetlu stolarz był poetą (parafrazując słowa Antoniego Słonimskiego), i istotnie – tyle dowiadujemy się z opowieści Philipa Bibela o jego zajęciach w Szebrzeszynie. Rodzina Pinchasa Bibela stopniowo emigrowała do Ameryki – najpierw ojciec pisarza na początku drugiej dekady XX wieku, w kolejnej turze, w 1926 roku, on sam (jako siedemnastolatek) z matką i rodzeństwem. Osiedli na stałe w Los Angeles. Tam Pinchas-Philip Bibel prowadził firmę stolarską produkującą meble, ponadto zajmował się dziennikarstwem, dramatopisarstwem, poezją, sztukami plastycznymi, grał w teatrze.

Interesujące nas opowiadania z czasów młodości w Szebrzeszynie Philip Bibel zaczął spisywać w języku angielskim od lat 90. XX wieku, gdy przekroczył

¹ Cytaty za omawianym wydaniem.

już osiemdziesiątkę. Nie używał rodzimego języka, bowiem – jak sam stwierdził – *Na świecie zostało już niewiele osób znających jidysz. Maleńka grupka pisarzy nie ma czytelników* (s. 205). Nie bez związku z jego decyzją powrotu poprzez literaturę do okresu życia w sztetlu była lektura *Księgi pamięci Szczebrzeszyna*, wydanej w 1984 roku w językach jidysz i hebrajskim, w której miał swój udział². Angielskojęzyczne opowieści o sztetlu Bibel zaczął publikować – przy pomocy syna – w internecie³, a w 2004 roku ukazały się one w wydaniu książkowym⁴, które stało się podstawą do omawianej tu publikacji.

Tytuł polskiej edycji – *Szebreszin* – to nazwa Szczebrzeszyna w języku jidysz, używana przez żydowskich mieszkańców tego miasteczka. *Tales of the Shtetl* są niczym innym jak autorskim aneksem do *Księgi pamięci Szczebrzeszyna*. Każda typowa księga pamięci zawiera dział poświęcony czasom przed zagładą – jawiącym się w idealizowanych wspomnieniach jako prawie niczym niezmacona egzystencja, epoka szczęśliwości. W ten kanon wpisują się opowieści Bibela. Na początku otrzymujemy garść faktów przemieszanych z legendami z odległej, niemal mitycznej przeszłości miasteczka. Następnie przed naszymi oczami wylania się galeria barwnie ukazanych postaci, zapamiętanych przez młodego Pinchasa: listonosz oraz zegarmistrz, Fajga – pierwsza miłość, lunatyk, prostytutka, złodziej, głupek. Każdy z tych bohaterów sportretowany został w kontekście jakiegoś intrygującego wydarzenia. Wszyscy, jak w greckiej tragedii, skazani są przez los czy Boga na granie swoich ról na scenie sztetla. Nieco poważniej, choć równie barwnie, potraktował autor miejscowych bogaczy: Szperów, Kuperów i Flajszerów. Pełne ciepła i sympatii portrety bliższej rodziny, dalszych kuzynów oraz żydowskich i chrześcijańskich sąsiadów przewijają się w kolejnych opowiadaniach. Cały czas odczuć można dychotomię – my (Żydzi) i oni (chrześcijanie).

Oprócz sylwetek postaci autor prezentuje wydarzenia, a raczej mikrowydarzenia, opowiedziane jednak niezwykle umiejętnie: goszczenie podróżnych, bójka między Polakami w rynku, zagrożenie tumultem, śmierć chrześcijańskiego młodzieńca po nieszczęśliwym wypadku, zaginięcie żydowskiego chłopca w lesie. Ta ostatnia historia (pt. *Na ratunek*), świetnie skonstruowana i zaprezentowana, z przemyślaną dramaturgią, to perełka konceptu, narracji i pointy. Zupełnie odmienne, oparte na wrażeniach akustycznych, jest opowiadanie o ciszy i dźwiękach w miasteczku (*Hałas i muzyka klezmerska*). To także jedna z tych historii, w których autor zestawia na zasadzie kontrastu mityczne czasy sztetla z obecną sytuacją narratora żyjącego na początku XXI wieku w amerykańskiej metropolii. Takie przenikanie się odległych miejsc i czasów narracji – Szczebrzeszyna i Los Angeles – a niekiedy kontynuowanie dawnych wątków, nawet wdzierających się w aktualną rzeczywistość, w czas, gdy pisany jest ten właśnie zbiór opowieści (jak np. w tekście *Talanda*), powoduje, że konwencjonalny świat sztetla staje się bardziej rzeczywisty, bardziej wiarygodny. Trzecia grupa opowieści dotyczy żydowskich zwyczajów religijnych, ubiorów, obrzędów, obchodzonych świąt. Modelowym przykładem jest tu tekst *Szabas w Szczebrzeszynie*. To relacja z przygotowań do święta i z jego przebiegu – z bardzo sugestywnymi opisami tradycyjnych potraw oraz z charakterystyką specyficznych obrzędów i wykorzystywanych w nich przedmiotów – a zarazem przywołanie niepowtarzalnej atmosfery miasteczka (trzeba dodać, że egzotycznej, także dla autora wspominającego ową rzeczywistość w amerykańskiej metropolii po upływie ponad osiemdziesięciu lat).

Wątki dotyczące religii i tradycji przewijają się w wielu opowieściach. Wśród nich znajdujemy wzmianki o żywych do początkowych dekad XX wieku ludo-

² *Sefer zikaron li-kehilat Szebreszin* [Księga pamięci gminy Szczebrzeszyn]. Red. Dow Szuwal. Haifa 1984. Wypada dodać, że w księdze tej zamieszczone zostały trzy utwory literackie Pinchasa Bibela napisane w języku jidysz: wiersz pt. *Polska* (ss. 71-73) i dwa opowiadania – *Szatan pozostaje bez pracy* (ss. 96-99) oraz *Ach, miasteczko ty moje* (ss. 322-325). Wspomniany wiersz w przekładzie Andrzeja Samborskiego dołączony został do antologii *Tam był kiedyś mój dom... Księgi pamięci gmin żydowskich*. Wybór, opracowanie i przedmowa Monika Adamczyk-Garbowska, Adam Kopciowski, Andrzej Trzciniński. Wydawnictwo UMCS, Lublin 2009, ss. 481-483.

³ *Tales from the Shtetel. Short Stories by Philip Bibel*. <http://www.satoriassociates.com/pb/index3ptailes.htm> (10.01.2013).

⁴ Philip Bibel: *Tales of the Shtetl*. Elie Metchnikoff Memorial Library, 2004.

wych zabobonach, takich jak golenie głowy pannie młodej po ślubie, zaślubiny na cmentarzu w celu odpędzenia epidemii czy prośby do cadyka o uczynienie cudu. Autor zwyczajnie te opatruje komentarzami tłumaczącymi ich genezę, sens oraz zawierającymi terminologię w języku jidysz. Czyni to z dystansu, jakby z pozycji etnografa, który nie przestaje jednak ciekawie opowiadać. Powody tego oświeconego zdystansowania autor wyjawia w kilku wypowiedziach. To skutek postawy dziadka i ojca – ludzi religijnych, ale jednocześnie racjonalnych, w czasach epidemii tyfusu przedkładających znaczenie higieny nad efekty modlitwy; w sytuacjach konfliktowych, nawet wśród wrogo nastawionych obcych, woleli oni okazać cierpliwość i wyrozumiałość, a nie złość, gwałtowność i zemstę. Przyjęcie takiej postawy i zamiar nieszokowania potencjalnych czytelników w Polsce, w tym przede wszystkim w Szczecznieszynie, sprawiły, że obraz chrześcijańskich sąsiadów jest w opowiadaniach Bibela znacznie łagodniejszy niż u innych autorów.

Z małych puzzli w miarę czytania powstaje wielowymiarowy obraz typowego sztetla, który zawiera jednak pewne konkretne rysy Szczecznieszyna – oprócz mieszkających tam kiedyś ludzi można rozpoznać znajomą topografię, tamtejsze pejzaże, budynki. Opisy owych miejsc, a raczej ich fantomów z przeszłości, będą zajmujące zwłaszcza dla mieszkańców tych rejonów, ale mogą okazać się interesujące także dla innych osób znających te okolice – wzruszające jest podążanie za autorem wychodzącym ze swego domu w północnej pierzei rynku i zmierzającym drogą koło cerkwi w kierunku cmentarzy.

Z konwencją wspomnieniowych opowieści w księgach pamięci łączy opowiadania Bibela jeszcze jedna cecha – skonstrastowanie szczęśliwego życia w sztetlu z zagładą. To celowe zestawienie zastosował autor w kilku opowiadaniach, np. w *Gartel: W 1942 roku hitlerowcy najechari na moje miasto. Cała rodzina, z długowłosa ciotką włącznie, została zamordowana. Według świadka do końca pozostała dzielna. Trzymała w rękach swoją nowo narodzoną córeczkę, kiedy Niemcy je zastrzelili podczas masowej egzekucji* (s. 55). Czas holokaustu jest wprawdzie poza bezpośrednim doświadczeniem autora, jednak wątki dotyczące zagłady nie mogły się nie pojawić. Ich mocniejszy wydźwięk słyszymy w końcowych opowiadaniach i w *Epilogu*.

Książkę Bibela czyta się z prawdziwą przyjemnością, niemal taką jak opowiadania Isaaca Bashevisa Singera. To zasługa nie tylko autora, lecz także doskonałego przekładu – tak pod względem literackim, jak i merytorycznym. Tłumacz znakomicie przebrnął przez żydowskie zwyczaje, przekładając ich opisy ze zrozumieniem i konsekwentnie stosując poprawną terminologię, co w wypadku takich przedsięwzięć translatorskich nie zawsze się zdarza. Mam jednak pewne uwagi dotyczące przekładu kilku określeń. Tomasz Pańczyk wielokrotnie używa terminu „świątynia” tam, gdzie autor – pisząc o synagodze – stosuje angielskie określenia „house of worship” lub „synagogue” czy jidyszowe „shul”. Ale i sam Bibela przynajmniej raz nie uniknął automatyki „chrześcijańskiego” języka potocznego, pisząc o głównej synagodze „big Temple”. Po wnikliwym przyjrzeniu się wersji angielskiej widzimy też, że w niektórych nazwach polskich miejscowości litery bywają dziwnie poprzestawiane, co nie jest w podobnych sytuacjach rzadkością. Nazbyt chrześcijańskie wydają się też dwa inne terminy zastosowane w przekładzie: w miejsce zwrotu „po mszy” bardziej odpowiednie byłoby wyrażenie „po liturgii synagogalnej”, a w przypadku frazy „posiadał bowiem własną kaplicę w domu” dla angielskiego wyrażenia „prayer room” lepszy odpowiednik stanowiłaby „izba modlitewna” lub jidyszowy „sztibel”. Jeśli mowa o jidyszowych terminach (autor posługuje się nimi w niektórych opowieściach nierzadko, co przydaje owym historiom specyficznego kolorytu), trzeba także zauważyć, że Tomasz Pańczyk zebrał je w słowniczek – bardzo pożyteczny dla czytelników. Definicje opracowano poprawnie, choć specjalista z zakresu judaistyki mógłby mieć do niektórych pewne zastrzeżenia („arka”, „Talmud”, „Chanuka”).

Znakomitym pomysłem było zamieszczenie w tekście dość licznych materiałów ilustracyjnych, na które składają się głównie archiwalne fotografie Szczepieszyna, zdjęcia rodzinne i dokumenty z domowego archiwum Philipa Bibela, a także reprodukcje pieczęci różnych instytucji ze Szczepieszyna i okolic.

Philip Bibel: *Szepieszin*. Z angielskiego przełożył Tomasz Pańczyk. Wydane nakładem własnym tłumacza, Warszawa 2012, ss. 215.

Książki nadesłane

Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”, Rzeszów 2012

Boom i kryzys. Nowe czasopisma literacko-artystyczne i społeczno-kulturalne w Polsce po roku 1980. Praca zbiorowa pod redakcją Magdaleny Rabizo-Birek. Wydawnictwo Uniwersytetu Rzeszowskiego, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza”. Ss. 253+2 nlb.

Janusz Szuber: *Entelechia/Entelequia*. Układ tomiku i tłumaczenie na język hiszpański Zygmunt Wojski. Ss. 63+3 nlb.

Janusz Szuber: *Emeryk u wód*. Ss. 44+4 nlb.

Maski Stasysa

Rozmowa ze Stasysem Eidrigevičiusem

Eliza Leszczyńska-Pieniak: *Bałam się do pana przyjść. A wszystko przez te ilustracje oglądane w dzieciństwie.*

Stasys Eidrigevičius: (śmiech) Jedną rzeczą jest praca, a drugą człowiek. Każdy twórca, czy to malarz, czy aktor, jaką rolę dostaje, taką gra. Spotykam ludzi, którzy mówią, że moje prace są ciemne, szare, smutne i dziwną się, że jestem taki wesoły i lubię żarty.

E. L.-P.: *Ilustracje do „Króla kruków” pamiętam do dziś, choć bajkę czytała mi mama i dawno już zapomniałam, o co w niej chodziło.*

S. E.: *Król kruków* to była jedna z moich pierwszych książek zrobionych w Polsce. Te początki były dla mnie bardzo ważne, przyjechałem z Litwy z taką rozbujaną wyobraźnią i bałem się, jak zostaną przyjęty.

E. L.-P.: *Nie był pan już jednak anonimowy – nagrody za ekslibrisy w Malborku w 1973 i 1975 roku były dużym wyróżnieniem i otwierały niejedne drzwi.*

S. E.: A mimo to się obawiałem, może dlatego, że ilustracje traktowałem bardzo poważnie. Nie jak książkę dla dzieci, ale jak obraz w technice tempery. Tę technikę odkryłem jeszcze w wojsku.

E. L.-P.: *Był pan w wojsku?*

S. E.: I to w radzieckim. Strach o tym mówić. Litwa należała do ZSRR i nie było gadania, trzeba było swoje odsłużyć. Pewnie były jakieś sposoby, żeby się wykręcić, podkupić kogoś, ale w tym nigdy nie byłem dobry. No to siedziałem w tym wojsku i rysowałem na ciemnych kartkach. Nie miałem pracowni, przestrzeni i traktowałem te miniatury jak obrazy. Powstał duży zbiór prac, których w większości nigdzie dotąd nie pokazywałem.

E. L.-P.: *W pierwszych książkach nawiązywał pan do tamtych miniatur?*

S. E.: Miałem piękną okazję, żeby pokazać całego siebie, świat, który czułem podskórnie. To było otwarcie drzwi do fantazji.

E. L.-P.: *W jakim języku rozmawialiście w domu, bo wiem, że pana ojciec był Polakiem, a mama Litwinką?*

S. E.: Po litewsku. Okolice Poniewieża były w większości zamieszkałe przez Litwinów. Ale ojciec słuchał polskiego radia, a że niedosłyszał, nastawiał bardzo głośno.

E. L.-P.: *I tak się pan nauczył polskiego?*

S. E.: Nie, kupiłem w Wilnie rosyjski podręcznik polskiego i powoli poznałem ten język.

E. L.-P.: *W jakim języku myśli pan o świecie?*

S. E.: Piszę dziennik po polsku, a artykuły po litewsku. Te dwa języki traktuję na równi.

E. L.-P.: *Ciężko było wyrwać się z litewskiej wsi?*

S. E.: Wiedziałem, że tam nie zostanę, ciągnęła mnie sztuka, choć jeszcze nie mogłem zdecydować, jaki rodzaj. Robiłem dużo zdjęć rodzicom, sąsiadom. Organizowałem kółko teatralne na wsi... Taka wrodzona pracowitość. Mój nauczyciel z Poniewieża poradził mi, żebym pojechał do Kowna do Szkoły Rzemiosł Artystycznych. Tam był wykładowca, który skończył studia w Tallinie i otworzył mi oczy, pokazał, co to jest sztuka.

E. L.-P.: *I teraz pan wie, co to jest sztuka?*

S. E.: (śmiech) W pewnym momencie wydawało mi się, że wiem, a teraz w ogóle nie wiem, co to jest sztuka. Jak byłem studentem, w sklepach było dużo reprodukcji van Gogha i nawet kupowałem je, bo były taniutkie. Socjalizm bardzo go lubił, to były realistyczne, kolorowe, optymistyczne obrazy. „Jakiś pół-Rusek czy co?” – myślałem sobie i uważałem, że to nie jest prawdziwa sztuka. Sztuka to jest to, co artysta przetwarza w sobie, dlatego bliski mi był surrealizm. Chirico, Magritte, Dali to była dopiero sztuka. W baśniach i książkach to wszystko znalazło swój wyraz. Ta fantazja się tu przekształcała i nigdy nie stałem się ilustratorem.

E. L.-P.: *A ma pan na koncie 50 książek.*

S. E.: Bo to jest paradoks. Nie byłem ilustratorem, tylko wolnym twórcą, bo nie czytałem książek dosłownie. Na Litwie podczas pracy nad pierwszą książką powiedziano mi w redakcji, że autorka jest bardzo wymagająca i może odrzucić moje prace. Współpraca okazała się wspaniałą, Vytautė



Nerwy, tempera, 19 x 16 cm, 1981 r.

Žilinskaitė była bardzo inteligentna, miała szerokie spojrzenie na wszystko. Pokochała moje ilustracje. Dobrze, że jej nie posłuchałem, bo na pierwszym spotkaniu powiedziała, że to sobie wyobraża tak, a to ma być takie. Pomyślałem: „Możesz sobie to wyobrażać, jak chcesz, a ja i tak zrobię swoje”. Instrumentem pisarza jest pióro, a malarza pędzel. I to musi się spotkać. Nie mogę naśladować tego, co zrobił pisarz, muszę szukać własnego mechanizmu obrazowego, żeby oddać klimat opowieści. Nawet pisarz powinien być zaskoczony przez artystę. Robiłem ilustracje do książek z miłością, tak jak maluje się obrazy. Druk tego był „jak Bóg da”, bo moja technika jest szalenie trudna w publikacji, ale nakłady książek były ogromne – nawet na małej Litwie dochodziły do 40 tysięcy.

E. L.-P.: *Tylko papier był marny.*

S. E.: Japończycy ten gorszy papier cenią. Kiedy im woziłem te szarobure książki, mówili, że to jest dla nich oryginalne. Doskonałość była u nich tak doskonała, że szarość stawała się odkryciem. Dziwili się, że to możliwe. Myślę, że do świata trzeba podchodzić z dystansem, bo wszystko ma dwie strony. Ta niedoskonałość może się okazać wartością.



Red Sun, pastel, 75 x 55 cm, 1997 r.

- E. L.-P.:** *Gdyby pan nie przyjechał do Polski, pana twórczość wyglądałaby inaczej?*
- S. E.:** Może bym poszedł w stronę realizmu fotograficznego, jak na tych trzech obrazach zrobionych na debiut. Portret ojca, matki z ciotką i dwóch braci. Namalowałem je w podziękowaniu rodzicom, że nie musiałem na studiach zarabiać. Teraz młodzi ludzie w dzień się uczą, a wieczorem pracują, ale to żadne studiowanie, to nieszczęście współczesnych studentów.
- E. L.-P.:** *Bo nie mogą się rozwijać?*
- S. E.:** Nie mogą się na tej nauce skupić. Ja musiałem się w małym budżecie zmieścić, dać sobie radę, choć było biednie i skromnie.
- E. L.-P.:** *Mniej pan imprezował.*
- S. E.:** Nie było żadnego imprezowania. Tylko rysowanie, malowanie, a w wolnych chwilach robiłem ekslibrisy. Nie było czasu, by włączyć się w jakieś grupy, plotki. Trzeba było robić swoje.
- E. L.-P.:** *A nie był pan sfrustrowany, że socjalizm zamyka przed panem szanse?*
- S. E.:** Jeżeli byłbym abstrakcjonistą, pewnie miałbym takie poczucie. Geometrystów od razu odrzucali, oni szukali emigracji albo żenili się z Żydówką i wyjeżdżali. Mnie była bliska figuratywność, nie wymyślałem jej, ona była we mnie, a zaczęło się od fotografii. Wiedziałem, że przy pomocy aparatu można zrobić genialne portrety i choć nigdy nie byłem stuprocentowym realistą, to wszystko u mnie zaczyna się od rzeczy realnej. W podróży zawsze mam ze sobą szkicownik i coś tam notuję albo oglądam sytuację i robię rysunki.
- E. L.-P.:** *A ostatnia podróż?*
- S. E.:** Wymyśliłem, że pojedę do Tallina. To była podróż sentymentalna, bo przez 40 lat nie było żadnego romansu z tym miastem, a jak byłem studentem, pojechałem do estońskiej artystki Vive Tolli. Kiedy się widzieliśmy ostatni raz, ona była w okolicach czterdziestki, teraz przywitała mnie osiemdziesięcioletnia starsza pani. Z trudem chodziła, ale uśmiech miała ten sam, wypiliśmy herbatę, pogadaliśmy. Sztuka estońska mimo socjalizmu oddychała wolnością, była inna, pełna fantazji. Uważałem, że to dla mnie drogowskaz.
- E. L.-P.:** *I każda podróż z takim notesem?*
- S. E.:** Każda, mogę pani pokazać ten estoński, jest pełen rysunków.
- E. L.-P.:** *Rozwija pan potem te pomysły w twórczości?*
- S. E.:** Nie wszystkie, bo tych zeszytów mam kilkadziesiąt.
- E. L.-P.:** *Może będzie okazja, żeby szkicowniki wydać?*
- S. E.:** Kiedyś częściej jeździłem do Ameryki i w „New York Times” robiłem ilustracje do artykułów. Poznałem tam Stevena Hellera, który dużo pisał o plakacie, ilustracjach i projektowaniu. Napisał do mnie list i poprosił o przesłanie zeszytów. Okazało się, że przygotowywał książkę – najlepsi projektanci graficzni świata i ich szkicowniki. Był zachwycony moimi zeszytami i poświęcił im sporo miejsca. Odrodziła się między nami dawna przyjaźń. Jak się jest w Nowym Jorku, to otwiera się inna perspektywa, a jak jest się tutaj, to można... wyglądać przez okno i patrzeć jak liście spadają.
- E. L.-P.:** *To czemu nie został pan w Nowym Jorku?*
- S. E.:** A trzeba było, ale zabrakło odwagi. Gdy przyjechałem do Polski, spotkałem Jerzego Czerniawskiego [artysta grafik, twórca plakatów – przyp. E. L.-P.] i on powiedział: „Sawka wyjeżdża do Ameryki”. Pomyślałem: ja tu, a oni tam skaczą.
- E. L.-P.:** *Żałował pan kiedyś, że został w Polsce?*
- S. E.:** Tu nie ma czego żałować, ot tak się życie ułożyło i wszystko. Jeżeli nie przyjechałbym do Polski, nie robiłbym plakatów. Litwa nie ma do nich szczęścia, nie znalazły swojego miejsca wśród innych sztuk. Z okazji Biennale Plakatu pisałem esej do litewskiego magazynu, ale nie było żadnego litewskiego projektu. Albo inny przykład – dostałem katalog z Japonii,

piszą, że Litwini przysłali dwa plakaty, ale żaden nie był dobry i ich nie przyjęli. Dziwna jest ta geografia sztuki europejskiej, w niektórych krajach plakatu wcale nie ma, w innych kwitnie.

E. L.-P.: *U nas jest świetny.*

S. E.: Był świetny. Jest w Polsce tradycja tego gatunku, wyrosło muzeum. Są jednak kraje, w których ta sztuka się rozwija: Niemcy, Finlandia, Francja, Szwecja, Włochy, Japonia. Tam są ważne osobowości. W sztuce wszystko robi kilka nazwisk, one ciągną daną dziedzinę.

E. L.-P.: *Pan widuje dobre plakaty?*

S. E.: Chodzę na Biennale Plakatu w Wilanowie. Tam wiszą prace wybrane z różnych krajów, bo przysyłają te po selekcji. Idziesz na chór najlepszych. Trudno jednak z tego chóru wybitnych wybrać pojedyncze prace. Językiem



Zawsze tu, tempera, 23 x 15,5 cm, 1984 r.

- plakatu jest krzyk, jak wszyscy krzyczą, to nic nie słyhać. Zostaje w głowie tylko ogólne wrażenie.
- E. L.-P.:** *Czym wobec tego charakteryzuje się dobry plakat?*
- S. E.:** Musi wizualnie, odważnie poruszać widza. Dobry plakat pozostaje w pamięci, nie daje spokoju i od czasu do czasu powraca do naszej wyobraźni z nową siłą.
- E. L.-P.:** *Zrobił pan 250 plakatów, pamięta pan ten pierwszy?*
- S. E.:** Pierwszy plakat namalowałem jako temperę, obraz wisiał w Galerii Zapiecek, potem go wydrukowali w Toruniu i nawet został zauważony. Do dziś pojawia się na różnych wystawach, kiedy w Japonii Ginza Graphic Gallery wydał książkę poświęconą mojej twórczości, ten plakat wybrali jako jedną z prac. Ale plakaty to bardzo szeroki temat.
- E. L.-P.:** *To może opowie pan o kilku wybranych – na przykład o projekcie do „Przesłuchania” Ryszarda Bugajskiego.*
- S. E.:** Akurat na ten film byłem zaproszony, w moim przypadku jest tak, że pomysły rodzą się już podczas oglądania, ale tym razem tak nie było.
- E. L.-P.:** *Szukanie pomysłu jest ciężką pracą?*
- S. E.:** Czasami jak fajkę wypalić, a innym razem to długa droga. Tutaj było tak, że każde pytanie padające w filmie, to cios, a kreska miała to oddawać. Jedno pytanie, jedna kreska.
- E. L.-P.:** *Czy plakat powinien interpretować film?*
- S. E.:** Ja daję metaforyczną odpowiedź, w której zawarty jest sens filmu czy innego zdarzenia. Myślę jednak, że każdy twórca, jeżeli jest silną osobowością, znajduje swoją drogę. Żadna uczelnia ani profesor nie da recepty, jaki ma być plakat, nieważne, filmowy czy dotyczący innego wydarzenia.
- E. L.-P.:** *Który projekt był dla pana najbardziej wymagającym zadaniem?*
- S. E.:** Każde zamówienie jest wymagające. To ma być nowy pomysł, który wkrótce po wydrukowaniu trafi do tysięcy odbiorców i będzie oceniany. Ale nie zawsze autor ma ostatnie słowo. Zamawiający potrafią grymasić, szczególnie w ostatnich latach. Na przykład Elżbieta Penderecka zamówiła plakat na festiwal Beethovena. Spotkaliśmy się w Warszawie, wręczyłem projekt, zaakceptowała. Wróciła do Krakowa i napisała, żeby zrobić nowy. Grzecznie wykonałem prośbę. Wręczam nowy projekt. Powtórka, jeszcze nie to. Potem wykonałem jeszcze trzy propozycje i nareszcie trafiłem.
- E. L.-P.:** *Największą sławę przyniósł panu plakat do „Maskarady” Janusza Kijowskiego.*
- S. E.:** Zdobył złoty medal w Chicago i co najważniejsze ciągle odnajduję plagiaty tego, co zrobiłem. W Rosji jest jeden artysta, który wszystkie moje plakaty przerabia na swoje obrazy i jeszcze karierę robi.
- E. L.-P.:** *A jak się nazywa?*
- S. E.:** Nie będę mu robił reklamy.
- E. L.-P.:** *Takie zrzywanie pomysłów musi bardzo wkurzać.*
- S. E.:** Jak to widzę, to jestem w sytuacji bez wyjścia, bo nic z tym nie mogę zrobić. Nie mogę zaprotestować, jak napiszę, to nic to nie daje. A najgorzej patrzeć, że ktoś wyjął ode mnie pomysł i potraktował go o wiele gorzej. To już nie do zniesienia. Wielu ludzi to na szczęście widzi. Byłem ostatnio w Bolonii na targach książki, a znajomy mówi „Stasys, ile ciebie podrabiają!”
- E. L.-P.:** *Skąd się wzięła maska w pana pracach?*
- S. E.:** To jest dla mnie kategoria, dział tworzenia. Pomysł zrodził się w 1986 roku w Chicago. W fotografii maska jest obecna, kiedy modelowi zakładam moją twarz i on staje się mną. Jest w swoistym teatrze, wykonuje moje polecenia. Jeżeli nie jest na twarzy, staje się obiektem, przybliża się do rzeźby. Kiedy maska jest namalowana, staje się obrazem. Gdy byłem w Paryżu, powstał cykl masek zrobionych z papieru, czasami nie miały otworów na oczy. Bardziej mi jednak chodziło o strukturę powierzchni.



Zwierciadło, pastel, 54,5 x 74 cm, 1989 r.

Jak kupowałem bagietki, pakowali je w żółte torebki – z pięknego papieru, więc je wykorzystałem do swoich prac.

E. L.-P.: Czy maska jest dla pana metaforą relacji międzyludzkich?

S. E.: Tak, maski nas otaczają, bardzo rzadko można spotkać człowieka niezamaskowanego.

E. L.-P.: Czy wobec tego rola w filmie „Bouzkashi” była jedną z pana masek?

S. E.: Nie, to inna historia. Reżyser Jacques Debs, który film zrobił, od lat lubił moją twórczość i chciał mnie włączyć do jakiegoś swojego projektu. Napisał scenariusz, ale dopiero po czterech latach mógł go zrealizować. Pojechaliśmy do Uzbekistanu i w ciągu 40 dni powstały zdjęcia. To był film na granicy dokumentu, nie gram tam nikogo, jestem Stasysem. Jadąc, nie wiedziałem, co będę robił, jak w każdą podróż zabrałem notesy, papier. Kraju nie znałem, nigdy tam nie byłem. Reżyser przebrał mnie w szaty regionalne. Kazał mi rysować rycerza, który do mnie podjechał. „Kurczę, przecież nie jestem realistą” – pomyślałem. Ale jak przygoda, to przygoda. Trudno, nie ma wyjścia, trzeba się temu poddać i słuchać. Kamera śledziła moje ruchy, trochę mnie krępowała. Potem śpiewałem litewską piosenkę. Poszło bez powtórki.

E. L.-P.: Czuje się pan wolny jako artysta?

S. E.: W czasach socjalizmu o pewnych rzeczach nie można było mówić. Propagowanie kościoła, epatowanie motywami seksu, krytyka młota i sierpa – to wszystko nie wchodziło w grę. Dzisiaj w tym obszarze jest wolność, ale robisz plakat, a zamawiający ma odwagę przedstawić całą litanię życzeń. To często już nie jest twoje dzieło.

rozmawiała *Eliza Leszczyńska-Pieniak*

Stasys Eidrigėvičius – ur. 24 lipca 1949 r. w Medyniszkach (Mediniskiai) na Litwie. W 1973 r. ukończył Wydział Malarstwa i Grafiki w Instytucie Sztuk Pięknych w Wilnie. Od 1980 r. mieszka w Polsce. Artysta projektuje plakaty, ilustruje książki, tworzy scenografie, maluje, fotografuje, urządza performance. Prace Stasysa Eidrigėvičiusa znajdują się w zbiorach na całym świecie, a twórczość przyniosła mu wiele nagród na międzynarodowych wystawach i konkursach. W 2010 r. otrzymał Medal Gloria Artis, jest też doktorem honoris causa Akademii Sztuk Pięknych w Wilnie i honorowym członkiem Rosyjskiej Akademii Sztuki.

KONRAD SUTARSKI

Bezdomny artysta o dwóch ojczyznach

Gabriel Morvay jest do dziś artystą malarzem mało znanym zarówno w miejscu swego urodzenia – w Polsce, jak i tam, gdzie urodził się jego ojciec – na Węgrzech. A przecież zrobił niebywałą karierę na zachodzie Europy. Dokonał tego, choć należał do gatunku nieznajdujących gniazda ptaków wędrownych – przenosił się z miejsca na miejsce, z kraju do kraju, przynajmniej co jakiś czas na nowo odwiedzając te same rejony Starego Kontynentu.

Pięć lat temu – w 2007 roku – Muzeum Węgierskiej Polonii zorganizowało w Budapeszcie wystawę jego dzieł figuratywnych, które powstały we Włoszech pod koniec lat 60. i w następnym dziesięcioleciu. Materiały te budapeszteńska placówka otrzymała dzięki uprzejmości Muzeum Okręgowego w Tarnowie oraz ich włoskich właścicieli: Emilia Azziniego oraz Angela Amezketę. Wydawało się wtedy, że sama obecność w Budapeszcie prac twórcy formatu Gabriela Morvayego powinna stanowić inspirację dla wszystkich, którym współczesna sztuka europejska jest bliska. Okazało się, że nie. W świecie, gdzie jedne wydarzenia gonią za drugimi, samo pojawienie się czegoś, co nowatorskie i niecodzienne, to jeszcze za mało.

Obecnie Muzeum Węgierskiej Polonii uczyniło ponowny wysiłek, ażeby ten świetny malarz o krótkim, a przy tym nieszczęśliwie powikłanym życiorysie znalazł poświęcony sobie zakątek także w swej drugiej ojczyźnie – na Węgrzech. Prace olejne, które zaprezentowane zostały w ostatnim czasie (otwarcie odbyło się w Budapeszcie 23 kwietnia, a ekspozycja czynna była do 15 czerwca), pochodzą z wcześniejszego, paryskiego, nonfiguratywnego okresu działalności artystycznej Morvayego. To właśnie nad Loarą ukształtowała się jego osobowość twórcza, metoda intensywnego obcowania z płótnem, odznaczająca się charakterystycznym sposobem nakładania farby i skutkująca gęstością faktury, przytłumioną, lecz zarazem wyrazistą grą kolorów. Tegoroczną wystawę (15 prac dużych rozmiarów), podobnie jak i poprzednią, zawdzięczamy życzliwości tarnowskiego muzeum, a także żyjącym w Paryżu właścicielom dzieł, dawnym przyjaciółom Gabriela Morvayego – małżeństwu Mirosławy oraz Romana Krzyśko.

*

Należy zaznaczyć, że prezentowany szkic opiera się na obszernym, wnikliwym studium autorstwa Marii-Joséph Balsach – córki katalońskich przyjaciół i opiekunów artysty – które powstało z okazji wystawy zorganizowanej między październikiem 2006 roku a styczniem 2007 w rodzinnym mieście malarza, w Muzeum Okręgowym w Tarnowie (była to pierwsza w środkowej Europie ekspozycja poświęcona owemu twórcy). We wprowadzeniu do życiorysu artysty Maria-Joséph Balsach napisała: *Gabriel Stanisław Morvay związany jest z wielką rodziną intelektualistów Europy Wschodniej, którzy doświadczyli wygnania z powodu wydarzeń politycznych i kulturalnych, jakie miały miejsce po zakończeniu II wojny światowej (...). Na skutek (...) przymusowych ucieczek rodzi się idea dążenia do wolności obejmującej przestrzeń*

refleksji filozoficznej, która z kolei stanowi bazę myśli filozoficznej współczesnego świata. *Życie i twórczość Morvayego to opowieść o tułaczce, świadectwo trudności i umiejętności życia w odległych krajach, wyraz egzystencji skierowanej wyłącznie na działalność artystyczną, która łączy się z doświadczeniem życiowym bliskim jego autobiografii.*

Życiorys Gabriela Morvayego w największym skrócie został przedstawiony na karcie zaproszenia na budapeszteńską wystawę. Malarz urodził się w Tarnowie 16 lipca 1934 r.; jego ojciec pochodził z Węgier, a matka była Polką. Jako student warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych (uczeń znanego malarza Artura Nachta-Samborskiego) podjął w 1958 roku decyzję o ucieczce z dławionej komunistycznym uciskiem Polski. Żył na przemian w trzech krajach: we Francji (Paryż), we Włoszech (głównie Rzym, Cremona, Casalmaggiore) oraz w katalońskiej części Hiszpanii (Barcelona i położone nieopodal miasteczko Sabadell). Tam zdobył uznanie, lecz nigdzie nie potrafił zagrześć miejsca (*choć ciągle wśród ludzi, stale jednak sam – pisał*). Umarł 16 września 1988 roku w Sabadell. Dziesięć lat później władze tego pięknego miasta nazwały jego imieniem jeden z placów.

Paryż, który zawsze przyciągał wszelkiego rodzaju eksperymentatorów, stał się dla przybyłego z Polski młodego malarza – szybko wrosłego w tamtejsze środowisko plastyczne, szczególnie emigracyjne – miejscem pierwszych



Ecce homo, olej na płótnie, 100 x 80 cm, wrzesień 1969 r., z kolekcji A. Amezketa

prawdziwych doświadczeń artystycznych. Morvay już w 1960 roku wziął udział w działaniach Grupy Gallot – inspirowanej radykalnymi inicjatywami rosyjskiego emigranta Michaiła Łarionowa, a kierowanej przez Katalończyka Antonia Angle oraz Czecha Vladimira Slepiana. Artyści ci, tworząc „malarstwo czynu publicznego”, dążyli do usunięcia w cień osoby autora na rzecz anonimowości dzieła (zadanie to najlepiej zrealizowane zostało w 1960 roku podczas zbiorowych manifestacji malarskich w Barcelonie). Polski emigrant, jak to wynika z relacji jego dwóch przyjaciółek także zajmujących się sztukami plastycznymi, sprawiał w tym czasie bardzo korzystne wrażenie: *Mirka Krzyśko – koleżanka z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, która w 1960 roku (...) wyjechała do Francji – opisuje (...) młodego Morvayego jako człowieka „bardzo eleganckiego, doskonale wykształconego i oczywistym było (...), że nie mógł on znieść braku wolności w Polsce. (...) Pragnął zostać wielkim malarzem”.* Z kolei *Maria Dolores Peig – Katalonka – tak go scharakteryzowała: „Była zima 1960 roku, pojechaliśmy do Paryża, aby odwiedzić katalońskich malarzy: Antonia Angle i Manuela Duque. Napisali (oni) do nas, że poznali nadzwyczajnego malarza polskiego. Pewnego ranka udaliśmy się*



Portret Mirosławy Krzyśko, rysunek, 31,5 x 24 cm, 1961-1962 (?) r.

do niewielkiego pokoiku (...), niedaleko Place de la Madeleine. Kiedy dotarliśmy na górę, wykończeni po pokonaniu stu schodków, ujrzelśmy młodzieńca o sympatycznym wyglądzie, wysokiego, dobrze wychowanego, o słowiańskich rysach, zdecydowanych i twardych, jakby wyrzeźbionych w drewnie. Podał nam dłoń, dłoń ogromną i pewną”. Okres abstrakcyjnych poszukiwań trwał u Morvayego do 1963 roku, by ustąpić miejsca malarstwu figuratywnemu, w którym dostrzec można związki z tradycją plastyczną obrazów Bonnarda, Goi, Moneta. Zanim to nastąpiło, Morvay został jeszcze – wraz z Antoniem Angle i francuskim malarzem Pierre’em Gogois – wybrany przez krytyka Michela Courtois do uczestnictwa w wielkiej wystawie w Galerii Creuze w Paryżu (1962), gdzie wystawiono dzieła ważniejszych postaci ówczesnej awangardy. Dodajmy, że w tym czasie zaczęło się Morvayemu nieco lepiej powodzić także pod względem finansowym, ponieważ odkryła go znana rodzina paryskich kolekcjonerów dzieł sztuki – Janninkowie.

Tak szybko, a nawet błyskotliwie rozpoczęta kariera – szansa, by stać się uznanym artystą, a także móc korzystać z dobrobytu materialnego – zaprzepaszczone została przez ślub z poznaną w paryskich awangardowych kręgach plastycznych Begonią Ormaetheą (1963), która – jak się wkrótce okazało – cierpiała na zaburzenia psychiczne. Separacja była nieunikniona. A Gabriel Morvay, który w owym okresie, *zachowując ekspresjonistyczną siłę swoich pociągnięć pędzlem, powraca do wyobrażania scen, postaci* [a więc do malarstwa na swój sposób figuratywnego – przyp. K. S.], *co można wyjaśnić jako pojawienie się nowego świata*, zupełnie zmienił tryb życia – prawie nie wychodził z domu, z nikim się nie widywał. Gdy jego żona została zwolniona ze szpitala jako ponownie zdrowa, a po powrocie do domu po raz kolejny dostała ataku szału, Morvay wiedział, „że musi uciekać z tego piekła”: *Pewnego dnia – jak pisze Joana Masgrau [późniejsza przyjaciółka Morvayego, wówczas jeszcze studentka Akademii Sztuk Pięknych w Paryżu, której polski malarz udzielał korepetycji – przyp. K. S.] – zamknął drzwi swojego atelier, zostawiając w środku wszystkie rzeczy i rozpoczął życie wagaundy, krążącego po taniach hotelach na Pigalle i na Montmartre, stając się malarzem wędrownym. Panująca w Puteaux [jego dawnym mieszkaniu – przyp. K. S.] kultura picia herbaty przekształca się w „kulturę” picia taniego wina w tawernach i w stan wyraźnego upadku duchowego.*

Jesienią 1967 roku Morvay opuszcza Paryż i wyjeżdża do Szwajcarii oraz do Włoch – z Genewy do Turynu, znów do Genewy, a potem do Rzymu. Przez jakiś czas w skrajnej nędzy żyje też na wyspie Elbie. W liście do Joany Masgrau pisze – *Muszę Ci wyznać: bunt i poczucie niższości (...). Na Wielkanoc policja kazała mi opuścić miejsce na Montmartre za niepłacenie podatków. Więc wyjechałem do Rzymu (...) nie widzę żadnego stałego punktu na świecie... Ty, moi rodzice, wszystko daleko, na dodatek nie wiem, gdzie mieszkam.*

Malarskie prace tworzone podczas pierwszego pobytu we Włoszech wyznaczają ostateczny koniec okresu abstrakcji. Ich tematem staje się świat rzeczywisty, powoływany do życia grubymi i zdecydowanymi pociągnięciami pędzla; świat pełen ekspresji, jak w widokach miejskich Rzymu (np. *Wzdłuż Tybru*, 1968; *Plac Navona*, 1969), krajobrazie Elby (*Wielka palma*, 1968) bądź w przedstawieniach postaci ludzkich (*Ecce homo / Oto człowiek*, 1969).

W 1970 roku Morvay przenosi się – bez bagaży – do Hiszpanii, gdzie zamieszkuje w leżącym niedaleko Barcelony uroczym miasteczku malarzy Sabadell (w domu rodziny Balsachów), a potem także w samej Barcelonie. Na sześć lat Katalonia staje się dlań główną siedzibą. Tylko czasami wyprawia się stamtąd do Włoch (Rzym, nadmorskie miasteczko Camogli we wschodniej Ligurii). Na półwyspie Iberyjskim Morvay znów eksperymentuje. Z zaprzyjaźnionym malarzem Antoniem Taulé maluje obrazy na cztery ręce, zatytułowane *Serie d’Olo* (1971) – wizyjne, wypełnione przez dziwne zwierzęta i duchy. Podobnie jak wcześniej w formach abstrakcyjnych, tak i w pracach

wizyjnych dociera do granic malarstwa. Jednakże otaczający świat przyciąga go z nową siłą, niczym objawienie. Dla wszystkiego, co widoczne, poszukuje najodpowiedniejszej formy, by oddać życie w całej jego prostocie, choć i dynamice – w pełni wyrazu. Maluje twarze, martwe natury, opuszczony ogród, ulice i alejki gotyckiej dzielnicy le Ramblas w Barcelonie, morze i tereny nadmorskie. Podczas pobytu w Katalonii odwiedza go (w Boże Narodzenie 1974 roku) ojciec Kazimierz – też artysta plastyk, po II wojnie światowej konserwator Akademii Sztuk Pięknych, po przejściu na emeryturę zaś konserwator Muzeum Narodowego w Warszawie. Było to ich jedyne spotkanie w trakcie całego trzydziestoletniego emigracyjnego życia Gabriela.

W 1976 roku Morvay pojawia się w Paryżu, gdzie przygotowuje indywidualną wystawę swoich prac (otwartą tego roku w Café d'Edgar) i gdzie – praktycznie nie wychodząc ze swego pokoju – pisze opowiadania, zebrane i wydane później w książce *La Chambre de Pauline* (Sabadell, 1998).

W 1976 roku Morvay ponownie zmienia miejsce pobytu. Z Paryża udaje się do Włoch i osiada w Lombardii – początkowo w Cremonie, następnie zaś na dłużej w Casalmaggiore, gdzie za siedzibę obiera sobie pensjonat Il Bersagliere, opłacając pokój obrazami. Właściciel największej kolekcji jego dzieł – miejscowy adwokat Emilio Azzini – tam właśnie poznał malarza. Jak wspomina Azzini, spacerujący ulicami Casalmaggiore Morvay *wzbudzał respekt, a nawet strach. Wyglądał na otyłego, ogromnej postury, z wyraźnymi*



Autoportret, olej na płótnie, 50 x 60 cm, 1980 r., z kolekcji E. Azzini



Wnętrze katedry projektu Antonio Bibieni w Villa Pasquali (Sabbioneta),
olej na płótnie, 80 x 60 cm, 1984 r., z kolekcji E. Azzini

cechami urody słowiańskiej. Pomimo tego wydawał się być Cyganem. Usta (brakowało mu kilku zębów) robiły się ogromne, kiedy śmiał się głośno. Niemniej jednak zachowywał delikatność, szczodrość i subtelną ironię, choć także złość wobec głupoty ludzkiej.

We Włoszech maluje Morvay wizje miejskie, bez popadania w słodką malowniczość, oraz wciąż na nowo przedstawia rzekę Pad – „wolną i powściągliwą”, płynącą przez całą północnowłoską nizinę. Na płótnach tego okresu zanikają oznaki dawnego radykalizmu malarskiego, prace stają się dziełami pełnymi liryzmu. Świetne autoportrety z początków lat osiemdziesiątych ukazują twarz i spojrzenie malarza na wygnaniu, patrzącego na świat z ogromnym dystansem i jednocześnie z ogromnym smutkiem.

Po kłótni z właścicielką Il Bersagliere (w 1982 roku) Morvay zniknął z Casalmaggiore i ślad po nim zaginął. Dostrzeżono go przypadkowo na ekranie telewizji włoskiej, w programie poświęconym kloszardom, którzy spędzali święto Wniebowzięcia Matki Boskiej (15 sierpnia) w pomieszczeniach do-



Plac Navona (Rzym), olej na płótnie, 80 x 100 cm, 1969 r., z kolekcji A. Amezketa

broczynnej organizacji Caritas w Rzymie. Po tym incydencie schorowany Morvay powrócił do Casalmaggiore, gdzie operowano go w miejscowym szpitalu.

W 1986 roku artysta znów niespodziewanie pojawił się w stolicy Francji, w domu wspomnianego już malarza Antonia Taulé. Wycieńczony i wynędzniały miał zamiar namalować serię obrazów z życia paryskich ulic. Bezskutecznie. Jeden z członków zaprzyjaźnionej rodziny Balsachów, podróżując po Europie, spotkał bezdomnego Morvayego w Paryżu i zabrał go – bez dokumentów – do Katalonii.

W okolicach Barcelony Morvay jeszcze raz zbiera siły i przenosi na płótno ulubione tematy: krajobrazy przemysłowe, jakieś ulice, brzegi rzeki Ripoll; pojawiają się też wspomnienia i sceny fantastyczne. Te ostatnie to dzieła bliskie atmosferze tekstów literackich, które tworzył nieco wcześniej w Paryżu. Większość owych płócien niestety zaginęła lub – być może – spoczywa zapomniana w którymś z hoteli.

Pomimo pracy i pomocy ludzi dobrej woli Gabriel Stanisław Morvay stopniowo gasł. Przyjaciele z Sabadell *przyjęli go do swojego domu latem 1988 roku, aby opiekować się nim w chorobie, o której Morvay wiedział, że jest nieuleczalna. Zmarł tam, w tym mieście, 16 września.*

W 2011 roku polski krytyk sztuki – Jacek Zieliński – napisał o nim: *Gabriel Morvay przypomina te rzadkie kwiaty, które rozkwitają tylko jednej nocy w roku, na parę godzin. Zauważalne jest u niego obsesyjne pragnienie wolności, które zamieniło się w samozagładę. To nieliczenie się z żadnymi wymogami świata jest jednak imponujące, choć nie daje się tak żyć. Znakomite obrazy Morvayego w stylu informel są naprawdę świetne, głęboko autentyczne, choć malowane były w manierze, którą nie on wymyślił. Jeszcze raz widać, że prawda nie bierze się ze stylu, tylko z osoby artysty.*

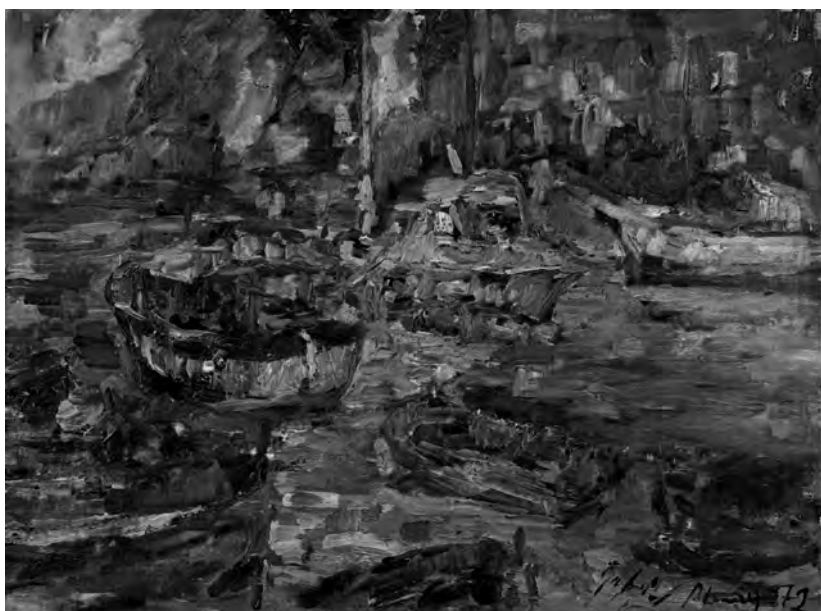
*

Zarys twórczości francuskiej oraz włoskiej Gabriela Morvayego dały mi dwie poświęcone mu ekspozycje w Tarnowie i dwie podobne w Budapesz-

cie. Znam także prace malarskie Morvayego powstałe w Katalonii. Jestem przekonany, że warto zorganizować jeszcze jedną, tym razem pełną, retrospektywną prezentację jego dzieł powstałych w krajach Europy Zachodniej. Powinna ona odbyć się zarówno w miejscu jego urodzenia i młodości – w Polsce, jak też w jego drugiej ojczyźnie, po ojcu – na Węgrzech. Niezbędny byłby oczywiście spory wysiłek organizacyjny i finansowy, któremu podołać można chyba tylko dzięki szczodrości jakiegoś mecenasa bądź w wyniku wspólnych starań polsko-węgierskich. Taka ekspozycja pozwoliłaby jednak na prawdziwy, pośmiertny powrót artysty na ziemię, które zmuszony był opuścić, ale których nie przestał kochać.

Budapeszt, 2012 r.

Konrad Sutarski



Gabriel Morvay: *Port w Camogli (2)*, olej na płótnie, 60 x 80 cm, 1972 r.,
z kolekcji E. Azzini

JAROSŁAW SAWIC

Christodoulos Halaris – piewca epok minionych

*Nie dla kunsztu próżnego, ale dla objęcia
Pomników wspaniałości własnej w myśli.
Przez morza zatem pod żaglami płynąłem
I w świętym mieście Bizancjum stanąłem.*

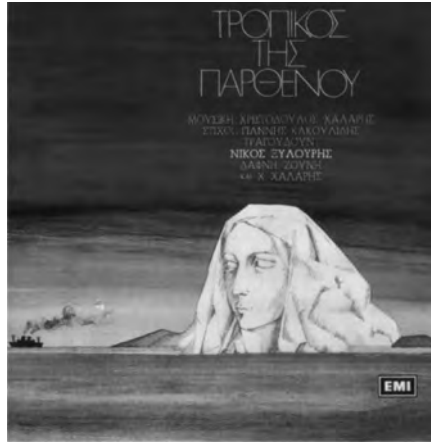
William Butler Yeats *Żeglowanie do Bizancjum*

Obchodzący w tym roku 67. urodziny Christodoulos Halaris jest w Polsce twórcą niemal zupełnie nieznanym. Trudno racjonalnie wyjaśnić przyczynę tego zaniedbania, ale można podjąć choćby częściową próbę jego naprawy.

Specyficznym zjawiskiem w Grecji lat 60. i 70. XX w. była grupa wybitnych kompozytorów działających na pograniczu muzyki poważnej, folku i muzyki filmowej, takich jak: Mikis Theodorakis, Manos Hadjidakis, Yannis Markopoulos, Thanos Mikroutsikos czy Christodoulos Halaris. Byli oni często otwarci również na współpracę z rockmanami, co było wówczas ewenementem na skalę światową (wyobraźmy sobie np. artystyczny mariaż Kilara z Niemenem albo Pendereckiego z Józefem Skrzekiem w tamtych latach!). Największą sławę spośród nich zdobył Theodorakis, najbardziej radykalny (zarówno muzycznie jak i światopoglądowo) był komunizujący Mikroutsikos, zaś najbardziej niedoceniony jest Halaris (ur. 1946). Uchodzi on obecnie za jednego z najwybitniejszych, jeśli wręcz nie za największego na świecie eksperta w dziedzinie greckiej muzyki antycznej oraz bizantyjskiej i ma w dorobku ponad 50 autorskich płyt. Jest też twórcą muzeum w Salonikach poświęconego dawnej muzyce helleńskiej.

Halaris dokonał iście tytanicznej pracy, odtwarzając – często na podstawie skąpych zabytków piśmienniczych z epoki – muzykę w kształcie, w jakim lśniła pełnym blaskiem przed wiekami. W obszarze zainteresowań Halarisa leży zwłaszcza stosunkowo najmniej zbadana muzyka świecka Bizancjum. Jest on między innymi autorem premierowych nagrań z odami akryckimi (*Akritika Vol I, Vol II*) – pieśniami wojowników strzegących wschodnich rubieży cesarstwa w IX-XII w., odpowiadającymi rycerskim eposom i twórczości trubadurów w ówczesnej Europie Zachodniej; muzyki dworskiej towarzyszącej bizantyjskim ucztom (*Symptika Vol I, Vol II*) i ceremoniom ślubnym (*Gamilia: Greek Nuptial Songs*); muzyki postbizantyjskiej arystokracji z XVI w. (*Pandora Vol I, II, III*) oraz niesakralnych utworów cenionych bizantyjskich kompozytorów – Kukulzisa, Aliatisa, Koronisa i Chrysafisa („Byzantine Secular Classical Music”). Wyjątkowe miejsce w jego twórczości zajmują pierwsze 4 albumy nagrane w latach 1973-1976 i właśnie im chciałbym poświęcić kilka uwag.

Halaris po studiach matematycznych i muzykologicznych w Paryżu powrócił do Grecji na początku lat 70., choć był to okres dyktatury „czarnych pułkowników” i sporo greckich artystów wybierało raczej kierunek przeciwny (np. emigracja Theodorakisa w 1970 r.). Zadebiutował wkrótce potem płytą *Tropikos tis Parthenou* (Τροπικός της Παρθένου, 1973). To na niej nawiązał współpracę z najwybitniejszym śpiewakiem folkowym w historii Krety – Nikosem Xylourisem (1936-1980). Album dość jasno



definiuje kierunek artystycznych poszukiwań Halarisa, choć nie zwiastuje jeszcze w pełni jego geniuszu. Mamy tu do czynienia ze zbiorem pieśni zainspirowanych średniowieczną muzyką bizantyjską (zwłaszcza kreteńską), najczęściej świecką, rzadziej sakralną (*Kyrie Eleison* oraz *Pano St' Argiro Skamni* – Pan ocali twój lud, o charakterze psalmów). Są one zaśpiewane na dwa głosy solowe (przejmujący wokół Xylourisa i pełen dziewczęcego czaru śpiew Dafni Zouni) i zaaranżowane na dawne instrumenty greckie, ale z rytmiką uwypukloną o wiele silniej niż miało to miejsce w oryginalnej muzyce z Bizancjum. W tym aspekcie słycać subtelny wpływ rocka, choć oczywiście nie wprost, bowiem warstwa rytmiczna z debiutu Halarisa z estetyką rocka nie ma nic wspólnego – chodzi o samo jej natężenie. To bardzo interesująca i oryginalna muzyka, będąca w pewnej mierze odpowiednikiem twórczości progfolkowych grup brytyjskich (Gryphon, Amazing Blondel, wczesny Clannad) lub francuskich (Malicorne, Gwendal), ale czasem pozbawiona emocjonalnej głębi i odrobinę zbyt gładka.

Jednak nagrana rok później *Akolouthia* (Ακολουθία, 1974) to Hagia Sophia greckiej fonografii tamtych lat, płyta o wymiarze, który bez wahania mogą nazwać transcendentnym. Mimo iż termin „akolouthia” oznacza liturgię godzin w Kościele prawosławnym obrządku greckiego, nie mamy tu do czynienia z muzyką stricte sakralną. Wszystkie utwory to oryginalne kompozycje Halarisa, nawiązujące zarówno do świeckiej (zwłaszcza pieśni Akrytów), jak i – w mniejszym stopniu – sakralnej muzyki



Bizancjum oraz do folkloru z Krety. Żadna nie ma jednak charakteru stylizacji czy rekonstrukcji charakterystycznej dla jego późniejszych nagrań. Nie jest to też próba unowocześnień muzyki dawnej przez elektryfikację brzmienia, tak jak to czyniło wiele grup folk-rockowych z tamtego okresu – np. Pentangle, Fairport Convention czy Steeleye Span. Wydaje się, że najtrafniejszą analogią byłaby tu *Symfonia klasyczna* Sergiusza Prokofiewa, oczywiście nie w sensie jakiegokolwiek podobieństwa samej muzyki, ale zamysłu kompozytora. Podobnie jak Prokofiew pragnął skomponować symfonię, *jaką mógłby napisać Haydn, gdyby żył w naszych czasach*¹, tak i zamiarem Halarisa była bardzo subtelna reinterpretacja muzyki

¹ Teresa Chylińska, Stanisław Haraschin, Bogusław Schaeffer: *Przewodnik koncertowy*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Kraków 1980, s. 736.

bizantyjskiej poprzez pryzmat współczesnych mu prądów. Dlatego *Akolouthia* łączy cechy z pozoru niemożliwe – pełne pietyzmu podejście do muzyki bizantyjskiej ze specyficzną aurą charakterystyczną dla rocka psychodelicznego przełomu lat 60./70.

Muzyka frapuje bardzo soczystą, gęstą fakturą osiągniętą wyłącznie za pomocą instrumentów dawnych: liry – zarówno klasycznej, jak i bizantyjskiej (na której gra się smykami), askomandoury – czyli rodzaju kreteńskich dud, małej lutni tsouras, liry da Baccio – najwcześniejszej odmiany skrzypiec, psalterionu kanonaki oraz licznych instrumentów perkusyjnych. Charakterystyczny dla płyty jest dychotomiczny podział partii wokalnych. Utwory śpiewają na przemian Xylouris i Dimitra Galani – wokalistka dysponująca wspaniałym, głębokim głosem o ciemnej, orientalnej barwie – wówczas zaledwie 22-letnia, później wielka gwiazda greckiej pieśni i piosenki. Wyjątkiem jest *Thou Thanatou Parageilla* (Przyzywam Cię, Śmierci) – rodzaj wokalnego dialogu pomiędzy Xylourisem a Theodorisem Chryzanthosem (1934-2005) – niezwykłym kontratenorem z Pontu, który specjalizował się w partiach kastratów. Ten wyjątkowo mroczny utwór o przytłaczającej atmosferze antycznego rytuału stanowi jeden z najbardziej sugestywnych muzycznych portretów Tanatosa, jaki znam.

Kompozycje zaśpiewane solo przez Xylourisa są bliskie odom Akrytów i tradycyjnej muzyce kreteńskiej, jak *Den Sou Tapa More Nikola* (Czyż nie mówiłem Ci, Nikosie?) z pastoralną melodyką i wielkimi kotłami, czy *Moiroloi*, której nazwa oznacza rodzaj tradycyjnej żałobnej pieśni, z na poły improwizowaną partią wokalną a capella. Halaris jednak w typowy dla siebie sposób złamał tu czystość gatunku – nie dość, że Xylouris śpiewa z akompaniamentem, to jeszcze utwór zawiera najdłuższą instrumentalną partię na płycie (introdukcja oparta na rytmach tańca syrtos z rewelacyjnym solo aksomandoury). Jednak to dzięki utworom, w których śpiewa Galani, muzyka z *Akolouthii* nabiera wyjątkowego wymiaru. *Kai Tora* (Ta godzina) i *Syghoria* (A teraz...) mają linie melodyczne wywiedzione z bizantyjskiej muzyki liturgicznej i są, by posłużyć się cytatem z Herberta, *piękne jak ocalała w węglu katedra paproci* (Fotografia), a *Tou Mikrokonstatinou* (Mały Konstantyn) urzeka tajemniczym nastrojem i mógłby stanowić soundtrack do *Czarnego Anioła* Miki Waltariego. Ukoronowaniem wokalnego „tour de force” Galani jest wokaliza w zamykającym album utworze *Ntelalima* (nieprzetłumaczalny neologizm odnoszący się do krzyku). Mamy w nim przykład iście... niebizantyjskiego ascetyzmu. Warstwa melodyczna jest zredukowana do minimum – jedna, kilkunastosylabowa fraza w sztucznym języku powtarza się obsesyjnie przez blisko 4 minuty na tle hipnotycznego akompaniamentu liry, aksomandoury i bębnów. Słuchacz spodziewa się crescendo i satysfakcjonującej kulminacji, ale nic takiego nie następuje. To właśnie w tej kompozycji uwidacznia się najsilniej powinowactwo Halarisa z progresywnym folkie i psychodelią tamtych lat.

Równie wybitnym dziełem jest *Drosoulites* (Δροσουλίτες, 1975) – tytuł oznacza złudzenie optyczne, które pojawia się na Krecie, w pobliżu średniowiecznego weneckiego fortu Frangokastello, gdzie miraż do dziś cieszą oko wzorem przypominającym kawalkadę cieni wojowników. Jest to jedyna z wcześniejszych płyt Halarisa bez udziału Xylourisa – partie wokalne wykonują nań Galani i Chryzanthos. Muzyka w większym stopniu niż



Akolouthia czerpie z pieśni akryckich, penetrując obszary Azji Mniejszej i terenów położonych jeszcze dalej na wschód, przez co brzmi bardziej orientalnie – niekiedy wręcz jak dawna muzyka syryjska i perska. Do epickiej poezji Akrytów nawiązują również teksty napisane w języku średniogreckim przez wybitnego greckiego poetę Nikosa Gatsosa (1911-1992). Jego głównym źródłem inspiracji jest najsławniejszy romans rycerski Akrytów – *Digenes Akritas* – wschodni odpowiednik *Pieśni o Rolandzie*, osnuty na tle konfliktu bizantyjsko-arabskiego we wczesnym średniowieczu.

Od strony instrumentalnej *Drosoulites* brzmi drapieżniej i ciężiej niż *Akolouthia*. Halaris wyeksponował tu szereg nisko strojonych instrumentów strunowych o orientalnym rodowodzie – zarówno dość powszechnych (lira pontyjska, kemen-ce), jak i zapomnianych, zrekonstruowanych na podstawie średniowiecznych manuskryptów (np. bizantyjska tambura *fandouros*) osiągając niekiedy efekt bliski... eksperymentom sonorystycznym muzyki współczesnej (choćby w utworze *Ta Tragoudi Tou Delinou* – Pieśń Leinidos). Zintensyfikował też jeszcze bardziej rytmikę – w większości utworów na płycie występują rozbudowane „perkusjonalia”, co – powtórzmy – było elementem obcym dla oryginalnej muzyki bizantyjskiej. Zarówno Galani, jak i Chryzanthos wznoszą się tu na wyżyny sztuki wokalne, śpiewając mroczne i porażająco ekspresyjne partie wokalne pełne melizmatycznych zawijasów i niesamowitych alikwotów. Wszystkie utwory na *Drosoulites* są wspaniałe, ale na szczególnie wyróżnienie zasługują: pełen zabarwionego nostalgii dostojeństwa utwór tytułowy, utrzymany w skomplikowanym szesnastkowym metrum *Tou Rizikari* (Noc świętojańska) z ekstatycznym śpiewem Chryzanthosa, kunsztowny *Madrigali* (Madrygał) zainspirowany muzyką z zachodniej Tracji i *Mana Mou Mana* (Matko, moja matko), w którym śpiew Chryzanthosa emanuje archaiczną, pierwotną siłą. Słuchając *Drosoulites* ma się wrażenie, jakby uczestniczyło się w jakimś pradawnym misterium, to – posługując się semantyką Carla Junga – brama otwierająca w naszej nieświadomości zbiorowej mgliste wyobrażenia i lęki o dawno minionych epokach.

Czwarty LP *Erotokritos* (Ερωτόκριτος, 1976) miał odmienny charakter – Halaris zilustrował na nim muzyką pochodzący z początku XVII w. romans dworski renesansowego poety Vincentosa Kornarosa, opowiadający historię nieszczęśliwej miłości dwojga kochanków – Erotokritosa i Aretuzy – nazywany często kreteńskim odpowiednikiem *Romea i Julii*. Kreta znajdowała się w tamtych czasach pod panowaniem weneckim, dlatego *Erotokritos* jest malowany jaśniejszymi i bardziej europejskimi barwami niż *Akolouthia* oraz *Drosoulites*. Na płytę powrócił Xylouris, a Dimitrę Galani zastąpiła młodzianka śpiewaczka Tania Tsanaklidou, obdarzona delikatniejszym głosem i śpiewająca bez bogatej melizmatyki swojej poprzedniczki. Jej duety wokalne z Xylourisem, oparte na mantinadach – kreteńskich, antyfonalnych kupletach, są ozdobą tej uroczej i wytwornej płyty. Novum stanowi też wprowadzenie na szerszą skalę fletu – praktycznie nieobecnego na wcześniejszych albumach Halarisa, który zastąpił askomandourę, co wpłynęło na częściowe złagodzenia brzmienia, choć na *Erotokritos* nie brak też przesywających, *baselowych* tonów smyków charakterystycznych dla *Drosoulites*.

Fenomen pierwszych czterech płyt Halarisa polega również na tym, iż mogą one w równym stopniu zafascynować melomanów



rozsmakowanych w błyskotliwych interpretacjach muzyki dawnej (np. Jordi Savalla), miłośników folkloru z różnych stron świata oraz fanów rocka progresywnego i grupy Dead Can Dance. To muzyka, która brzmi świeżo, mimo iż od jej nagrania minęły cztery dekady, a geneza jej powstania sięga przynajmniej czterech wieków wstecz. Nie zestarzeje się z pewnością i za cztery stulecia – w tysiąc lat po upadku Cesarstwa Bizantyjskiego.

Na koniec słówko na temat kwestii wydawniczych. Wszystkie cztery płyty ukazały się oryginalnie jako winyle nakładem greckiego oddziału Columbii. Na CD wznowił je Minos EMI. Niestety pochodząca z lat 90. reedycja *Akolouthii* jest od około dwóch lat niedostępna, nawet w Grecji.

Jarosław Sawic

Podziękowania dla moich przyjaciół z Grecji – Boussiosa Panayotisa i Dimitri Thomasa za tłumaczenia oryginalnych tekstów greckich.

Książki nadesłane

Wydawnictwo FORMA, Szczecin 2012

Marek Żymła: *Suma*. Poezje. Posłowie Bronisław Maj. Ss. 63.

Krzysztof Hoffman: *Dubitatio*. O poezji Eugeniusza Tkaczyszyna-Dyckiego [oraz] Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki: *Dziesięć wierszy na wszelki wypadek*. Ss. 129.

Bogusława Latawiec: *Ciemnia*. Proza. Posłowie Leszek Szaruga. Ss. 154.

Maciej Cisło: *Błądnik*. Notatki z pamiętnika. Ss. 435.

Eugeniusz Sobol: *Killer*. Zbiór opowiadań. Ss.133.

bez tytułu

LESZEK MĄDZIK

Detal

Nie rzuca się w oczy jako pierwszy, nie atakuje, jest dyskretny, niepozorny. Jakby czekał, żeby go dostrzec. Stanowi często fragment większej całości, ale sam w sobie też potrafi zdobyć i przekonać widza. Swoje meandryczne uroki lokuje w przyrodzie, w architekturze, w ciele ludzkim. Czas mu dziś nie sprzyja. Przy detalu się nie zatrzymujemy. Wzrok biegnie w miejsca krzykliwe, widoczne na pierwszym planie. Nimi się syci, przeżywa, wchłania. Przyspieszamy kroku, by wszędzie zdążyć, jak najwięcej zagarnąć, zatrzymać, a po drodze mijamy ślady, które nie miały ambicji, by przekroczyć własną miarę. Czekają na właściwy czas, żeby spotkać się z nami w nadziei na udany kontakt. A może nigdy do niego nie dojdzie... Czy to przegrana? Ale czyja? Czy tego, kto przyspieszył kroku, czy tego fragmentu, który nie uwiódł krzykiem ani prowokacją. Detal, choć wypełnia naszą przestrzeń wizualną, jest częścią większej całości, jest skazany na przegraną. Smakowanie jego urody, kiedy wreszcie go dostrzeżemy, staje się uctwą duchową i estetyczną.

Fotografując to, co wokół skupia moją uwagę, wyodrębniam zobaczony szczegół, któremu światło pomaga silniej zaistnieć, wydobyć się z mroku czy szarości. Potem zwielokrotniony, powiększony, robi wrażenie jakby był osobnym bytem, bez uzależnień, powiązań z całością, której najczęściej jest elementem. Ma swoje życie, różne od własnych korzeni, tworzy nowy rodzaj kompozycji. Siła detalu często bardziej nas pochłania niż kontekst, z którego się wywodzi. Powiększenie niewielkiego kadru czyni z niego ujawniony w pełni – często totalny – obraz. Wzrokiem zanurzamy się w zakamarki, których uroda skłania do kolejnych spotkań. A jeszcze czytanie detalu w odległym czasie... Wspaniale i mądrze radziło sobie z tym średniowiecze. Nigdy wzrok współczesnych nie mógł dotrzeć tam, gdzie anonimowy rzeźbiarz pozostawił po sobie zwieńczenie katedr, wież i tego wszystkiego, co wykonał kiedyś z petyzmem na dużych wysokościach. Bardziej na chwałę Boga czynił swoją powinność, niż w nadziei, że dzieło będzie dostrzeżone, docenione czy pochwalone przez człowieka. W różny sposób spotykamy się z tym, co tworzą natura i człowiek. Detal wyzwała skojarzenia, przywołuje miniony czas, daje radość czy potęguje niepokój, ale zawsze cierpliwie towarzyszy nam każdego dnia.

namiętności

MAREK DANIELKIEWICZ

Słodki pożytek z immoralistów

Pamiętam esej Hanny Rosin pod złowrogo brzmiącym tytułem *Koniec świata mężczyzn* („Gazeta Wyborcza”, 11-12 września 2010 r.). No i doczekaliśmy się – pomyślałem. – I co się teraz stanie z rodeo, macho i nocnymi kowbojami à la John Schlesinger?

Zdaniem autorki kryzys gospodarczy przyspiesza dalszą marginalizację męskiej płci. Nawet heteroseksualni mężczyźni zaczynają mieć problemy, jak bohaterowie opowiadania Edny Annie Proulx *Tajemnica Brokeback Mountain* (1998).

Również kobietom przestaje być lekko. Ich błyskotliwe kariery to jakże często zaniechane związki, odkładane cięższe i skrywane problemy psychiczne. Dzisiaj, aby być kobietą albo mężczyzną, trzeba nieustannie odgrywać rolę kobiety albo mężczyzny. Nie wystarczy już sama biologiczna płeć – potrzeba ją codziennie manifestować. Chodzi o to, by to, co jest oczywiste, stało się oczywistsze. Każda forma przypominania o tym jest dobra. Nawet uliczna *manifa* ma sens.

Fatalnie mają mężczyźni, bo skazani są na ciągle przypominanie o sobie, a to przecież nie jest męskie. Jedna z amerykańskich sieci fast-food, Burger King, reklamowała się piosenką wykonywaną przez atrakcyjnego mężczyznę, który śpiewał: *jestem mężczyzną, usłyszcie mój ryk, / nie możecie kwestionować faktu, że jestem mężczyzną / nie wystarczy mi to, co jedzą kobiety (...) jestem mężczyzną i muszę jeść mięso (...)*.

Ten cytat z Elizabeth Badinter odnajdziemy w książce *XY. Tożsamość mężczyzny* (przeł. G. Przewłocki, wstęp M. Janion, Warszawa 1993). Sądzę, że dobrze ilustruje on dramatyzm producentów żywności, a szczególnie mięsa.

W czasie ogólnoswiatowej recesji każdej płci raczej ubywa, niż przybywa cech męskich czy żeńskich. Macherzy od reklamy robią wszystko, by dominowała trzecia płeć – unisex. Niejednoznaczność seksualna jest dobrze sprzedającym się towarem.

Zygmunt Bauman w pracy *Ciało i przemoc w obliczu ponowoczesności* (Toruń 1995) pisze: *Najbardziej cenioną cnotą ponowoczesnej tożsamości jest jej giętkość (flexibility), łatwość przystosowania się. Wszelkie struktury powinny być lekkie i ruchome, by można było je w miarę potrzeby szybko przestawić.*

Podobną refleksję znajdujemy już u Waltera Patera (1839-1894), angielskiego krytyka sztuki i literatury w *Konkluzji* (przeł. A. Sosnowski, „Literatura na Świecie”, nr 9-10 z 2009 r.): *Postrzeganie wszystkich rzeczy oraz ich zasad jako nietrwałych stanów czy form staje się w coraz większym stopniu główną tendencją myśli nowoczesnej.*

Interesująca wydaje się koncepcja tak zwanego trzeciego stopnia wrażliwości. Susan Sontag (1933-2004) uważała, że właśnie *camp* jest tym trzecim stopniem

wrażliwości, *pierwszym miałyby być wrażliwość moralna wysokiej kultury, drugim napięcie między pasją moralną a estetycznym zaangażowaniem awangardy, trzecim – tym campowym – wrażliwość wyłącznie estetyczna* (M. Gołębiowska, *Kamp jako postawa estetyczna*, w: *Demontaż atrakcji: o estetyce audiowizualności*, Gdańsk 2003). Innymi słowy estetyzm jest tą drogą bezpiecznego działania artysty (również poety) w sytuacji, gdy społeczeństwo w olbrzymiej swojej masie nie rozumie i odrzuca sztukę nowoczesną.

A campowy rodzaj obcowania ze sztuką odrzuca zwyczajowe kategorie dobry – zły jako niewystarczające. W to miejsce proponuje nowy: rzeczy tak złych, że aż dobrych. Te słowa Bogusława Deptuły, krytyka sztuki, świetnie pasują do opisu twórczości Karola Radziszewskiego i Konrada Maciejewicza, którzy są moimi ulubionymi artystami trzydziestolatkami.

U obu ważny jest problem seksualności. Można zaryzykować twierdzenie, że polubili oni na swój sposób penetrować ciało. U Maciejewicza ciało doświadcza czegoś na kształt terroru, zaś u Radziszewskiego seksualność bywa konfrontowana z poczuciem winy. Myślę, że takie podejście jest charakterystyczne dla twórców traktujących wiarę à rebours. Oczywiście odrzucenie wiary nie jest jednoznaczne z zanikiem poczucia winy. Wcześniej czy później musi zrodzić się duchowy konflikt, który można skutecznie spożytkować w sztuce.

Trzeba – często wbrew medialnym naciskom – ratować pogląd, że sztuka bez jakiegokolwiek kształtu wiary staje się cuchnącym śmietnikiem. Obydwaj twórcy są tego świadomi, dlatego ich prowokacje są od początku do końca przemyślane. Co zapewne nie uchroni ich przed atakami tych, którzy zawsze szukają dziury w całym.

Faktem jest, że większość (chrześcijanie, muzułmanie, buddyści i tak dalej) akceptuje, podtrzymuje, pielęgnuje, broni tradycyjnego związku między kobietą i mężczyzną. Alarmowanie o zagrożeniu instytucji małżeństwa jest przesadą. Nawet prawne usankcjonowanie związków partnerskich niczego pod tym względem nie zmienia. Były w historii bardziej „zakręcone” czasy i jako tradycyjny model rodziny przetrwał. Uważam, że obecnie poddawany jest kolejnej próbie. I zapewne wyjdzie z niej zwycięsko.

Kobiecość i męskość to wzory, klisze stworzone na przestrzeni tysiącleci przez kulturę. Świat dzieli się na dwie płcie i nie ma innej alternatywy. Natomiast jest w naszych czasach problem z **byciem** mężczyzną i kobietą, czy też z opisem przekraczania niewidocznych granic przypisanych tradycyjnie dla każdej z tych płci. Nie moim zadaniem jest wyjaśnienie, jak sobie z tym problemem radzą moralści. Powiem tylko, że cieszy mnie ich hipokryzja.

W pracach Tomasza Kaliściaka z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach, zarówno tych drukowanych w publikacjach zbiorowych, jak i w jego najnowszej książce *Katastrofy odmieńców* (2011) można odnaleźć ważne i pożyteczne spostrzeżenia na ten temat. Kaliściak pisząc m.in. o Józefie Czechowiczu, cytuje fragment listu lubelskiego poety do Wacława Mrozowskiego, w którym określił własny stan ducha: *Dla mnie jest wiatr i dla mnie jest burza, nie zaś spokojny dom.*

*Zarzuty o niemoralność naznaczyły jego tożsamość do tego stopnia, że od 1937 roku używał nawet, jak wiadomo, wizytówek z nadrukiem „józef czechowicz immoralista”, co dobrze wtedy korespondowało z tytułem skandalizującej powieści *Immoralista* (1902) André Gide’a.*

Marek Danielkiewicz

noty o autorach

Waldemar Bawolek – ur. 1962 w Ciężkowicach, gdzie mieszka i tworzy do dziś. Prozaik, autor tomu opowiadań *Delectatio morosa* (1996) oraz powieści *Raz dokoła* (2005) i *Humoreska* (2012), w przygotowaniu książka *To co obok*. Publikował na łamach „Akcentu”, „FA-artu”, „Frazy”, „Kresów”, „Twórczości”. Trzykrotny stypendysta Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, laureat m.in. ogólnopolskich konkursów prozatorskich „Nowego Nurtu” i Wydawnictwa Kurpisz oraz Wydawnictwa Zielona Sowa.

Jakub Beczek – ur. 1976 w Żyrardowie. Literaturoznawca (doktorat w 2008 r.); jako krytyk współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym” i „Nowymi Książkami”. Publikował m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Czasie Kultury”, „Odrze”, „Okolicy Pototów”, „Opcjach”, „Poboczach”, „Portrecie”, „Arcanach”, „Midraszu”, „Przeglądzie Humanistycznym”. W książkach zbiorowych pisał m.in. o Irzykowskim, Jasieńskim, Konińskim, Skińskim, Trzebińskim. Mieszka w Warszawie.

Joanna Clark – ur. 1938 w Warszawie. Pisarka, publicystka. W 1956 r. rozpoczęła studia polonistyczne i socjologiczne na UW. W latach 1960-1966 pracowała w Ośrodku Badania Opinii Publicznej. Następnie współpracowała z „Biuletynem Socjologicznym”. W 1971 r. wyjechała do USA i zamieszkała w Princeton w stanie New Jersey. Współpracowała z szeregiem wydawnictw amerykańskich, m.in. jako konsultantka przy powstawaniu redagowanej przez Philipa Rotha serii „Pisarze Innej Europy”. Była inicjatorką wydania pism Brunona Schulza (*The Street of Crocodiles*, New York 1977), autorką wstępu do *Kompleksu polskiego* Tadeusza Konwickiego (*The Polish Complex*, New York 1984) oraz opowiadań Danuty Mostwin (*Testaments, Athens, Ohio* 2005). W 1990 r. obroniła tytuł doktora w Katedrze Literatury Porównawczej Uniwersytetu Pensylwanii, a następnie podjęła pracę na wydziałach Historii i Sławistyki na Uniwersytecie Rutgers (New Jersey), współpracowała również z Hunter College (Nowy Jork). Publikowała w „The Polish Review”, „The Nation”, „Polin”, „Tekstach Drugich”, „Rzeczpospolitej”, „Przeglądzie Polskim”. Brała udział w licznych konferencjach naukowych organizowanych m.in. przez Fundację Kościuszkowską oraz PIASA (Polish Institute of Arts and Sciences in America). Autorka powieści *Romantyczka* (2004), *W cichym lesie Vermontu* (2010) oraz zbioru „*Czemu, Cieniu, odjeżdżasz...*” *Trzy opowiadania* (2007).

Marian Janusz Kawałko – ur. 1947 w dawnych dobrach Mikołaja Reja, koło Rejowca. Autor pięciu zbiorów wierszy, z których tomy zatytułowane *Moje wesole miasteczko* (1977), *Korzec* (1990) oraz *Zmienna ogniskowa* (2001) otrzymały poważne nagrody literackie (kolejno: J. Czechowicza, „Głosu Nauczycielskiego” i A. Kamińskiej). Tłumacz poezji R. M. Rilkego. Autor monodramu z życia Lwa Tołstoja *Ostatnia godzina*, granego przez krakowski Teatr KTO. Laureat najważniejszych ogólnopolskich konkursów poetyckich. Był nauczycielem w Zespole Szkół Gastronomicznych w Lublinie i dyrektorem szkoły polskiej przy

Ambasadzie RP w Wiedniu, od 2010 r. kieruje podobną placówką w Berlinie. Publicysta, regionalista, autor szeregu artykułów naukowych, a także popularnej monografii *Historie ziołowe* (1986), opracowania *Ród Rejów w Ziemi Chełmskiej w XVI wieku* (2005) i rozprawy doktorskiej na temat dziejów Rejowca wydanej w 2010 r. Niedawno opublikował *Księgę miasta Pawłowa* (2011). Przed kilkoma laty pełnił funkcję prezesa lubelskiego oddziału ZLP, obecnie pozostaje poza stowarzyszeniami pisarskimi. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim OOP.

Piotr Kobielski-Grauman – ur. 1953 w Lublinie. Debiutował wierszami na łamach „Kameny” i „Sztandaru Ludu” w 1972 r. Autor tomów poezji: *To właśnie światło jakie już nieprześcignione* (1977), *Przez ogień* (1998), *Sambation* (2006) oraz prozy: *Niewykonabul* (2004). Publikował także szkice krytycznoliterackie, recenzje i teksty publicystyczne, m.in. na łamach „Akcentu”, „Czasu Kultury” i „dwutygodnika.com”. Laureat kilku konkursów literackich, m.in. O Laur Czerwonej Róży, Ars Amandi i ostatnich pięciu edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Dni Leśmianowskich” w Ilży. Trzykrotny stypendysta MKiDN (1998, 2001, 2004). Mieszka w Lublinie.

Dénes Krusovszky – ur. 1982 w Debreczynie. Poeta, krytyk literacki. Studiował filologię węgierską, literaturę porównawczą oraz estetykę na Wydziale Nauk Humanistycznych Uniwersytetu im. Loránda Eötvösa w Budapeszcie. W 2005 r. założył grupę poetycką Telep, która działała do 2009 r. Opublikował tomy wierszy: *Az összesnevem* (2007, Wszystkie moje imiona), *Elromlanimilyen* (2009, Jak to jest zepsuć się), *A felesleges part* (2011, Niepotrzebny brzeg). Jest także autorem dramatów *A befelényilóajtó* (2012, Drzwi otwierające się do wewnątrz) oraz *Az üveganya* (2010, Matka ze szkła).

Stanisław Kryński – ur. 1949 w Miechowie. Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, kierownik Zakładu Kulturoznawstwa w Instytucie Historii. Długoletni wykładowca w działającym przy Uniwersytecie Rzeszowskim Centrum Kultury i Języka Polskiego dla Polaków z Zagranicy i Cudzoziemców. Autor książek: *Wizja rewolucji we wczesnej prozie Andrzeja Struga (1902-1912)* – 1989; *Artysta – świat. W kręgu międzywojennej powieści o artyście* (2003) oraz artykułów, esejów, opracowań wydawniczych publikowanych w wydawnictwach zbiorowych i czasopiśmie, takich jak: „Pamiętnik Literacki”, „Ruch Literacki”, „Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska”, „Twórczość”. Ostatnio szczególnie zainteresowany problematyką literatury Kresów Południowo-Wschodnich oraz mitem Galicji w prozie narracyjnej.

Bogusława Latawiec – ur. 1939 w Wołominie. Poetka, prozaiczka, eseistka, autorka ośmiu zbiorów poetyckich i ośmiu tomów prozy; jej wiersze tłumaczone na angielski, francuski, grecki, niemiecki, rosyjski, węgierski, estoński i włoski. Należy do SPP i PEN Clubu. W latach 1974-1982 pracowała w miesięczniku „Nurt” (kierownik działu poezji i krytyki poetyckiej). W latach 1991-2003 była redaktorem naczelnym miesięcznika „Arkusze”. Laureatka Nagrody „Peleryny” w Gdańsku za najlepszy książkowy debiut poetycki (1996), „Ugrupowania 66” im. Tadeusza Peipera za twórczość poetycką (1970), im. Józefa Łukaszewicza (2004, Biblioteka Raczyńskich w Poznaniu) za powieść *Kochana Maryniuchna*, łączącą wątki autobiograficzne, autotematyczne oraz obrazującą byt mieszkańców Poznania w latach I wojny światowej; nagrody PEN Clubu za całokształt twórczości poetyckiej (1993). W 2008 r. nominowana do Nagrody Cogito za zbiór wierszy *Odkrytki*. Ostatnio wydała tom poetycki *Gdyby czas był ziemią* (2011) a także książkę z literackimi portretami i listami pisarzy oraz szkicami na temat ich twórczości *Zegary nie do zatrzymania* (2012).

Eliza Leszczyńska-Pieniak – ur. 1974 w Zamościu. Absolwentka teatologii UJ i Podyplomowych Studiów Humanistycznych PAN, nauczycielka języka polskie-

go w III Liceum Ogólnokształcącym im. C. K. Norwida w Zamościu. Artykuły i recenzje poświęcone kulturze publikowała m.in. w „Akcentie”, „Przekroju” i „Tygodniku Zamojskim”, od 2003 r. współpracuje z „Zamojskim Kwartalnikiem Kulturalnym”. Laureatka II nagrody i wyróżnienia w Konkursie Dziennikarskim im. Mirosława Dereckiego w 2005 r. Mieszka w Zamościu.

Piotr Łopuszański – ur. 1966 we Francji. Z wykształcenia filozof. Pisarz, publicysta, autor szkiców historycznych i literackich (m.in. o Jungu, Mickiewiczu, Witkacym, sztuce modernizmu, Stryjeńskiej, pisarzach w PRL, aktorach: Holoubku, Cybulskim, Łapickim). Wydał 6 książek, w tym: *Sławni ludzie* (1996), *Leśmian* (2000 – pierwsza biografia poety), *Bolesław Leśmian. Marzyciel nad przepaścią* (2006), *Gustaw Holoubek. Filozof bycia* (2010 – pierwsza biografia aktora).

Łukasz Marcińczak – ur. 1971 w Łodzi. Absolwent filozofii UMCS; doktor nauk humanistycznych w zakresie filozofii, redaguje pismo Stowarzyszenia Absolwentów UMCS „AS UMCS”; autor tomu poetyckiego *Profil odcisnięty w glinie* (2002). W „Akcentie” ogłaszał eseje, recenzje i szkice o twórcach z kręgu „Kultury” paryskiej oraz o wielokulturowej przeszłości Lublina i Lubelszczyzny. Publikował także w „Magyar Napló” (Budapeszt). Mieszka w Lublinie.

Emilia Mazurek – ur. 1978 w Warszawie. Absolwentka filologii romańskiej UW oraz administracji publicznej, lektor języka francuskiego. Interesuje się m.in. wykorzystaniem utworów poetyckich w nauczaniu języków obcych. W 2011 r. założyła literacki portal internetowy *Ósme piętro*. Miłośniczka historii i kultury francuskiej, archeologii, kina europejskiego. Mieszka w Warszawie. Prezentowane wiersze to jej debiut czasopiśmienniczy.

Wiesław Mysliwski – ur. 1932 w Dwikozach pod Sandomierzem. Absolwent filologii polskiej Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (na którym studiował wraz z przyszłą żoną). W latach 1955-1976 pracował w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej w Warszawie. Był redaktorem naczelnym kwartalnika społeczno-kulturalnego „Regiony” (od 1975) i redaktorem naczelnym dwutygodnika (początkowo trzymiesięcznika) kulturalnego „Sycyna” (od 1993). Powieści (wielokrotnie wznawiane): *Nagi sad* (1967), *Pałac* (1970), *Kamień na kamieniu* (1984), *Widnokrąg* (1996; nagroda Nike), *Traktat o luskaniu fasoli* (2006; Nagroda Literacka Gdynia, Nike, TVP Kultura, miesięcznika „Odra”). Dramaty: *Złodziej* (1973), *Klucznik* (1978), *Drzewo* (1988), *Requiem dla gospodyni* (2000). Scenariusze filmowe: *Przez dziewięć mostów* (1972, według powieści *Nagi sad*), *Droga* (TV 1980, według powieści *Kamień na kamieniu*), *Klucznik* (1979, na motywach sztuki *Klucznik*, współaut. W. Marczewski), *Kamień na kamieniu* (1995). Jego dzieła były tłumaczone m.in. na angielski, niemiecki, rosyjski, francuski, hiszpański, hebrajski, holenderski, włoski, czeski, słowacki, rumuński, bułgarski, estoński, łotewski, węgierski, ukraiński i gruziński. Doktor honoris causa Uniwersytetu Opolskiego oraz Rzeszowskiego, laureat kilkudziesięciu nagród i odznaczeń, w tym medal: Wojewody Lubelskiego i Prezydenta Miasta Lublin. Ostatnio odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski (2012). Mieszka w Warszawie.

Jarosław Sawic – ur. 1976 w Lublinie. Krytyk muzyczny specjalizujący się w rocku progresywnym, fusion i folku. Współpracownik magazynu „Lizard”. Autor wierszy i kilkudziesięciu tekstów publicystycznych (artykuły, eseje, recenzje, wywiady) publikowanych na łamach „Akcentu”, „Lizarda”, „Midrasza”, „Twojego Bluesa”.

Krzysztof Siwczyk – ur. 1977 w Knurowie. Poeta, autor tomów wierszy: *Dzikię dzieci* (1995), *Emil i my* (1999), *Wiersze dla palących* (2001), *Dane dni* (2001), *Zdania z treścią* (2003), *W państwie środka* (2005), *List otwarty (1995-2005)* (2006), *Centrum likwidacji szkód* (2008), *Koncentrat* (2010), *Gdzie indziej jest te-*

raz (2011), *Gody* (2012). W przekładach na języki obce: *Im Reich der Mitte* (Lipsk, 2007), *Prevečvidenja* (Maribor, 2012). Opublikował książkę krytycznoliteracką *Ulotne obiekty ataku* (2010). Zagrał główne role w filmach fabularnych *Wojaczek* (reż. Lech Majewski, 1999) i *Wydalony* (reż. Adam Sikora, 2010). Pracuje w Instytucie Mikołowskim. Mieszka w Gliwicach.

Konrad Sutarski – ur. 1934 w Poznaniu, od 1965 mieszka na Węgrzech. Doktor technicznych nauk rolniczych, konstruktor maszyn, działacz polonijny, dyplomata, przewodniczący Ogólnokrajowego Samorządu Mniejszości Polskiej na Węgrzech, inicjator i dyrektor Muzeum i Archiwum Węgierskiej Polonii (w ostatnich latach doprowadził do powstania poza Budapesztem dwóch filii tego muzeum). Twórca telewizyjnych filmów dokumentalnych i artystycznych (w tym średniometrażowych filmów o Katyńiu, A. Wajdzie, K. Pendereckim, Cz. Miłoszu). Redaktor naczelny miesięcznika „Polonia Węgierska”. Poeta, współzałożyciel poznańskiej grupy literackiej „Wierzbak”, organizator pierwszych po wojnie ogólnokrajowych festiwalu poezji w latach 1957-1962. Autor tomów poetyckich: *Skraj ruchu* (1960), *Wyprawa na pole nieudeptane* (1975), *Konrad Sutarski versei* (1976), *Zgęstniałe powietrze* (1984), *Z dala od najważniejszych dróg – Távol a legfontosabb utaktól* (1993), *Na podwójnej ziemi* (2005), oraz szeregu wyborów wierszy (z języka węgierskiego, wśród nich kilku antologii poezji), a także książek *Az én Katyńom – Mój Katyń* (2010), *Obawy i nadzieja: polsko-węgierskie eseje i wiersze – Aggodalom és remény: lengyel-magyar esszék és versek* (2012), *Polska flaga na Węgrzech: wybór pism o węgierskiej Polonii – Lengyel zászló Magyarországon: válogatott írások a magyarországi lengyelségről* (2012). Jego utwory znajdują się m.in. w antologii *Współcześni poeci polscy* (1997) i w almanachu *Wiek Wierzbaka* (2007). W 1992 r. został laureatem nagrody im. G. Bethlena, a w 2005 r. odebrał w Budapeszcie przyznany mu przez Prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi RP.

Bartosz Suwiński – ur. 1985 w Kępnie. Poeta, krytyk literacki, redaktor w „Stronach”, doktorant filologii polskiej na Uniwersytecie Opolskim. Przygotowuje dysertację o poezji Krystyny Miłobędzkiej. Wiersze, prozę, szkice krytyczne i artykuły naukowe publikował m.in. w „Arkadii”, „Frazie”, „Kresach”, „Migotaniach”, „Odrze”, „Pograniczach”, „Polonistyce”, „Ricie Baum”, „Redzie”, „Śląsku”, „Toposie”, „Tyglu Kultury”, „Wyspie” i tomach pokonferencyjnych. Wydał zbiór poetycki *Sehir* (2010). Mieszka w Opolu.

Bohdan Zadura – ur. 1945 w Puławach. Poeta, prozaik, krytyk literacki, tłumacz liryki anglojęzycznej, węgierskiej i ukraińskiej. Autor tomów poetyckich: *W krajobrazie z amfor* (1968), *Więzień i krotochwila* (inedita sprzed 1970; 2001), *Podróż morska* (1971), *Pożegnanie Ostendy* (1974), *Małe muzea* (1977), *Zejsście na ląd* (1983), *Starzy znajomi* (1986), *Prześwielone zdjęcia* (1990), *Cisza* (1994, 1996), *Noc poetów. Warszawa pisarzy* (1998), *Kaszel w lipcu* (2000), *Poematy* (2001), *Ptasia grypa* (2002), *Stąd* (2002), *Kopiec kreta* (2004), *Wszystko* (2008), *Nocne życie* (2010), *Zmartwychwstanie ptaszka (wiersze i sny)* (2012); powieści: *Lata spokojnego słońca* (1968), *A żeby ci nie było żal* (1971), *Lit* (1997), zbiorów opowiadań *Patrycja i chart afgański* (1976), *Do zobaczenia w Rzymie* (1980), *Striptease*; książek krytyczno-literackich: *Radość czytania* (1980), *Tadeusz Nowak* (1981), *Daj mu tam, gdzie go nie ma* (1996), *Między wierszami* (2002). Przez 25 lat (od 1980) był współredaktorem kwartalnika literackiego „Akcent”. Wcześniej, po studiach filozoficznych na Uniwersytecie Warszawskim pracował w muzeum w Kazimierzu Dolnym i był kierownikiem literackim lubelskiego Teatru Wizji i Ruchu. Od jesieni 2004 r. jest redaktorem naczelnym miesięcznika „Twórczość”. W latach 2005-2006 ukazały się w trzech tomach jego wiersze zebrane, w dwóch tomach proza oraz dwa tomy szkiców, recenzji i felietonów (2007). Wydane ostatnio zbiory jego przekładów z ukraińskiego to: antologia *Wiersze zawsze*

szą wolne (2004), *Piosenki dla martwego koguta* Jurija Andruchowycza (2005), *Historia kultury początku stulecia* Serhija Żadana (2005), *Jogging* oraz *Historie ważne i nieważne* Andrija Bondara (2005, 2011), *34 wiersze o Nowym Jorku i nie tylko* Wasyla Machny (2005), *Ruchomy ogień* Ostapa Sływyskiego (2009) oraz *Róża i nóż* Natałki Biłocerkiweć (2009). Niedawno opublikowany został tom *Węgierskie lato. Przekłady z poetów węgierskich* (2010). Za zbiór wierszy *Nocne życie* (2010) został uhonorowany Wrocławską Nagrodą Poetycką Silesius 2011 w kategorii „książka roku”. W ubiegłym roku ukazał się obszerny tom jego *Wierszy wybranych* (Poznań 2012).

W następnych numerach:

- Proza Judyty Bednarczyk, Adama Bindugi, Sławomira Majewskiego, Andrzeja Muszyńskiego, Piotra Piętaka, Marka Roberta Stecha;
 - Wiersze Janusza Drzewuckiego, Józefa Ferta, Anny Marii Goławskiej, Michała Jagiełły, Grzegorza Jędrka, Konstantinosa Kawafisa, Samantha Kitsch, Danuty Kurczewicz, Andrzeja Niewiadomskiego;
 - Poemat Adonisa (Alego Ahmada Sa'ida Isbira) *Grób dla Nowego Jorku*;
 - Elżbieta Błotnicka-Mazur: *Malarska opowieść o świecie. Teofil Wiktor Kosiorkiewicz i jego Lublin*;
 - Jarosław Wach o pamięci, czasie i przemijaniu w prozie Wiesława Myśliwskiego;
 - Dziennik Anny Frajlích;
 - Emigracyjna odyseja w listach;
 - Omówienia nowych książek poetyckich i literaturoznawczych.
-

Informujemy Czytelników, że sprzedaż AKCENTU prowadzą m.in. księgarnie:

Salon sprzedaży „Empik”
ul. Lipowa, Galeria „Plaza”
20-024 Lublin, tel. 81 534-36-98

Antykwariat przy Pałacu Tarłów
ul. Dolna Panny Marii 3a
20-010 Lublin, antykwarnia-lublin@wp.pl

Księgarnia – Antykwariat
ul. Jasna 7a
20-071 Lublin, tel. 813-078-887

Księgarnia „Ezop”
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin, tel. 81 532-56-15

Galeria ZPAP
Krakowskie Przedmieście 62
20-076 Lublin, tel. 81 532-68-57

Księgarnia Uniwersytecka
Plac M. Curie-Skłodowskiej 5
20-031 Lublin, tel. 81 537-54-13
Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu”.

Ośrodek Informacji Turystycznej
ul. Jezuicka 1/3
20-113 Lublin, tel. 81 532-44-12

Arche. Uniwersytecka Księgarnia Naukowa
ul. Bażyńskiego 6
80-952 Gdańsk, tel. 58 523-28-06

M. Grynder. Gdańska Księgarnia Naukowa
ul. Łagiewniki 56
80-855 Gdańsk, tel. 58 301-41-22

Księgarnia „Libella”
pl. Sejmu Śląskiego 1
40-032 Katowice, tel. 32 200-92-06

Księgarnia Wydawnictw Naukowych
ul. Podwale 6
31-118 Kraków, tel. 12 422-90-57

Księgarnia Literacka Stefan Zielski
plac Konstytucji 3 Maja 3
10-414 Olsztyn, tel. 89 533-62-24

T. Grajkowski – Księgarnia „Wrzenie Świata”
ul. Gałczyńskiego 7
00-362 Warszawa, tel. 22 828-49-98

Główna Księgarnia Naukowa im. B. Prusa
ul. Krakowskie Przedmieście 7
00-068 Warszawa, tel. 22 826-18-35

Księgarnia ORPAN „BIS”
ul. Twarda 51/55
00-818 Warszawa, tel. 22 697-88-35

księgarniawarszawa.pl (internetowa)
ul. Generała Andersa 24
00-291 Warszawa, tel. 22 831-01-90

Księgarnia Wysyłkowa LEXICON
ul. Sengera „Cichego” 24 m.2A
02-790 Warszawa, tel. 22 648-41-23
Księgarnia prowadzi sprzedaż wysyłkową „Akcentu”.

Księgarnia „Stacja Falenica”
ul. Patriotów 44a
04-912 Warszawa-Falenica, tel. 530-882-809

Księgarnia Akademicka
Al. Wojska Polskiego 69
65-625 Zielona Góra, tel. 68 326-35-20 w. 220

Tu do nabycia m.in. numery:

z 2008: 1 – wiersze B. Zadury i T. Chabrowskiego, proza J. Łukasiewicza, szkice o poezji Kapuścińskiego i o Polakach w Paryżu; 2 – A. Koczańczyk o dziennikach Iwaszkiewicza, szkic o rzeźbach Zamoyskiego, wiersze A. Niewiadomskiego i M. J. Kawalki; 3 – *Karol Wojtyła – poeta, dramaturg, filozof* (m.in. A. Boniecki, W. Oszejka, J. Pasierb, B. Taborski, J. Życiński, J. Tischner) + suplement *Wiersze* U. Jaros; 4 – nowa poezja ukraińska, J. Święch o współczesnej biografistyce, piosenki J. Kondraka, Tomek Kawiak – artysta niespokojny + suplement poetycki *I jeszcze dalej* W. Sołtysa.

z 2009: 1 – Balcerzan o Herbercie i Miłoszu, Cyborgi – figury globalizacji i industrializacji, „Widnokrąg” Myśliwskiego w Teatrze Osterwy; 2 – Proza T. Chabrowskiego i J. Bieruta, *Penderecki multimedialny*, Jak powstał pomnik na Majdanku; 3 – *Ostatnie dni Nazara Honczara*, Z Lublina na Manhattan – Tadeusz Myśłowski, *Internet jako miejsce pochówku*, Marcin Różycki – bard ironiczny i sentymentalny; 4 – Marcińczak o Bobkowskim, Zubiński o Hrabalu, Rzym i Jerozolimie – opowieść o dwóch miastach.

z 2010: 1 – Nowicki o prozie Brunona Schulza, Ryczkowska o opowiadaniach Andrzeja Pilipiuka, Wróblewski o pisarstwie Danuty Mostwin, malarstwo Jana Ziemskiego; 2 – Nowa powieść Jacka Dehnela, Łobodowski o Czechowiczu, Broniewskim, Gałczyńskim, Szkołut o Kapuścińskim, Jarosław Wach: *Anatomia nienawiści*; 3 – Opowiadania Birutė Jonuškaitė, Marcina Kreczmera, R. Książek o jankaniu w kulturze współczesnej, urodziny Hanny Krall; 4 – Hanna Krall: *Dom opieki*, Ryszard Kapuściński: *Fakty nie są nagie*, Marcin Czyż: *(U)kraina marzeń*, Jan Popek – artysta nostalgiczny.

z 2011: 1 – Jerzy Giedroyc – *Sokrates czy Robespierre?*, Graffiti – historia nowej wrażliwości, Jak Wyka czyta Różewicza?, *Kłopoty z „Latającym Cyrkiem Monty Pythona”*; 2 – Proza Amira Gutfreunda i Katalin Mezey, wiersze Hałyny Kruk i Tadeusza Chabrowskiego, Bogdan Nowicki o ontologicznych herezjach Brunona Schulza, Muzyka klasyczna wobec wszechwładzy rynku; 3 – Nowa poezja ukraińska w przekładach Bohdana Zadury, Marek Kusiba: *Kochankowie z ulicy Kościelnej*, Sergiusz Sterna-Wachowiak: *Sceny z życia codziennego artystów*; 4 – *Sienkiewicz metafizyczny*, Wojciech Białasiewicz o Wieniawie-Długoszewskim, „Zar” Leszka Mądzika, Maciej Białas o Grzegorz Cichowskim.

z 2012: 1 – John Cage – artysta przelomu, o twórczości H. Krall, T. Różewicza, O. Tokarczuk i J. Dehnela; 2 – Najnowsza proza H. Krall, o rozmowach Miłosza z Bogiem, Latawiec i Balcerzan – poetycki duet; 3 – R. Kapuściński o „nowym dziennikarstwie”, rozmowa z A. Osiecką; 4 – *Ejdetyka lustra*, o lubelskiej etnolingwistyce, *Ars poetica dzisiejszej Ukrainy*.

„Akcent” można nabyć również w sieci Ruch, Pol Perfect, Garmond Press oraz Kolporter.

Zainteresowani zakupem archiwalnych numerów mogą się zwracać bezpośrednio do redakcji „Akcentu”.

**„Akcent” można zaprenumerować m.in. w sieci „Ruch” S.A.
i kupić w salonach prasowych i kioskach tej firmy. Oto niektóre adresy:**

Augustów	3-Go Maja 4	Piotrków Tryb.	Wojska Polskiego 24
Biała Podlaska	Sidorska 100	Piotrków Tryb.	Słowackiego 123
Białystok	Upalna 68 A	Płock	Morykoniego 2
Białystok	Mieszka I 8	Płock	Sienkiewicza 42
Białystok	Sitarska 9	Płock	Kobylińskiego 2
Białystok	Fabryczna 18	Poznań	Wrocławska/Podgórna
Bielsko-Biała	Warszawska 28	Poznań	Garbary
Brodnica	Duży Rynek	Poznań	Keplera 1
Bydgoszcz	Kruszwicka 1 Real	Poznań	Fredry/Kościuszki
Bydgoszcz	Magnuszewska 6 (Salon)	Przemysł	Mickiewicza 3
Bytom-Szombierki	Wyzwolenia 125	Przemysł	Kamienny Most
Chorzów	Wolności 8	Puławy	Centralna 10
Chorzów	Wolności 42	Pułtusk	Świętojańska 6
Ciechanów	Warszawska 62	Radzyń Podlaski	Ostrowiecka 5 A
Częstochowa	Kościuszki/Lelewela 16	Rybnik	Plac Wolności
Garwolin	Senatorska	Rzeszów	Zygmuntowska 10
Gdańsk	Dragana 17/18	Sanok	Rynek 16
Gdańsk	Sikorskiego/Cienista	Siedlce	Młynarska 10
Janów Lubelski	Wesoła 9	Słupsk	Mochackiego
Jarosław	Jana Pawła II 16	Szczecin	Pl. Hołdu Pruskiego 8
Jaśło	Lwowska 24 H	Szczecin	5-Go Lipca 4
Kalisz	Narutowicza	Szczytno	Plac Juranda
Katowice	Chorzowska 111	Tarnów	Lwowska 2
Katowice	Pl. Oddz. Młodz. Powstań.	Tarnów	Krakowska 33
- Dworzec PKP		Tomaszów Lubelski	Króla Zygmunta 1
Kędzierzyn Koźle	Pamięci Sybiraków 1	Tomaszów Lubelski	Zamojska 9
Kielce	Radomska	Toruń	Fałata 41a
Kłodzko	Rodzenna 42	Toruń	Dąbrowskiego 8-24
Konin	Szeligowskiego	Toruń	Kujawska 10
Konin	Dworcowa	Trzebinia	Kościuszki
Koszalin	Zwycięstwa/Traugutta	Wałbrzych	Broniewskiego 12/14
Leszno	Rynek 30	Warszawa	Radarowa 4
Lublin	Krakowskie Przedmieście 27	Warszawa	Al. Jerozolimskie 144
Lublin	Gabriela Narutowicza 11	Warszawa	Słowackiego/Potockiej
Lublin	Jana Sawy 1a	Warszawa	Długa 1
Lublin	Bursztynowa 17	Warszawa	Puławska 1
Łosice	Rynek 30	Warszawa	Ostrobramska 75 C
Łódź	PKP Widzew	Warszawa	Marszałkowska 81
Łódź	Zachodnia 6	Warszawa	Krańskiego 24
Łódź	Wróblewskiego 67	Warszawa	Złota 59
Łódź	Broniewskiego 59	Warszawa	Grochowska (Uniwersam) 207
Łódź	Piłsudskiego 124	Warszawa	Kopińska 2/4
Maków Mazowiecki	Moniuszki 4a	Warszawa	Żwirki I Wigury 1
Maków Podhalański	nr 29-31	Warszawa	Słowackiego 15/13
Mińsk Mazowiecki	Pl. Stary Rynek 5	Włocławek	Toruńska 51
Mrągowo	Królewiecka 29	Włocławek	Pl. Wolności - Wysepka
Ostrołęka	Kopernika 24a	Wrocław	Kiełbaśnicza 7
Ostróda	Czarneckiego 20/3	Wrocław	Kościuszki 11
Ostrów Maz.	Mieczkowskiego 23	Wrocław	Pl. Solny 6/7a
Pabianice	Grota Roweckiego 19	Zamość	Rynek Wielki 10
Pabianice	Wiejska 1/3	Zamość	Zamoyskiego 5/15
Piekary Śl.	Heneczka	Zgierz	Witkacego 1/3
Piekary Śl.	Wyszyńskiego	Zgorzelec	Kościuszki
Piła	Budowlanych	Żelechów	Rynek



**„Akcent” rozprowadzany jest także
w prenumeracie firm Pol Perfect, Garmond Press i Kolpolter**



INSTYTUT KSIĄŻKI

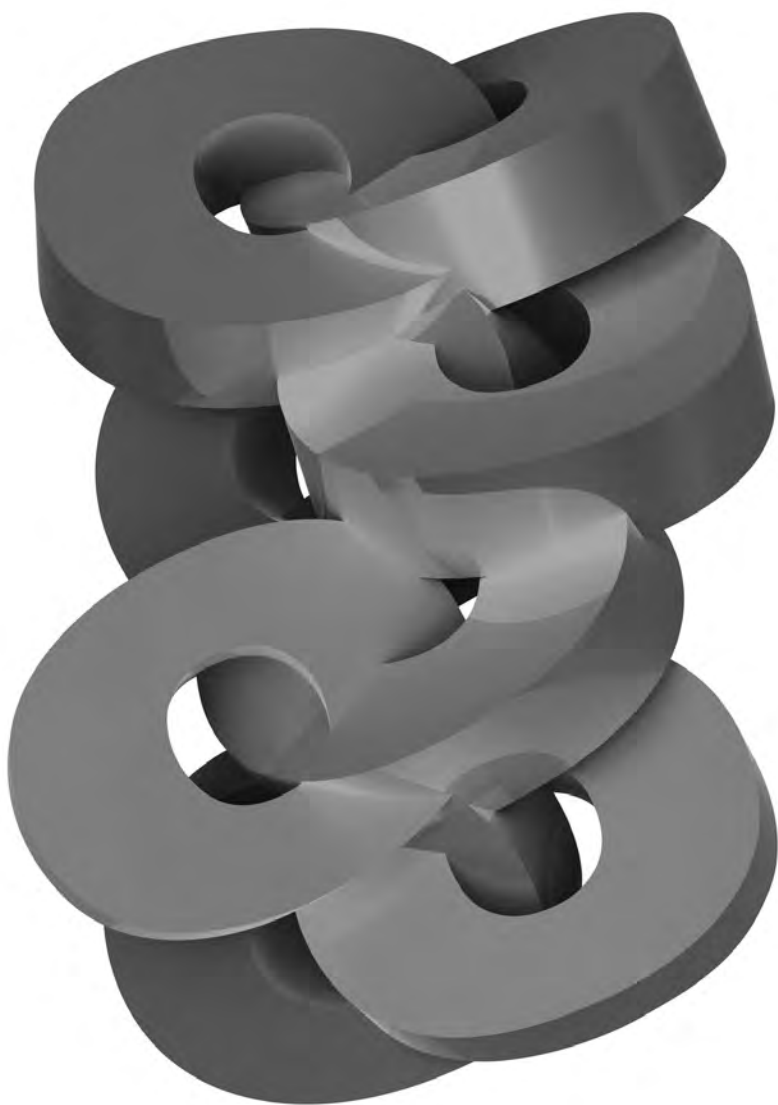


© POLAND

z najwyższej półki



Instytut Książki Dział Wydawnictw
al. Niepodległości 213, 02-086 Warszawa, tel. +48226082374, tel./fax +48226082488
e-mail: czasopisma@instytutksiazki.pl
www.instytutksiazki.pl



O.pl

Polski Portal Kultury

Sztuka to najwyższy wyraz
samouświadomienia ludzkości

/.../

Dzieło sztuki – mikrokosmos
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena 10zł (w tym 5% VAT)
NR INDEKSU 352071
PL ISSN 0208-6220

